

LISA GENOVA

LEWA STRONA

ŻYCIA

Left Neglected

Tłumaczenie

Agnieszka Kalus



Mary Read

PROLOG

Wydaje mi się, że jakaś mała cząstka mnie wiedziała, że w moim życiu brakuje rozwagi. Od czasu do czasu szeptała - *Sarah, zwolnij proszę. Tak się nie da. Nie możesz tego wszystkiego ciągnąć.* Ale reszta mnie, ta silna, bystra i nastawiona na sukces, sukces, sukces - zupełnie tego nie słuchała. A kiedy, raz na jakiś czas, myśli tego rodzaju zdołały przedrzeć się do mojej świadomości, tłumiałam je i odsyłam z powrotem na swoje miejsce. Bądźcie cicho, nie widzicie, że mam jeszcze milion rzeczy do zrobienia?

Nawet moje sny zaczęły klepać mnie po ramieniu, żeby zwrócić na siebie moją uwagę. *Czy naprawdę nie widzisz, co robisz? Zaraz ci pokażemy.* Ale każdy sen umykał zaraz po przebudzeniu, niczym oślizgła ryba, pochwycona gołymi rękoma. Wyślizgiwał się i odpływał, zanim mogłam lepiej mu się przyjrzeć. To dziwne, że teraz wszystkie je pamiętam. Sądzę, że w te noce przed wypadkiem, moje sny próbowały mnie obudzić. Po tym, co się stało, szczerze wierzę, że były wskazówkami z jakiegoś duchowego źródła. Wiadomościami od Boga. A ja je zignorowałam. Chyba potrzebowałam czegoś mniej ulotnego, bardziej konkretnego.

Na przykład silnego walnięcia w głowę.

ROZDZIAŁ 1

Rozbitkowie, jesteście gotowi?

Jeff, niepokojąco przystojny gospodarz telewizyjnego reality show, uśmiecha się i przeciąga w nieskończoność sygnał do startu, wiedząc, że doprowadza nas tym do szaleństwa.

- Start!

Biegnę przez las deszczowy. Owady zderzają się z moją twarzą, niczym z przednią szybą samochodu. Te robaki mnie wkurzają.

Zignoruj je. Prędzaj.

Cienkie gałązki uderzają i rozcinają mi skórę na twarzy, nadgarstkach i kostkach. Krwawię. Piecze mnie.

Nie zwracaj na to uwagi. Prędzaj.

Jakaś gałąź robi dziurę w mojej ulubionej, najdroższej jedwabnej bluzce i rozrywa ją od ramienia do łokcia.

Świetnie, nie będę mogła jej założyć na poranne spotkanie. Później ją pozszywam. Szybciej. Szybciej.

Dobiegam do plaży i widzę jakieś deski, naniesione przez morze. Mam zrobić tratwę. Ale nie mam żadnych narzędzi. Rękoma przerzucam piasek, ale nie znajduję ich. Wtedy przypominam sobie mapę, którą Jeff machnął nam przed oczami zanim ją spalił. Podpalając ją, uśmiechał się szyderczo. Łatwo jest być takim wesołkiem, kiedy ma się pełen brzuch i pachnące świeżością ubrania. Ja nie jadłam ani nie myłam się od kilku dni.

- Mamo, pomóż mi. - Charlie z płaczem wtula się w mój brzuch. To nie miejsce dla niego.

- Nie teraz, Charlie. Muszę odszukać czerwoną flagę i zestaw narzędzi.

- Mamo, mamo, mamo! - nalega. Uwiesza się na moim oderwanym rękawie i wyciera zapłakaną buzię w mankiet.

Super, teraz to już jest do wyrzucenia. A nie sądzę żebym miała czas na przebranie się przed pracą.

W odległości około stu metrów, zauważam czerwony punkcik nad płaską powierzchnią plaży. Biegnę w jego kierunku, a Charlie podąża za mną, błagając - Mamo, mamo, mamo!

Spoglądam pod nogi i widzę, że plaża błyszczy na zielono i brązowo. To szkło. Ale nie takie oszlifowane przez morze. Świeże szkło, poszczerbione i ostre. Potłuczone butelki leżą na całej plaży.

- Charlie, zatrzymaj się! Nie idź za mną!

Biegnę i dobrze mi idzie omijanie szkła, ale wtem słyszę, jak Charlie puszcza pawia. Jeff się śmieje, a ja źle stawiam stopę. Kawatek zielonego szkła wbija mi się głęboko. Rana potwornie boli i mocno krwawi.

Nie przejmuj się. Pospiesz się.

Dobiegam do czerwonej flagi. Z każdym oddechem połykam całe chmary komarów, które wlatują mi do nosa, ust i uszu, sprawiając, że dławię się i pluję. Nie tego rodzaju proteiny miałam na myśli. Zakrywam twarz dłońmi, wstrzymuję oddech i odmierzam dwanaście kroków na zachód od czerwonej flagi.

Kopię gołymi rękami, otoczona rojem komarów, znajduję skrzynkę z narzędziami i kuśtykając wracam do wyrzuconych na brzeg desek. Jest tam Charlie, kuca i buduje zamek z kawałków szkła.

- Charlie, przestań. Skaleczysz się.

Ale on mnie nie słucha.

Nie przejmuj się nim. Pospiesz się.

Jestem w trakcie budowania tratwy, kiedy słyszę, że fale przybierają na sile.

Są coraz głośniejsze.

Prędzej!

Pospiesznie sklecona, nieskończona tratwa, nie utrzyma dwóch osób. Charlie krzyczy, kiedy go podnoszę, odrywając od jego szklanego zamku. Kopię i okłada mnie pięściami, gdy próbuję usadzić go na tratwie.

- Kiedy dotrzesz na drugą stronę, sprowadź pomoc.

- Mamusiu, nie zostawiaj mnie!

- Tu nie jest bezpiecznie. Musisz płynąć!

Spycham tratwę na wodę. Silny prąd zaraz ją porywa. Tratwa znika mi z oczu, a wtedy wilki rzucają się na mnie, rozrywając mi spodnie i moją ulubioną bluzkę, rozdzierają mi skórę, zjadają mnie żywcem. Jeff uśmiecha się, kiedy umieram, a ja myślę - Po co właściwie chciałam grać w tę głupią grę?

Budzi mnie budzik w ludzkiej skórze, czyli mój dziewięciomiesięczny synek Linus. Zanim umieram, z elektronicznej niani rozlega się płacz.

- Baaaabaaaaa!

PIĄTEK

Na budziku wyświetla się godzina 5:06, czyli alarm zadzwoni dopiero za godzinę. Poddaję się i postanawiam już wstać. Wcześniej jeszcze wyłączam alarm/dzwonienie. Szczerze mówiąc nie pamiętam, kiedy ostatnio obudził mnie dźwięk bomp, bomp, bomp, a nie jedno z trójki moich dzieci. Funkcja drzemki, to już w ogóle zamierzchna przeszłość. Poranki, podczas których mogłam choć na chwilę wydłużyć wylegiwanie się w łóżku. *Jeszcze dziewięć minut i nie ogolę nóg. Jeszcze dziewięć minut i będę musiała odpuścić sobie śniadanie. Jeszcze dziewięć minut na poranny seks.* Nie dotykałam tego przycisku od długiego czasu. Charlie ma siedem lat, więc musi to być około siedmiu lat. Wydaje się być wiecznością. Każdego wieczora nastawiam budzik tylko dlatego, że wiem, po prostu wiem, że jeśli tego nie zrobię, jeśli chociaż raz zdam się na moje małe skarby w kwestii budzenia, będzie to na pewno taki poranek, kiedy będę miała jakieś niezmiernie ważne spotkanie lub lot, na które nie mogę się spóźnić, a one wszystkie po raz pierwszy w życiu, będą sobie słodko spały.

Wstaję i patrzę z góry na Boba. Leży na plecach, ma zamknięte oczy, rozluźnioną twarz i otwarte usta.

- Nie udawaj - mówię.

- Nie śpię - odpowiada, ale wciąż ma zamknięte oczy. - Ciebie woła.

- Wołał „baba”, a nie „mama”.

- Mam go przynieść?

- I tak już wstałam.

Idę boso korytarzem po zimnej podłodze z desek, aż do pokoju Linusa. Otwieram drzwi i widzę, jak stoi za szczebelkami łóżeczka, ssie smoczek, w jednej ręczce trzyma zmechacony kocyk, a w drugiej jeszcze bardziej wymęczonego króliczka. Na mój widok uśmiecha się od ucha do ucha, co sprawia, że i ja odwzajemniam uśmiech, a on zaczyna uderzać w szczebelki. Wygląda jak rozkoszny mały więzień, spakowany już i gotowy na swój ostatni dzień w więzieniu, w oczekiwaniu na wyjście na wolność.

Podnoszę go i niosę na stolik do przewijania, gdzie jego nastrój ulega gwałtownemu pogorszeniu i gdzie wydaje z siebie krzyk zawodu. Wygina się i kręci na boki, walcząc z całych sił, co zdarza się pięć-sześć razy dziennie, każdego dnia. Nigdy nie zrozumiem, dlaczego tak zajadle nienawidzi zmieniania pieluchy.

- Przestań, Linus.

Muszę użyć sporo siły, żeby utrzymać go na miejscu i założyć mu świeżą pieluchę i ubranka. Poklepuję go po brzuszku i śpiewam kołysankę, żeby odwrócić jego uwagę, ale bezskutecznie, do samego końca odmawia współpracy i jest wrogo nastawiony. Stolik do

przewijania stoi obok okna, co czasami pomaga skierować jego uwagę na coś innego. *Spójrz, jaki ptaszek!* Ale teraz jest jeszcze ciemno i nawet ptaki jeszcze śpią. Ciągłe jest noc, dzięki Bogu.

Linus nie przesypia całych nocy. O pierwszej kołysałam go do snu, kiedy obudził się z płaczem, a Bob wstawał do niego po trzeciej. Dziewięciomiesięczny Linus jeszcze nie mówi, oprócz mama, baba, dada. Nie możemy więc go przepytwać, aby dowiedzieć się w czym jest problem, nie możemy również niczego mu wytłumaczyć, ani nawet przekupić. Każdej nocy, bez żadnej przyjemności, gramy w zgaduj-zgadulę i nigdy nie udaje nam się wygrać.

Nie wydaje ci się, że on ząbkuje? Może powinniśmy podać mu Tylenol? Nie możemy dawać mu tego co wieczór. Może ma zapalenie ucha. Widziałam, jak grzebał sobie dzisiaj przy uchu. Zawsze tak robi. Może wypadł mu smoczek? Może miał jakiś koszmar sen. A może to przez to, że jest sam. Czyż nie powinniśmy przynieść go do naszego łóżka? Chyba nie chcemy, żeby to się stało regułą, prawda? Co robiliśmy w takim przypadku z pozostałą dwójką? Nie pamiętam.

Od czasu do czasu, umęczeni i doprowadzeni do ostateczności, decydujemy się go ignorować. *Dzisiaj damy mu się wyplakać.* Ale mały Linus ma nieprawdopodobną wytrzymałość i płuca, które się nie poddają. Jak już postanowi coś zrobić, to robi to w stu procentach, co jest cechą, która moim zdaniem, przyda mu się w życiu. Nie jestem więc przekonana, czy powinniśmy ją w nim zmieniać. Zazwyczaj będzie płakał ponad godzinę, podczas której Bob i ja nie zmrużymy oka, nie tyle ignorując jego płkanie, co wsłuchując się w nie, koncentrując się na nim, wyłapując subtelne zmiany w natężeniu i rytmie, które mogą wskazywać, że płacz zbliża się do końca, ale nie znajdując żadnej z tych oznak.

Jedno ze starszej dwójki, zazwyczaj Lucy, wreszcie zacznie pukać do naszych drzwi.

- Linus płacze.

- Wiemy, skarbie.

- Mogę dostać szklankę mleka?

Wstaję więc, żeby przynieść Lucy mleko, a Bob idzie uspokoić Linusa. Plan nie wypalił. Dziecko wygrywa. Wynik: rodzice z wyższym wykształceniem, po Harvardzie, oboje świetnie przygotowani do prowadzenia negocjacji i piastowania kierowniczych stanowisk - zero. Dziewięciomiesięczne dziecko bez żadnego wykształcenia, ani doświadczenia - zbyt wiele punktów, abym zdołała je zliczyć moim przemęczonym umysłem.

Ubrany i zabrany ze zniechęconego przewijaka, Linus od razu się uspokaja. Nie widać po nim żadnych pretensji, ani fochów, po prostu cieszy się chwilą. Daję buziaka temu mojemu małemu Buddzie, przytulam go mocno i niosę na dół. Charlie i Lucy też już nie śpią.

Słyszę jak Lucy krząta się po swoim pokoju, a Charlie leży na jednym z foteli w pokoju dziennym i ogląda Sponge Boba.

- Charlie, jest za wcześnie na telewizję. Wyłącz to.

Ale on jest tak zapatrzony, że wcale mnie nie słyszy.

Przynajmniej taką mam nadzieję, że nie słyszy, a nie że specjalnie mnie olewa.

Lucy wychodzi ze swojego pokoju, ubrana jak wariatka.

- Mamusiu, jak ci się podobam w tym stroju?

Ma na sobie różowo-białą kamizelkę w kropki, nałożoną na pomarańczową bluzkę z długimi rękawami, aksamitne legginsy z nadrukiem w cętki lamparta pod jasnoróżową spódniczką baletnicy, botki Ugg i sześć spinek, wpiętych na chybił trafił we włosy, każdą w innym kolorze.

- Wyglądasz fantastycznie, skarbie.

- Jestem głodna.

- Chodź ze mną.

Idziemy do kuchni, gdzie Lucy wspina się na jeden z wysokich, barowych stołków, stojących przy kuchennym blacie. Do dwóch miseczek nalewam mleka z płatkami Lucky Charms, jedną dla Lucy i jedną dla Charliego. Szykuję też butelkę mieszanki mlecznej dla Linusa.

Tak, moje dzieci mają imiona jak bohaterowie „Fistaszków”. Siedmioletni Charlie i pięcioletnia Lucy, dostali swoje imiona bez żadnego odniesienia do komiksu. Charlie ma imię po swoim dziadku, ojcu Boba, a imię Lucy po prostu obojgu nam się bardzo podobało. Potem, kiedy niespodziewanie znowu zaszałam w ciążę, lata po tym jak pooddawaliśmy lub sprzedaliśmy na Ebayu wszystkie niemowlęce mebelki i sprzęty, lata po tym jak świętowaliśmy koniec z pieluchami, wózkami i Barneyem, musieliśmy jeszcze raz wymyślić jakieś imię i zupełnie nic nie przychodziło nam na myśl.

- Dajcie mu na imię Schroeder - odpowiedziała koleżanka z pracy.

- Nie, koniecznie Linus. Albo Woodstock - powiedziała inna.

Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, jaki schemat rozpoczęliśmy, nadając imiona starszym dzieciom. I spodobało mi się imię Linus.

Podaliśmy mu teraz butelkę i przypatrywałam się, jak Lucy wyjada najpierw wszystkie kolorowe pianki z mleka.

- Charlie, chodź tutaj! Zaraz ci rozmokną płatki.

Lucy zjada jeszcze dwie łyżki.

- Charlie!

- Idę, już.

Charlie wchodzi na stołek obok Lucy i spogląda na swoją miseczkę, jakby było to najgorsze na świecie zadanie domowe.

- Jestem zmęczony - mówi.

- To dlaczego już wstałeś? Idź się jeszcze położyć.

- Okej - mówi i idzie na górę do swojego pokoju.

Lucy wypija mleko ze swojej miseczki, wyciera buzię w rękaw, zeskakuje ze stołka i wychodzi bez słowa. Linus, chcąc być wolnym jak jego siostra, pośpiesznie wypija wszystko z butelki i beka bez mojej pomocy. Sadzam go na podłodze, po której walają się zabawki i pokruszone herbatniki. Biorę piłkę i rzucam nią w stronę pokoju.

- Łap piłeczkę!

Zachwycony tym, że zaczyna się zabawa, Linus raczkuje za nią jak rozbrykany szczeniak.

Zostając na chwilę sama, zjadam nietknięte przez Charliego, rozmoknięte płatki, bo ktoś powinien to zrobić. Następnie odkładam wszystkie naczynia do zlewu, wycieram blat, włączam ekspres do kawy, pakuję drugie śniadanie dla Charliego i Lucy oraz torbę z pieluchami dla Linusa. Podpisuję Lucy zgodę na wyjazd do Plimoth Plantation. Przy pytaniu: „Czy może Pani uczestniczyć w wycieczce jako opiekun grupy?” zaznaczam „Nie”. W plecaku Charliego znajduję liścik od jego wychowawczynie:

Szanowni Państwo Nickerson,

w zeszłym tygodniu wysłałam do Państwa karty oceny ucznia i jak sądzę - znaleźli Państwo czas na dokładne ich przeanalizowanie. Chciałabym spotkać się z Państwem osobiście, żeby porozmawiać o Charliem.

Proszę o telefon w najbliższym możliwym terminie.

Z poważaniem,

Ms. Gavin

Karta oceny Charliego nie jest tym, co każdy rodzic wymarzyłby sobie dla swojego dziecka, w szczególności, jeśli ten rodzic sam zawsze otrzymywał doskonałe oceny. Bob i ja wiedzieliśmy, że mogą być jakieś problemy, że trzeba będzie popracować nad niektórymi umiejętnościami, takimi jak czytanie czy skupienie uwagi. Zeszły rok nieco nas do tego przygotował. Ale w przedszkolu osiągnięcia Charliego, wypadające poniżej przeciętnej, były lekceważone przez Boba i wychowawczynię. „Przecież to chłopak! Zanim pójdzie do

pierwszej klasy, nauczy się siedzieć spokojnie przez cały dzień. Co roku mam takie dzieci. Nie martwcie się”.

Cóż, jest już w pierwszej klasie, a ja się martwię. Na wydruku w *większości* kategorii były znaczki w kolumnie „Wymaga poprawy” i w kolumnie „Poniżej wymagań”. Nawet Bob zbladł, kiedy to zobaczył. Cokolwiek działo się z Charliem, tym razem nie da się już generalizować i zrzucać wszystkiego na jego pleć. Co z nim jest nie tak?

Płatki Lucky Charms zaczęły mnie mdlić. Nie powinnam zjadać tak dużo cukru. Na kredensie, obok ekspresu do kawy, otwieram laptopa i na stojąco sprawdzam pocztę, w oczekiwaniu na kofeinę dla mojego uzależnionego mózgu. Mam sześćdziesiąt cztery nowe wiadomości. Do północy siedziałam przy komputerze i wyczyściłam skrzynkę odbiorczą, więc te musiały przyjść w przeciągu ostatnich pięciu godzin. Niektóre są z biur na Zachodnim Wybrzeżu i zostały wysłane wczoraj wieczorem. Co najmniej dwa tuziny z biur w Azji i Europie, które już jakiś czas temu rozpoczęły swój dzień pracy. Kilka maili oznaczonych znakiem „pilne”, wysłał młody i spanikowany analityk z biura w Bostonie.

Pochłonęło mnie czytanie i odpisywanie, zbyt długo nikt mi nie przeszkadzał. Nadstawiam uszu i nic nie słyszę. Gdzie oni są?

- Lucy? Linus?

W pokoju dziennym tylko miękkie fotele oglądają Sponge Boba. Pędzę na górę, prosto do pokoju Lucy. Są tam oboje, co oznacza, że Lucy zapomniała zamknąć bramkę, ustawioną na dole schodów, a Linus na czworakach wspiął się na piętro. Dzięki Bogu, nie próbował schodzić w dół, ponieważ aktualnie jego ulubioną metodą jest schodzenie głową do przodu. Ale zanim udaje mi się podziękować Bogu za to, że dzieciak jest w jednym kawałku, zanim pukam w niemalowane drewno podłogi i zanim jeszcze dochodzi do mnie, co mogło mu się stać i zanim porządnie opierniczę Lucy za niezamknięcie bramki, wszystkie moje zmysły przyjmują alarmującą pozycję i skupiam się na Linusie. Ten siedzi na podłodze, niczego aktualnie nie bada i ma podejrzenie zamkniętą buzię. Lucy siedzi kawałek dalej i układa kolorowe koraliki, tworząc z nich biżuterię. Koraliki są rozsypane po całej podłodze.

- Linus!

Lewą ręką chwytam go za głowę od tyłu, a palec wskazujący prawej, wkładam mu do buzi. Opiera się, kręci głową na wszystkie strony i jeszcze mocniej zaciska usta.

- Linus, otwieraj buzię! Co tam masz?

Mam to. Grzebię palcem i wyciągam plastikowy koralik koloru różowej gumy do żucia, mniej więcej wielkości żurawiny. Napadnięty, obrabowany i zupełnie nieświadomy tego, że jego życie znajdowało się w niebezpieczeństwie, Linus zaczyna płakać. Bob staje w drzwiach.

Jest już po prysznicu, ubrany i skupiony.

- Co się stało? - pyta.

- Prawie się tym zadławił.

Pokazuję morderczy koralik, leżący na mojej dłoni.

- Nie sądzę, jest zbyt mały. Nic mu nie jest.

Na podłodze, wokół Lucy, wala się mnóstwo większych koralików. Oprócz nich dostrzegam kilka monet, gumek do włosów, kauczukową piłeczkę. Ten pokój to śmiertelna pułapka. A jeśli wzięłoby do ust którąś monetę? A jeśli któryś z większych, pomarańczowych koralików wydałby mu się szczególnie smaczny? A jeśli przyszedłbym za późno i Linus leżałby na podłodze, nie oddychając, z ustami w kolorze fioletowym?

Gdyby Bob potrafił czytać w moich myślach, co prawdopodobnie potrafi, powiedziałaby mi, żebym nie zapędzała się w swoich wyobrażeniach. Powiedziałaby, żebym przestała wymyślać najgorsze scenariusze i odpuściła. Że wszystko jest w porządku. Że wszystkie dzieci wkładają do buzi rzeczy, których nie powinny. Zjadają obłazącą farbę, kredki, połykają grudki ziemi i kamyczki i wiele innych rzeczy, o których nie mamy zielonego pojęcia. Nawet wchodzą po schodach bez niczyjej pomocy. Dzieciaki są twarde, powiedziałaby. Przeżyją.

Ale ja to postrzegam inaczej. Nie muszę wyobrażać sobie najgorszego. Po prostu mam to w głowie. Czasami dzieciaki przeżyją. A czasami nie.

Będąc mocno przesadną, bogobojną, trochę obsesyjno-kompulsywną perfekcjonistką i trzymając w dłoni koralik, odpukuję w niemalowane drewno nogi łóżka, dziękuję Bogu za ocalenie Linusa i oskarżam jego siostrę.

- Lucy, twój pokój wygląda tragicznie. Musisz pozbierać te wszystkie koraliki.

- Ale przecież robię naszyjnik - marudzi.

- Chodź Gąsko, pomogę ci - mówi Bob i klęczy już na podłodze, zbierając koraliki. - A może założysz dziś któryś z tych naszyjników, które już są gotowe? Potem razem z Linusem zejdziemy na dół.

- Charlie jeszcze się nie ubrał i nie zjadł śniadania - mówię, poddając się i przekazując pałeczkę Bobowi.

Po szybkim prysznicu stoję nago przed dużym lustrem w sypialni i poddaję się ocenie, wklepując balsam w ręce i nogi.

Wymaga poprawy.

Wciąż jeszcze nie zgubiłam ponad siedmiu kilogramów wagi, które mi zostały po ostatniej ciąży, a jeśli mam być szczerą, to nie zgubiłam jeszcze tych pięciu, które zostały po

Charliem. Łapię w garść luźne, pomarszczone ciasto, które kiedyś było moim płaskim brzuchem i patrzę na rdzawoczerwoną kreskę, która zaczyna się kilka centymetrów nad pępkiem i wyraźnie ciągnie się w kierunku moich włosów łonowych. Dotykam poduszczek tłuszczu, które zebrały się na moich biodrach, które rozeszły się na boki, by zrobić miejsce Linusowi, mojemu największemu dziecku, zostawiając mi szerokie biodra i szufladę pełną spodni, których nie mogę dopiąć.

Siłownię, do której się zapisałam, powinnam tak naprawdę nazywać moją ulubioną instytucją charytatywną. Nigdy tam nie chodzę. Powinnam zlikwidować abonament, zamiast darować im sto dolarów każdego miesiąca. W piwnicy mam również sprzęt do ćwiczeń, rozstawiony niczym rzeźby i zbierający kurz: orbitrek, atlas Bowflex i wioślarz treningowy, który dostałam od Boba na gwiazdkę, kiedy akurat byłam w ósmym miesiącu ciąży (oszalał, czy co?). Mijam te zawałdoci za każdym razem, kiedy robię pranie, co przy trójce dzieci ma miejsce raczej często. Zawsze omijam je biegiem, nie patrząc na nie, okazując im moje lekceważenie, jakbyśmy mieli ze sobą na pieńku. To działa. Nigdy mi nie zwracają głowy.

Wcieram resztę balsamu w dłonie.

Nie bądź dla siebie zbyt wymagająca, myślę, bo to jest typowe dla mnie.

Linus ma dopiero dziewięć miesięcy. Nagle przypomina mi się powiedzenie „dziewięć miesięcy pod górkę, dziewięć z górki” z książki *„Jak wrócić na stare tory - poradnik dla dziewczyn”*. Autorka zakłada, że mam czas na rzeczy typu manicure, zakupy i wyprzedaże i że priorytetem jest dla mnie bycie taką, jak dawniej. Nie jest oczywiście tak, że nie chcę. Mam to na liście. Tylko, że zajmuje pozycję gdzieś na samym dole, gdzie rzadko zaglądam.

Zanim się ubieram, jeszcze raz oglądam się w lustrze. Skórę mam pokrytą piegami, za sprawą mojej matki Szkotki. Kiedy byłam dziewczynką, łączyłam kropki na ciele za pomocą flamastra i tworzyłam różne konstelacje i tatuaże. Moim ulubionym była doskonała, pięcioramienna gwiazda, w którą układają się moje piegi na lewym udzie. Ale to było w latach osiemdziesiątych, zanim dowiedziałam się o istnieniu kremów z filtrem, kiedy to razem z dziewczynami zabierałyśmy na plażę oliwkę dla niemowląt i dosłownie smażyłyśmy się na słońcu. A teraz każdy lekarz i wszystkie media trąbią, że moje piegi to przebarwienia i szkody, wyrządzone przez słońce.

Ukrywam większość tych szkód pod białą bluzką i czarną marynarką od Elie Tahari. Praktycznie czuję się mężczyzną w tym kostiumie. Doskonale nadaje się na dzień, który mam przed sobą. Wycieram włosy w ręcznik i wcieram w nie odrobinę odżywki Shine-and-Hold. W moich rudych, gęstych i długich do ramion włosach, nie ma nic męskiego. Może i jestem gruba, piegowata i ubrana jak facet, ale i tak uwielbiam moje śliczne włosy.

Po pobieżnym wklepaniu podkładu, nałożeniu różu, eyelinera i tuszu na rzęsy, idę na dół i wkraczam ponownie na pole bitwy. Lucy siedzi teraz na jednej z dużych puf, wypełnionych grochem i śpiewa z Dorą z kreskówki, Linus siedzi obok niej bezpiecznie zapięty w foteliku i ssie głowę plastikowego kierowcy szkolnego autobusu. W kuchni został tylko Bob, który siedzi przy stole, popija kawę ze swojego kubka z Harvardu i czyta Wall Street Journal.

- Gdzie Charlie? - pytam.

- Ubiera się.

- Zjadł coś?

- Płatki i sok.

Jak on to robi? Bob Opiekujący się Całą Trójką to zupełnie inny obrazek, niż Sarah Opiekująca się Całą Trójką. Z Bobem starają się być samodzielni i chętnie wykonują małe zadania, zadowoleni, że dają mu spokój aż do czasu, kiedy znowu do nich przyjdzie i wyznaczy im nowy cel. Jeśli o mnie chodzi, to mam przyciąganie podobne do znanych gwiazd rocka, ale nie posiadam ochroniarzy. Zaraz są *na* mnie. Prosty przykład: Linus siedzi mi pod nogami, wrzeszczy, żeby wziąć go na ręce, z drugiego pokoju Lucy krzyczy „Mamo, pomóż mi!”, a Charlie zadaje mi właśnie cztery tysiące siedemset niepotrzebnych pytań, na temat tego, co dzieje się ze śmieciami.

Biorę kubek z kawą i siadam obok Boba, aby rozpocząć nasze poranne posiedzenie. Upijam łyk. Zimna. A co tam.

- Widziałeś, co napisała nauczycielka Charliego? - pytam.

- Nie, powiedz.

- Chce się z nami spotkać, żeby omówić jego kartę ocen.

- Dobrze, chciałbym się dowiedzieć, co się z nim dzieje.

Sięga do swojej torby i wyjmuje iPhone'a.

- Jak sądzisz, będzie chciała się z nami spotkać przed lekcjami? - pyta.

Przynoszę swój laptop z kredensu i znowu siadam.

- Rano jestem wolna w środę i piątek, ewentualnie mogę coś poprzesuwać również w czwartek - mówię.

- Czwartek mi pasuje. Masz jej email?

Przytakuję.

Piszę wiadomość do pani Gavin.

- Pójdiesz dziś do niego na mecz? - pyta.

- Nie, a ty?

- Pamiętasz chyba, że dziś mogę wrócić później?
- No tak. Ja też nie mogę, dziś mam urwanie głowy.
- Okej. Po prostu szkoda, że żadne z nas nie może go zobaczyć.
- Mnie też, skarbie.

Wierzę, że mówi szczerze, ale nie mogę się powstrzymać, aby jego słowa „szkoda, że żadne z nas nie może go zobaczyć” nie przełożyć sobie w głowie na „szkoda, że ty nie możesz”. A kiedy już wszystkie śrubki mojego wewnętrznego tłumacza są dobrze naoliwione, to zamieniają jeszcze „możesz” na „powinnaś”. Większość kobiet z Welmont, z dziećmi w wieku Charliego, nigdy nie opuszcza żadnego meczu piłki nożnej i nie są przez to jakimiś wyjątkowo dobrymi matkami. Po prostu dobre matki tak robią. Te same matki, ogłaszają niezwykłym dzień, kiedy któryś z ojców zwalnia się wcześniej z biura, żeby zobaczyć mecz. Ojcowie kibicujący przy linii boiska, uważani są za świetnych tatusiów. Ojcowie, którzy nie przychodzą na mecze, pracują. Matki, które nie przychodzą na mecze, podobnie jak ja, są złymi matkami.

Zwykła dawka matczynych wyrzutów sumienia opada na dno zimnej kawy i zupy z Lucky Charmsów w moim żołądku. Nie nazwałabym tego Śniadaniem Mistrzów.

- Abby zostanie i pójdzie na mecz - mówię, podnosząc się na duchu.

Abby jest naszą nianią. Zaczęła u nas pracować, kiedy Charlie miał zaledwie dwanaście tygodni, a mój urlop macierzyński właśnie się skończył. Byliśmy przeszczęśliwi, że udało nam się ją znaleźć. Abby miała wtedy dwadzieścia dwa lata, właśnie skończyła college z licencjatem z psychologii i mieszkała w Newton, 10 minut drogi od nas. Jest bystra, sumienna, ma mnóstwo energii i kocha nasze dzieci.

Zanim Charlie i Lucy dorosli na tyle, by posłać ich do przedszkola, Abby zajmowała się nimi od 7:30 rano do 18:30 wieczorem, od poniedziałku do piątku. Zmieniała im pieluchy, kołysała do snu, czytała im bajki, ocierała łzy, uczyła zabaw i piosenek, kąpała i karmiła je. Robiła zakupy i sprzątała dom. Stała się niezbędnym członkiem naszej rodziny. Nie umiem wyobrazić sobie życia bez niej. Tak naprawdę, gdybym musiała dokonać wyboru pomiędzy Bobem a Abby, mogłoby się zdarzyć, że czasami miałabym opory przed wybraniem Boba.

Zeszłej wiosny Abby powiedziała nam coś, co zbiło nas z nóg. Postanowiła nas opuścić i zapisać się na studia magisterskie z edukacji wczesnoszkolnej w Boston College. Ogłuszyła nas tą wiadomością i zaczęliśmy panikować. Nie mogliśmy jej stracić. Więc *wynegocjowaliśmy* kompromis. Charlie i Lucy chodzili już do szkoły, gdzie spędzali siedem godzin dziennie, od września chcieliśmy zapisać Linusa do żłobka. To oznaczało, że potrzebowalibyśmy jej tylko od 15:00 do 18:30 i ponadto zaproponowaliśmy, że pokryjemy

część opłat za studia.

Pewnie, że mogliśmy przewertować Panoramę Firm i znaleźć kogoś dobrego, kto zarazem byłby tańszy. Albo mogliśmy zatrudnić kogoś poprzez agencję. Ale Abby już zna nasze dzieci. Zna ich przyzwyczajenia, humorki, ulubione zajęcia. Wie, jak poradzić sobie z pytaniami Charliego, napadami złego humoru Lucy i wie, że nigdy, przenigdy nie można zapomnieć króliczka, kiedy wychodzi się gdzieś z Linusem. Poza tym, ona już je kocha. Jak wycenić niezbitą pewność, że twoje dzieci są kochane wtedy, gdy ciebie przy nich nie ma?

Zasapany Charlie wpada do kuchni.

- Gdzie są moje karty z Pokemonami?

- Charlie, wciąż jesteś w piżamie. Zapomnij teraz o Pokemonach. Ubieraj się - mówię.

- Ale muszę mieć te karty z Pokemonami.

- Spodnie, koszulka, buty i zgaś u siebie światło - mówię.

Charlie odrzuca głowę do tyłu, wyrażając tym frustrację, ale odpuszcza i zasuwa na górę do swojego pokoju.

- Mamy coś jeszcze? - pyta Bob.

- Może zadzwonisz do tego gościa od drzwi garażowych?

- Jasne, mam go na liście.

Nasz garaż zaopatrzony jest w jeden z najnowszych modeli mechanizmów zamykających z czujnikiem, który zapobiega zamykaniu się, jeśli zobaczy kogoś pod drzwiami, na przykład małe dziecko. W teorii brzmi to świetnie, ale ostatnio doprowadza nas do szaleństwa. Jedno z naszych dzieci - podejrzewamy, że Charlie - puka w czujnik po prawej stronie, co sprawia, że przestaje on wisieć na tym samym poziomie, co czujnik po lewej. A kiedy mechanizm ma zeza, przestaje w ogóle działać.

Kiedy my byliśmy dziećmi, razem z bratem - Nate'em - bawiliśmy się w Indianę Jonesa, używając do tego automatycznych drzwi w garażu. Jedno z nas naciskało przycisk na pilocie, a potem sprawdzaliśmy, które z nas ma więcej zimnej krwi i dłużej odczeka, zanim pobiegnie i przeczołga się pod zamykającymi się drzwiami. Wtedy nie było żadnych zabezpieczeń. Tamten mechanizm działał zupełnie na ślepo. Gdyby nie było ryzyka, że drzwi śmiertelnie nas przygniotą, albo przynajmniej boleśnie ścisną, nie mielibyśmy żadnej radości z tej zabawy. Nate był w niej świetny, nurkował i przetaczał się na drugą stronę w ostatniej sekundzie. Boże, wciąż za nim tęsknię.

Charlie przybiega do kuchni, ubrany w koszulkę i szorty, ale bez butów.

- Mamo, co się stanie, jeśli na ziemi zabraknie przyciągania?

- A co ci kazałam założyć na siebie?

Żadnej odpowiedzi.

- Jest listopad, musisz mieć długie spodnie, koszulkę z długim rękawem i buty - mówię. Sprawdzam godzinę. 7:15. Ciągle tu stoi, chyba czeka na moją odpowiedź w sprawie przyciągania ziemskiego.

- No idź!

- Dalej, dzieciaku, znajdź coś lepszego - mówi Bob i razem wychodzą.

Pozostałej dwójce zakładam kurtki i czapki, wysyłam jeszcze kilka emaili, zapinam Linusa w foteliku samochodowym, odsłuchuję pocztę głosową, pakuję swoją torbę, zostawiam liścik dla Abby, w którym piszę o meczu, wylewam resztę zimnej kawy i wreszcie wychodzę. Przy drzwiach stoi już Bob z porządnie ubranym Charliem.

- Gotowa? - pyta Bob, odwracając się w moją stronę.

Oboje chowamy dłonie za plecami, w pozycji wyjściowej.

- Gotowa.

Dzisiaj jest piątek. Bob odwozi dzieci do szkoły i żłobka we wtorki i czwartki, ja obstawiam poniedziałki i środy. Piątki podlegają losowaniu. Chyba, że jedno z nas zgłosi nieznoszący sprzeciwu wniosek, że musi jechać do pracy na długo przed tym, zanim zaczynają się lekcje w szkole. Nożyczki przecinają papier. Papier wygrywa z kamieniem. Kamień wygrywa z nożyczkami. Oboje traktujemy to zupełnie serio.

Wygrana jest duża. Jazda prosto do pracy, bez dzieci w samochodzie, to raj.

- Gotowi, do startu, start!

Bob macha mi przed nosem zaciśniętą pięścią, podczas gdy ja pokazuję mu dwa palce w geście wiktorii. Wygrywa znacznie częściej niż ja.

- Szczęściarz.

- To technika, kotku. Miłego dnia - mówi.

- Tobie też.

Całujemy się na do widzenia. To nasz zwykły poranny pocałunek. Szybki buziak. Coś, co stało się naszym zwyczajem. Spoglądam w dół i widzę, że okrągłe, niebieskie oczy Lucy, przyglądają nam się z dużą uwagą. Ja, będąc dzieckiem, też gapiłam się, kiedy moi rodzice się całowali. Zawsze dawali sobie buziaka na dzień dobry, do widzenia i na dobranoc w taki sam sposób, jak ja całowałam ciocię. Byłam tym straszliwie rozczarowana. Nie było w tym żadnego napięcia. Obiecywałam sobie, że jak kiedyś wyjdę za mąż, moje pocałunki będą coś znaczyć. Będą mi przy nich miękły kolana. Moje pocałunki będą zawstydzają dzieci. Będę się całować jak Han Solo i Księżniczka Leia. Nigdy nie widziałam, żeby tato tak całował mamę. Dlaczego tak było? Nigdy się nie domyśliłam.

Teraz już wiem. Nie żyjemy w przygodowym hicie kinowym w reżyserii George'a Lucasa. Nasz poranny pocałunek na do widzenia nie jest romantyczny, na pewno nie jest też sexy. To rutynowy buziak, ale cieszę się, że go sobie dajemy. Wystarcza. Tylko na tyle mamy czas.

ROZDZIAŁ 2

- *Mamo, mogę dostać kawałek? - pyta Lucy.*

- *Oczywiście, kochanie. Który kawałek chcesz?*

- *Poproszę o oczy.*

- *Możesz dostać jedno.*

Wyjmuję swoją lewą gałkę oczną z oczodołu. W dotyku przypomina jajko na miękko, ale jest cieplejsza. Lucy zabiera mi ją z dłoni, a ta ucieka, odbijając się od podłogi jak piłeczka kauczukowa.

- *Ostrożnie z okiem! Będę go potrzebowała!*

Siedzę przy kuchennym stole, jedynym pozostałym okiem wpatruję się w setki liczb w arkuszu Excela. Klikam kursorem w puste okienko i wprowadzam jakieś dane. Kiedy uderzam w klawisze, kątem oka dostrzegam coś powyżej monitora, na którym skupiam swój wzrok. Mój ojciec, ubrany w kompletny strój strażacki, siedzi na krześle naprzeciwko mnie.

- *Cześć, Sarah.*

- *Jezu, tato, śmiertelnie mnie przestraszyłeś.*

- *Musisz dać mi swój wyrostek.*

- *Nie dam ci, jest mój.*

- *Sarah, nie pyskuj. Potrzebuję go.*

- *Nikt nie potrzebuje swojego wyrostka, tato. Nie potrzebujesz nowego.*

- *To dlaczego mnie zabił?*

Spuszczam wzrok na komputer. Na ekranie pojawia się prezentacja w PowerPoint. Czytam.

Powody ostrego zapalenia wyrostka robaczkowego twojego ojca:

- *Od dwóch dni bolał go brzuch, ale niczego z tym nie zrobił, zażył odrobinę Pepto-Bismolu i popił whiskey.*

- *Zignorował mdłości i wymioty i nie przejął się słabą gorączką.*

- *Przebywałaś wtedy w college'u, twoja matka była w swojej sypialni, a on nie zadzwonił do lekarza ani na pogotowie.*

- *Wystąpiło zapalenie oraz zatrucie.*

- *Jak każda żywa rzecz, która jest zbyt długo zaniedbywana, wyrostek w końcu nie wytrzymał i zrobił co w jego mocy, aby zwrócić na siebie uwagę.*

Podnoszę wzrok na ojca. Wciąż czeka na moją odpowiedź.

- Bo zignorowałeś to, co czułeś.

- Może i jestem martwy, ale ciągle jestem twoim ojcem. Daj mi swój wyrostek.

- To nie ma sensu. Lepiej ci bez niego.

- Dokładnie.

Intensywnie się we mnie wpatruje, przesyła swoje myśli wprost do mojej świadomości, które dochodzą przez oko niczym sygnał radiowy.

- U mnie wszystko dobrze. Nie martw się - mówię.

- Wszyscy się tobą martwimy, Sarah.

- Jest ok. Muszę tylko skończyć to sprawozdanie.

Zerkam na ekran, ale wszystkie liczby zniknęły.

- Cholera!

Patrzę ponad monitorem, ale mój ojciec też zniknął.

- Cholera!

Do kuchni wbiega Charlie.

- Powiedziałaś „cholera” - oznajmia, zachwycony, że może mnie pouczać, nawet jeśli poucza mnie bez świadków.

- Wiem, przepraszam - mówię, nie odrywając mojego jedyne go oka od monitora komputera,

- To przekleństwo.

- Wiem, przepraszam - mówię, klikając na wszystko, co można kliknąć.

Nie patrzę na niego i mam nadzieję, że domyśli się dlaczego. Ale nigdy się nie domyśla.

- Mamo, wiesz jaki jestem kiepski ze słuchania?

- Tak. Doprowadzasz mnie tym do szaleństwa.

- Mogę dostać twoje uszy?

- Możesz wziąć jedno.

- Chcę dwa.

- Jedno.

- Dwa, chcę oba!

- No, dobrze.

Odkręcam uszy od głowy i rzucam je na stół, jak dwie kości do gry. Charlie zakłada je na swoje uszy jak słuchawki i pochyla głowę w taki sposób, jakby chciał usłyszeć coś z oddali. Uśmiecha się z zadowoleniem. Ja też staram się to usłyszeć, ale przypominam sobie w porę,

że przecież nie mam uszu. Potem mówi coś i wybiega.

- Hej, a moje kolczyki?!

Ale on już zniknął z pola widzenia. Wracam do komputera. Przynajmniej już sobie poszedł i mogę skoncentrować się w ciszy.

Otwierają się drzwi wejściowe. Po drugiej stronie stołu staje Bob. Kiedy na mnie patrzy, w jego oczach widzę mieszaninę smutku i obrzydzenia. Coś do mnie mówi.

- Nie słyszę, kochanie. Oddałam Charliemu moje uszy.

Znowu coś mówi.

- Nie wiem co do mnie mówisz.

Upuszcza swoją aktówkę i klęka przy mnie. Zamyka mój laptop i chwyta mnie za ramiona, sprawiając mi przy tym ból.

Wrzeszczy na mnie. Ciągłe go nie słyszę, ale po wyrazie jego oczu i po niebieskich żyłkach, które wybrzuszają się na jego szyi, wiem, że krzyczy. Krzyczy coś w zwolnionym tempie, starając się przekazać mi jakąś wiadomość. Czytam z jego ust.

- Odwróć się?

Spoglądam za siebie.

- Nie wiem o co chodzi.

Krzyczy ponownie i jeszcze raz, i jeszcze, potrząsając mnie za ramiona.

- Obudź się?

- Tak! - wrzeszczy i przestaje mną szarpać.

- Już się obudziłam.

- Właśnie, że nie.

PONIEDZIAŁEK

Wilmington to zamożne przedmieście Bostonu, z ulicami, wzdłuż których rosną drzewa, wypieszczonymi podwórkami, drogą rowerową ciągnącą się przez całe miasteczko, prywatnym klubem, polem golfowym, centrum, w którym znajdują się butik z ubraniami i salony piękności Spa, ze sklepami Gap i szkołami, którymi wszyscy się chwalą, bo są najlepsze w całym stanie. Wybraliśmy z Bobem to miasto, ponieważ leży blisko Bostonu, gdzie oboje pracujemy, i ze względu na obietnicę udanego życia, jaką roztacza. Jeśli w Wilmington został jeszcze jakiś dom wart mniej niż pół miliona dolarów, od razu znajduje się jakiś łebski przedsiębiorca budowlany, który kupuje go, aby zaraz go zburzyć i zbudować coś trzy razy większego i droższego. Prawie każdy jeździ tu jakimś luksusowym samochodem,

wakacje spędza na Karaibach, należy do klubu i posiada drugi dom gdzieś na Cape Cod albo w górach na północ od Bostonu. Nasz znajduje się w Vermont.

Bob i ja przeprowadziliśmy się tutaj wkrótce po ukończeniu Harvard Business School, kiedy byłam już w ciąży z Charliem. Byliśmy obciążeni pożyczkami studenckimi w wysokości 200 tysięcy dolarów i nie mieliśmy żadnych oszczędności. Szarpnięcie się na Welmont i wszystko co za tym idzie, było wielkim wyzwaniem. Ale oboje objęliśmy dobre stanowiska i mieliśmy niezachwianą pewność, że będziemy dobrze zarabiać. Osiem lat później, nie odstawiamy w żaden sposób od pozostałych mieszkańców Welmont.

Szkoła Podstawowa w Welmont, znajduje się tylko trzy mile i dziesięć minut od naszego domu na Pilgrim Lane. Stojąc na czerwonym świetle, spoglądam we wsteczne lusterko. Siedzący pośrodku Charlie gra w coś na swoim Nintendo. Lucy patrzy przez okno i podśpiewuje cicho razem z Hannah Montana grającą na jej iPodzie. A ustawiony tyłem do kierunku jazdy Linus, siedzi w swoim foteliku, ssie smoczek i ogląda „Świat Elmo” w lusterku, które Bob przymocował do zagłówka na tylnym siedzeniu. Film odtwarza się za nim na odtwarzaczu DVD, który jest standardowym wyposażeniem mojego SUV-a Acura. Żadne z nich nie płacze, nie marudzi, ani nie zawraca mi niczym głowy. Ach, cud nowoczesnej technologii!

Ciągle jestem wkurzona na Boba. O ósmej mam zebranie z personelem z Europy. Chodzi o ważnego klienta i jestem zestresowana, a na domiar złego martwię się, że nie zdążę na czas, ponieważ jest poniedziałek, czyli mój dzień odwożenia dzieci do szkoły i żłobka. Kiedy powiedziałam o tym Bobowi, ten tylko spojrzął na zegarek i powiedział „Nie martw się, dasz radę”. Akurat nie potrzebowałam prognozy w stylu Zen.

Charlie i Lucy zapisani są do szkolnego programu „Przed dzwonkiem”, który odbywa się codziennie od 7:15 do 8:20 w sali gimnastycznej. Dzieci rodziców, którzy muszą być w pracy przed dziewiątą, pozostają tam pod opieką nauczyciela, aż do momentu, kiedy oficjalnie rozpoczynają się lekcje o 8:30. Kosztując tylko pięć dolarów dziennie za dziecko, „Przed dzwonkiem” jest prawdziwie ekonomicznym darem niebios.

Kiedy Charlie poszedł do przedszkola, zdziwiło mnie, że tylko kilkoro dzieci z jego klasy chodzi na zajęcia „Przed dzwonkiem”. Zakładałam, że wszyscy rodzice w mieście potrzebują tego typu opieki dla dzieci. A potem pomyślałam, że większość z nich ma nianie. Niektóre tak, ale okazuje się, że większość dzieci z Welmont ma matki, które zdecydowały się odejść z pracy i zostać w domu. Są to wszystko kobiety po college’u, niektóre nawet skończyły uniwersytety. Nigdy, przenigdy, nie domyśliłabym się tego. Nie wyobrażam sobie odejścia z pracy, zmarnowania całego swojego wykształcenia i doświadczenia. Kocham

swoje dzieci i wiem, że są ważne, ale moja kariera też jest ważna, a także życie, jakie dzięki niej możemy mieć.

Zaparkowawszy na szkolnym parkingu, biorę ich dwa plecaki, które - mogę przysiąc - ważą więcej niż ja sama i otwieram tylne drzwi niczym szofer. Kogo oszukuję? Nie niczym szofer. Przecież jestem szoferem. Nikt się nie rusza.

- Chodźcie, idziemy!

Przylepieni do swoich urządzeń elektronicznych, bez najmniejszej oznaki pośpiechu, Charlie i Lucy wychodzą z samochodu i zaczynają posuwać się ślimaczym tempem w kierunku wejścia do szkoły. Popędzam ich, zostawiając Linusa w samochodzie na chodzie i z włączonym Elmo.

Wiem, że ktoś z „60 minut” lub Dateline NBC miałby używanie na mnie za to, co robię i nawet wydaje mi się, że któregoś dnia wpadnę w zasadzkę, zastawioną na mnie przez zaczajonego za zaparkowanym Volvo Chrisa Hansena. Przygotowałam już sobie linię obrony. Przede wszystkim, jego fotelik samochodowy, w jakim muszą podróżować wszystkie dzieci przed ukończeniem pierwszego roku życia, waży prawie dziewięć kilogramów. Jeśli się doda do tego Linusa, który waży niemal tyle, co jego fotelik oraz źle zaprojektowany, niewygodny uchwyt, to noszenie go jest fizycznie niewykonalne. Chętnie porozmawiałabym sobie z jakimś wyjątkowo silnym, bezdietnym mężczyzną, który to zaprojektował. Linus jest zadowolony, że ogląda Elmo. Po co mam mu przeszkadzać? Welmont jest bezpiecznym miejscem. Wrócę za kilka sekund.

Jak na pierwszy tydzień listopada, jest wyjątkowo ciepło. Jeszcze wczoraj Charlie i Lucy nosili grube czapki i rękawiczki, ale dzisiaj jest prawie dziesięć stopni Celsjusza, więc praktycznie nie potrzebują nawet grubych kurtek. Niewątpliwie ze względu na dobrą pogodę, boisko jest pełne rozbrykanych dzieci, co nie jest zwykłym obrazkiem z rana. To przyciąga uwagę Charliego i zanim docieramy do podwójnych drzwi, odbija w bok.

- Charlie! Wracaj do mnie!

Moje napomnienia nie spowalniają go nawet na ułamek sekundy. Biegnie wprost do małego gaju i nie patrzy za siebie. Wsadzam Lucy pod lewe ramię i biegnę za nim.

- Nie mam na to czasu - mówię Lucy, mojej małej sojuszniczce.

Zanim dopadam do małego gaju, jedynym śladem po Charliem jest jego kurtka, która leży porzucona na stosie drewna. Podnoszę ją ręką obciążoną już przez dwa plecaki i rozglądam się po boisku.

- Charlie!

Szybko go lokalizuję. Siedzi na samej górze drabinki.

- Charlie, na dół, natychmiast!

Wydaje się, że mnie nie słyszy, ale wszystkie stojące w okolicy matki słyszą. Ubrane w sweterki od projektantów, podkoszulki, sportowe buty lub drewniaki, te matki wyglądają jakby miały do dyspozycji cały czas świata, żeby stać rano na boisku szkolnym. W ich spojrzeniach dostrzegam, że mnie osądzają i wyobrażam sobie, co o mnie myślą.

On chce tylko się pobawić na dworze z pozostałymi dziećmi w ten piękny dzień.

Chyba nic jej się nie stanie, jak pozwoli mu trochę się pobawić?

Patrzcie jak jej nie słucha! Nie ma żadnej kontroli nad własnymi dziećmi.

- Charlie, proszę zjedź na dół i podejdź do mnie. Muszę jechać do pracy.

Udaje, że nie słyszy.

- Okej, odliczam. Jeden!

Ryczy jak lew na grupę dzieciaków, spoglądających na niego z dołu.

- Dwa!

Nie rusza się.

- Trzy!

Nic. Mam ochotę go zabić. Spoglądam na swoje siedmiocentymetrowe szpilki od Cole Haan i przez jedną szaloną chwilę zastanawiam się, czy udałoby mi się wejść na górę drabinki. Potem patrzę na zegarek od Cartiera. Jest 7:30.

Dość tego.

- Charlie, złaż, albo przez cały tydzień będziesz miał szlaban na gry video!

No, wreszcie. Wstaje, odwraca się, bezczelnie patrzy ale zamiast opuścić nogę na niższy szczebelek, ugina kolana i wybija się w powietrze. Kilka mam wraz ze mną wstrzymuje oddech. W tej sekundzie wyobrażam sobie połamane nogi i przerwany rdzeń kręgowy. Ale on ląduje na ziemi i uśmiecha się. Dzięki Bogu, jest zrobiony z gumy. Chłopcy, którzy byli świadkami jego mrozącego krew w żyłach pokazu kaskaderskiego, wiwatują. Bawiące się w pobliżu dziewczynki chyba niczego nie zauważyły. Matki wciąż patrzą, jak poradzę sobie z dalszym ciągiem tego dramatu.

Wiedząc, że Charlie wciąż może splatać jakiegoś figla, stawiam Lucy na ziemi i chwytam go za rękę.

- Au, za mocno!

- Trudno.

Z całej siły ciągnie mnie za rękę, szarpiąc i próbując się uwolnić, jak podekscytowany doberman na smyczy. Moja dłoń jest lekko spocona, więc zaczyna mi się wymykać. Ściskam mocniej. On ciągnie jeszcze bardziej.

- Mnie też weź za rękę - skomle Lucy.

- Nie mogę, skarbie. Chodź.

- Chcę iść za rękę! - piszczy i stoi w miejscu. Za chwilę wpadnie w histerię. Szybko myślę.

- Złap rękę Charliego.

Charlie liże swoją drugą rękę zanim jej podaje.

- Jest obrzydliwa! - krzyczy Lucy.

- Dobrze, chodź tutaj.

Przesuwam plecaki i kurtkę Charliego na przedramię i trzymając po jednym dziecku w każdej ręce, wlokę się do szkoły.

Sala gimnastyczna jest przegrzana. W środku znane twarze. Dziewczynki siedzą oparte o ścianę, czytają, rozmawiają lub tylko siedzą i patrzą na chłopców, którzy grają w koszykówkę i biegają po całej sali. Jak tylko puszczam jego rękę, Charlie znika. Nie mam siły, żeby za nim krzyczeć i domagać się właściwego pożegnania.

- Miłego dnia, moja Gąsko Lucy.

- Pa pa, mamusiu.

Całuję ją w śliczną główkę i rzucam plecaki na stos innych, leżących na podłodze. Tutaj nie ma już mam i tatusiów. Nie znam żadnych rodziców, zostawiających dzieci w sali gimnastycznej. Znam kilka imion dzieci i domyślam się, który rodzic należy do niektórych z dzieci. Na przykład ta pani jest mamą Hilary. Większość z nich wpada tu i wypada, nie mając czasu, żeby pogadać. Ja też się do nich zaliczam, bo nie wiem praktycznie niczego o pozostałych rodzicach.

Jedyną osobą, którą znam w programie „Przed dzwonkiem” jest Heidi, mama Bena, która też właśnie wychodzi. Jest zawsze ubrana w szpitalny mundurek i fioletowe buty Crocs, ponieważ pracuje jako pielęgniarka. Znam ją z imienia, bo Ben i Charlie przyjaźnią się, a ona czasem podwozi Charliego do domu po meczu i ponieważ emanuje od niej dobra energia i ma szczyry uśmiech, który wiele razy w zeszłym roku obwieszczał światu empatię.

Ja też mam dzieci i wiem.

Ja też mam pracę. Więc wiem.

Ja też mam zaległości. Rozumiem.

Rozumiem.

- Jak się masz? - pyta Heidi, idąc obok mnie korytarzem.

- W porządku. A ty?

- Dobrze. Dawno nie widziałam Linusa. Pewnie już urósł.

- O Boże, Linus!

Bez słowa wyjaśnienia ruszam biegiem, zostawiając Heidi, wypadam ze szkoły, zbiegam ze schodów i dopadam pozostawionego na biegu samochodu, który - dzięki Bogu - wciąż stoi tam, gdzie go zostawiłam. Zanim otwieram drzwi, słyszę już jak biedny Linus płacze na całe gardło.

Króliczek leży na podłodze, DVD zatrzymało się i na ekranie wyświetla się menu. Moje matczyne uszy i serce wiedzą jednak, że nie płacze przez wzgląd na ukochaną przytulankę czy czerwonego Muppeta. Kiedy film się skończył i Linus otrząsnął się ze swojego magicznego transu, na pewno zdał sobie sprawę, że został sam w pułapce samochodu. Opuszczony. Numer jeden na skali pierwotnego strachu u dziecka w jego wieku, zajmuje porzucenie. Jego buźka jest czerwona i mokra od łez.

- Linus, przepraszam, przepraszam!

Wypinam go z fotelika tak szybko, jak potrafię. Wciąż płacze. Podnoszę go i przytulam, głaszczę go po plecach. Wyciera zasmarkany nos w kołnierz mojej bluzki.

- Ciiii, już dobrze, już dobrze.

Nie pomaga. Na dobrą sprawę intensywność i natężenie jego płaczu jeszcze wzrosły. Nie chce tak łatwo mi wybaczyć, ale ani trochę go o to nie winię. Jeśli nie jestem w stanie go uspokoić, to równie dobrze mogę zawieźć do żłobka. Przypinam rozszalałe ciało do fotelika, kładę mu króliczka na kolanach, wciskam przycisk play na DVD i odjeżdżam w kierunku żłobka „Słoneczne Horyzonty”, przy dźwięku wyplakiwanych płuc.

Jednej z opiekunek, miłej Brazylijce niedawno zatrudnionej w „Słonecznych Horyzontach”, przekazuję zapłakanego Linusa, króliczka i torbę z pieluchami.

- Linus, cichutko, wszystko w porządku. Linus, skarbie, już dobrze - mówię, próbując po raz ostatni uspokoić malucha. Nienawidzę zostawiać go w takim stanie.

- Nic mu nie będzie, pani Nickerson. Niech już pani idzie.

Z powrotem w samochodzie, głęboko oddycham. Wreszcie jadę do pracy. Zegar na desce rozdzielczej wskazuje 7:50. Spóźnię się. Znowu. Zaciskając zęby oraz dłonie na kierownicy, ruszam spod żłobka i jedną ręką zaczynam przerzucać rzeczy w torebce, w poszukiwaniu telefonu.

Moja torebka jest żenująco wielka. W zależności od tego gdzie i z kim jestem, pełni funkcję aktówki, kopertówki, torby na pieluchy lub plecaka. Gdziekolwiek i z kimkolwiek jestem, czuję się jak szarpa niosący ekwipunek. Kiedy grzebię w niej, szukając telefonu, wyczuwam ręką laptop, kredki, długopisy, portfel, szminkę, klucze, ciasteczka, kartonik soku, wizytownik, tampony, pieluchę, paragony, plasterki opatrunkowe, paczkę chusteczek

nawilżanych, kalkulator i notesy wypchane różnymi papierami. Nie mogę wymacać telefonu. Przewracam torbę do góry dnem, wysypuję jej zawartość na fotel pasażera i dalej szukam.

Gdzie, do cholery, się podział? Mam jakieś pięć minut, żeby go znaleźć. Jestem świadoma tego, że znacznie częściej kieruję wzrok na fotel pasażera i na podłogę niż na drogę przed sobą. Facet jadący po mojej prawej stronie pokazuje mi środkowy palec. I rozmawia przez telefon.

Wreszcie go widzę, ale tylko oczyma duszy. Na kuchennym stole. Gówno, gówno, gówno! Jestem na trasie Mass Pike, jakieś dwadzieścia minut drogi od pracy. Przez chwilę zastanawiam się, gdzie mogłabym zjechać, żeby zadzwonić z budki. Ale po chwili zadaję sobie pytanie: Czy budki telefoniczne jeszcze istnieją? Nie pamiętam, kiedy ostatnio taką widziałam. Może mogłabym się zatrzymać w drogerii sieci CVS albo w Starbucksie? Jakiś uprzejmy człowiek na pewno użyczyłby mi telefonu. *Na chwilę. Sarah, zebranie będzie trwało jeszcze godzinę. Po prostu przyjeźdź tutaj.*

Gnam jak kierowca rajdowy na trasie i próbuję sobie przypomnieć notatki, sporządzone na to zebranie, ale nie mogę się skoncentrować. Nie mogę myśleć. Dopiero kiedy wjeżdżam na wewnętrzny parking w Prudential, uświadamiam sobie, że moje myśli rywalizują z bajką Linusa.

Elmo chce się nauczyć więcej o rodzinie.

ROZDZIAŁ 3

Siedzę na prawo od środka pierwszego rzędu teatru Wang. Sprawdzam godzinę na zegarku i ponownie patrzę w górę, wyciągam szyję i w tłumie twarzy gęsto upchanych w rzędach, szukam Boba. Podchodzi do mnie jakaś niska, starsza pani. Najpierw myślę, że ta kobieta chce mi przekazać coś ważnego, ale po chwili uświadamiam sobie, że po prostu wypatrzyła wolne miejsce po mojej lewej stronie.

- To miejsce jest zajęte - mówię, kładąc na nim rękę.

- Czy ktoś tutaj siedzi? - pyta kobieta. Ma mętne, zmieszane spojrzenie.

- Ktoś będzie siedział.

- Słucham?

- KTOŚ TU BĘDZIE SIEDZIAŁ

- Nic nie zobaczę, jeśli nie będę siedziała w pierwszym rzędzie.

- Przykro mi, ale ktoś tutaj siedzi.

Nagle smutne oczy starej kobiety nabierają klarowności i stają się przenikliwe.

- Nie byłabym tego taka pewna.

Jakiś mężczyzna, dwa rzędy za nami, wstaje ze swojego miejsca i wychodzi, może idzie do toalety. Staruszka to dostrzega i zostawia mnie w spokoju.

Dotykam kołnierza mojego płaszcza z wężowej skóry. Nie chcę go zdejmować. W teatrze jest zimno, a ja pięknie w nim wyglądam. Ale nie chcę, aby ktoś ukradł miejsce Boba. Zerkam na zegarek i sprawdzam swój bilet. Siedzę dokładnie tam, gdzie powinnam. Gdzie on jest? Zdejmuję płaszcz i kładę go na miejscu Boba. Chłód wspina mi się po plecach i sięga już ramion. Pocieram gołe ręce.

Znowu szukam Boba, ale po chwili moją uwagę całkowicie pochłania przepych teatru - królewskie, aksamitne, czerwone kurtyny, ogromne kolumny, greckie i rzymskie statuy z marmuru. Spoglądam w górę. Sufit jest otwartą przestrzenią, nade mną rozpościera się oszałamiający widok nocnego nieba. Jestem jeszcze oczarowana widokiem gwiazd nad głową, kiedy czuję czyjś cień na twarzy. Spodziewam się, że zobaczę Boba, ale zamiast niego stoi Richard, mój szef. Zrzuca mój płaszcz na podłogę i siada obok.

- Dziwię się, że tu jesteś - mówi.

- Oczywiście, że jestem. Tak się cieszę na to przedstawienie.

- Sarah, ono już się skończyło. Przegapiłaś je.

Co? Odwracam się i widzę, że wszyscy ludzie już wstali i odwróceni są tyłem do sceny.

Wszyscy wychodzą.

WTOREK

Jest 15:30, a ja przed kolejnym spotkaniem mam półgodzinną przerwę, pierwszą tego dnia. Zaczynam jeść sałatkę Cezar z kurczakiem, którą na obiad zamówiła moja asystentka i oddzwaniam do biura w Seattle. Kiedy przeżuвам sałatkę, a telefon wybiera numer, zaczynam przeglądać wiadomości, które znowu zebrały się w mojej skrzynce mailowej. Odbiera dyrektor zarządzający i prosi mnie, abym wraz z nim zastanowiła się, który z naszych czterech tysięcy konsultantów będzie mógł i potrafił zająć się projektem informatycznym, startującym w przyszłym tygodniu. Rozmawiam z nim przez chwilę, w międzyczasie wystukuję na klawiaturze odpowiedzi na kilka maili z Wielkiej Brytanii, dotyczących oceny osiągnięć i jem.

Nie pamiętam, kiedy nauczyłam się prowadzić dwie kompletnie odmienne rozmowy zawodowe w tym samym czasie. Robię tak od dłuższego czasu i wiem, że nie jest to zwykła umiejętność, nawet jak na kobietę. Opanowałam także bezdźwięczne pisanie i klikanie, aby nie rozpraszać osoby na drugim końcu linii telefonicznej albo - co gorsza - nikogo nie obrazić. Szczerze mówiąc, kiedy rozmawiam przez telefon, odpowiadam tylko na te maile, przy których nie muszę za dużo kombinować, na które wystarczy tylko odpowiedzieć tak lub nie. To trochę tak, jakbym miała rozszczepioną osobowość. Sarah rozmawia przez telefon, podczas gdy jej alter ego coś pisze. Przynajmniej obie Sary pracują w jednym zespole.

Jestem zastępcą prezesa do spraw zasobów ludzkich w Berkley Consulting. Berkley zatrudnia około pięciu tysięcy osób w siedemdziesięciu biurach, rozlokowanych w czterdziestu krajach. Udzielamy porad strategicznych firmom na całym świecie, działającym w dowolnej branży - dotyczących innowacji, konkurencyjności, restrukturyzacji, kierownictwa, marki, fuzji, wzrostu i - przede wszystkim - zarabiania pieniędzy. Większość konsultantów, którzy zajmują się tego typu doradztwem, ma wyższe wykształcenie w biznesie, ale wielu z nich to naukowcy, prawnicy, inżynierowie i lekarze. Są niezwykle inteligentni, potrafią myśleć analitycznie i osiągają nieprawdopodobne wyniki w odnajdywaniu kreatywnych rozwiązań do skomplikowanych problemów.

Większość z nich to młodzi ludzie. Konsultanci z Berkley, zazwyczaj pracują tam, gdzie siedzibę ma ich klient. Konsultanci dla danego projektu, mogą posiadać biura w dowolnym miejscu na świecie, ale jeśli klientem jest firma farmaceutyczna z New Jersey, to właśnie tam przeniesie się zespół konsultingowy na czas trwania projektu. Zatem jakiś

pracownik, na przykład z Londynu, na dwanaście tygodni zaangażowany do tego przypadku ze względu na swoją wiedzę medyczną, będzie mieszkał od poniedziałku do czwartku w hotelu w Newark.

Taki styl życia mogą udźwignąć młodzi single i przez pewien czas nawet młodzi w związku, ale po kilku latach i kolejnych dzieciach, takie życie na wariackich papierach zaczyna mocno doskwierać. Stąd tak duży odsetek pracowników z wypaleniem zawodowym.

Ten biedny facet z Londynu, będzie tęsknił za żoną i dziećmi. Berkley może zwodzić go coraz większymi pieniędzmi, ale w pewnym momencie większość ludzi uznaje, że cena, jaką płacą ich rodziny nie jest warta tej pracy. Ci nieliczni, którzy przetrwają dłużej niż pięć lat, stają się dyrektorami zarządzającymi. Tacy, którzy po dziesięciu latach wciąż się trzymają, zostają partnerami i, co za tym idzie, niezwykle bogatymi ludźmi. Prawie wszyscy są mężczyznami. Rozwiedzionymi.

Ja trafiłam do Berkley z doświadczeniem w zasobach ludzkich i dyplomem z Harvardu - doskonała hybryda wiedzy i pochodzenia. Spędzam w pracy wiele godzin - siedemdziesiąt, osiemdziesiąt w tygodniu, ale nie muszę podróżować jak konsultanci-nomadzi. Wyjeżdżam do Europy raz na osiem tygodni, do Chin raz na kwartał, a do Nowego Jorku raz na dwa tygodnie lub raz w miesiącu, ale tego typu podróże są zawsze wcześniej zaplanowane i do udźwignięcia.

Moja asystentka, Jessica, puka i wchodzi do biura z kartką papieru w ręce z napisem „Kawy?”.

Przytakuję i podnoszę w górę trzy palce, co oznacza potrójne espresso, a nie trzy kawy. Jessica rozumie mój język migowy i wychodzi zrealizować zamówienie.

Jestem odpowiedzialna za rekrutację, skład zespołów wysyłanych do spraw o wysokim priorytecie, ocenę osiągnięć i rozwój zawodowy w Berkley. Berkley Consulting sprzedaje pomysły. Zatem ludzie, którzy wymyślają te pomysły, są naszymi najważniejszymi aktywami i inwestycjami. Koncept, na który dziś wpadnie jeden z naszych zespołów, z dużym prawdopodobieństwem jutro znajdzie się na pierwszej stronie New York Timesa czy Wall Street Journal. Zespoły z Berkley doradzają, a nawet tworzą najprężniejsze światowe firmy. A ja tworzę te zespoły.

Muszę znać silne i słabe strony każdego konsultanta i klienta, żeby jak najlepiej ich dopasować, by zmaksymalizować szansę na sukces. Zespoły stają przed zadaniami każdego możliwego rodzaju (e-handlem, globalizacją, zarządzaniem ryzykiem) w dowolnym typie przemysłu (motoryzacyjnym, ochrony zdrowia, energetycznym, handlu detalicznego), ale nie każdy konsultant nadaje się do obsługi każdego projektu. Żongluję wieloma piłeczkami -

drogimi, kruchymi, ciężkimi, niezastąpionymi. I kiedy już wydaje mi się, że w powietrzu znajduje się ich tyle, że więcej nie ogarnę, jeden z partnerów dorzuca mi kolejną. Podobnie jak niezwykle ambitny klaun z Cirque du Soleil, nigdy nie przyznam, że mam ich zbyt wiele. Jestem jedną z nielicznych kobiet, które doszły na ten poziom i nie mam zamiaru oglądać znaczących spojrzeń partnerów. *O, proszę. Straciła panowanie nad sobą. Doprowadziliśmy ją do ostateczności. Sprawdźmy czy Carson albo Joe mogliby się tym zająć.* Więc dorzucają mi coraz więcej obowiązków, a ja łapię je z uśmiechem na ustach, w praktyce czasem zarzynając się, żeby tylko na zewnątrz wyglądało, że łatwo mi to przychodzi. Moja praca nigdy nie jest łatwa. W rzeczywistości jest bardzo, bardzo trudna. I właśnie dlatego ją uwielbiam.

Ale nawet mając wszystkie te lata nauki i doświadczenia, moją determinację, etykę pracy i umiejętność jedzenia, pisania i rozmawiania w tym samym czasie, czasami wysiłek wkładany w pracę jest przytłaczający. Są takie dni, kiedy nie ma miejsca na żaden błąd, nie ma czasu na obiad ani na siku, nie ma ani minuty na to, aby w mój rozkład dnia wpasować coś jeszcze i wycisnąć ze mnie więcej. W te dni czuję się jak balon, rozdęty do granic możliwości, bliski wybuchu. A potem Richard dodaje jeszcze jedną sprawę do stosu pozostałych, a na niej samoprzylepną karteczkę z napisem *Musisz się tym zająć tak szybko, jak to możliwe.* Trach - powietrze uchodzi. Jessica przysłała mi zawiadomienie o nowym spotkaniu, zaplanowanym na jedyną wolną godzinę tego dnia. Trach. Czuję się przezroczysta, niekomfortowo spięta. Dzwoni Abby, żeby powiedzieć, że Linus ma wysypkę i gorączkę, a ona nie może znaleźć Tylenolu. Ostateczny trach.

Kiedy czuję, że zaraz wybuchnę, zamykam na klucz drzwi biura, siadam w fotelu, odwracam się w stronę okna z widokiem na ulicę Boylston, żeby nikt mnie nie podejrział i przez pięć minut pozwalam sobie na płacz. Nie więcej. Pięć minut cichego płaczu, żeby dać ujście napięciu, a potem znowu wkraczam do akcji. W ten sposób zwykle zbieram nowe siły. Pamiętam pierwszy raz, kiedy rozplakałam się w pracy. To był mój trzeci miesiąc tutaj. Poczulałam się słaba i było mi wstyd i jak tylko osuszyłam oczy, przysięgam sobie, że to się nigdy nie powtórzy. Byłam taka naiwna. Stres w Berkley, podobnie jak we wszystkich firmach konsultingowych tego kalibru, jest ogromny i dosięga każdego. Niektórzy popijają Martini podczas lunchu w Legal Sea Foods. Inni palą papierosy, stojąc przy drzwiach wychodzących na Huntington Avenue. Ja płaczę przez pięć minut, siedząc przy biurku. I staram się ograniczyć moje łzawe występy do dwóch w miesiącu.

Jest już piętnasta pięćdziesiąt. Skończyłam rozmowę telefoniczną i piję kawę, którą przyniosła Jessica. Potrzebowałam jej. Kofeina popędza moją ociężałą krew i wlewa kubek zimnej wody na mój ospały mózg. Mam dziesięć minut, co do których nikt nie rości sobie

praw. Jak mam je wypełnić? Otwieram kalendarz.

16:00 konferencja telefoniczna, projekt General Electric

16:15 lekcja pianina Lucy

16:30 mecz Charliego. OSTATNI.

Zawsze zapisuję zajęcia dzieci w swoim kalendarzu, więc niczym kontroler lotów wiem, gdzie kto jest o danej porze. Do tej pory nawet nie brałam pod uwagę uczestniczenia w meczu Charliego. Bob powiedział, że raczej mu się znowu nie uda, a Abby nie będzie mogła zostać i oglądać Charliego, jak już go zawiezie na boisko, ponieważ będzie musiała udać się do innej części miasta, żeby odebrać Lucy z lekcji pianina. To jego ostatni mecz w tym sezonie. Wyobrażam sobie koniec gry i wszystkie inne dzieci, zbiegające z boiska prosto w objęcia świętujących mam i tatusiów. Wyobrażam sobie zawiedzioną buzię Charliego, kiedy uświadamia sobie, że na niego nie czekają ramiona mamy ani taty. Nie mogę tego znieść.

Napędza mnie potrójne espresso oraz dwie dawki wina i współczucia. Po raz ostatni sprawdzam godzinę, następnie chwytam telefon komórkowy, teczkę General Electric, torbę i płaszcz i wychodzę z biura.

- Jessica, przekaż, że będę uczestniczyć w zebraniu o czwartej przez swoją komórkę. Nie podaję powodu mojego zachowania.

Kiedy dojeżdżam do Welmont, już od czterdziestu minut rozmawiam przez komórkę, uczestnicząc w zebraniu. Najbliżej parkingu jest boisko do bejsbolu, zaraz za nim jest plac do gry w piłkę nożną. Z samochodu widzę, że dzieci już grają. Od dłuższego czasu opowiadam moim rozmówcom, kim są nasi najlepsi eksperci w ekologii. Idąc przez boisko do bejsbolu nagle uświadamiam sobie, że nie słyszę pochrząkiwania, klikania długopisów i innych odgłosów dochodzących z sali konferencyjnej.

- Halo?

Żadnej odpowiedzi. Patrzę na telefon. Brak zasięgu. Cholera. Ciekawe od jak dawna prowadzę ten monolog?

Co prawda jestem już na boisku, ale nie ma mnie na konferencji. A powinnam być i tu, i tu. Znowu zerkam na telefon. Ciągle brak zasięgu. Nie jest dobrze.

- Cześć, przyjechałaś! - mówi Bob.

Myślę dokładnie to samo, ale w mojej głowie słowa mają całkowicie inną intonację.

- Myślałam, że nie możesz przyjechać - mówię.

- Wymknąłem się. Widziałem się z Abby, kiedy przywiozła Charliego i powiedziałem jej, że ja zabiorę go do domu.

- Nie musimy tu być oboje.

Sprawdzam telefon. Ani jednej kreski.

- Mogę skorzystać z twojej komórki?

- Tu nie ma zasięgu. Do kogo dzwonisz?

- Powinnam teraz uczestniczyć w zebraniu. Cholera, co ja tutaj robię?

Obejmuje mnie ramieniem i przytula.

- Oglądasz, jak twój syn gra w piłkę.

Ale powinnam właśnie tworzyć zespół konsultingowy dla GE. Moje ramiona zaczynają coraz bardziej zbliżać się do uszu. Bob rozpoznaje tę oznakę rosnącego we mnie stresu i delikatnie stara się je zmusić do uległości, ale nie pozwalam mu na to. Nie chcę się rozluźniać. To nie jest relaksujące.

- Możesz zostać? - pyta.

W głowie analizuję konsekwencje nieuczestniczenia w drugiej połowie konferencji z GE. Prawda jest taka, że cokolwiek przegapiłam, to już przepadło. Równie dobrze mogę więc tu zostać.

- Sprawdzę jeszcze, czy nie złapię gdzieś zasięgu.

Idę wzdłuż boiska starając się znaleźć miejsce, w którym pojawia się choć jedna kreska na moim telefonie. Nie mam szczęścia. W międzyczasie rejestruję, że piłka nożna w wykonaniu pierwszoklasistów to kpina. Tak naprawdę nie powinno się tego nazywać piłką nożną. Z tego co widzę, nikt nie stoi na pozycji. Większość dzieciaków tylko gania za piłką, od czasu do czasu kopiąc ją, co wygląda tak, jakby piłka była potężnym magnesem, który ciągnie za sobą bezbronne dzieci. Teraz zgromadziła wokół siebie jakiś tuzin dzieci, które kopią się po stopach i łydkach tylko od czasu do czasu dosięgając piłki. Nagle zostaje wykopana w nieokreślonym kierunku i znowu wszystkie za nią biegną.

Kilkoro dzieciaków wcale nie przejmuje się grą. Jedna dziewczynka ćwiczy robienie gwiazdy. Inna po prostu siedzi na boisku i obiema rękami wrywa trawę. Charlie kręci się w kółko. Kręci się dotąd, aż upada na ziemię. Wstaje, chwieje się, znowu upada, wstaje i dalej się kręci.

- Charlie, biegnij za piłką! - zachęca go Bob, stojący przy bocznej linii.

Kręci się.

Inni rodzice również kibicują swoim dzieciom.

- Dalej, Julia, biegnij!

- Podaj ją, Cameron!

- Kopnij!

Przez to szaleństwo przypadło mi ważne spotkanie. Wracam do miejsca, w którym stoi Bob.

- Udało się?

- Nie.

Zaczął padać śnieg, więc większość dzieci zupełnie zapomniała już o piłce i celu, dla którego tu się zebrali i zaczęła językami łapać płatki śniegu. Nie mogę się opanować i sprawdzam godzinę co najmniej co minutę. Ten mecz, czy jak to można nazwać, nie ma końca.

- Kiedy będzie koniec? - pytam Boba.

- Wydaje mi się, że grają przez czterdzieści pięć minut. Wracasz do domu po meczu?

- Muszę sprawdzić, co przegapiłam.

- Nie możesz tego zrobić z domu?

- Nawet tutaj nie powinnam przyjeżdżać.

- Widzimy się wieczorem?

- Jak mi się uda.

Bob i ja często nie docieramy do domu na czas kolacji z dziećmi. Ich małe brzuchy zaczynają burczeć około siedemnastej i Abby podaje im wtedy zapiekankę makaronową z serem albo nuggetsy z kurczaka. Oboje jednak staramy się być w domu o 18:30, żeby wspólnie zjeść jakiś deser. Dzieci dostają lody lub ciastka, Bob i ja zazwyczaj jemy jakieś krakersy z serem i popijamy winem, co raczej czyni z deseru przystawkę przed kolacją, którą jemy o 19:30, kiedy dzieciaki są już w łóżkach.

Sędzia, chłopak ze szkoły średniej, odgwisduje wreszcie koniec meczu. Kiedy Charlie schodzi z boiska, ciągle nie widzi, że tu jesteśmy. Jest taki śliczny, że aż mnie ściska. Jego bujne, niesforne ciemne włosy zawsze wydają się być za długie, nieważne jak często mu je obcinamy. Ma niebieskie oczy jak Bob i najdłuższe czarne rzęsy, jakie kiedykolwiek widziałam u chłopaka. Pewnego dnia dziewczyny będą szalały na punkcie tych rzęs. Zrobił się już taki duży, a jednocześnie wciąż jest małym chłopcem. Wystarczająco duży, aby odrabiać zadania domowe, mieć dwa stałe zęby i grać w piłkę nożną. Na tyle mały, aby codziennie chcieć bawić się na dworze, mieć mleczne zęby i szczerbę po jednym z nich i by bardziej przejmować się kręceniem w kółko i łapaniem płatków śniegu, niż wygrywaniem meczu.

Wreszcie nas dostrzega i uśmiecha się. Cała jego buzia rozciąga się w szerokim

uśmiechu, jak z Halloweenowej dyni. Biegnie wprost na nas. Wkładam telefon do kieszeni, żeby mogła go uściskać. Po to tu przyjechałam.

- Świetna robota, kolego - mówi Bob.

- Wygraliśmy? - pyta Charlie.

Przeegrali 10 do 3.

- Nie wydaje mi się. Dobrze się bawiłeś? - pytam.

- Tak!

- Masz ochotę na pizzę? - pyta Bob.

- Tak!

Kierujemy się w stronę parkingu.- Mamo, idziesz z nami na pizzę?

- Nie, skarbie. Muszę wracać do pracy.

- Okej, ścigamy się do samochodu. Gotowy? Do startu, start! - krzyczy Bob.

Biegną przez boisko do bejsbolu, aż się za nimi kurzy. Bob pozwala Charliemu wysunąć się na prowadzenie i odgrywa małe przedstawienie. Słyszę jak mówi: Nie wierzę w to! Prawie cię miałem! Jesteś demonem szybkości!

Uśmiecham się. Siedząc w samochodzie, sprawdzam komórkę. Trzy kreski i siedem wiadomości w skrzynce głosowej. Wzdycham, zbieram siły i wciskam przycisk Odtwarzaj. Wycofuję auto i przedzieram się powoli przez parking, udaje mi się zająć miejsce tuż za Bobem i Charliem. Wciskam klakson i macham do nich, patrząc jak skręcają w lewo, w kierunku pizzy i domu. Ja skręcam w prawo i odjeżdżam w przeciwnym kierunku.

ROZDZIAŁ 4

Spaceruję po Bostońskim Parku Publicznym, mijam pomnik Jerzego Waszyngtona na koniu, łodzie w kształcie łabędzi unoszące się po stawie, przechodzę pod ogromnymi wierzbami płaczącymi, zostawiam w tyle Lacka, Macka i pozostałe kaczątka z brązu.

Mam na sobie moje ulubione szpilki Louboutina z czarnej lakierowanej skóry, na dziesięciocentymetrowych obcasach, w stylu peep-toe. Uwielbiam dźwięk jaki wydają, kiedy idę.

Klak... Klak... Klak... Klak.... Klak... Klak.

Przecinam ulicę w kierunku drugiego parku, The Common. Jakiś wysoki mężczyzna w ciemnym garniturze, przechodzi przez drogę zaraz za mną. Idę przez Common mijając boiska do gry w bejsbol i Staw z Żabami. Mężczyzna jest wciąż za mną. Przyspieszam kroku.

Klak. Klak. Klak. Klak. Klak. Klak.

On też.

Szybko mijam bezdomnego, śpiącego na parkowej ławce, przystanek na ulicy Parkowej, jakiegoś biznesmena rozmawiającego przez komórkę, dealera narkotyków stojącego na rogu. Mężczyzna wciąż jest za mną.

Kim on jest? Czego chce? Nie odwracaj się.

Klak. Klak. Klak. Klak. Klak. Klak.

Przechodzę obok sklepików z biżuterią i budynku gdzie kiedyś mieścił się dom towarowy Filenes Basement. Przemykam pomiędzy robiącym zakupy tłumem ludzi i skręcam w lewo, wybierając kolejną boczną uliczkę. Nie ma tam ludzi ani samochodów. Ulica jest pusta, nie licząc śledzącego mnie mężczyzny, który jest coraz bliżej. Biegnę.

KLAK! KLAK! KLAK! KLAK! KLAK! KIAK!

On też zrywa się do biegu. Goni mnie.

Nie umiem go zgubić. Na budynku jakiejś instytucji finansowej, wznoszącym się przede mną, zauważam schody przeciwpożarowe. Tamtędy ucieknę! Biegnę w ich stronę i zaczynam wspinać się na górę. Słyszę zbliżające się kroki mężczyzny, nakładające się na mój stukot nóg o metalowe stopnie.

KLAK! TUP! KLAK! TUP! KLAK! TUP!

Jestem coraz wyżej. Płuca mnie palą. Nogi płoną.

Nie odwracaj się. Nie spoglądaj w dół. Biegnij. Jest tuż za tobą.

Wbiegam na samą górę. Dach jest płaski i pusty. Dobiegam na jego najdalszy koniec.

Nie mogę uciec nigdzie dalej. Moje serce tłucze się o kości w klatce piersiowej. Nie mam wyboru. Odwracam się, żeby stanąć twarzą w twarz z moim prześladowcą.

Nikogo tam nie ma. Czekam. Nikt się nie pojawia. Ostrożnie podchodzę z powrotem do schodów przeciwpożarowych.

Klak. Klak. Klak. Klak. Klak. Klak.

Nie ma ich. Obchodzę dach dookoła. Schody zniknęły. Jestem uwięziona na dachu budynku.

Siadam, aby uspokoić oddech i pomyśleć. Widzę jak samolot startuje z lotniska Logan i próbuję wymyślić inny sposób zejścia z dachu niż skok w dół.

ŚRODA

Jestem bostońskim kierowcą. Przepisy ruchu drogowego, takie jak ograniczenie prędkości i zakaz wjazdu, są dla mnie co najwyżej sugestią, a nie przepisem. Jeżdżę po jednokierunkowych, chaotycznych ulicach miasta, omijając dziury w jezdni i nerwowych, nieostrożnych pieszych, przewidując kolejne objazdy i polując na każde żółte światło, z brawurą podpartą doświadczeniem. Wszystko to na obszarze czterech przecznic. Następne światło zmienia się na zielone i po chwili wciskam klakson, ponieważ stojąca przede mną Honda na rejestracjach z New Hampshire, ani drgnie. Zachowuję się jak normalny, szanujący się bostoński kierowca.

Jazda do domu pod koniec dnia, wymaga znacznie więcej cierpliwości niż wjazd do miasta rano. A cierpliwość nigdy nie była moją zaletą. Zawsze jest tu spory ruch na drodze, ale ten wieczorny jest znacznie bardziej dotkliwy. Nie wiem dlaczego tak jest. Dzwonią na fajrant, otwierają się bramy i wszyscy wybiegamy, jak milion spanikowanych mrówek, gromadzących się na jednej z trzech znanych im tras do okruchów po ciastach - Drogi 93 dla tych, którzy mieszkają na północnym lub południowym wybrzeżu; Mass Pike dla tych, którzy, tak jak ja, rezydują na zachód od Bostonu. Inżynierowie, którzy zaplanowali i zbudowali te drogi, zapewne nie zdawali sobie sprawy, że będzie nimi jeździło tak wiele osób. A jeśli zdawali sobie sprawę, to założę się, że teraz mieszkają i pracują w Worcester,

Skokami poruszam się po Pike, ścierając klocki hamulcowe i przyrzekając, że pewnego pięknego dnia, przesiądę się do komunikacji miejskiej. Jedynym powodem, dla którego każdego dnia narażam hamulce i swoje zdrowie psychiczne jest fakt, że chcę zobaczyć dzieci, zanim położą się spać. Większość pracowników Berkley nie wychodzi przed 19.00, a część z nich zamawia kolację i zostaje w pracy jeszcze dłużej. Ja staram się wychodzić o 18.00, w

samą porę na codzienną paradę, zwaną Powrót do Domu. Moje wcześniejsze wyjścia nie uchodzą uwadze, szczególnie młodszych, nieżonatych konsultantów. Codziennie, wychodząc z biura, muszę ugryźć się w język, żeby nie wytykać im, ile godzin spędzam wieczorami, pracując poza biurem. Mam wady, ale nie jestem i nigdy nie będę obibokiem.

Wychodzę „wcześnie” ponieważ mam nadzieję przedrzeć się przez korki i dotrzeć do domu na deser, kąpiel, czytanie bajek i utulenie dzieci w łóżkach o 19.30. Każda minuta, którą spędzam w bezruchu siedząc z mojej Acurze, to minuta, która mi ubywa z czasu dla dzieci. O 18.20 jest już ciemno od ponad godziny i wydaje się później niż jest. Zaczęło padać, co jeszcze bardziej opóźnia przejazd samochodów. Pewnie spóźnię się na deser, ale w takim tempie powinnam zdążyć na kąpiel, książkę i przytulanie w łóżku.

Nagle wszyscy się zatrzymują. Jest 18.30. Czerwone światła hamowania wiją się nieprzerwanym łańcuchem, aż po sam horyzont. Zapewne zdarzył się jakiś wypadek. Stoję daleko od zjazdu, więc nie mam szansy na wyrwanie się z korka i objazd bocznymi drogami. Wyłączam narzekającego rozmówcę w publicznym radiu i nasłuchuję syreny karetki lub wozu policji. Nic nie słyszę. Jest 18.37. Auta stoją bez ruchu. Jestem spóźniona, utknęłam w korku, a moja ledwie hamowana złość wreszcie przedziera się przez tamę. *CHOLERA! Co się dzieje?*

Patrzę na faceta siedzącego obok w BMW, jakby on mógł odpowiedzieć na moje pytanie. Zauważa mnie, wzrusza ramionami i kręci głową z rezygnacją i oburzeniem. Rozmawia przez komórkę. Może i ja powinnam to zrobić. Wykorzystać mądrze czas. Wyjmuję laptop i zaczynam czytać opinie o zespołach zadaniowych.

Ale jestem zbyt pobudzona, aby być wydajna w pracy. Gdybym chciała pracować, zostałabym w biurze. Jest 18.53. Pike jest cały czas sparaliżowane. Wysłałam wiadomość do Boba o aktualnej sytuacji. 19.00. Czas na kąpiel. Ukrywam twarz w dłoniach, wdycham i wypuszczam powietrze. Mam ochotę wykrzyknąć z siebie stres, ale obawiam się, że facet z BMW pomyśli, że zwariowałam i oplotkuje mnie przez telefon. Trzymam się więc. Po prostu chcę już być w domu. Chcę postukać obcasami butów od Cole Haan i dotrzeć do domu.

Jest 19.18, kiedy dojeżdżam na ulicę Pilgrim Lane 22. Czternaście mil w siedemdziesiąt osiem minut. Zwycięzca Bostońskiego Maratonu z łatwością pokonałby mnie na tym dystansie. I tak właśnie się czuję. Pokonana. Podjeżdżam pod osłonę i wciskam przycisk otwierający drzwi garażu. Mam już wjeżdżać, kiedy uświadamiam sobie, że drzwi garażu nie otworzyły się.

Wciskam pedał hamulca. Przejechałam przez ciasne uliczki Bostonu i zakorkowaną Pike bez jednego zarysowania i prawie rozwaliłam samochód na własnym podjeździe.

Kilkakrotnie wciskam guzik i przeklinam głupie drzwi do garażu, zanim decyduję się wysiąść z samochodu. Biegnę przez kałuże i mroźny deszcz ku drzwiom wejściowym domu, kiedy do głowy przychodzi mi powiedzenie: kropla, która przepełniła czarę.

Modłę się, żeby udało mi się zdążyć chociaż na czytanie bajek i pocałunki na dobranoc.

Leżę z Lucy w łóżku i czekam aż zaśnie. Jeśli wstanę za szybko, zacznie błagać o jeszcze jedną historyjkę. Przeczytałam już bajkę o pingwinie Tackym i „Najlepszy deszczowy dzień pieska Blue”. Ja powiem „nie”, ona powie „proszę” rozciągając głoskę „o” przez kilka sekund, by podkreślić, że jest wyjątkowo grzeczna i że bardzo jej zależy na spełnieniu prośby; znowu powiem „nie” i w wyniku tej krótkiej - acz intensywnej - wymiany zdań, Lucy zupełnie się rozbudzi. Lepiej się nie ruszać dopóki głęboko nie zaśnie.

Przytulam się do jej małego ciała na łyżeczkę, dotykając jej głowy nosem. Bosko pachnie - mieszanką szamponu Johnson's Baby, truskawkową pastą do zębów Tom's of Maine i ciasteczkami Nilla Wafers. Chyba się popłaczę tego dnia, kiedy moje dzieci przestaną używać szamponu Johnson's Baby. Czym wtedy będą pachniały?

Jest taka ciepłutka, jej głęboki oddech mnie hipnotyzuje. Chciałabym móc odpłynąć w sen razem z nią, ale przede mną jeszcze mile do przebycia przed snem. Na tym polega cowieczorny trik - wyjść po tym jak się podda i przestanie walczyć ze snem, ale zanim sama dam za wygraną i zamknę oczy. Kiedy mam pewność, że już zasnęła, wychodzę spod kołdry, na paluszkach omijam wszystkie zabawki i dzieła sztuki (miny przeciwpiechotne) rozrzucone po podłodze i wymykam się z jej pogrążonego w ciemności pokoju niczym James Bond.

Bob siedzi na sofie i je płatki z mlekiem.

- Przepraszam, skarbie, już nie mogłem się powstrzymać.

Nie musi przeproszać. Ulżyło mi. Uwielbiam, kiedy nie muszę zastanawiać się nad tym, co zjemy na kolację, a jeszcze bardziej uwielbiam te dni, kiedy nie muszę niczego gotować. Cóż, powinnam dodać, że z tym gotowaniem to trochę przesadziłam. Nastawiam tylko mikrofalę. Podgrzewam już przygotowane i ugotowane posiłki. A numer do restauracji dowożącej jedzenie do domu zaprogramowany jest wśród numerów szybkiego wybierania w naszym telefonie. Ale płatki to chyba moja ulubiona potrawa. Nie chodzi o to, że nie lubię wystawnych i eleganckich posiłków w „Pisces” czy „Mistralu”, ale kolacja z Bobem na sofie w domu nie musi być nastrojowa i wykwinna. Chodzi o to, żeby zapełnić burczące brzuchy tak szybko, jak się da i zająć się czymś innym.

Przez kolejne trzy godziny siedzimy w pokoju dziennym na oddzielnych kanapach, trzymając swoje laptopy na kolanach. W telewizji leci CNN, ale tylko po to, aby coś grało w

tle, bo tylko od czasu do czasu odrywamy wzrok od monitorów. Zajmuję się głównie odpisywaniem na maile, przychodzące z biur w Chinach i Indiach. W Bostonie jest dwanaście godzin wcześniej niż w Chinach i dziesięć godzin wcześniej niż w Indiach, więc dla nich tutaj jest jeszcze wczoraj. To ciągle robi na mnie wrażenie. Jestem podróżnikiem w czasie, ubijam interesy w czwartek, chociaż tak naprawdę, kiedy siedzę tu na kanapie, jest jeszcze środa. Niezwykłe.

Bob surfuje po Internecie, szukając ofert pracy. Pracuje w obiecującej młodej firmie informatycznej z dość dużym potencjałem, jednak jej przetrwanie zależy od tego, czy zdobędą zlecenia lub rozgłos, ale - jak to bywa z początkującymi firmami w tym biznesie - perspektywy nie są najlepsze. Recesja zbiera swoje żniwo, a rosnące aż do nieba wykresy, które zaplanował Bob trzy lata temu, zaraz po podpisaniu z nimi umowy, zdają się być tylko odległą mrzonką. W tym momencie już tylko próbują nie wykrwawić się na śmierć. Właśnie udało mu się przetrwać drugą turę zwolnień, ale nie ma zamiaru przyczajać się ze wstrzymanym oddechem, kiedy nadejdzie kolejna fala. Problem leży w tym, że Bob jest wybredny, a niezbyt wiele firm rekrutuje obecnie nowych pracowników. Po jego ściągniętych ustach i pionowej zmarszczce pomiędzy brwiami widzę, że niczego nie może znaleźć.

Niepewność związana z pracą, tą obecną i przyszłą, ostatnio mocno się na nim odbija. Kiedy na nowo zaczyna swoją śpiewkę, zaczynającą się od „Co, jeśli?”

- Co, jeśli jutro stracę pracę? Co, jeśli nie uda mi się niczego znaleźć? Co, jeśli nie starczy nam pieniędzy na spłatę hipoteki?, staram się odsunąć od niego czarne myśli i zdjąć ciężar z jego barków. *Nie martw się, kochanie, wszystko będzie dobrze. Dzieciom nic się nie stanie. Wszyscy to przetrwamy.*

Ale „Co jeśli?” już zdążyło się zagnieździć w mojej głowie. A w swojej głowie jestem kapitanem drużyny saneczkarzy, zmierzających z zawrotną prędkością w otchłań kłęski. Co, jeśli rzeczywiście zostanie zwolniony i nie znajdzie innej pracy? Co, jeśli będziemy musieli sprzedać nasz dom w Welmont? Co, jeśli nie uda nam się go sprzedać na pogrążonym w kryzysie rynku? Co się stanie, jeśli nie będziemy spłacać naszych pożyczek studenckich, rat za samochody, rachunków za ogrzewanie? Co, jeśli nie będzie nas stać na mieszkanie w Welmont?

Zamykam oczy i widzę słowo „dług”, wypisane wielkimi czerwonymi literami. Spinam się, mam wrażenie, że w pokoju zabrakło powietrza, a mój laptop nagle robi się tak gorący, że aż parzy mnie w nogi. Zaczynam się pocić. Przestań o tym myśleć. Posłuchaj swoich własnych rad. *Wszystko będzie dobrze. Dzieciom nic się nie stanie. Wszyscy to przetrwamy.* Łudzająca mantra.

Postanawiam przez chwilę pooglądać telewizję, żeby przestać myśleć o klęsce. Leci reportaż Andersona Coopera o jakiejś matce z San Diego, która przypadkowo zostawiła swoje dwuletnie dziecko na tylnym siedzeniu zamkniętego samochodu i na osiem godzin poszła do pracy. Kiedy wróciła do auta po pracy, dziecko nie żyło na skutek uduszenia i wysokiej temperatury. Władze zastanawiają się nad tym, czy powinno się jej postawić zarzuty.

Co ja sobie myślałam? CNN to stolica Klęski. Łzy napływają mi do oczu, kiedy myślę o tej kobiecie i jej martwym dziecku. Wyobrażam sobie dwulatka, bezradnie starającego się wyzwolić z pasów bezpieczeństwa i fotelika samochodowego. Przewrzenie i desperacja szybko mijają na skutek wyczerpania organizmu. Czy ta matka kiedykolwiek sobie przebaczy? Myślę o mojej matce.

- Bob, mógłbyś zmienić kanał?

Przełącza na lokalną stację informacyjną. Jeden z prowadzących program wymienia wszystkie dzisiejsze wiadomości, w kolejności od złych do jeszcze gorszych - banki na skraju przepaści finansowej, rosnące bezrobocie, giełda na równi pochyłej. Państwo zwane Klęską, U.S.A.

Wstaję i wychodzę do kuchni, żeby poszukać jakiejś czekolady i nalać sobie kieliszek wina.

Oboje poddajemy się o dwudziestej trzeciej. Zanim słońce wstanie nad Bostonem, konsultanci z różnych krajów europejskich będą już popijać pierwsze tego dnia espresso i dodawać do mojej skrzynki odbiorczej kolejne wiadomości z porannymi pytaniami, wątpliwościami oraz raportami. Mniej więcej o tej porze obudzi się Linus. Dzień Świstaka zacznie się na nowo.

Dawniej sporo czasu zajmowało mi zasypianie, przewracałam się w łóżku co najmniej dwadzieścia minut aż do godziny. Zazwyczaj musiałam poczytać coś całkowicie niezwiązanego z całym dniem, na przykład jakąś powieść, żeby oderwać się i uspokoić pędzące myśli. Chrapanie Boba doprowadzało mnie do obłędu. To naprawdę cud, że udaje mu się nie obudzić, wydając te dźwięki przypominające pogwizdywanie i warkot silnika. Mówi, że chroni naszą jaskinię przed drapieżnikami. Mimo tego, że doceniam pomysłowość wytłumaczenia przyczyny chrapania, to wierzę, że jako gatunek ewoluowaliśmy już poza konieczność używania tej metody. Tak jak, dajmy za przykład, od drzwi zamykanych na rygiel. Jednak jego chrapanie a la Fred Flintstone, nie zostanie wyparte przez nowoczesną technologię. Wiele razy miałam ochotę udusić go poduszką lub nasłać na niego lwy, tygrysy i niedźwiedzie.

Ale to się skończyło. Od czasu, gdy na świecie pojawiła się Lucy, zasypiam w

przeciągu pięciu minut po położeniu głowy na poduszce. Kiedy próbuję czytać, nie udaje mi się wyjść poza stronę, od której zaczęłam. Nie pamiętam, kiedy ostatnio przeczytałam jakąś powieść. A jeśli zdarzy się, że mój sen jest na tyle płytki, że słyszę chrapanie Boba, to przewracam się na drugi bok i bez żadnych przeszkód z powrotem zapadam w sen.

Ma to jedną złą stronę - negatywnie odbija się na seksie. Wstyd mi przyznać, ale nie pamiętam, kiedy ostatnio się kochaliśmy. Lubię seks z Bobem i wciąż chcę go z nim uprawiać, ale wydaje się, że nie lubię i nie chcę tego aż tak bardzo, żeby nie spać na tyle długo, by mógł się ziścić. Wiem, że oboje jesteśmy zajęci i zmęczeni wieczorem, ale nie jestem aż tak zmęczona i zajęta, żeby nie poczytać bajek Lucy, nie pisać maili do Chin i nie przeglądać stosów rachunków. Jednak każdego wieczoru, mówię seksowi nie. I Bob też.

Pamiętam, że kiedyś kochaliśmy się wczesnym wieczorem, zanim byliśmy zbyt zmęczeni, czasami zanim wyszliśmy z domu (kiedy jeszcze gdzieś wychodziliśmy). Teraz, kiedy już nam się jakoś uda wcisnąć seks do grafiku, to zawsze kochamy się przed pójściem spać, zawsze w łóżku, co sprawia, że seks stał się czynnością wykonywaną przed spaniem, tak jak mycie czy nitkowanie zębów, aczkolwiek wykonywaną ze znacznie mniejszą regularnością.

Kiedy nie byłam mężatką, przeczytałam w Vogue, Cosmopolitan czy innym magazynie tego typu (które czytuję tylko będąc u fryzjera), że pary z wyższym wykształceniem, uprawiają seks najrzadziej ze wszystkich małżeństw. Tylko dziesięć do dwunastu razy na rok. To tylko raz w miesiącu. *Nie ma mowy, żebym i ja taka była*, myślałam. Oczywiście byłam wtedy singlem, miałam nieco ponad dwadzieścia lat, nie miałam dzieci, byłam o wiele gorzej wykształcona niż teraz i pieprzyłam się co najmniej dwa, trzy razy w tygodniu. Czytałam wyniki ankiet w tych magazynach i wydawało mi się, że są tylko fikcją, wymyślaną ku uciesze czytelniczek. A teraz chłonę każde ze słów.

Mam nadzieję, że Bob nie ma wątpliwości czy wciąż mnie pociąga. Jak na ironię, pociąga mnie bardziej teraz, niż wtedy, kiedy ze sobą chodziliśmy i kochaliśmy się bez przerwy. Kiedy przyglądam mu się, gdy karmi Linusa butelką, pociesza płaczącą Lucy, setny raz uczy Charliego wiązać sznurowadła, wtedy widzę go takiego jakim jest, nieświadomego tego, że jest obserwowany, zajętego okazywaniem im miłości. Czuję wtedy, że uwielbiam go tak bardzo, że zaraz wybuchnę.

Żałuję tych nocy, kiedy jestem tak wykończona, że zasypiam zanim powiem mu, że go kocham. I zupełnie bez sensu jestem zła na niego wtedy, gdy on zasypia zanim mi to powie. Skoro już nie mamy siły jeść normalnej kolacji, jesteśmy zbyt pochłonięci swoimi mailami i poszukiwaniem pracy, żeby wtulić się w siebie na kanapie i pooglądać film, i zbyt

wymęczeni, żeby brać pod uwagę trzyminutowy seks, to przynajmniej możemy powiedzieć sobie przed snem „kocham cię”.

Leżę sama w łóżku i czekam na Boba. Chcę mu powiedzieć, że go kocham, że nawet jeśli jutro straci pracę, to wciąż będę go kochać. Że cokolwiek nam się przydarzy, to przetrwamy to, bo się kochamy. Ale Bob zbyt długo nie wychodzi z łazienki i zasypiam, nim mam okazję mu to powiedzieć, z jakiegoś powodu smucąc się, że on o tym nie wie.

ROZDZIAŁ 5

W drodze do pralni, za sprzętem do ćwiczeń, zauważam drzwi, których nigdy wcześniej tu nie widziałam. Zatrzymuję się i gapię. Co to ma znaczyć?

- Bob, dokąd prowadzą te drzwi? - krzyczę.

Bob nie odpowiada.

Chwytam za klamkę, którą, mogłabym przysiąc, widzę po raz pierwszy i zastygam w bezruchu. Głos mojej mamy mówi:

SARAH, ZAJMIJ SIĘ SWOIMI SPRAWAMI.

Przekręcam klamkę w prawo.

Głos, jak z filmu Alfreda Hitchcocka mówi: NIE.

Ale ja muszę wiedzieć.

Otwieram drzwi. Stoję na progu pomieszczenia, w którym nigdy wcześniej nie byłam. W najdalszym rogu lew pije wodę z koszyka na homary ze stali nierdzewnej. Pomieszczenie jest większe od naszej kuchni, ale to jedyna jego cecha, którą przyswajam, ponieważ jestem zafascynowana lwem - jego umięśnionymi tylnymi łapami, ruchliwym ogonem, nieznośnym smrodem. Zakrywam nos i usta koszulką i powstrzymuję się od wymiotów.

To nie był dobry pomysł. Lew spogląda do tyłu, zauważa mnie, odwraca się przodem do mnie i ryczy. Jego śmierzący oddech opada gorącą, wilgotną falą na moją twarz. Nie mam odwagi jej wytrzeć. Z pyska kapie mu ślina, zbierając się na podłodze w spore kałuże. Patrzymy sobie w oczy. Staram się nie mrugać. Staram się nie oddychać.

Wchodzi Bob, niosąc jakieś zawiniątko wielkości Linusa, owinięte w biały pergamin. Przechodzi obok mnie, rozwija papier i rzuca na podłogę obok lwa wielki kawał krwawego, surowego mięsa. Lew zapomina o mnie i rzuca się na jedzenie.

- Bob, CO się tutaj dzieje?

- Przyniosłem obiad dla lwa.

- Skąd on się wziął?

- O co ci chodzi? Jest nasz. Kupiliśmy go razem z domem.

Zaczynam się niepewnie śmiać, sądząc, że to jest puenta dziwnego dowcipu Boba, ale przestaję, widząc, że on jest poważny.

Teraz, kiedy lew zajął się pożeraniem czegoś innego niż ja, rozglądam się po pomieszczeniu. Na ścianach są panele, betonowa podłoga pokryta jest sosnowymi wiórami, a belkowany sufit wisi dwa piętra nad nami. Na ścianie wisi oprawione zdjęcie,

przedstawiające mnie i Boba. Na ścianie naprzeciw lwa, dostrzegam jeszcze jedne drzwi. Te są małe, mają mniej więcej połowę wysokości normalnych drzwi.

Muszę wiedzieć.

Na paluszkach omijam lwa, otwieram drzwi i wpełzam do środka. Drzwi zamykają się za mną z hukiem, pogrążając mnie w całkowitej ciemności. Niczego nie widzę, ale przypuszczam, że za chwilę moje oczy przyzwyczają się do mroku, tak jak w filmach. Siedzę przy ścianie ze skrzyżowanymi nogami, mrugam i czekam, podekscytowana tym, co zaraz zobaczę.

Nie boję się.

CZWARTEK

Razem z Bobem stoję w pustej sali lekcyjnej klasy Charliego. Przyjechaliśmy na czas, trzymamy ręce w kieszeniach płaszczy i czekamy na panią Gavin. Żaden atom mojego ciała nie chce tu być. Jakkolwiek długo czy krótko potrwa to spotkanie, to i tak spóźnię się do pracy i już widzę jak do końca dnia staram się nadgonić. Wydaje mi się też, że rozkłada mnie jakieś przeziębienie, a zapomniałam zażyć DayQuil zanim wybiegłam z domu. I tak naprawdę nie chcę się dowiedzieć tego, co pani Gavin ma zamiar nam powiedzieć.

Nie ufam tej pani Gavin. Za kogo ona się uważa? A może jest okropną nauczycielką. Pamiętam z „drzwi otwartych” w szkole, że jest młoda, ma jakieś dwadzieścia parę lat. Brak jej doświadczenia. Możliwe, że za bardzo się przejmuje swoją pracą i umawia tego typu spotkania ze wszystkimi rodzicami z klasy. A może chce utemperować dzieciaki, które stawiają przed nią zbyt wielkie wyzwania. Dobry Boże, przecież Charlie potrafi być taki dociekliwy. A może ona nie lubi chłopców? Miałam kiedyś taką nauczycielkę. Pani Knight zauważała tylko podniesione rączki dziewczynek, tylko im rysowała uśmiechnięte buźki i zawsze wyrzucała któregoś z chłopców na korytarz lub do gabinetu dyrektora. Nigdy nie wyprosiła żadnej z dziewczyn.

Może problemem jest sama pani Gavin.

Rozglądam się, szukając dowodów na poparcie mojej dobrze przemyślanej tezy. Zamiast pojedynczych stolików z przymocowanym do nich na stałe krzeselkiem, które pamiętam z czasów mojej szkoły podstawowej, w tej sali widzę cztery niskie, okrągłe stoliki, przy których, jak w jadalni, stoi po pięć krzesel. Moim zdaniem, w sam raz, żeby sobie pogadać, a nie pouczyć. Ale moja długa, śliczna lista rzeczy, z którymi niedouczona i nieporadna pani Gavin sobie nie radzi, kończy się na tym jednym, naciągany argument.

Na ścianach wiszą liczne prace plastyczne. Z przodu sali wiszą dwa ogromne plakaty, podpisane „Mistrzowie czytania” i „Matematyczni Olimpijczycy”. Do każdego z nich nauczycielka przylepiła wydrukowane zdjęcia dzieciaków. Zdjęcia Charliego nie ma na żadnym z nich. W rogu sali stoi pięć jaskrawych, miękkich fotelików dla dzieci. Wywieszka przytwierdzona do regału wypełnionego książkami obwieszcza, że jest to „Kącik Książki”. W końcu pomieszczenia stoją dwa stoliki - na jednym z nich stoi klatka z chomikiem, na drugim akwarium.

Sala sprawia wrażenie dobrze zorganizowanej, wesołej i przyjaznej. Powiedziałabym, że pani Gavin uwielbia swoją pracę. I jest dobra w tym, co robi. Naprawdę nie chcę tu być. Mam właśnie zapytać Boba czy chce się stąd urwać, kiedy wchodzi nauczycielka.

- Dziękuję, że państwo przyszli. Proszę usiąść.

Siadamy z Bobem na dziecięcych krzesłkach, kilka cali nad podłogą. Pani Gavin siedzi wysoko na swoim nauczycielskim krześle, stojącym za biurkiem. Jesteśmy dziećmi, a ona jest wielkim i potężnym Czarnoksiężnikiem z Oz.

- Jak rozumiem jesteście państwo zaniepokojeni kartą oceny postępów Charliego. Chciałabym zacząć od pytania czy byliście państwo zaskoczeni jego ocenami?

- Zszokowani - mówi Bob.

- Cóż, w zeszłym roku oceny były podobne - dodaje.

Czekajcie, po której ja jestem stronie?

- Rozumiem, ale w zeszłym roku był dopiero w klasie zerowej - mówi Bob.

Pani Gavin przytakuje, ale nie dlatego, że się z nim zgadza.

- Czy zauważyli państwo u syna jakieś trudności z wykonaniem zadań domowych? - pyta.

Abby zagania go do pracy domowej po południu, a ja i Bob często ślęczymy z nim nad zadaniami jeszcze wieczorem, kiedy powinien być już w łóżku. Teoretycznie powinny zostać wykonane w przeciągu dwudziestu minut do pół godziny. Charlie walczy z nimi, męczy się, przeciąga, marudzi, płacze i nienawidzi. Nienawidzi bardziej niż brokułów. A my grozimy, przekupujemy, błagamy, wyjaśniamy, a czasami po prostu robimy je za niego. Tak, powiedziałabym, że ma pewne trudności.

Na jego obronę mam to, że ja w jego wieku nie dostawałam zadań domowych. Wydaje mi się, że dzieci, może za wyjątkiem kilku przedwcześnie rozwiniętych dziewczynek, nie są jeszcze gotowe na zadania domowe w wieku siedmiu lat. Myślę, że szkoły narzucają zbyt wielką presję na te małe dzieciaki. Z drugiej strony, trzeba przyznać, że mowa tu o jednej stronie zadań typu „mniej niż” lub „więcej niż” lub pisaniu słów takich jak pan, kot, pies, a to

przecież nie jest wyższa szkoła jazdy,

- Tak - odpowiadam,

- Taka jest prawda - mówi Bob.

- A pani co o tym sądzi? - śmiejem zapytać.

- On się stara. Ale nie potrafi wykonać żadnego z zadań na czas, przerywa mi i pozostałym dzieciom, często odpływa myślami. Co najmniej sześć razy, jeszcze przed przerwą śniadaniową, łapię go na tym, że gapi się przez okno, zamiast pracować.

- A gdzie on siedzi? - pytam.

- Tutaj.

Wskazuje na krzesło stojące najbliżej jej biurka, które tak się składa, stoi również przy oknie. Hmm, co w tym złego, że ktoś się zamyśli mając przed sobą ładny widok? A może siedzi obok dziecka, które go rozprasza swoim zachowaniem. Albo wiercipięty. Albo ładnej dziewczynki. Chyba nie powinnam brać do siebie wszystkiego, co mówi pani Gavin.

- Może spróbuje pani przesadzić go na drugą stronę sali? - pytam, pewna, że udało mi się rozwiązać ten problem.

- Tam właśnie siedział na początku roku. Muszę go mieć blisko siebie, żeby w ogóle uważał na zajęciach.

Czeka na moje kolejne błyskotliwe pomysły. Nie mam żadnych.

- Ma problemy z wykonaniem poleceń, składających się z więcej niż dwóch punktów. Na przykład, kiedy mówię dzieciom, aby podeszły do swoich szafek, wyjęły zeszyt do matematyki, przyniosły linijkę ze stołu z przyborami i wróciły z tym na swoje miejsca, Charlie podejdzie do szafki i przyniesie swoją kanapkę, albo nic nie przyniesie i będzie chodził bez celu po sali. Czy zauważyli państwo taką prawidłowość w domu?

- Nie - mówi Bob.

- Co takiego? Przecież to cały Charlie - mówię.

Patrzy na mnie tak, jakby nie wiedział o czym mówię. Czy on w ogóle słucha? Zastanawiam się, co Bob miałby wypisane w swojej karcie oceny.

- Charlie, ubierz się i załóż buty. Charlie załóż piżamę, wrzuć ubrania do kosza na pranie, umyj zęby. Tak jakbyśmy mówili do niego po grecku.

- No tak, ale on po prostu nie chce tego robić. To nie dlatego, że nie umie. Wszystkie dzieci unikają robienia tego, o co się je prosi - mówi Bob.

Kicham i przepraszam. Zatkane zatoki dają mi popalić.

- Charlie również nie radzi sobie z zadaniami wykonywanymi w zespole. Inne dzieciaki nie chcą się z nim bawić, ponieważ nie przestrzega reguł. Jest impulsywny.

Te słowa łamią moje serce.

- Czy tylko on tak się zachowuje? - pyta Bob, przekonany, że tak nie jest.

- Tak.

Bob zerka na osiemnaście pustych krzesełek i wzdycha, zakrywając twarz dłońmi.

- Co zatem pani sugeruje? - zabieram głos.

- Uważam, że Charlie nie jest w stanie sprostać funkcjonowaniu w szkole.

- Co to znaczy? - pyta Bob.

- To znaczy, że Charlie nie jest w stanie sprostać funkcjonowaniu w szkole.

- Ponieważ? - dąży Bob.

- Trudno powiedzieć.

Pani Gavin wpatruje się w nas i nic nie mówi. Wiem o co jej chodzi. Już widzę te oficjalne pisma, opieczętowane i sygnowane nazwiskami pracujących dla szkoły prawników. Nikt nie wypowiada na głos słów, o których wszyscy myślimy. Pani Gavin z powodów prawnych. Bob i ja dlatego, że chodzi o naszego małego Charliego. Moja mama świetnie sprawdza się przy tego typu rozmowach. Jej następne słowa dotyczyłyby ładnej pogody lub pięknej różowej bluzeczki pani Gavin. Jednak nie możemy znieść niewysłowionego napięcia.

- Sądzi pani, że ma zaburzenia uwagi czy coś w tym stylu?

- Nie jestem lekarzem. Nie mogę się na ten temat wypowiadać.

- Ale tak pani sądzi.

- Tego nie mogę powiedzieć.

- To co, do diabła, może pani powiedzieć? - pyta Bob.

Kładę rękę na jego ramieniu. To nie ma sensu. Bob zgrzyta zębami i wygląda na to, że za chwilę wyjdzie z sali. A ja za chwilę zacznę nią potrząsać i wrzeszczeć - „To moje dziecko! Powiedz mi, co twoim zdaniem nie jest z nim w porządku!”. Ale moje doświadczenie w prowadzeniu negocjacji bierze górę i przychodzi z odsieczą. Jeszcze raz postaw problem.

- Co możemy zrobić? - pytam.

- Proszę zrozumieć, Charlie to kochane dziecko i bardzo zdolne, ale zaczyna odstawać od innych, a dystans pomiędzy nim a resztą klasy jedynie się powiększy, jeśli nic nie zrobimy. Ale nie zrobimy kolejnego kroku, jeśli to rodzice nie wystąpią o opinię. Trzeba to zrobić na piśmie.

- O co dokładnie mamy wystąpić? - pyta Bob.

Słucham tylko jednym uchem, kiedy pani Gavin opisuje biurokratyczną ścieżkę na szczyt Programu Indywidualnego Nauczania. Edukacji specjalnej. Pamiętam, że kiedy Charlie

się urodził, sprawdzałam czy ma wszystkie dziesięć paluszków u rączek i nóg, przyglądałam się jego delikatnym, różowym usteczkom i uszkom w kształcie małych muszelek. *Jest doskonały*, myślałam, zachwycona i wdzięczna za tę doskonałość. A teraz mój wspaniały chłopczyk może mieć zaburzenia zachowania. Te dwie odrębne idee zupełnie do siebie nie pasują. Będzie naznaczony wśród dzieci. Nauczyciele od razu przypną mu łątkę. Jak pani Gavin go określiła? Impulsywny. Dzieciaki będą go przezywać i obrzucać epitetami jeszcze gorszymi niż to słowo.

Będą celowały prosto w jego głowę.

- Chcę najpierw porozmawiać z jego pediatrą, zanim zaczniemy cokolwiek działać - mówi Bob.

- To dobry pomysł - wtrąca pani Gavin.

Lekarze podają Ritalin dzieciom z zaburzeniami uwagi. To amfetamina, prawda? Będziemy narkotyzować naszego siedmioletniego syna po to, żeby nie odstawał od innych dzieci w szkole. Ta myśl sprawia, że krew odpływa mi z mózgu, jakby moje krążenie nie chciało mieć nic wspólnego z tym pomysłem, drętwieją mi palce i głowa. Pani Gavin wciąż mówi, ale dźwięk coraz słabiej do mnie dociera. Nie potrzebuję ani tego problemu, ani jego rozwiązania.

Chcę nienawidzić pani Gavin za to, co nam powiedziała. Ale w jej oczach dostrzegam szczerą i nie potrafię. Wiem, że to nie jest jej wina. I nie potrafię nienawidzić Charliego. To też nie jest jego wina. Ale odczuwam nienawiść, która rośnie we mnie potężną falą i musi znaleźć ujście, bo inaczej zacznę nienawidzić i obwiniać samą siebie. Rozglądam się po sali w poszukiwaniu obiektu nienawiści - niewinne buzie dzieci na plakacie „Mistrzowie Czytania”, namalowane serca, księżycy i tęcze, chomik biegający w kółku. Nienawiść zostaje we mnie, rozsadza mi klatkę piersiową, rozrywa płuca. Muszę stąd wyjść.

Bob dziękuje pani Gavin za rozmowę i obiecuje, że Charlie otrzyma od nas wszelką pomoc. Wstaję i podaję jej dłoń. Chyba nawet się do niej uśmiecham, tak jakby rozmowa sprawiła mi przyjemność. To niedorzeczne. A potem spuszcza wzrok na jej stopy.

W korytarzu, kiedy pani Gavin zamknęła już drzwi od swojej sali, Bob przytula mnie i pyta czy wszystko w porządku.

- Nienawidzę jej butów - mówię.

Zaskoczony moją odpowiedzią Bob postanawia o nic więcej teraz nie pytać i w ciszy idziemy w stronę sali gimnastycznej. Za chwilę kończy się program „Przed dzwonkiem” i dzieci ustawiają się w rzędzie, żeby pójść do swoich klas. Powiedzieliśmy już „cześć” i „do widzenia” Lucy, kiedy znajdujemy czekającego na przemarsz Charliego.

- Przybij piątkę - mówi Bob.

Charlie wystawia rękę.

- Pa, skarbie, do zobaczenia wieczorem. Rób to, o co prosi pani Gavin, dobrze? - proszę.

- Okej, mamó.

- Kocham cię - mówię i mocno go tulę.

Dzieci przed Charliem zaczynają iść w rzędzie jeden za drugim, wyglądając jak wielka dżdżownica wychodząca z sali gimnastycznej. Rządek przerywa się na Charliem, który jeszcze się nie ruszył.

- No, dalej, idź już chłopie - mówi Bob.

Nie zostawaj w tyle, mój doskonały chłopcze.

ROZDZIAŁ 6

Mama Rickiego, pani Sullivan, mówi nam, że basen nie jest jeszcze gotowy. Pan Sullivan musi go jeszcze opróżnić i wyczyścić. Woda jest mętna, pływają w niej gnijące liście i bardziej przypomina staw niż basen, ale nam to nie przeszkadza. Jest pierwszy dzień letnich wakacji i nie chcemy czekać na pana Sullivana.

Znajduję pomarańczowy dmuchany naramiennik i zakładam go na swój wychudzony biceps. Przeszukuję kufel pełen pływaków i dmuchanych zabawek w poszukiwaniu drugiego naramiennika, ale nie mogę go znaleźć. Podnoszę wzrok i widzę, że Nate założył go sobie na rękę i nosi niczym ochraniacz na łokieć.

- Daj to - mówię i ściągam mu go z ręki.

Zazwyczaj krzyczy kiedy nie dostaje tego, co chce, więc jestem zaskoczona, że pozwala mi na to bez oporu. Może wreszcie zaczyna mnie szanować, jak przystało na młodszego brata. Nakładam pomarańczowy naramiennik na drugie ramię, a Nate znajduje maskę i deskę do nauki pływania.

Zanurzam duży palec u nogi w wodzie, po czym odskakuję od brzegu.

- Jest LODOWATA!

- Dzieciak - mówi Ricky, wymijając mnie i wskakując z impetem do basenu.

Chciałabym zrobić to, co on, ale woda jest za zimna.

Wychodzę na podest przy basenie i siadam na plastikowym leżaku obok mamy. Mama i pani Sullivan leżą na miękkich, rozkładanych łózkach, odwróconych w kierunku słońca. Piją piwo z puszek, palą Marlboro Lights i rozmawiają mając przy tym zamknięte oczy. Paznokcie u nóg mojej mamy pomalowane są na ogniste czerwony kolor. Też chciałabym takie mieć.

Zdejmuję pomarańczowe naramienniki i odwracam moje krzesło do słońca. Pani Sullivan narzeka na tego dupka męża, a ja czuję się zażenowana, słysząc, jak mówi „dupek”, ponieważ wiem, że to przekleństwo i ja dostałabym w twarz, gdybym je powiedziała na głos. Uważam, żeby nie hałasować ani nie wiercić się, bo wiem, że mama jeszcze nie zauważyła, że się im przysłuchuję. Trochę się wstydzę, ale mam nadzieję usłyszeć więcej brzydkich słów o panu Sullivanie.

Na podeście pojawia się Ricky, szczękając zębami.

- Umieram z zimna.

- Mówiłam ci - wyrzywa mi się i w ten sposób się demaskuje.

- Ręczniki są w łazience. Idź pograj w ATARI - mówi pani Sullivan. - Ty też chcesz wejść

do domu, Saro?

Kręcę głową.

- Ona chce zostać z dziewczynami. Prawda, skarbie? - pyta mama.

Potakuję. Mama klepie mnie po nodze. Uśmiecham się i czuję się ważna.

Ricky wchodzi do domu, mama i pani Sullivan rozmawiają, a ja zamykam oczy i słucham. Ale pani Sullivan już nie wyraża się brzydko o panu Sullivanie i słuchanie zaczyna mnie nudzić. Zastanawiam się więc czy wejść do domu i pograć w Pac-Mana, ale Ricky pewnie gra w Space Invaders, poza tym chcę być jedną z dziewczyn, więc zostaję.

Wtem mama zaczyna wykrzykiwać imię Nate'a. Otwieram oczy, a ona woła Nate'a i biegnie. Wstaję, żeby zobaczyć co się dzieje. Nate unosi się na powierzchni basenu z twarzą w dół. Najpierw myślę, że to jakaś sztuczka i podziwiam go, że udało mu się nas nabrać. Ale po chwili mama jest już w basenie, a on wciąż udaje i wtedy myślę, że to wredne z jego strony, że tak ją straszy. Mama przewraca go na plecy i widzę, że Nate ma zamknięte oczy i sine usta, zaczynam się naprawdę bać, aż ściska mnie w żołądku.

Mama niesie Nate'a na trawnik i wydaje z siebie dźwięki, jakich nigdy nie słyszałam u dorosłej osoby. Robi mu usta-usta i błaga go, żeby się obudził, ale Nate tylko tam leży. Nie mogę już patrzeć na leżącego na trawie Nate'a i mamę dmuchającą mu w usta, więc zerkam na swoje stopy i widzę zostawione na podeście naramienniki.

- Obudź się, Nate - zawodzi mama.

Nie mogę na to patrzeć. Wpatruję się w moje samolubne stopy i pomarańczowe naramienniki.

- Obudź się, Nate!

- Obudź się!

- Sarah, obudź się.

PIĄTEK

- Raz, dwa, trzy!

Moje palce układają się w nożyczki. Dłoń Boba to kartka papieru.

- Wygrałam! - krzyczę.

Nigdy w to nie wygrywam. Pstrykam palcami i pływam tanecznym krokiem, który jest krzyżówką kroków Jonathana Papelbona i Elaine Benes. Bob się śmieje. Ale zadowolenie z mojej niespodziewanej wygranej szybko mija na widok stojącego w kuchni Charliego, wciąż

bez plecaka.

- Gra nie chce zapisać poziomu, do którego doszedłem.

- Charlie, a co ci kazałam zrobić? - pytam.

Tylko na mnie patrzy. Moje struny głosowe napinają się.

- Dwadzieścia minut temu powiedziałam ci, żebyś przyniósł tu swój plecak.

- Musiałem przejść do następnego poziomu.

Zgrzytam zębami. Wiem, że jeśli otworzę usta, to wybuchnę. Zacznę wrzeszczeć i go wystraszę, albo zacznę płakać i wystraszę Boba, albo wścieknę się i wyrzucę cholerną grę do śmieci, jeszcze przedwczoraj tak jak każdego rodzica wkurzało mnie to, że Charlie nie słucha i nie wykonuje najprostszycch poleceń. Teraz rośnie we mnie wielka fala strachu i frustracji, muszę bardzo się starać, żeby nie wylała ze mnie i nie potopiła nas wszystkich. W ciągu tych kilku sekund, kiedy walczę z sobą i staram się nie odzywać, widzę, że oczy Charliego stają się coraz większe i wypełniają się łzami. Strach i frustracja muszą wyciekać mi przez pory w skórze. Bob kładzie dłonie na moich ramionach.

- Zajmę się tym. Jedź już - mówi.

Sprawdzam godzinę na zegarku. Jeśli wyjdę od razu, to dojadę do pracy przed czasem, spokojna i zrównowazona. Może nawet uda mi się zadzwonić w kilka miejsc w drodze do biura. Otwieram usta i wypuszczam powietrze.

- Dzięki - mówię i ściskam dłoń, która dała mi wygrać.

Biorę torbę, całuję Boba i dzieci na do widzenia i sama wychodzę z domu. Na dworze jest chłodno i mocno pada. Nie mam kaptura ani parasolki, więc biegnę jak szalona do auta, ale zanim siadam w fotelu kierowcy, zauważam na ziemi jakąś drobną monetę. Nie mogę się powstrzymać. Zatrzymuję się, podnoszę ją i dopiero wtedy dopadam samochodu. Zmarznięta i przemoczona, uśmiecham się przekręcając kluczyk w stacyjce. Wygrałam w papier-nożyce-kamień i jeszcze znalazłam grosik.

Dzisiaj jest mój szczęśliwy dzień.

Deszcz pada nieustannie, rozpryskuje się na zaparowanej szybie samochodu szybciej niż wycieraczki są w stanie go zbierać. Włączają się przednie światła, bo czujnik bierze ciemność poranka za noc. Mnie też się wydaje, że zmierzcha. To taki dzień, kiedy człowiek najchętniej zagrzebałby się w łóżku i nigdzie nie wychodził.

Ale nie pozwalam na to, żeby zła pogoda popsowała mi humor. Nie mam dziś dzieci do rozwiezienia, mam mnóstwo czasu i - mimo padającego deszczu - droga jest przejezdna. Dojadę do pracy przed czasem, zorganizowana, zwarta i gotowa, a nie spóźniona, skonana,

poplamiona sokiem winogronowym i z głupawą melodyjką z bajki, której nie będę mogła pozbyć się z głowy przez cały dzień.

Mam zamiar trochę popracować po drodze. Nurkuję w torbie w poszukiwaniu telefonu. Chcę zadzwonić do Harvardzkiej Szkoły Biznesu. Listopad jest miesiącem, kiedy rekrutujemy najwięcej osób i rywalizujemy z innymi prodującymi firmami konsultingowymi, takimi jak McKinsey i Boston Consulting Group, żeby zgarnąć najlepszy i najbardziej błyskotliwy narybek. Nigdy nie zwabiamy tylu absolwentów, co McKinsey, ale zazwyczaj udaje nam się pokonać BCG. Po pierwszej rundzie, na którą składa się około stu pięćdziesięciu rozmów kwalifikacyjnych, wyłaniamy dziesięciu szczególnie uzdolnionych kandydatów, o których będziemy zabiegać.

Znajduję telefon i w książce kontaktów zaczynam szukać numeru na Harvard. Nie mogę go znaleźć pod literą H. Dziwne. Czyżbym zapisała go pod S - Szkoła Biznesu? Zerkam na drogę i serce przestaje mi bić. Wszędzie przed sobą widzę czerwone światła stopu, niewyraźne w deszczu i przez zamgloną szybę, nieruchome jak obraz namalowany akwarelami. Wszyscy na drodze się zatrzymali. Wszyscy oprócz mnie. Ja jadę z prędkością 110 kilometrów na godzinę.

Wciskam hamulec. Zaczynam zwalniać, ale po chwili koła wpadają w poślizg. Tracę przyczepność z drogą. Próbuję hamować pulsacyjnie. Wciąż nie wyszłam z poślizgu. Jestem coraz bliżej czerwonych świateł na obrazie.

O Boże.

Mocno skręcam w lewo. Zbyt mocno. Jestem teraz poza ostatnim pasem autostrady, obraca mną ze wschodu na zachód. Jestem pewna, że auto porusza się bardzo szybko, ale w tej chwili wydaje mi się, że obracam się w zwolnionym tempie. I ktoś wyłączył dźwięk - deszczu, wycieraczek, bicia mojego serca. Wszystko dzieje się powoli i w ciszy, jakbym była pod wodą.

Wciskam hamulec i skręcam kierownicą w drugą stronę w nadziei, że albo skoryguję obrót, albo się zatrzymam. Krajobraz wygina się w niekontrolowany sposób, samochód zaczyna koziołkować. Dachowanie również odbywa się powoli i bezdźwięcznie, a moje myśli oddzielają się i są dziwnie niewzruszone.

Wybucha poduszka powietrzna. Zauważam, że jest biała.

Widzę uwolnioną zawartość mojej torby i zawieszony w powietrzu grosik, który znalazłam. Myślę o astronautach na księżycu.

Coś dławi mnie w gardle.

Samochód będzie do kasacji.

Coś uderza mnie w głowę.

Spóźnię się do pracy.

Wtem koziółkowanie się kończy, samochód się nie porusza.

Chcę z niego wysiąść, ale nie mogę się ruszyć. Czuję nagły, potworny ból na czubku głowy. Po raz pierwszy dociera do mnie, że mogłam rozbić coś więcej niż tylko samochód.

Przepraszam, Bob.

Ciemny poranek robi się jeszcze ciemniejszy, a potem znika. Nie czuję już bólu głowy. Nic nie widzę i niczego nie czuję. Zastanawiam się czy umarłam.

Proszę, nie każ umierać.

Dochodzę do wniosku, że nie umarłam, ponieważ słyszę deszcz uderzający w dach samochodu. Żyję, ponieważ słucham deszczu, a deszcz staje się ręką Boga bębniącego palcami w dach i zastanawiającego się co teraz zrobić.

Wytężam słuch.

Nastłuchuję.

Słucham.

Ale dźwięk cichnie i nie słyszę już deszczu.

ROZDZIAŁ 7

Zamglona, rażąca jasność nad moją głową, okazuje się być wbudowaną w sufit jarzeniówką. Ktoś powtarza w kółko te same słowa. Przyglądam się blaskowi i kształtowi światła, ale po chwili zdaję sobie sprawę, że ten ktoś mówi coś do mnie.

- Sarah, czy mogłabyś głęboko odetchnąć?

Podaję, że mogę, ale kiedy to robię, gardło zaciska się na czymś twardym i krztuszę się. Jestem pewna, że przestałam oddychać, ale płuca i tak wypełniają się powietrzem. Gardło mam wysuszone na wiór. Chcę polizać usta i przełknąć ślinę, ale coś, co mam w ustach nie pozwala mi na to. Chcę zapytać: „Co się dzieje?”, ale nie mogę się połączyć co z moim oddychaniem, ustami i językiem. W oczach mam panikę.

- Nie próbuj mówić. W ustach masz rurkę, która pomaga ci oddychać.

Nad moją głową wisi lampa jarzeniowa, rurka w ustach pomaga mi oddychać, mówi do mnie jakiś kobiecy głos.

- Możesz uścisnąć moją dłoń? - pyta kobiecy głos.

Ściskam, ale nie czuję jej dłoni w swojej.

- Możesz uścisnąć moją drugą dłoń?

Nie rozumiem pytania.

- Pokaż mi dwa palce.

Prostuję palec wskazujący i środkowy.

Nożyczki.

Wygrałam. Nożyczki, deszcz, samochód. Wypadek. Pamiętam. Słyszę jakieś elektroniczne popiskiwanie i szum maszyn. Światło jarzeniowe, rurka, kobiecy głos. Jestem w szpitalu. O Boże, co mi się stało? Próbuję przypomnieć sobie, co było po wypadku, ale okropny ból wnika w sam czubek mojej głowy i nie mogę się skupić.

- Dobrze, Saro. Wystarczy na dzisiaj. Zaraz cię uśpimy, żebyś mogła wypocząć.

Czekajcie! Nożyczki, samochód, deszcz, wypadek, a co potem? Co się stało? Co mi jest?

Jarzeniowe światło na suficie świeci jeszcze jaśniej. Krawędzie światła rozplývają się. Wszystko robi się białe.

- Okej, Saro, wydechaj powietrze tak długo, jak potrafisz.

Dmucha, a pielęgniarka wyciąga ze mnie rurkę do oddychania. Czuję się tak, jakby

wyjmowała pokryty papierem ściernym wziernik, szorując nim po delikatnej tkance mojego gardła. Jej ruchy nie są ani delikatne, ani niezdecydowane. Usunięcie rurki jest procesem bezlitosnym, a ulga jaką czuję kiedy jest po wszystkim, ociera się o euforię odczuwaną po porodzie. Mam już znienawidzić tę kobietę, ale przykłada mi do ust papierowy kubeczek, wypełniony topiącym się lodem i staje się aniołem miłosierdzia.

Po chwili wkłada mi kubek do ręki.

- W porządku, Saro, możesz powoli popijać. Zaraz wrócę - mówi i zostawia mnie samą.

Sączę zimną wodę. Moje suche i popękane wargi, usta i gardło są wdzięcznymi gąbkami, niczym ziemia nasiąkająca deszczem po długim okresie suszy. Właśnie wyjęto mi rurkę intubacyjną. Potrzebowałam jej, żeby oddychać. Niedobrze. Ale już jej nie potrzebuję. Dlaczego potrzebowałam rurki intubacyjnej? Jak długo tutaj jestem? Gdzie jest Bob?

Coś dziwnego dzieje się z moją głową, ale nie wiem dokładnie o co chodzi. Po chwili dociera to do mnie w pełnym wymiarze, kolorze i przy dźwięku podkreślonym na maksa. Moja głowa parzy. Odstawiam kubek z wodą i dotykam głowy. Jestem zaskoczona tym, co wyobrażam sobie na podstawie dotyku palców. Duża część mojej głowy, mniej więcej wielkości i kształtu kromki chleba, jest ogolona, a na gołej skórze wyczuwam z tuzin metalowych zszywaczy. Gdzieś pod tymi zszywaczami mój mózg osiągnął temperaturę wulkanicznej magmy.

Biorę papierowy kubek i polewam głowę lodowatą wodą. Spodziewam się, że usłyszę jak woda wrze, ale tak nie jest. Lód nie łagodzi przeszywającego bólu, a ja zużyłam już wszystkie jego kawałki.

Czekam, wdycham i wydecham powietrze bez pomocy rurki. Nie panikuj. Pielęgniarka nie zostawiłaby cię samej, bez rurki intubacyjnej, z jednorazowym kubkiem z lodem, jeśli twój mózg miałby się roztopić. Ale może właśnie się topi. Sprawdź czy działa.

Kim jesteś? *Nazywam się Sarah Nickerson. Dobrze. Wiesz jak się nazywasz. Moim mężem jest Bob. Mam troje dzieci - Charliego, Lucy i Linusa. Jestem wiceprezesem odpowiedzialnym za zasoby ludzkie w Berkley. Mieszkamy w Welmont. Mam trzydzieści siedem lat. Dobrze. Wszystko z tobą w porządku, Saro. Dotykam zszywek i palcami poznaję kształt tysego placka. Nie goli się głowy i nie wkłada w nią metalu, jeśli nic człowiekowi nie dolega.*

Gdzie jest Bob? Ktoś powinien mu powiedzieć gdzie jestem i co mi się stało. O Boże, ktoś powinien powiedzieć w pracy gdzie jestem i co się stało. Jak długo tu jestem? Co się stało?

Wyjawszy porody, nigdy nie potrzebowałam żadnej pomocy lekarskiej, innej niż kilka

tabletek Ibuproenu czy plastrów opatrunkowych. Gapię się na światło jarzeniówki. Zupełnie mi się to nie podoba. Gdzie jest pielęgniarka? Proszę, wróć. Chyba powinien być tu przycisk, którym mogę ją wezwać? Szukam przycisku, telefonu lub głośnika, do którego mogłabym wrzasnąć. Na suficie widzę fluorescencyjne światło i brzydkie beżowe zasłony, wiszące tuż przy mnie. Nic więcej. Żadnego okna, telewizora, telefonu, niczego. Ta sala jest okropna.

Czekam. Głowę mam za gorącą. Staram się zawołać pielęgniarkę, ale moje nadwężone gardło wydaje z siebie tylko chrapliwy szept.

- Halo?

Czekam.

- Bob?

Czekam. Czekam całą wieczność, wyobrażając sobie, że mój mózg i wszystko, co kocham, ulegają stopieniu.

Znowu jarzeniowe światło. Musiałam się zdrzemnąć. Mój świat jest tym jarzeniowym światłem. Światłem i niskim, niekończącym się elektronicznym szumem i piskiem monitorującego mnie sprzętu, o którym nie mam większego pojęcia. Monitoruje mnie i podtrzymuje przy życiu? Boże, mam nadzieję, że tak nie jest. Mój świat to zebrania i terminy, emaile i lotniska, Bob i dzieci. Jak to możliwe, że mój świat został do tego zredukowany? Jak długo leżę pod tą okropną lampą?

Poruszam ręką pod leżącym na mnie prześcieradłem i dotykam nogi. O, nie. Wyczuwam co najmniej tygodniowy zarost. Mam jasne włoski na nogach, prawie w kolorze blond, ale mam ich całe mnóstwo i zazwyczaj golę je każdego dnia. Przesuwam dłonią w górę i w dół uda, jakbym głaskała skórę w zoo.

O, Boże, moja broda. Po lewej stronie mam na brodzie skupisko pięciu włosków. Są sztywne i grube, jak sierść dzika i przez kilka ostatnich lat był to mój skrywany sekret i moi nienawistni wrogowie. Wyrastają co kilka dni i muszę być bardzo czujna. Broń - pincetę Revlona i dziesięciokrotnie powiększające lustro, trzymam w domu, w mojej wielkiej torbie i w szufladzie biurka w pracy, więc teoretycznie mogę być w dowolnym miejscu i atakować, kiedy tylko jeden ze złośliwych włosków przebije się na powierzchnię. Bywałam na zebraniach z dyrektorami generalnymi, najbardziej wpływowymi ludźmi świata i ledwie mogłam się skupić na tym, co mówili, ponieważ niechcący dotknęłam brody i obsesyjnie myślałam tylko o zniszczeniu tych pięciu mikroskopijnych włosków. Nienawidzę ich i jestem przerażona tym, że ktoś mógłby je zobaczyć przede mną. Ale muszę przyznać, że mało co sprawia mi tyle satysfakcji, co wrywanie ich.

Głaszczę się po brodzie spodziewając się, że wyczuję swoją kozią bródkę, ale dotykam gładkiej skóry. Moje nogi niewiele różnią się od nóg zwierząt hodowlanych, co sugeruje, że nie goliłam ich co najmniej od tygodnia, ale na brodzie nic nie wyrosło, co z kolei każe mi myśleć, że leżę w tym łóżku nie dłużej niż dwa dni. Moje owłosienie jest bez sensu. Słyszę głosy pielęgniarek dobiegające, jak przypuszczam, z korytarza przed moją salą.

Słyszę coś jeszcze. To nie jest maszyna, która trzyma (lub nie) mnie przy życiu, nie jest to rozmowa pielęgniarek ani nie cichy szum lampy jarzeniowej. Wstrzymuję oddech i nasłuchuję. To chrapanie Boba!

Odwracam się i jest, śpi na krześle, stojącym na tle beżowej zasłony.

- Bob?

Otwiera oczy. Widzi, że na niego patrzę i siada prosto.

- Obudziłaś się - mówi.

- Co się stało?

- Miałaś wypadek samochodowy.

- Jestem zdrowa?

Patrzy na czubek mojej głowy, a potem prosto w moje oczy, specjalnie nie patrząc na czubek mojej głowy.

- Wyzdrowiejesz.

Jego mina kojarzy mi się z tym, co można wyczytać z jego twarzy, kiedy ogląda mecz Red Sox'ów. Jest już prawie koniec gry, wynik 3 do 2, zawodnicy już odpuścili, bo nie mają szans na zwycięstwo. A on chce wierzyć, że wciąż mogą wygrać, chociaż wie, że wszystko wskazuje na to, że już przegrali. Ten widok łamie mi serce.

Dotykam metalowych klamer na głowie.

- Musieli otworzyć czaszkę, żeby zmniejszyć ciśnienie. Lekarz powiedział, że dobrze to zniósłaś.

Głos mu drży, kiedy to mówi. Red Sox nie tylko przegrywają, na domiar złego grają przeciw drużynie Yankees.

- Jak długo tu jestem?

- Osiem dni. Musieli ci podawać środki uspokajające. Przespałaś większość czasu.

Osiem dni. Byłam nieprzytomna przez osiem dni. Ponownie dotykam łysiny na głowie.

- Pewnie wyglądam okropnie.

- Jesteś piękna.

Proszę cię. Już mam zacząć mu dokuczać, że stał się staroświecki, kiedy zaczyna płakać, a mnie zatyka. Odkąd go znam i kocham, od dziesięciu lat, nigdy nie widziałam, żeby

płakał. Widziałam, jak leciały mu łzy - kiedy drużyna Red Sox wygrała World Series w 2004 roku i kiedy urodziły nam się dzieci, ale nigdy jeszcze nie widziałam Boba płaczącego. Mnie płkanie przychodzi łatwej. Płacę oglądając wiadomości, zawsze, gdy ktoś śpiewa hymn narodowy, kiedy komuś zdycha pies i gdy przytłacza mnie praca oraz gdy przytłacza mnie dom. I teraz też, gdy płacze Bob.

- Przepraszam. Tak mi przykro - mówię, płacząc wraz z nim.

- Nie przepraszaj.

- Przepraszam.

Sięgam ręką i dotykam jego mokrej, wykrzywionej twarzy. Zauważam, że z całej siły próbuje powściągnąć emocje, ale jest jak wstrząśnięta butelka szampana, a jak właśnie wystrzeliłam korek. Z tym, że nikt nie świętuje.

- Nie przepraszaj. Tylko mnie nie opuszczaj, Saro.

- Spójrz na mnie - mówię, wskazując na głowę.

- Czy wyglądam jak ktoś, kto się gdzieś wybiera?

Śmieje się i wyciera nos w rękaw.

- Wyjdę z tego - mówię ze łzawą determinacją.

Przytakujemy głowami i splatamy ręce, zgadzając się z tym, o czym oboje nie mamy pojęcia.

- Dzieci wiedzą? - pytam.

- Powiedziałem im, że wyjechałaś służbowo. Przyjęły to tak, jak zwykle.

Dobrze. Cieszę się, że nie powiedział im, że jestem w szpitalu. Lepiej ich nie straszyć. Normalnie jestem z nimi w domu przez godzinę czy dwie przed szkołą i jeszcze przez chwilę, zanim pójdą spać, ale normalne jest i to, że czasami, kiedy muszę zostać dłużej w pracy, nie pojawiają się w domu wieczorem i nie widzimy się przed snem. Są także przyzwyczajone do mojego napiętego grafika podróży służbowych i akceptują to, że nie ma mnie w domu przez kilka dni. Jednak kiedy podróżuję, zazwyczaj nie ma mnie krócej niż tydzień. Zastanawiam się jak długo będę musiała tu być, żeby zaczęły się zastanawiać, gdzie naprawdę jestem.

- W pracy wiedzą?

- Tak, to od nich przyszło najwięcej kartek. Piszą, żebyś się nie martwiła i szybko wracała do zdrowia.

- Jakich kartek?

- Tych tutaj, przylepionych do ściany.

Patrząc na ścianę, ale nie widzę, żeby coś na niej wisiało. Pewnie są na ścianie za zasłoną.

- Jak długo muszę tu zostać?

- Nie wiem. Jak się czujesz? - pyta.

Głowa przestała mi płońać i, co dziwne, nie boli mnie za mocno. Jednak cała jestem obolała i czuję się tak, jak przypuszczam, czuje się bokser po walce. Bokser, który przegrał. Mam także silny skurcz w nodze. Zauważyłam, że mam na nodze jakieś urządzenie, które czasem masuje mi mięśnie, co trochę pomaga. No i nie mam siły. Wyczerpała mnie nawet ta kilkuminutowa rozmowa z Bobem.

- Szczerze?

- Tak - mówi i widzę, że próbuje uzbroić się na wypadek złych wieści.

- Umieram z głodu.

Uśmiecha się z ulgą.

- Na co masz ochotę? Wszystko, co zechcesz.

- Może zupę? - mówię, myśląc, że zupa będzie bezpiecznym posiłkiem. Nie jestem pewna czy w ogóle mogę już coś zjeść.

- Załatwione. Zaraz wracam.

Pochyla się i całuje mnie w popękane usta. Ocieram mu łzy z policzków i brody i uśmiecham się do niego. Potem znika za brzydką, beżową kotarą.

Znowu zostaję sama z lampą jarzeniową. Lampa jarzeniowa, szum i popiskiwanie urządzeń oraz beżowa zasłona. I gdzieś za zasłoną, na ścianie, śliczne kartki z życzeniami powrotu do zdrowia, które nadeszły z pracy.

ROZDZIAŁ 8

- O co chodzi, Saro? Nie chcesz jeść obiadu? - pyta pielęgniarka.

Przez chwilę wpatruję się w jeszcze jedną miseczkę rosółu z makaronem i zastanawiam się, jak mam się do niej zabrać. Zupa ładnie pachnie. Jestem pewna, że pachnie nieskończenie lepiej niż smakuje i wygląda, bo zdążyła już lekko wystygnać i stężeć. Jestem jednak bardzo głodna i chcę ją zjeść.

- Nie mam łyżki.

Pielęgniarka patrzy na moją tacę, a potem znowu na mnie.

- A może zjesz babeczkę czekoladową? - pyta.

Patrzę na tacę, którą trzymam na kolanach, a potem znowu na nią.

- Jaką babeczkę?

Nie wiadomo skąd, pielęgniarka wyczarowuje łyżkę w swojej dłoni i stawia na tacy obok miski z zupą, zapakowane w folię ciastko. Patrzę na nią tak, jakbym spodziewała się, że za chwilę wyciągnie mi ćwierćdolarówkę zza ucha.

- Nie widziałaś ich na tacy? - pyta, podając mi łyżkę.

- Nie było ich na mojej tacy.

- Ale teraz je widzisz - mówi, bardziej stwierdzając fakt niż pytając.

- Uhm.

Siorbię zupę z łyżki. Miałam rację. Ta zupa to popłuczyny. Przerzucam się na babeczkę. Czekolada jest zawsze jadalna.

- Zaraz wrócę z doktorem Kwonem - mówi pielęgniarka.

Okej. A mogłabyś wyczarować dla mnie szklankę mleka jak wrócisz?

Mężczyzna azjatyckiego pochodzenia, ubrany w biały szpitalny fartuch, stoi u stóp mojego łóżka, trzyma w ręku podkładkę na dokumenty i klika długopisem, przeglądając jakieś kartki, które - jak sędzę - są moją kartą chorobową. Na twarzy nie ma ani jednego włoska, jest wygładzony i śliczniutki. Jego buzia wygląda na osiemnaście lat. Ale domyślam się, że to doktor Kwon, a w takim wypadku lepiej by było, gdyby miał co najmniej trzydzieści lat i młody wygląd uwarunkowany genetycznie.

- Cieszę się, że się obudziłaś, Saro. Jak się czujesz?

Niepewna, zmęczona, wystraszona.

- Dobrze.

Klika długopisem i coś zapisuje. O, przeprowadza ze mną wywiad. Lepiej się skoncentruję. Cokolwiek na mnie testuje, chcę dostać ocenę celującą. Chcę wrócić do domu. Chcę wrócić do pracy.

- A jak, według pana, rokuję? - pytam.

- Dobrze. Zrobiłaś duże postępy, zważywszy na to, że przywieźli cię tutaj mocno poobijaną. Miałaś wgniecioną kość czaszki i krwawienie wewnątrzczaszkowe. Musieliśmy dostać się do środka i odsączyć krew. Wszystko usunęliśmy, ale za sprawą krwotoku i zapalenia, doznałaś pewnego urazu. Badania mózgu pokazują, że straciłaś tam małą nieruchomość. Ale miałaś szczęście, że zostałaś uderzona w prawą stronę, a nie lewą, bo wtedy prawdopodobnie byśmy sobie już nie porozmawiali.

Jego odpowiedź zaczęła się chyba od „dobrze”, ale mam problem ze znalezieniem jakichś odniesień do „dobrze” w słowach, które padły zaraz potem, nawet kiedy próbuję je sobie powtórzyć. „Uraz mózgu”. To, według mnie, brzmi jak przeciwieństwo słowa „dobrze”. Powiedział także „miałaś szczęście”. Kręci mi się w głowie.

- Czy mógłby pan poprosić mojego męża? Chciałabym, żeby też to usłyszał.

- Jestem tutaj - mówi Bob.

Odwracam się, żeby na niego spojrzeć, ale tam go nie ma. W pokoju jestem tylko ja i przystojny doktor Kwon.

- Dlaczego patrzysz na krzesło? Przecież jestem tutaj - mówi Bob.

- Bob? Nie mogę cię znaleźć.

- Proszę stanąć z mojej drugiej strony - mówi dr Kwon.

- A, tutaj jesteś! - mówię, jakbyśmy bawili się w chowanego.

Dziwne, że jeszcze przed chwilą go nie widziałam. Może na skutek wypadku pogorszył mi się wzrok. Może stanął za daleko w tyle sali. Dr Kwon podnosi zagłówek mojego łóżka, żebym mogła siedzieć wyprostowana.

- Saro, skup wzrok na moim nosie i powiedz, kiedy zobaczysz mój palec.

Trzyma palec wskazujący blisko mojego oka.

- Widzę go.

- A teraz?

- Tak.

- Teraz?

- Nie.

- A teraz widzisz?

- Nie.

- Czy ona jest ślepa? - pyta Bob.

Oczywiście nie jestem ślepa. Co to za głupie pytanie? Dr Kwon świeci lampką w moje oczy. Przyglądam się jego oczom w kolorze palonej kawy, kiedy on wpatruje się w coś w moich.

- Patrz na światełko. Dobrze. Nie, obszary jej mózgu odpowiedzialne za widzenie nie zostały naruszone, a jej oczy wydają się zupełnie zdrowe.

Wyjmuje jakąś kartkę ze swojej podkładki na dokumenty, kładzie ją na stoliku, przysuwa go bliżej mnie i podaje mi długopis. Na całej stronie rozsypane są małe i wielkie litery.

- Czy mogłabyś wziąć w kółko wszystkie litery A?

Wykonuję to zadanie.

- Jesteś pewna, że znalazłaś wszystkie? - pyta.

Sprawdzam swój test.

- Tak.

Wyjmuje kolejną kartkę.

- Narysuj pionową kreskę przez środek każdej z tych poziomych linii.

Dzielię dziewięć linii na połowę. Podnoszę głowę, gotowa rozwiązywać kolejne zadania.

- Już wszystkie? Dobrze, to odstawmy teraz ten stół. Czy możesz wyciągnąć obie ręce do przodu, wnętrzem dłoni do góry?

Wykonuję polecenie.

- Wyciągnęłaś obie ręce?

- Tak.

- Czy ona jest sparaliżowana? - pyta Bob.

Dlaczego on znowu zadaje takie bezsensowne pytanie?

Sam nie widział, że wyciągnęłam ręce? Dr Kwon opukuje moje ręce i nogi małym gumowym młoteczkiem.

- Nie, jej lewa strona jest trochę słabsza, ale z czasem, po rehabilitacji wróci do formy. Ma zespół nieuwagi stronnej. Jest to dość powszechne u pacjentów, którzy doznali uszkodzenia prawej półkuli mózgu, zazwyczaj po krwotoku lub wylewie. Jej mózg nie zwraca uwagi na nic, co znajduje się po lewej stronie. „Lewa” dla niej nie istnieje.

- Co to znaczy, że „nie istnieje”? - pyta Bob.

- Dokładnie to, co znaczy. Nie ma jej dla niej. Nie zauważy pana, jeśli pan stanie po jej lewej stronie, nie tknie jedzenia po lewej stronie talerza i być może nie będzie chciała uwierzyć, że lewa ręka należy do niej.

- To dlatego, że „lewa” dla niej nie istnieje? - pyta Bob.

- Właśnie - potwierdza dr Kwon. - To znaczy, tak.

- Czy kiedyś znowu je zauważy? - pyta Bob.

- Może tak, a może nie. U niektórych pacjentów obserwujemy zanik symptomów po pierwszych kilku tygodniach, wraz z ustąpieniem skutków krwotoku i wyleczeniem mózgu. U innych ten stan trwa i najlepsze, co można zrobić, to nauczyć się z tym żyć.

- Bez lewej strony - mówi Bob.

- Tak.

- Nie wydaje się, żeby zauważyła, że jej nie ma - mówi Bob.

- Dokładnie, tak bywa u większości pacjentów w fazie następującej po urazie. Jest nieświadoma tego, że jest nieświadoma istnienia lewej strony. Nie ma świadomości tego, że lewa strona wszystkiego gdzieś zniknęła. Według niej wszystko jest na miejscu i takie jak trzeba.

Może i jestem nieświadoma nieświadomości, ale dr Kwon i Bob wydają się nieświadomi tego, że wciąż tu jestem.

- Czy wiesz, że masz lewą rękę? - pyta mnie Bob.

- Oczywiście, że wiem, że mam lewą rękę - mówię, zażenowana tym, że zadaje mi takie nedorzeczne pytania.

Po chwili głębiej zastanawiam się nad tym śmiesznym pytaniem. Gdzie jest moja lewa ręka? Nie mam pojęcia. O Boże, gdzie jest moja lewa ręka? A co z moją lewą stopą? Ona też zginęła. Poruszam palcami prawej nogi. Staram się wysłać taki sam sygnał do mojej lewej stopy, ale mózg zwraca sygnał do nadawcy. Przepraszamy, taki adres nie istnieje.

- Bob, wiem, że mam lewą rękę, ale nie mam pojęcia, gdzie ona jest.

ROZDZIAŁ 9

Jestem w szpitalu już od dwunastu dni i kilka dni temu przeniesiono mnie z oddziału intensywnej terapii na oddział neurologiczny, gdzie zostałam świnką doświadczalną dr Kwona.

Doktor chce lepiej poznać zespół nieuwagi jednostronnej, zanim przeniosą mnie z tej paskudnej sali na oddział rehabilitacyjny. Mówi, że niewiele jeszcze wiadomo na temat tego urazu, co jest dla mnie informacją nieco dołującą. Ale może pracując ze mną, dowie się czegoś, co pomoże przyspieszyć poznanie zespołu. Możliwe, że i mnie to pomoże. Ponadto, chętnie uczestniczę w badaniach, ponieważ poznawanie mojej choroby polega na tym, że muszę odpowiadać na pytania, rozwiązywać zagadki, rysować i pisać, a nie polega na kluciu mnie igłami, pobieraniu krwi ani badaniu mózgu. Poza tym badania wypełniają mi czas, który - w innym wypadku - spędziłabym na panicznym niepokojem związanym z pracą, tęsknotą za Bobem i dziećmi czy wpatrywaniu się w jarzeniowe światło i łuszczącą się farbę na suficie. Dr Kwon i ja spędzamy razem sporo czasu.

Odpowiadając na pytania i szukając słówek w diagramach, staram się uchwycić punkt widzenia dr Kwona i fascynować się tym, co się ze mną dzieje. Próbuję nie dopuszczać do siebie beznadziei i przerażenia tym, że nigdy nie zauważam niczego, co znajduje się po lewej stronie. Dopóki dr Kwon lub jedna z moich terapeutek i pielęgniarek nie powiedzą mi, że znowu coś opuściłam, nie jestem nawet świadoma tego, że coś pominęłam. A kiedy odkrywam ogrom rzeczy, które dla mnie nie istnieją, zamiast rozpuścić się w kałuży łez i zawodzenia „*To takie okropne i niesprawiedliwe*”, zmuszam się do myślenia w sposób jak najbardziej pozytywny. Zazwyczaj mówię sobie „*Wow*”. To tak, jakby burmistrz miasta o nazwie Klęska, podawał mi klucze do bram, a ja robiłabym wszystko, żeby pozostać poza ich obrębem.

Naprawdę lubię testy polegające na rysowaniu. Przenoszę się wtedy w przeszłość o milion lat, kiedy wszędzie nosiłam ze sobą szkicownik. Ukończyłam ekonomię, ale uczęszczałam również na wiele kursów z projektowania graficznego, sztuki i historii sztuki. Staram się sobie przypomnieć, gdzie na moim zagraconym strychu mogą być schowane szkicowniki, ale nie umiem ich nigdzie umiejscowić. Może gdzieś po lewej stronie. Mam nadzieję, że ich nie wyrzuciłam.

Dr Kwon prosi żebym narysowała kwiatek, zegarek, dom, twarz.

- Świetnie ci idzie - mówi.

- Dziękuję.

- Narysowałaś całą twarz?

- Tak.

Patrę na obrazek z dumą i miłością. Narysowałam Lucy. Kiedy podziwiam jej buzię, zakrada się do mnie zwątpienie.

- A nie? - pytam.

- Nie. Ile oczu mają ludzie?

- Dwoje.

- Narysowałaś dwoje oczu?

Patrę na szkic przedstawiający Lucy.

- Tak mi się wydaje.

Pstryka długopisem i pisze. Pisze coś złego na temat mojego rysunku z Gąską Lucy. Nie ma do tego prawa. Popycham kartkę w jego kierunku.

- Niech pan narysuje jakąś twarz - mówię.

W dwie sekundy rysuje zwykłą buźkę.

- Narysował pan całą twarz? - pytam.

- Tak.

Pstrykam długopisem w jak najbardziej współczujący sposób, i podnoszę rękę wysoko do góry, udając, że w powietrzu zapisuję moją ocenę na nieistniejącej podkładce pod dokumenty.

- Co pani pisze, dr Nickerson? - pyta, udając zmartwienie.

- Cóż, czyż twarze pozbawione są uszu, brwi i włosów? Obawiam się, że doznał pan bardzo poważnego urazu, aczkolwiek fascynującego z punktu widzenia nauki, doktorze.

Śmieje się i dorysowuje język na dole linii ust.

- To prawda. Nasze mózgi normalnie nie potrzebują wszystkich informacji, żeby wyobrazić sobie całość. Podobnie jest z martwym punktem. Wszyscy mamy ślełą plamkę w miejscu, gdzie nerw optyczny wyrasta z siatkówki oka, ale normą jest, że nie zauważamy tej pustej plamy w polu widzenia, ponieważ mózg wypełnia obraz - mówi dr Kwon. - Prawdopodobnie ty też robisz coś podobnego. Polegasz tylko na prawej stronie, zakładając, że tak samo wygląda cała reszta, a twój mózg nieświadomie wypełnia pustkę. Dobrze to wypunktowałaś. To naprawdę fascynujące.

Chociaż podoba mi się uwaga dr Kwona oraz jego pochlebstwa, to wiem, że to, co ekscytuje tego kujonowatego lekarza, w świecie poza tą salą postrzegane byłoby jako straszne i dziwaczne. Chcę narysować Lucy dwoje oczu. Chcę obiema rękoma przytulić Charliego,

ucałować obie stopki Linusa i zobaczyć całego mojego Boba. No i nie dam sobie rady czytając tylko prawą stronę arkusza w Excelu. Mój mózg musi znowu zobaczyć lewą stronę, gdziekolwiek ona jest, i musi przestać pochopnie zakładać istnienie rzeczy, których nie widzę. Założenia prowadzą tylko do coraz większych kłopotów.

Dzisiaj na obiad jest kurczak z ryżem i sok jabłkowy. Kurczak jest niedosolony, ryżowi brakuje sosu sojowego, a sok jabłkowy lepiej by smakował z wódką. Ale widocznie mam wysokie ciśnienie kiwi i nie mogę spożywać ani soli ani alkoholu. Jem i wypijam każdą niedoprawioną potrawę, którą mi przynoszą. Muszę nabrać sił. Jutro przenoszą mnie do szpitala rehabilitacyjnego i z tego, co słyszałam, czeka mnie tam dużo pracy. Już nie mogę się doczekać. Chociaż bardzo lubię dr Kwona, to świnka morska chce raz i na zawsze wydostać się ze swojej klatki.

Dr Kwon zagląda do mojego pokoju jeszcze przed obchodem.

- Jak smakował obiad? - pyta.

- Dobrze.

- Korzystałaś z noża, żeby pokroić kurczaka?

- Nie, dzieliłam go widelcem.

Pstryk. Zapisuje tę fascynującą informację.

- Zjadłaś wszystko?

- Uhm.

- Najadłaś się?

Wzruszam ramionami. Nie najadłam się, ale nie chcę dokładki.

- Co byś powiedziała, gdybym ci zdradził, że na talerzu miałaś czekoladowy batonik? - pyta z uśmiechem.

Muszę przyznać, że teraz się postarał. Czekolada jest niewątpliwie dobrą przynętą. Ale nie potrzebuję aż takiej zachęty. Sama jestem wystarczająco zmotywowana. Przecież niespecjalnie nie widzę tego, co on widzi.

- Nie widzę go.

Wobec tego może uda mi się go wymacać. Przesuwam palcami po czystym białym talerzu. Niczego na nim nie ma. Nie znalazłam ani ziarenka ryżu, ani nawet kęsa czekolady.

- Spróbuj pochylić głowę w lewo.

Gapię się na talerz,

- Nie wiem jak mam to zrobić. Nie wiem jak mam zobaczyć miejsce, o którym pan mówi. Nie ma takiego miejsca, które mogłabym zobaczyć odwracając, czy pochylając głowę.

Tak, jakby pan kazał mi odwrócić się i zobaczyć, co mam na plecach. Wiem, że moje plecy istnieją, ale nie mam pojęcia jak mam je zobaczyć.

Zapisuje to, a pisząc potakuje głową.

- Rozumiem to, że talerz ma lewą stronę, ale nie jest ona częścią mojej rzeczywistości. Nie mogę spojrzeć na lewą stronę talerza, ponieważ dla mnie ona nie istnieje. Nie ma lewej strony. Wydaje mi się, że patrzę na cały talerz. Nie wiem jak mam to opisać. To strasznie dołujące.

- Chyba ci się udało.

- Ale naprawdę mam tu gdzieś czekoladowego batonika?

- Tak, takiego, którego wczoraj kupił Bob.

Lake Champlain. Najlepszego. Bez większego zastanowienia chwytam talerz i okręcam go tak, że góra naczynia znajduje się na dole. Ta dam! Batonik z nadzieniem migdałowym. Bob jest wielki.

- To było oszustwo! - mówi dr Kwon.

- Całkowicie usprawiedliwione - odpowiadam, przeżuwając rozkoszny kawałek czekolady.

- Okej, ale odpowiedz na jedno pytanie. Skąd się wziął ten batonik?

Wiem, że chce abym odpowiedziała, że z lewej strony. Ale nie ma lewej strony.

- Z nieba.

- Zastanów się, Saro. Batonik był po lewej stronie talerza, która teraz znajduje się z prawej strony, a prawa, którą przed chwilą widziałaś, więc wiesz, że istnieje, znajduje się teraz po lewej stronie.

Równie dobrze mógłby mówić do mnie o liczbie Pi, pomnożonej przez nieskończoność. Nie obchodzi mnie, co się stało z prawą stroną talerza. Zajadam się moim ulubionym batonikiem i jutro zacznę swoją rehabilitację w innym miejscu.

Od wypadku minęły dwa tygodnie. Bob spędza ze mną dużo czasu, zamiast pracować, co pewnie przełoży się na jego szanse przetrwania w firmie, gdy nadejdzie kolejna tura zwolnień. Powiedziałam mu, że nie powinien przychodzić tak często. Odpowiedział, że mam być cicho i przestać się o niego martwić.

Mój ulubiony test, poza rysowaniem, nazywa się Testem Kulek. Fizjoterapeutka, Rose, przyklepia mi do ciała bawełniane kulki i każe mi je z siebie zdejmować. Uwielbiam to, ponieważ wyobrażam sobie, że z kulkami wyglądam jak ludzik z jednej z prac plastycznych Charliego lub Lucy. Niczym bałwan, którego za kilka tygodni zapewne będą robić w szkole.

Boże, tak tęsknię za dziećmi.

Zdejmuję bawełniany „śnieg” i mówię Rose, że już skończyłam.

- Zdjęłam wszystkie?

- Nie.

- Prawie wszystkie?

- Nie.

- Zdjęłam jakieś z lewej strony?

Cokolwiek by to miało znaczyć.

- Nie.

Dziwne. Byłam przekonana, że znalazłam wszystkie. Nie czuję już żadnych kulek na sobie.

- Poczekaj chwilę - mówi Bob, który przez cały czas siedział na krześle i przypatrywał się testowi.

Wyjmuje iPhonea i mówi:

- Uśmiech, proszę.

Robi mi zdjęcie i pokazuje na wyświetlaczu w telefonie. Jestem zaskoczona. Na zdjęciu, od stóp do głów pokryta jestem bawełnianymi kulkami. Szaleństwo. To pewnie moja lewa strona. Jest tu też moja ręka i noga. Naprawdę mi ulżyło, jak zobaczyłam, że wciąż je mam. Zaczęłam już podejrzewać, że zostały amputowane i nikt nie ma odwagi, żeby mnie o tym poinformować.

Przypatruję się swojej głowie na zdjęciu. Jest nie tylko pokryta kulkami, ale także nie jest ogolona. Moje włosy, oprócz tego, że wyglądają na przetłuszczzone i pozbawione blasku, wyglądają dokładnie tak samo jak je zapamiętałam. Sięgam ręką i dotykam głowy, ale pod palcami czuję tylko łysinę i kropki podobne do pisma Brailla, które pozostały po szyciu (neurolog zdjął mi klamry kilka dni temu). Na zdjęciu mam całą głowę we włosach, ale moja ręka przesyła mi sygnał, że jestem całkiem łysa. To po prostu groteskowe.

- Mam włosy?

- Zgolili tylko te z prawej strony. Po lewej ciągle masz wszystkie włosy - mówi Rose.

Gapię się na zdjęcie i dotykam palcami skóry na głowie. Bardzo lubię swoje włosy, ale to na pewno nie wygląda ładnie.

- Trzeba zgolić resztę - mówię.

Rose patrzy na Boba, jakby czekała na kolejny głos w tej sprawie.

- Tak chyba będę lepiej wyglądać niż teraz, Bob? Co o tym sądzisz?

Nic nie mówi, ale brak odpowiedzi sugeruje, że się zgadza. Wiem, że to pytanie z

gatunku tych: *Co wolisz, kościół czy centrum handlowe?* Nie jest zwolennikiem żadnej z tych opcji.

- Możemy to zrobić od razu, zanim się rozmyślę?

- Pójdę po maszynkę do golenia - mówi Rose.

Kiedy czekamy na powrót Rose, Bob wstaje i sprawdza emaile na swoim iPhone, Nie sprawdzałam poczty, odkąd się tu znalazłam. Nie pozwoliliby mi. Zaczynam panikować, kiedy tylko o tym pomyślę. W mojej skrzynce odbiorczej musi być co najmniej z tysiąc maili, czekających na moją odpowiedź. A może Jessica przesłała je wszystkie do Richarda lub Carsona. To miałyby ręce i nogi. Jesteśmy przecież w trakcie rekrutacji, a to rozstrzygający okres w każdym roku. Muszę wrócić do pracy, aby upewnić się, że pozyskaliśmy właściwych ludzi i skierować ich tam, gdzie najlepiej pasują.

- Bob, dokąd poszedłeś?

- Jestem tu, przy oknie.

- Okej, skarbie, jak dla mnie to mógłbyś być nawet i we Francji. Mógłbyś tak stanąć, żebym cię widziała?

- Przepraszam.

Wchodzi Rose z elektryczną golarką.

- Jesteś pewna? - pyta.

- Tak.

Golarka brzęczy już od kilku sekund, kiedy zauważam, że do pokoju wchodzi moja matka. Rzuca tylko na mnie okiem i łapie powietrze, jakby zobaczyła Frankensteina. Zakrywa usta dłońmi i zaczyna gwałtownie wdychać i wydychać powietrze. Właśnie nadciąga histeria.

- Kiedy jej powiedziałeś? - pytam Boba.

- Dwa dni temu.

Jestem pod wrażeniem, że dojazd zajął jej tylko dwa dni. Nie lubi za bardzo wychodzić z domu i panikuje, kiedy musi opuścić Cape Cod. Im jest starsza, tym bardziej się to pogłębia. Nie wydaje mi się, żeby przekroczyła Most Sagamore odkąd urodziła się Lucy. Nigdy jeszcze nie widziała Linusa.

- O mój Boże, o Boże, czy ona umiera?

- Nie umieram. Tylko obcinam włosy.

Wygląda na dużo starszą, niż ją pamiętam. Przestała farbować włosy na ciemny kasztan i posiwiiała. Zaczęła nosić okulary. Obwisła jej skóra na twarzy, jakby jej surowa mina w końcu stała się zbyt ciężka i zaczęła ciągnąć całą twarz w dół.

- O mój Boże, Saro, twoja głowa. O mój Boże, o mój Boże...

- Helen, ona z tego wyjdzie - mówi Bob.

Zaczęła szlochać. Nie chcę na to patrzeć.

- Mamo, proszę - mówię. - Lepiej stań przy oknie.

ROZDZIAŁ 10

Na oddziale neurologicznym Centrum Rehabilitacji Baldwin, znajduje się czterdzieści łóżek. Wiem o tym, ponieważ tylko dwa z nich stoją w izolatkach i ubezpieczenie nie pokrywa ich wynajmu. Za prywatność trzeba płacić z własnej kieszeni.

Bob postarał się żebym dostała „jedynekę” z oknem po prawej stronie łóżka. Oboje myśleliśmy, że widok na życie toczące się na zewnątrz mojego pokoju, będzie dobre dla mojego morale. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że ta prosta prośba powinna zostać dokładniej sprecyzowana.

W ten słoneczny dzień, patrzę przez okno na więzienie. Widok za oknem to tylko cegły i stalowe kraty. Dostrzegam w tym ironię losu. Wiele wskazuje na to, że po drugiej stronie oddziału neurologii, pacjenci mają widok na Most Leonarda Zakima, który w świetle dziennym zapiera dech swoją wspaniałą architekturą, a w nocy jest ślicznie podświetlony. Oczywiście, każdy z tych pokoi to tak zwana „dwójka”. W życiu potrzebne są kompromisy. I trzeba uważać, o co się prosi. Ja jestem banalnym przypadkiem urazu mózgu.

Chętnie wykonuję wszystko, co mi tu każą. Jestem gotowa na ciężką harówkę, zadania domowe, piątki za aktywność, powrót do domu, do Boba i dzieci, powrót do pracy, powrót do normalności. Jestem zdeterminowana, żeby wyzdrowieć w stu procentach. Wszystko zawsze starałam się wykonywać na sto procent, chyba że dostawałam dodatkowy kredyt, to wtedy celowałam jeszcze wyżej. Dzięki Bogu jestem typem, który lubi rywalizację, jestem perfekcjonistką. To sprawia, że jestem przekonana, że będę najlepszym pacjentem z urazem mózgu, jaki kiedykolwiek przewinął się przez szpital Baldwin. Nie pobędę tu zbyt długo, ponieważ planuję wyzdrowieć szybciej, niż wszyscy przewidują. Zastanawiam się, jaki jest aktualny rekord.

Za każdym razem, kiedy próbuję się dowiedzieć, ile konkretnie czasu potrzeba na to, aby pacjent z zespołem nieuwagi jednostronnej całkowicie wyzdrowiał, dostaję bardzo niejasne odpowiedzi.

- Bardzo różnie - powiedział dr Kwon.
- Ale średnio ile czasu potrzeba? - zapytałam.
- Tego naprawdę nie wiemy.
- Aha. W porządku, to jaki jest przedział czasowy?
- Niektórzy zdrowieją spontanicznie, w przeciągu kilku tygodni, inni potrzebują kilku miesięcy czy pół roku stymulacji, jeszcze inni jeszcze więcej czasu.

- Od czego zatem zależy to, że niektórym się poprawia w dwa tygodnie, a innym nie?
- Nie znamy odpowiedzi na to pytanie.

Cały czas jestem zaskakiwana tym, jak mało medycyna wie na temat mojej choroby. Podejrzewam, że dlatego lekarze nazywają swoją pracę „praktyką”.

Jest 9:15 rano i oglądam Regisa¹ i jakąś kobietę. Rano zawsze w telewizji był Regis i jakaś kobieta. Nie pamiętam jej imienia. Już dawno nie oglądałam telewizji śniadaniowej. Właśnie weszła Martha, moja fizjoterapeutka i przedstawiła się. Ma blond pasemka, włosy ciasno związane w koński ogon i cztery diamentowe kolczyki, utknięte w jednym uchu. Jest zbudowana jak zawodnik rugby. Wygląda poważnie. To dobrze. Do boju, zatem.

- Kiedy, twoim zdaniem, będę mogła wrócić do pracy? - pytam, kiedy ona zapoznaje się z moją kartą.

- A czym się zajmujesz?

- Jestem zastępcą prezesa do spraw zasobów ludzkich w dużej firmie konsultingowej.

Śmieje się z zamkniętymi ustami i kręci głową.

- Skupmy się na tym, żebyś znowu zaczęła chodzić i korzystać z toalety.

- Myślisz, że dwa tygodnie starczą? - pytam.

Śmieje się i znowu kręci głową. Długo i uważnie wpatruje się w moją łysą głowę.

- Chyba nie do końca rozumiesz, co ci się przydarzyło - mówi.

Patrzę długo i uważnie na jej ucho.

- Ależ rozumiem. Doskonale rozumiem, co mi się przydarzyło. Jedyne czego nie wiem, to jak długo to będzie trwało.

- Najpierw będziesz się uczyć siadać i spróbujesz chodzić.

Na miłość boską, czy moglibyśmy robić coś poważniejszego? Moje cele są trochę bardziej zaawansowane, niż oglądanie Regisa i przechadzki do łazienki.

- W porządku, ale kiedy według ciebie będę mogła wrócić do normalności?

Bierze pilota i wyłącza telewizor, następnie obdarza mnie poważnym spojrzeniem, zanim odpowiada na pytanie. Patrzy w taki sposób jak ja na Charliego, kiedy chcę, żeby moje słowa do niego dotarły.

- Może nigdy.

Nie lubię tej baby.

Mama odkryła moją sztuczkę pod nazwą Stań z Lewej Strony i usadowiła się na krześle

¹ Regis Philbin - przez wiele lat prowadził poranny program w amerykańskiej TY.

dla odwiedzających po mojej prawej stronie, gdzie siedzi niczym nerwowa kura na swoich cennych jajach. Mimo tego, że nie mam żadnego medycznego wytłumaczenia, i tak staram się udawać, że wcale jej tutaj nie ma. Ale siedzi w samym centrum mojego pola widzenia, więc nie mogę jej całkowicie ignorować. Za każdym razem, gdy pada na nią mój wzrok, ma na stałe wygrawerowany ten sam zaniepokojony wyraz twarzy, który sprawia, że mam ochotę krzyknąć. Podejrzewam, że taką minę mają ludzie, którzy są zmuszeni do siedzenia obok mnie lub motocyklisty po wypadku ze zmasakrowaną twarzą i pourywanymi kończynami albo też obok kobiety leżącej w końcu korytarza, która doznała wylewu po porodzie i nie potrafi nawet wymówić imienia swojego nowo narodzonego dziecka. To taka zatroskana mina - połączenie odrobiny horroru ze szczyptą lęku, którą miałby każdy, kto zostałby zmuszony do siedzenia przy którymkolwiek pacjencie oddziału neurologicznego. Na pewno nie chodzi o to, że mama martwi się z mojego powodu. Nie martwiła się mną od trzydziestu lat. I chociaż ten widok mnie uwiera, to patrzę na jej minę. Nie wiem jedynie, kto ją zmusza do tego, żeby tutaj siedziała.

Wchodzi Martha i na stoliku kładzie miskę ze stali nierdzewnej.

- Helen, czy zechciałabyś usiąść po drugiej stronie łóżka? - pyta.

Moja mama zrywa się z miejsca i znika. Może osądziłam Marthę zbyt pochopnie?

- W porządku, Saro, połóż się. Dobrze. Jesteś gotowa? - pyta.

Zanim mogę wyrazić swoją zgodę na to, co będzie się tutaj odbywać, kładzie mi na twarzy swoją silną rękę i odwraca moją głowę. I znowu widzę mamę. Cholerna baba.

- Tutaj masz ściereczkę. Pocieraj nią w górę i w dół jej ręki, wycieraj dłoń i wszystkie palce.

- Mam też umyć jej drugą rękę?

- Nie, nie myjemy jej teraz. Próbujemy przypomnieć jej mózgowi, że ma lewą rękę, wykorzystując teksturę ściereczki, temperaturę wody i to, że przez cały czas patrzy na rękę. Jej głowa będzie próbowała uciekać w drugą stronę. Po prostu odwróć ją wtedy tak, jak ja to zrobiłam. Rozumiesz?

Mama potakuje.

- Dobrze - mówi Martha i pospiesznie wychodzi.

Mama wykręca wodę ze ściereczki nad miską i zaczyna wycierać mi rękę. Czuję to. Ścierka jest szorstka, a woda jest letnia. Kiedy mnie dotyka, widzę swoje przedramię, nadgarstek, dłoń. A mimo tego, chociaż czuję, że to dotyczy mnie, jest tak jakbym przyglądała się, jak mama myje rękę należącą do kogoś innego. Tak jakby materiał na mojej skórze mówił mojemu mózgowi: *Czujesz to? To jest twoje lewe ramię. Czujesz to? To jest*

twój lewy łokieć. Ale inna część mojego mózgu, wyniosła i stanowcza, która musi mieć ostatnie słowo, co chwilę wtrąca: Nie słuchaj tych głupot! Nie masz niczego lewego! Nie ma żadnej lewej strony!

- Co czujesz? - mama pyta po kilku minutach.

- Jest mi trochę zimno.

- Przepraszam, poczekaj, nie ruszaj się.

Energicznie wstaje i czmycha do łazienki. Gapię się na więzienie i marzę. Zastanawiam się czy też przynosiłaby mi wodę, gdybym się tam znalazła. Bez ostrzeżenia jej ręka dotyka mojej twarzy i odwraca mi głowę. Znowu zaczyna pocierać moją rękę. Woda jest za gorąca.

- Wiesz co - mówię - Bob nie może spóźniać się do pracy. Nie powinien cię przywozić rano.

- Sama przyjechałam.

Baldwin znajduje się w samym centrum ogromnego tornado komunikacyjnego. Jest miejscem, do którego trudno dojechać nawet jeśli jest się najdzielniejszym i najbardziej sprawdzonym bostońskim kierowcą. A do tego jeszcze godzina szczytu. I moja mama.

- Naprawdę?

- Wpisałam adres do tego komputera z mapą i robiłam to, co mówiła mi ta pani.

- Jechałaś samochodem Boba?

- Ma w nim wszystkie dziecięce foteliki.

Czuję się tak, jakby ominęło mnie coś ważnego.

- Zawiozłaś dzieci do szkoły?

- No tak, żeby Bob mógł zdążyć na czas do pracy. Zamieniliśmy się samochodami.

- Aha.

- Jestem tu po to, by wam pomóc.

Jeszcze przetrawiam fakt, że zawiozła moje dzieci do szkoły i do żłobka, a potem to, że sama przyjechała z Welmont do Bostonu podczas porannej godziny szczytu. Muszę jakoś ogarnąć te rewelacje. Staram się przypomnieć sobie, kiedy ostatnio mi w coś pomogła. Sądzę, że w 1984 podała mi szklankę mleka.

Trzyma moją lewą dłoń w swojej, nasze palce są splecione, jej ręka jest mi znajoma nawet po takim długim czasie. Mam trzy lata, moja dłoń jest trzymana przez nią, kiedy pomaga mi wejść na schody, kiedy śpiewamy „Chodzi lisek koło drogi” i kiedy wbija mi się drzazga. Jej dłonie są zawsze blisko, chętne do zabawy i do pracy. Po śmierci Nate’a najpierw trzymała mnie za rękę trochę mocniej niż zwykle. Mam siedem lat, zawsze, gdy przechodzimy przez ulicę, trzyma mnie za rękę, a także kiedy idziemy przez zatłoczony

parking i kiedy maluje mi paznokcie. Jej dłonie są godne zaufania i niosące bezpieczeństwo. Mam już osiem lat, a moje ręce nie pasują do jej żaloby, więc już ich nie trzyma. A teraz mam trzydzieści siedem lat i znowu trzyma mnie za rękę.

- Muszę iść do toalety - mówię.

- Zawołam Marthę.

- Nie trzeba. Dam sobie radę.

Od wypadku jeszcze nie wstawałam i nie korzystałam sama z toalety, więc nie wiem dlaczego nagle poczułam, że sama sobie z tym poradzę. Być może dlatego, że czuję się całkiem zwyczajnie i chce mi się siku. Nie pamiętam o tym, że mam tylko jedną połowę, że widzę tylko połowę mamy i połowę łazienki. Nie wydaje mi się, że czegoś brakuje. Aż do momentu, gdy robię pierwszy krok.

Nie jestem pewna, gdzie znajduje się moja lewa stopa w stosunku do podłogi i nie wiem czy moje kolano jest wyprostowane, czy zgięte. Potem przychodzi mi do głowy, że chyba jestem mocno rozciągnięta i po dramatycznej sekundzie decyduję się zrobić krok prawą nogą. Ale mój punkt ciężkości jest przesunięty w nieokreśloną stronę i następną rzeczą, którą pamiętam jest upadek na podłogę.

- Sarah!

- Wszystko w porządku.

W ustach czuję smak krwi. Na pewno rozbiłam sobie wargę.

- O mój Boże, nie ruszaj się. Pójdę po Marthę!

- Pomóż mi wstać.

Ale ona już wyszła.

Leżę na zimnej podłodze, próbując wyobrazić sobie, jak mogłabym się sama podnieść, liżę rozciętą wargę i myślę, że powrót do pracy może zabrać mi trochę więcej niż dwa tygodnie. Zastanawiam się, kto zamiast mnie zajmie się rekrutacją absolwentów Harvardu. Mam nadzieję, że to nie będzie Carson. Zastanawiam się też, kto zadba o sprawozdanie roczne. To ogromny projekt. Powinnam się już za niego zabierać. Pulsuje mi w ramieniu. Zastanawiam się też, dlaczego mama tak długo nie wraca.

Odkąd urodziłam Linusa, trzymanie moczu w wypełnionym pęcherzu stało się dla mnie żenująco trudne. Ku zniecierpliwieniu Boba, nie mogę już „trzymać aż dojedziemy” i w samochodzie muszę go błagać, żeby zatrzymał się przynajmniej raz, jeśli jedziemy dłużej niż godzinę. W pracy wypijam na raz pół litra kawy, co oznacza, że często spędzam ostatnie dziesięć minut godzinnego zebrania na przytupywaniu pod stołem, niczym irlandzka tancerka, i myślę głównie o tym, żeby rzucić się sprintem do łazienki dokładnie w chwili, gdy zebranie

się skończy.

Porzuciłam już mrzonki o tym, że sama wstanę i teraz sto procent mojej uwagi i energii poświęcam na to, by nie zsikać się na podłogę. Dzięki Bogu, mój pęcherz, czy też inna część mojego ciała, na której się skupiam, znajduje się gdzieś po środku mnie, a nie po mojej lewej stronie. Modlę się, żeby nie zachciało mi się kichać.

Wreszcie przybiega mama, z Marthą idącą tuż za nią. Mama jest blada i spanikowana. Martha chwytą się pod boki i patrzy na mnie z góry.

- Powiedziałyby, że to było dość impulsywne.

Na myśl przychodzi mi kilka impulsywnych odpowiedzi, które pasowałyby do sytuacji, ale ta kobieta ma się mną opiekować, a ja muszę pójść do łazienki, zanim się tu posikam, i muszę wrócić do pracy, zanim mnie z niej wyrzucą, więc przygryzam tylko zakrwawione usta.

- Powinnam była jej pomóc - mówi moja mama.

- Nie, to nie jest pani praca. To moja praca. Następnym razem, proszę zadzwonić tym przyciskiem. Ustalmy, że ja jestem terapeutką, a pani matką.

- Dobrze - mówi mama, jakby składała przysięgę.

Bądź matką. Jakby w ogóle miała pojęcie, co to znaczy. Bądź matką. Ni z tego, ni z owego te dwa słowa zaczynają mnie drażnić i uciskać moje wrażliwe miejsca. Ale przede wszystkim odwracają moją uwagę i sikam na podłogę.

ROZDZIAŁ 11

Jest bardzo wcześnie, nie było jeszcze śniadania, jeszcze nie pojawił się u mnie żaden terapeuta, w domu prawdopodobnie dzieci jeszcze się nie ubrały. A Bob jest przy mnie.

- Widzisz mnie teraz? - pyta.

Widzę więzienie, okno, krzesło dla gości, telewizor.

- Nie - odpowiadam.

- Odwróć się.

Przekręcam głowę. Widzę więzienie.

- Nie, w drugą stronę.

- Nie ma drugiej strony.

- Oczywiście, że jest. Odwróć się w lewo. Stoję z tej strony.

Zamykam oczy i wyobrażam sobie stojącego Boba. W mojej wyobraźni jest ubrany w czarny podkoszulek z długim rękawem i dżinsy, chociaż nigdy ich nie nosi do pracy. Ma założone ręce i jest nieogolony. Otwieram oczy i odwracam głowę. Widzę więzienie.

- Nie mogę.

- Możesz. To proste.

- Wcale nie.

- Nie rozumiem, dlaczego nie możesz po prostu odwrócić głowy.

- Odwróciłam.

- Ale w lewo.

- Nie ma lewej strony.

Słyszę, że wzdycha zrezygnowany.

- Kochanie, opisz mi wszystko, co tu widzisz - proszę.

- Widzę ciebie, łóżko, okno, krzesło, stolik, kwiaty, kartę choroby, zdjęcia, na których jestem ja i dzieci, łazienkę, drzwi, telewizor.

- Czy to wszystko?

- Raczej tak.

- Okej, a teraz załóżmy, że powiem ci, że wszystko, co widzisz jest tylko połową wszystkiego, co się tu znajduje? Co byś zrobił, gdybym ci powiedziała, że masz odwrócić głowę i popatrzeć na drugą połowę? Gdzie byś spojrzał?

Nic nie mówi. Czekam. Wyobrażam sobie Boba stojącego w koszulce i dżinsach i szukającego odpowiedzi.

- Nie wiem - mówi.

- No właśnie.

Ellen tańczy do muzyki The Black Eyed Peas. Ponosi ją w tańcu. Jest znacznie lepsza od Regisa i jak jej tam. Szkoda, że nie mogę wstać i potańczyć razem z nią. Wczorajsza niefortunna wycieczka do łazienki dała mi już nauczkę.

Bob pojechał do pracy ponad godzinę temu i przyjechała już moja mama. Rozsiadła się już obok mnie na „swoim” krześle. Ubrała się w lawendowy dresik z polaru i białe tenisówki New Balance. Wygląda, jakby wybierała się na przebieżkę, albo na aerobik. Wątpię, aby kiedykolwiek robiła którąś z tych rzeczy. Przyłapuję ją na tym, że patrzy na mnie, a nie na Ellen. Czuję się tak, jakbym złapała kontakt wzrokowy z przypartym do muru wróbelkiem. Spuszcza wzrok i przygląda się swoim butom, poprawia się na krześle, odwraca, żeby sprawdzić co dzieje się za oknem, znowu się wierci, obdarza mnie spłoszonym spojrzeniem, przenosi wzrok na telewizor i poprawia sobie włosy. Potrzebuje jakiegoś zajęcia.

- Mamo, przyniosłabyś mi kapelusz?

- Który?

Mam tylko jedno nakrycie głowy, oprócz zimowych czapek. Jest to wielki słomkowy kapelusz, ale nie jestem teraz na tropikalnej wyspie, ani na brzegu basenu. Posiadam też wiele bandan i szali i mogłabym wykorzystać któryś z nich do nakrycia głowy, ale nie chcę wyglądać jak pacjentka oddziału onkologicznego. Chcę wyglądać normalnie, jak ktoś, kto choćby w teorii, za dwa tygodnie będzie mógł wrócić do pracy. Nie chciałabym też straszyć dzieci.

- Mogłabyś mi jakiś kupić?

- Gdzie?

- W centrum Prudential Mail.

Mruga kilka razy. Wiem, że ma ochotę wykręcić się z tego wypadu do miasta. *Nie wiem gdzie to jest, nie wiem o jaki kapelusz ci chodzi, boję się, że ktoś zajmie moje miejsce.*

- Podaj mi dokładny adres - mówi.

- Ulica Boylston 800.

- Jesteś pewna?

- Tak, tam pracuję.

- Myślałam, że pracujesz w jakiejś firmie.

Mówi to tak, jakby przyłapała mnie na wstrętnym kłamstwie, jakbym pracowała w sklepie Gap, o co mnie od zawsze podejrzewała.

- Berkley ma siedzibę w tym centrum,

- Aha.

Szkoda, że nie mogę sama pojechać. Wybrałabym coś szykownego i gustownego w sklepie Neimana Marcusa lub w Saks Fifth Avenue, a potem tanecznym krokiem poszłabym do pracy, przywitała się z Jessicą i Richardem, dowiedziała jak przebiega proces oceny personelu, sprawdziła i poprawiła niezbyt trafne decyzje Carsona dotyczące kolejnej generacji konsultantów, a może nawet wzięłabym udział w jednym lub dwóch zebraniach, zanim bym wróciła.

- Ale za kilka minut rozpocznie się twoja terapia - mówi mama.

- A ty nie możesz jej przegapić.

- Muszę wiedzieć co robią, żebym mogła ci pomóc.

- Naprawdę potrzebuję kapelusza zanim przyjadą dzieci. Nie chcę, żeby mnie widziały w takim stanie, a mogą być korki na drodze. Jutro możesz przyglądać się terapii.

Albo pojutrze. Albo jeszcze innego dnia.

- Jesteś tego pewna? - pyta.

- Jak najbardziej.

- Ulica Boylston numer 800? - upewnia się.

- Dokładnie.

- I opowiesz mi na czym polegały ćwiczenia jak wrócę?

- Nie ma sprawy. Wszystko opowiem.

A przynajmniej opowiem ci połowę wszystkiego.

Mama zapisuje adres na paragonie, który znajduje w portfelu, a ja jeszcze dwa razy zapewniam ją, że adres jest właściwy. Dopiero wtedy wychodzi. Odprężam się i wracam do oglądania Ellen, Uśmiecha się i rozmawia z jakimś Jimem. Facet brzmi jak Jim Carrey. Po kilku minutach dociera do mnie, że powinnam móc zobaczyć Jima Carreya. Ale nie widzę. Staram się. Wciąż nie widzę. Widzę tylko Ellen. A jeśli już nigdy nie zobaczę z kim rozmawia Ellen z telewizji śniadaniowej? A jeśli rehabilitacja nic mi nie pomoże? A jeśli to nigdy nie minie? A jeśli już nigdy nie wrócę do pracy? Nie da się tak żyć.

Odechciewa mi się oglądania telewizji. Wyglądam przez okno. Jest ładny, słoneczny dzień i w szybie wyraźnie odbija się moja paskudna łysa głowa. Nie chcę patrzeć na siebie, ale mam do wyboru albo Ellen, albo paskudną łysinę, albo więzienie. Gość Ellen, ktokolwiek nim jest, mówi coś, po czym prezenterka pęka ze śmiechu. Ellen się śmieje, a ja zamykam oczy i płaczę.

- Dzień dobry, Saro.

Nikt nie siedzi na krześle. Telewizor jest wyłączony. Głos brzmi znajomo, ale nie potrafię go umiejscowić.

- Słucham? - mówię.

- Jestem tutaj.

Odwracam głowę. Widzę więzienie.

- W porządku, popracujemy nad tym - mówi kobiecy głos.

Kobieta materializuje się na krześle mojej mamy i jest nią Heidi, mama Bena. To nieco dziwne. Nie spodziewałabym się, że znajdzie czas, aby mnie odwiedzić. Może chce mi coś przekazać o Charliem i szkole. Boże, mam nadzieję, że to nic złego.

- Mam nadzieję, że nie masz mnie dosyć, widując mnie w szkole? - pyta z uśmiechem.

Uśmiecham się w odpowiedzi, ale nie do końca rozumiem z czego się śmiejemy.

- Heidi, dziękuję ci serdecznie, że zechciałaś mnie odwiedzić.

- Nie masz za co dziękować. Robię to, za co mi płacą. Ty jesteś pacjentką z godziny jedenastej.

Co?

- Jestem twoim TZ.

Co takiego?

- Twoim terapeutą zajęciowym. To moja praca.

- Aha!

Strój szpitalny, fioletowe buty Crocs, identyfikator ze zdjęciem, przypięty do smyczy wiszącej na jej szyi. Zawsze zakładałam, że jest jakąś pielęgniarką, ale nigdy nie zapytałam czym się zajmuje ani gdzie pracuje.

- Jak się masz? - pyta.

- Dobrze.

Uważnie na mnie patrzy i czeka, jakbym była zbuntowaną nastolatką, zapierającą się że narkotyki nie należą do mnie. Doznałam traumatycznego urazu mózgu, mam ogoloną głowę, nie mogę chodzić, bo nie mam pojęcia gdzie jest moja lewa noga, a ona przyszła, bo jest moim terapeutą zajęciowym, a ja jestem jej pacjentką z jedenastej. „Dobrze” jest odpowiedzią, której daleko do prawdy.

- Właściwie, to nie za dobrze. Nie chcę tu być. Nie chcę mieć tego urazu. Chcę tylko wrócić do domu.

- Hej, ja też nie chcę żebyś tu była. Mimo tego, że cieszę się, że mogę pomóc ci wrócić do zdrowia, to wolałabym pracować z tobą w swoim salonie, z butelką wina na podorędziu.

Uśmiecham się, doceniając uprzejmość Heidi, ale tylko przelotnie, ponieważ aktualnie zastanawiam się nad tym, jak bardzo jest ze mną źle.

- W pracy mam ogromne zaległości, przegapiłam wiele ważnych terminów. Muszę wrócić do swoich obowiązków. Poza tym, dzieci. Charlie ma problemy w szkole, tęsknię za przytulaniem Lucy przed snem i za Linusem. Naprawdę muszę wrócić do domu.

Głos zaczął mi się łamać, kiedy wypowiedziałam na głos imię Lucy, a kiedy doszłam do Linusa, całkowicie się rozkleiłam. Łzy płyną mi po twarzy i nawet nie próbuję ich ukryć. Heidi podaje mi chusteczkę.

- Chcę żyć tak, jak przedtem.

- Będiesz. Musisz myśleć pozytywnie. Wczoraj widziałam Charliego i Lucy przed szkołą, wszystko u nich w porządku. Byli już tutaj?

- Dziś przyjadą po raz pierwszy.

Od wypadku minęło dwa i pół tygodnia, Bob powiedział, że Charlie i Lucy zaczęli pytać „Kiedy mamusia wróci z pracy?”. Chciałabym to wiedzieć. Chciałabym też, żeby nie musieli mnie oglądać w takim stanie, łysej i niepełnosprawnej w szpitalu rehabilitacyjnym. Ale nie mogę już dłużej czekać na spotkanie z nimi.

- To dobrze. Poznałam też twoją mamę. Jest taka kochana. Pytała mnie dokąd mogłaby pojechać po kapelusz dla ciebie.

No jasne.

- I co jej doradziłaś?

- Wysłałam ją do Prudential.

- Pytała cię o adres?

- Tak, na pewno trafi.

To dopiero.

- Zatem zaczniemy od nauki zwracania uwagi na lewą stronę. Gotowa do pracy?

- Jasne.

Oddycham głęboko.

- Powiedz mi, która jest godzina - mówi.

- Jedenasta.

- Skąd wiesz?

- Bo powiedziałaś, że jestem twoją pacjentką z jedenastej.

Śmieje się.

- Muszę się mieć na baczności przy tobie. Właściwie dzisiaj mam małe spóźnienie. Powiedz mi o ile się spóźniłam.

- Nie widzę tu zegara.
- Cóż, na ręce masz śliczny zegarek.
- No tak.

Mój zegarek od Cartiera. Platynowy, koperta wysadzana okrągłymi diamentami, z rzymskimi cyframi na cyferblacie.

- Która jest teraz godzina?
- Nie mogę go znaleźć.
- Czujesz go na nadgarstku?
- Nie.
- Jak go założyłaś?
- Mama to zrobiła.
- W porządku, poszukajmy twojego zegarka.

Wstaje i wydaje mi się, że wychodzi z pokoju, ale nie słyszę otwierania i zamykania drzwi. Czekam aż coś powie. Nic nie mówi.

- Pachniesz kawą - mówię.
- Dobrze, że wiesz, że wciąż tu jestem.
- Zabiłabym za kawę.
- W holu jest Dunkin' Donuts. Powiesz mi która jest godzina, a ja pójde kupić ci kawę.

Ponownie wdycham jej kawowy zapach, serce zaczyna mi bić trochę szybciej z podniecenia, jakie wywołuje myśl o ciężarze dużego styropianowego kubka, grzejącego mi rękę i wypełnionego po samą krawędź boskim wanilinowym latte. Gdzie, do diabła, znajduje się mój zegarek?

- Siedzę po twojej lewej stronie. Widzisz mnie?
- Nie.
- Kieruj się moim głosem. Dalej, dalej, za telewizorem.
- Nie umiem.

Za telewizorem niczego nie ma.

- Mniem, ta kawa była taaaka smaczna - mówi, drażniąc mnie swoim oddechem.

Aromat kawy bijący od Heidi staram się wyobrazić sobie, jako widoczne pasmo pary. Jestem jak rysunkowa mysz, węsząca w poszukiwaniu wielkiego kawałka szwajcarskiego sera.

- Nie umiem.
- Umiesz. Kieruj się za głosem. No dalej, popatrz w lewo.
- Wydaje mi się, że widzę wszystko, co jest do zobaczenia w tym pokoju. Ale wiem, że

tu jesteś, więc nie mam racji, ale tak właśnie to odczuwam.

To, co sobie uświadamiam i to, co do mnie dociera, stoi w sprzeczności i walczy ze sobą w mojej głowie, walczy na śmierć i życie, przyprawiając mnie o potworny ból głowy. Albo po prostu potrzebuję ogromnego kubka kawy.

- Okej, spróbujmy zatem małej stymulacji. Czujesz to?

- Tak.

- Jakie to uczucie?

- Klepanie.

- Dobrze. Co klepię?

- Wierzch mojej ręki.

- Wierzch której ręki?

Patrzę na swoją prawą rękę.

- Lewej?

- Dobrze. Teraz spróbuj spojrzeć w to miejsce, gdzie cię dotykam.

Patrzę w dół. Mój brzuch krępująco rozlewa się na udach. Miałam nadzieję, że skoro wszystko wskazuje na to, że jem połowę porcji z talerza, to może udało mi się zrzucić kilka kilogramów, od czasu gdy się tu znalazłam. Wygląda na to, że nie schudłam na tej najdziwniejszej w świecie diecie.

- Saro, jesteś tu? Patrz tam, gdzie cię klepię.

- Już tego nie czuję.

- Okej, to zmiana miejsca. Teraz czujesz?

Widzę, że coś porusza się po krawędzi pokoju, ale jest zbyt rozmazane i nietrwałe, żebym mogła rozpoznać, co to jest. Nagle udaje mi się skupić na tym wzrok.

- Widzę twoją rękę!

- Popatrz jeszcze raz.

- Widzę, że twoja ręka porusza się w dół i w górę.

- Zauważyłaś jakieś szczegóły?

Szczegóły na ręce. Zobaczmy. Samo znalezienie i rozpoznanie jej było bardzo trudne, a ona chce jakichś szczegółów. Skupiam się z całych sił, żeby nie stracić jej ręki z pola widzenia, staram się utrzymać pełną koncentrację na peryferiach widzenia, aż mam wrażenie, że porwałam się na patrzenie na coś, co znajduje się za moją głową. Mam już się poddać, kiedy zauważam na ręce pierścienek z diamentem o szlifie szmaragdowym i zegarek od Cartiera.

- O Boże, to moja ręka!

- Świetnie, Saro.

- Widzę swoją lewą rękę.

Ekscytuję się jak Lucy, która obwieszcza wszem i wobec, że sama zasznurowała buty.

- Dobrze. Zatem którą godzinę wskazuje twój zegarek?

Tak, tak! Mój cel. Jestem tak blisko zdobycia kawy, że już czuję jej smak. Odczytaj godzinę. Ale kiedy gratulowałam sobie sukcesu w dostrzeganiu lewej ręki i napawałam się moją zbliżającą się nagrodą, stało się coś strasznego. Moja lewa ręka zniknęła. Próbuję zrobić to samo, co przedtem, żeby znowu ją zobaczyć, ale przecież nie mam żadnej sprawdzonej metody na jej znalezienie i wydaje mi się, że nie dam rady tego powtórzyć. Pojawiła się przed moimi oczami w sposób magiczny. A potem zniknęła.

- Zgubiłam rękę.

- Nie, nie, jest dobrze. Zdarza się. Twój mózg ma problem z utrzymaniem uwagi na lewej stronie. Pomożemy ci ją utrzymać.

- Chyba powinnam nosić zegarek na prawym nadgarstku.

- Nie ma sprawy, ale jak go sobie założysz?

Gapię się na nadgarstek i zdaję sobie sprawę, że nie mogę tego zrobić.

- Mama go założy?

- Moim zdaniem powinnaś zostawić go na lewej ręce. Przyda nam się do ćwiczeń. I wiem, że mama przyjechała ci pomóc, i na razie niech tak będzie, ale takie rozwiązanie chyba nie wchodzi w grę na dłuższą metę.

Trudno się z tym nie zgodzić.

- Ale fajnie byłoby wiedzieć, która jest godzina - mówię.

- Możesz ją sprawdzić na komórce - proponuje.

Bardzo chciałabym korzystać z komórki, ale nie dotykałam jej od czasu wypadku, bo Bob nie chce mi jej dać. Wiele razy błagałam go, żeby ją przywiózł. W telefonie mam kalendarz i pocztę elektroniczną. I wszystkie swoje kontakty. Te same informacje miałam w laptopie, ale razem z samochodem został skasowany podczas wypadku. Więc naprawdę potrzebuję telefonu.

Ale Bob zbywa mnie, kiedy podnoszę ten temat. *Och, nie mogę go znaleźć. Och, zapomniałem. Przyniosę go jutro.* Och, to przecież oczywiste. Nie chce żebym koncentrowała się na pracy, gdy tutaj jestem. Myśli, że powinnam na razie zapomnieć o pracy i całe sto procent mojej energii mentalnej poświęcić dochodzeniu do formy. Ponadto, uważa, że jeśli choć trochę popracuję, to tylko mnie to zestresuje, a w tym stanie nie potrzebuję więcej stresu.

Do pewnego stopnia zgadzam się z nim i naprawdę bardzo się staram wykonywać wszystkie ćwiczenia zaordynowane przez pielęgniarki i terapeutów, jednak wciąż mam wiele wolnego czasu, przebywając w Baldwin. Terapia zajmuje mi trzy godziny dziennie. Posiłki również można zaliczyć do czasu poświęconego na naukę. Na przykład Martha zawsze ukrywa mój deser po lewej stronie tacy (i kiedy nie mogę go znaleźć, moja mama, mój mały pomocnik, znajduje go dla mnie). Więc jeśli wliczyć posiłki, to będą jeszcze ze dwie godziny. I tyle. Pięć godzin dziennie. Bez problemu znalazłabym czas na wysłanie kilku wiadomości i wykonanie paru telefonów, nie przepracowując się przy tym. Kilka telefonów dziennie mogłoby nawet zmniejszyć mój poziom stresu.

- Bob nie chce mi dać telefonu - donoszę na niego.

Heidi podchodzi do krzesła mojej mamy.

- To ten? - pyta, trzymając w ręku moją komórkę.

- Tak! Skąd go wzięłaś?

- Leżał na stole po twojej lewej stronie.

Na miłość boską. Zastanawiam się, od jak dawna leżał w czarnej dziurze, tuż obok mnie. Wyobrażam sobie, jak Bob go tam kładzie, myśląc: *Będzie z niego korzystać, jak go znajdzie.*

- Proszę - mówi, podając mi mojego dawno niewidzianego przyjaciela. - Nie podałaś mi godziny, ale znalazłaś swoją rękę i przez kilka sekund widziałaś swój zegarek. Idę na dół po twoją kawę.

- Naprawdę?

- Jasne. Jaką chcesz?

- Waniliowe latte. Duży kubek. Dziękuję ci.

- Nie ma za co. Ja też się napiję. Zaczniemy od kawy na oddziale, a skończymy na winie w moim salonie. Zgoda?

- Zgoda.

- To poczekaj. Zaraz wracam.

Słyszę dźwięk otwierania i zamykania drzwi i już jestem sama w pokoju. Moja mama jest w centrum handlowym, Heidi poszła po kawę, mam telefon i przez krótką chwilę wiedziałam, że mam lewą rękę. Uśmiecham się. Może jeszcze nie jestem zbyt dobra, ale można powiedzieć, że jestem odrobinę lepsza niż nie za dobra.

Od czego mam zacząć? Chyba najpierw zadzwonię do Jessiki i dowiem się, co się wydarzyło po moim wypadku. Potem do Richarda. Będziemy musieli pomyśleć, jak najlepiej zorganizować mi pracę w szpitalu. A potem do Carsona. Nie mogę się doczekać, kiedy

usłyszę ich głosy. Wciskam przycisk włączania, ale nic się nie dzieje. Wciskam jeszcze raz i jeszcze raz. Nic. Rozładowana bateria.

A ja nie mam pojęcia, gdzie leży ładowarka.

ROZDZIAŁ 12

Mama poszła i nie wraca. Nie mam pojęcia dlaczego tak długo jej nie ma. To dziwne, że chciałabym, żeby już do mnie wróciła. Dawno temu przestałam zaprzętać tym sobie głowę. Ale teraz siedzę w szpitalnym łóżku, witam się z Jessicą i Richardem, staram się zachowywać jak najbardziej normalnie i pragnę, żeby mama się pospieszyła i już przyszła. Potrzebuję tego przeklętego kapelusza.

Jessica podaje mi wielkie i ciężkie pudełko czekoladek z nadzieniem orzechowym, siada na krześle mojej mamy i pyta, jak się miewam.

Odpowiadam, że „Dobrze. Dużo lepiej” swoim jak najbardziej naturalnym, pewnym głosem i częstuję ich czekoladkami.

Mówię, żeby wzięli po jednej, ale oboje odpowiadają „Nie, dziękuję”.

Grzebię w pudełku, wyjmuję największy kawałek i wkładam całą kostkę do buzi. Duży błąd. Teraz nie mogę rozpocząć rozmowy, bo mam usta sklezione czekoladą i masłem orzechowym, a Jessica i Richard nie wrywają się z żadnym tematem. Patrzą tylko, jak jem. Cisza wydaje się bardziej gęsta i niezręczna niż ogromny kawał słodczy w moich ustach. Próbuję przeżuwać szybciej.

Z twarzy Jessiki wyczytać można, że nie przedstawiam sobą ładnego widoku. Blizny po szwach, siniaki i łysina. Wyglądam jak bohaterka horroru, a ona marzy tylko o tym, żeby wtulić swoją twarz w czyjeś silne ramiona. Dobre maniery nie pozwalają jej odwrócić wzroku, ale nie da się ukryć, że mój wygląd ją przeraża. Niewiele zostało z obrazu wyrażającego pewność siebie i zdrowie, który pragnęłam osiągnąć. Gdzie, do licha, podziła się moja mama z kapeluszem? Wreszcie przeżykam.

- Dziękuję, że przyszliście. Nie mogłam się skontaktować, bo zapodział mi się gdzieś telefon, a laptop nie przeżył wypadku. Jeśli przysłecie kuriera z nowym, to bez problemu będę mogła popracować z tego miejsca.

- Nie martw się o pracę, Saro. Zajmiemy się wszystkim, dopóki nie wrócisz - mówi Richard.

Jessica potakuje, z jej krzywego uśmiechu wyciera przerażenie i obrzydzenie.

- Ale ja naprawdę powinnam zająć się rekrutacją. To decydujący moment. Moja skrzynka odbiorcza zapewne pęka od wiadomości.

- Przekierowaliśmy twoje maile do Jessiki i Carsona. Pozwól im się wszystkim zająć - mówi Richard.

- Nie martw się - mówi Jessica, wyglądając na tak bardzo zmartwioną, jak to tylko możliwe.

Oczywiście, że przekierowali wszystkie moje maile. To zrozumiałe. Nie wiedzieli jak długo mnie nie będzie, a ważne decyzje nie mogą czekać na mój powrót. Czas tu w Baldwin wydaje się skamieniałym lasem, ale w Berkley pędzi jak rwąca górską rzeką.

- Wiem, że fizycznie nie dam jeszcze rady wrócić do biura, ale nie widzę powodu, dla którego nie mogłabym popracować z tego miejsca - mówię do Richarda i zerkam na Jessicę.

Stop. Mówię do Richarda, ale patrzę na Jessicę. Właśnie dotarło do mnie, że nie widzę Richarda. Pewnie stanął gdzieś z prawej strony. Mojej lewej. Fantastycznie. Wyobrażam sobie Richarda. Ma około stu dziewięćdziesięciu centymetrów wzrostu, szpakowate włosy, piwne oczy, jest szczupły, niemal wychudzony, ubrany jest w granatowy garnitur, czerwony krawat, eleganckie buty. Ten szczupły wygląd to nowość. W moich starszych wspomnieniach, Richard przed rozwodem wyglądał inaczej - ważył z dwadzieścia pięć kilo więcej, miał okrągłą jak księżyc w pełni, zaróżowioną twarz, brzusek pana w średnim wieku, garnitur w większym rozmiarze, ten sam krawat. Wyobrażam sobie, co zawiera jego lodówka w kawalerskim apartamencie w Ritzu - sześciopak piwa Corona, kilka limonek, i przeterminowana butelka mleka. Próbuję sobie wyobrazić jego wychudzoną twarz i zastanawiam się, czy choć w połowie wygląda na tak spanikowanego jak Jessica.

- Wszystkim się zajęliśmy, Saro - mówi głos Richarda.

- A co ze sprawozdaniem rocznym?

- To teraz działka Carsona. On się tym zajął.

- Nawet Azją?

- Tak

- I Indiami?

- Także nimi.

- No dobrze, jakby miał jakieś pytania, albo do czegoś mnie potrzebował, przekaż mu, że może do mnie dzwonić.

- Oczywiście.

- Przynajmniej mogę uczestniczyć w zebraniach w konferencjach telefonicznych. Jessico, czy przeslesz mi mój kalendarz i plan tych konferencji?

Dzwoni czyjś telefon. Boże, tak tęsknię za moim dzwonkiem.

- Halo? Tak - mówi głos Richarda - Dobrze, powiedz mu, że oddzwonię za pięć minut.

Na jakiś znak od Richarda, którego nie widziałam, Jessica podnosi swoją torebkę z podłogi i kładzie ją na kolanach. Lecą napisy końcowe, film się skończył, a ona jest w pełnej

gotowości, żeby wyjść stąd w cholerę.

- Przepraszamy, jesteśmy zmuszeni skrócić naszą wizytę, ale muszę oddzwonić - mówi Richard.

- Jasne, w porządku, dzięki, że przyszliście. I nie martwcie się. Niedługo stąd wyjdę.

- To dobrze.

- Ale skoro wciąż tu jestem, to czy mogłabyś, Jessico, podesłać mi laptop i informować mnie o zebraniach?

- Saro, tęsknimy za tobą - mówi Richard. - Ale chcemy, żebyś sobie wypoczęła i wróciła do nas, jak wyzdrowiejesz w stu procentach. Im szybciej wyzdrowiejesz, tym prędzej będziemy mogli wrzucić cię na linię frontu. Skup się na sobie, nie martw się pracą. Wszystko jest pod kontrolą.

- Przyślę ci więcej czekoladek - mówi Jessica, jakby była matką negocjującą z dzieckiem, proponującą jakąś kiepską alternatywę zamiast rzeczy, którą dziecko chce, ale nie może dostać.

- Czy moglibyśmy coś jeszcze dla ciebie zrobić? - pyta Richard.

Dać mi komputer, ładowarkę do telefonu, mój kalendarz i gorącą linię do pracy.

- Nie, dziękuję.

- Wracaj do zdrowia. Tęsknimy za tobą - mówi Jessica i zaczyna się wycofywać. W moje pole widzenia wkracza Richard.

- Cieszę się, że mogliśmy cię zobaczyć, Saro.

Pochyliła się nade mną, aby pocałować mnie w policzek. Przynajmniej, tak mi się wydaje. Jestem już gotowa, żeby oddać mu podobny niewinny pocałunek w policzek, kiedy niespodziewanie jego usta znajdują się tuż przede mną, a ja nie mając już możliwości manewru i czasu na to, by zdać sobie sprawę co robię, daję mu buziaka prosto w usta.

Jestem pewna, że zaskoczenie malujące się na jego twarzy, równa się tylko mojej zdziwionej minie. Wstydzę się tak bardzo, że szukam jakiegoś wytłumaczenia. Na pewno chciał pocałować mnie w lewy policzek, policzek, o którym wiem, że istnieje tylko w teorii. Takie logiczne wytłumaczenie, z punktu widzenia nauki o mózgu, zupełnie mnie satysfakcjonuje, ale Richard patrzy na mnie, jakbym zapomniała, że jesteśmy tylko znajomymi z pracy. Jakbym postradała zmysły.

- Okej, to do zobaczenia - mówi, chrząkając. - Wracaj do zdrowia.

I oboje wychodzą.

Super. Właśnie przeraziłam moją asystentkę i napastowałam seksualnie własnego szefa.

Otwieram pudełko czekoladek i wybieram kolejny spory kawałek. Nie chcę mnie z

powrotem, jeśli nie wyzdrowieję w stu procentach. Przetrawiam tę informację jakbym przeżuwała cukierka. *A jeśli nie wyzdrowieję w 100 procentach?*

Do ust wkładam kolejną czekoladkę. *Co jeśli nie wyzdrowieję w 100 procentach?* Zjadam kolejny kawałek. Jem tak długo, aż robi mi się niedobrze, ale wciąż nie udaje mi się znaleźć odpowiedzi na pytanie, które raz po raz sobie zadaję, więc wykańczam zawartość pudełka. Tylko, że pudełko wciąż jest ciężkie. Potrząsam nim i słyszę, że czekoladki obijają się o ścianki bombonierki. Po lewej stronie. Po stronie, o której nic nie wiem. Jeszcze raz wstrząsam pudełkiem, tym razem tak, jakbym chciała je zamordować i kilka czekoladowych sześciątów pojawia się w moim polu widzenia. Zjadam je.

Co jeśli nie wyzdrowieję w 100 procentach?

ROZDZIAŁ 13

- Proszę, powiedz, że masz też jakieś inne - mówię.

Moja mama zaprezentowała już trzy kapelusze, które kupiła dla mnie w centrum handlowym. Wciąż ma na głowie ten trzeci - absurdalnie wielki wiktoriański kapelusz, na szczycie którego wznosi się ogromny stos czerwonych róż. Uśmiecha się coraz bardziej niepewnie.

- O co ci chodzi? Co ci się w nim nie podoba?

- Wyglądasz jak Minnie Pearl.

- Nieprawda.

Metka z ceną zwisa spoza runda kapelusza.

- Racja. Wyglądasz jak wariatka.

- Mam w domu podobny i noszę go na spotkania stowarzyszenia Red Hat.

Zdejmuje kapelusz z głowy i obraca na kolanach, podziwiając go z każdej strony. Następnie wacha sztuczne kwiaty, ponownie wkłada go na głowę, przesuwa na jedną stronę i uśmiecha się do mnie, jakby pytała: *A teraz jak?* No tak, to kapelusz idealny dla wariatki.

- Naprawdę nie kupiłaś żadnego innego?

W odpowiedzi wrusza tylko ramionami ze skrucą i ponownie pokazuje mi dwie pozostałe opcje - brązowy, skórzany kapelusz kowbojski i jaskrawo różową zimową czapkę.

- Spieszyłam się. Tutaj zawsze jest zimno, więc pomyślałam, że przyda ci się polarowa czapka, a u Boba w samochodzie zawsze leci jakaś muzyka country, więc wydawało mi się, że spodoba ci się ten styl.

Zastanawiam się, jakimi pobudkami kierowała się, kupując kapelusz Minnie Pearl. Bo myślała, że ją lubię? Nie mam odwagi zapytać.

- Założę różową czapkę.

Wyjawszy fluorescencyjny kolor w typie zakreślacza, w zimowej czapce przynajmniej będę się czuła sobą. Oboje z Bobem uwielbiamy jeździć na nartach. Rodzina Boba posiadała domek w North Conway w stanie New Hampshire i od grudnia do kwietnia spędzali w nim każdy weekend, szusując po stokach Attitash i Cranmore. Wyścigi na nartach ze starszym bratem, to jego najszcześniejsze wspomnienia z dzieciństwa. Ja, natomiast, wychowałam się na Cape Cod, gdzie najwyższymi wzniesieniami są wydmy i nigdy nie jeździliśmy na wakacje za most. Nie odkryłam narciarstwa, aż do momentu, gdy poszłam do Middlebury College w Vermont, gdzie ten sport jest niemal częścią programu nauczania.

Mój pierwszy dzień na nartach był bolesną, mroźną i wyczerpującą lekcją upokorzenia. Jedynym powodem, dla którego znalazłam w sobie siłę na kolejny dzień tortur, był zakupiony przeze mnie drogi bilet weekendowy, który chciałam, mimo wszystko, wykorzystać. Nie oczekiwałam, że będę jeździła lepiej, ani że zacznie mi się to podobać. Ale drugiego dnia stał się cud. Moje nieporadne kończyny skądś wiedziały dokąd jechać i zjeżdżałam - na nartach, a nie na tyłku. Od tej pory uwielbiam narty.

Kupiliśmy nasz dom w Cortland w stanie Vermont rok po tym, jak przeprowadziliśmy się do Welmont. Dodatkowa hipoteka sprawiła, że nie stać nas było na kupno większego domu, z dodatkowym pokojem w Welmont, którego będziemy potrzebowali, jeśli zajdzie potrzeba zatrudnienia niani na stałe, ale to poświęcenie było uzasadnione. W zimowych miesiącach, kiedy nasza aktywność sprowadza się do przejścia z domu do samochodu, z samochodu do pracy i z powrotem, a wszystkie te miejsca są przegrzane, duszne i zanieczyszczone wirusem grypy, jeżdżenie na nartach w weekend, oznacza całe dwa dni oddychania świeżym, górskim powietrzem. Ponadto w miesiącach zimowych głównie siedzimy, kiedy tak jeździmy z domu do pracy i z powrotem. Siedzimy w korkach, przy biurkach, siedzimy na zebraniach i siedzimy na kanapie z laptopami na kolanach. Siedzimy przez całe dni, aż do momentu, gdy jesteśmy zbyt wykończeni, żeby wysiedzieć jeszcze jedną minutę.

Kiedy jedziemy do Vermont, zakładamy na nogi narciarskie buty, mocujemy do nich narty i jeździmy. Szusujemy slalomem między muldami, przecinamy lodowe łąty, tworzące się późnym popołudniem, i radośnie mkniemy w dół szlaków, oznaczonych czarnym diamentem². Pochylamy się, rozciągamy i zginamy, aż czujemy się wykończeni fizycznie. Ale w przeciwieństwie do codziennego zmęczenia, wywołanego siedzeniem przez cały dzień, to zmęczenie jest niezwykle pobudzające.

Jest coś magicznego w połączeniu górskiego powietrza z ćwiczeniami fizycznymi, co przerywa zapętlony, natarczywy głos w mojej głowie, który zazwyczaj bezustannie wymienia wszystko, co powinnam jeszcze zrobić. Mimo że akurat jest zupełnie niepotrzebny, to i tak ciągle go słyszę - dokuczliwą listę, która przetaczała się przez moją głowę tuż przed wypadkiem.

Przed południem musisz zadzwonić na Harvard, musisz rozpocząć rozmowy kwalifikacyjne z tegorocznymi absolwentami, musisz zakończyć program szkoleń dla pracowników naukowych, musisz zadzwonić do projektanta ogrodów, musisz wysłać email do

² W USA szlaki oznaczone czarnym diamentem, oznaczają trasy dla zaawansowanych.

biura w Londynie, musisz oddać przetrzymane książki do biblioteki, musisz odnieść do sklepu Gapa spodnie, które nie pasują na Charliego, musisz wykupić receptę dla Linusa, musisz odebrać ubrania z pralni chemicznej, musisz kupić coś na obiad, musisz umówić wizytę u dentysty dla Lucy w sprawie zęba, musisz zarezerwować termin u dermatologa w sprawie tego pieprzyka, musisz pojechać do banku, musisz zapłacić rachunki, nie zapomnij zadzwonić na Harvard przed południem, wysłać email do biura w Londynie...

Po drugim lub trzecim zjeździe po stoku, ten nieustannie nadający głos w mojej głowie tracił moc i przestawał jazgotać, a miejsce tej jednostronnej, narzucającej się konwersacji, z wdzięcznością zajmował wszechogarniający mnie spokój. Nawet kiedy stoki są zatłoczone, i nawet jeśli rozmawiamy z Bobem kiedy wjeżdżamy na wyciągu krzeselkowym, zjeżdżanie w dół jest cudownym doświadczeniem w skupieniu i ciszy. W głowie pustka, żadnych list rzeczy do wyprania, żadnej telewizji, radia, telefonu, emaili. Tylko cisza góry. Cisza. Chciałabym umieć zakorkować porcję ciszy w butelce, zabierać ze sobą do Welmont i sączyć z niej nieskończenie wiele razy dziennie.

Mama podaje mi czapkę. Próbuję ją założyć, ale ciągle mi się wygina i nie mogę wcisnąć jej na głowę.

- Nie pasuje.

- Daj, pomogę ci - mówi mama.

Rozciąga materiał i nakłada mi czapkę na głowę. Jest miękka i przyjemna w dotyku, muszę przyznać, że dobrze się w niej czuję.

- Proszę. Ładnie wyglądasz - mówi, radując się tak, jakby właśnie rozwiązała mój największy problem.

- I spodoba się Lucy, bo jest różowa.

Dziwnie się czuję słysząc, że mama zna moje dzieci. Wie, że Lucy ma fioła na punkcie różowego koloru. Oczywiście, odkrycie, że Lucy uwielbia różowy nie zabiera ani więcej czasu, ani wrażliwości, niż dostrzeżenie tego, że jestem łysa. Ale mimo wszystko. Moja mama zna Lucy. Moją córkę. Swoją wnuczkę.

- Racja. Dziękuję, jest świetna.

Dotykam czapki na głowie i zamykam oczy. Wyobrażam sobie wieczór po dniu spędzonym na nartach. Siedzimy z Bobem w salonie, przy otwartym ogniu kominka, rozgrzewając się pod grubymi kocami, zajadając ostre chilli i popijając piwo Harpoon z oszronionych kufli. Czasami grywamy w Backgammon albo w karty, a czasami szybko kładziemy się do łóżka. Czasami Kochamy się nigdzie nie idąc, na polarowych kocach przed kominkiem. Uśmiecham się, przypominając sobie ostatni raz. Ale pozostaję w ciepłe tego

miłego, przytulnego wspomnienia tylko przez sekundę, bo zaraz zaczynam pracować przewracając karty wspomnień, aby sprawdzić, jak dawno temu tak figlowaliśmy.

Boże, nie wydaje mi się, żebyśmy widzieli kominek w ciągu ostatnich trzech lat. Czy naprawdę tak długo? Wydaje się, że za każdym razem, gdy rozważamy wyjazd w góry, pojawia się milion różnych wymówek, które powstrzymują nas od spakowania walizek do samochodu i jazdy na północ - praca, podróż, ciąża, lekcje karate Charliego w każdą zimową sobotę, jego mecze wiosną, różne remonty w domu, infekcja ucha Lucy, to, że jesteśmy zbyt zajęci lub zbyt zmęczeni. A teraz to.

Zaciskam zęby i jeszcze tej zimy postanawiam wrócić do jedzenia, picia i radowania się z Bobem przed kominkiem, po całym dniu jeżdżenia na nartach. Żadnych wymówek. Głos w mojej głowie zaczyna recytować nowy rodzaj listy. *Musisz wyzdrowieć, musisz stąd wyjść, musisz wrócić do pracy, musisz pojechać do Vermont, musisz wyzdrowieć, musisz stąd wyjść, musisz wrócić do domu, musisz wrócić do pracy...*

Prawie zahipnotyzowała mnie ta wewnętrzna instrukcja, jednak przebija się przez nią inny głos. Ten głos jest szeptem, szczerym i wystraszonym. Rozpoznaję go. To mój własny głos, powtarzający w nieskończoność gnębiące mnie pytanie, na które nie znalazłam odpowiedzi, a które pojawia się od chwili, gdy oglądałam Ellen i rozmawiałam z Richardem i Jessicą.

Co się stanie, jeśli nie wyzdrowieję?

Proszę mamę, żeby opowiedziała mi o swojej wyprawie do sklepu, w nadziei, że głos utonie w jej paplaninie. Chętnie zaczyna mówić o swoim wychodnym.

Co się stanie, jeśli nie wyzdrowieję?

Jak na szept, to niezwykle trudno go zignorować.

- Mamusiu! - krzyczy Lucy, pierwsza wpadając do pokoju.

- Podejdź z tej strony - mówi moja mama.

- Wskakuj na łóżko - mówię, pokazując miejsce obok siebie.

Lucy wspina się ponad barierką i siada mi na kolanach. Ubrana jest w zimowy płaszcz, założony na koszulę nocną z Małą Syrenką, sportowe buty, których obcasy świecą przy każdym kroku i swoją różową polarową czapkę. Mocno ją przytulam, ona też mnie ściska, jej małe rączki splatają się na moim karku, buzię wtula w moje piersi. Mruczę z rozkoszy „Mmmm”. Taki sam dźwięk wydaję wtedy, gdy wącham jeszcze ciepły chleb, albo po zjedzeniu grzesznego kawałka czekolady. Przytulanie Lucy jest takie smakowite. Po chwili odsuwa się o kilka cali od mojej twarzy i zaczyna mi się przyglądać. Oczy jej błyszczą.

- Pasujemy do siebie, mamusiu! - mówi, zachwycona swoją czapką, tak jak przewidziała to moja mama.

- Jesteśmy modne - mówię.

- Cześć, skarbie - mówi Bob.

Wchodzą pozostali. Wszyscy mają czapki na głowach

- Bob bejsbolówkę Red Sox'ów, Charlie granatową uszanke, Linus, który śpi w swoim samochodowym foteliku, włóczkową czapeczkę w kolorze kości słoniowej, i oczywiście moja mama, Szalony Kapelusznik. To świetny pomysł. Teraz dzieci nie będą zwracać uwagi na moją głowę. Z wdzięczności uśmiecham się do Boba.

- Gdzie się podziały twoje włosy? - pyta Lucy, zatroskana i zdziwiona.

To by było na tyle teorii.

- Musiałam je bardzo mocno skrócić - mówię.

- Dlaczego tak?

- Bo były za długie.

- Ojej, podobały mi się takie długie.

- Mnie też. Ale odrosną - zapewniam ją. Zastanawiam się, kiedy „odrośnie” mi lewa strona i chciałabym mieć taką samą pewność jak z włosami, że kiedyś do mnie wróci.

- To tutaj teraz mieszkasz? - pyta Lucy, ciągle zatroskana i zdziwiona.

- Nie, skarbie. Mieszkam razem z wami w domu. Muszę tu tylko zostać przez pewien czas, żeby nauczyć się kilku nowych rzeczy. Tak jak w szkole.

- Bo uderzyłaś się w głowę w samochodzie?

Patrzę na Boba. Nie wiem jak wiele szczegółów im zdradziłam. Potwierdza.

- Tak. Ojej, kto ci tak ładnie pomalował paznokcie?

- Abby - odpowiada, podziwiając swoje różowe paluszki. - Pomalowała mi też paznokcie na nogach. Chcesz zobaczyć?

- Pewnie.

Patrzę na Charliego, kiedy Lucy zaczyna rozwiązywać sznurowadła, nastawiając się na bardziej wnikliwe pytania, które, jak zakładam, zaraz się zaczną. Normalnie już by przejrzał luki w moich poprawnych politycznie odpowiedziach na słabutkie pytania Lucy i zaraz dobiegłby się do mojego gardła. Niczym głodny pitbull, rzuciłby się na moją nieprzekonującą historyjkę o obcięciu włosów i rozdarłby ją na kawałki, jak pies sztukę mięsa. Ale on stoi tylko przed Bobem i wpatruje się w podłogę. Nie patrzy na mnie.

- Hej, Charlie - mówię.

- Hej, mamó - mówi, wciąż patrzy w dół i trzyma przed sobą splecione ręce.

- Jak w szkole?

- Dobrze.

- Co nowego u ciebie?

- Nic.

- Podejź tutaj - mówię i wyciągam rękę w zapraszającym geście.

Zbliża się o kilka dokładnie odliczonych kroków i zatrzymuje w takiej odległości ode mnie, której w żadnym wypadku nie można by nazwać „tutaj”. Przyciągam go do siebie i, ponieważ wciąż ma spuszczone wzroki, całuję w sam czubek granatowej czapki.

- Charlie, popatrz na mnie.

Robi, co mu każę. Jego oczy są okrągłe i niewinne, zmartwione i zbuntowane, otoczone gęstymi, czarnymi rzęsami. To niesprawiedliwe, że to nie Lucy przypadły w udziale jego rzęsy.

- Skarbie, mama czuje się dobrze. Nie martw się, dobrze?

Mruga, ale jego oczy ani przez chwilę nie przestają być zmartwione i buntownicze. Sprzedaję mu kłamstwo, a on go nie kupuje. Jakiś ekspert od dzieci powiedział, albo gdzieś to przeczytałam, że rodzice nigdy nie powinni kłamać dzieciom. Nigdy nie słyszałam niczego równie głupiego. Ten, tak zwany, ekspert, z pewnością nie ma dociekliwego dziecka, podobnego do Charliego. A jak się głębiej zastanowić, to pewnie „ekspert” w ogóle nie ma dzieci. Są takie dni, że już przed śniadaniem muszę kilkadziesiąt razy zamataczyć, bujać i skłamać prosto w oczy. *Co to jest broń masowego rażenia? O co się sprzeczacie z tatą? Skąd się biorą dzieci? Co to jest (pokazując mi tampon)?* Prawda często jest zbyt straszna, zbyt skomplikowana, zbyt... dorosła dla dzieci.

A kłamstwa bywają najlepszą metodą wychowawczą jaką znam. Mam oczy z tyłu głowy. Nie rób min, bo tak ci zostanie na zawsze. Nie będzie bolało. Spiderman uwielbia brokoły. Proszę, to (butelka z atomizerem napełniona wodą) zabije potwory, mieszkające w twojej szafie. Za chwilę.

Ponadto mamy także niewinne kłamstewka, które ośmielają i chronią to, co jest dla dzieci magiczne i niezwykle. Święty Mikołaj, wielkanocny króliczek, Zębowa Wróżka, księżniczki Disneya, Harry Potter. Nie chciałabym spotkać rodzica, który mówi swojemu siedmiolatkowi, że te osoby nie istnieją.

Prawda jest taka, że nie ma Świętego Mikołaja, nie ma czarowników, rodzice płacą za wypadnięte zęby, a magiczny pył to brokat kupiony w sklepie. Na świecie są tacy ludzie, którzy nienawidzą Amerykanów i właśnie w tej chwili spiskują jak nas pozabijać, a ten tampon wkładam do pochwy, żeby wchłaniał krew, kiedy mam okres. Prawda, zimna i

brutalna, dla dzieci powinna być opakowana w ciepły, miły, aksamitny koczek kłamstw. A w moim przypadku - w jaskraworóżową, polarową czapkę.

- Mówię prawdę, Charlie. Nic mi nie jest.

- Widzisz? - mówi Lucy, podnosząc do góry nogę jak balerina. Jej paznokcie u stóp pomalowane są na metaliczny niebieski kolor.

- Prześliczne - mówię, kłamiąc. - A gdzie jest Linus?

- Jest obok mnie, na podłodze - mówi Bob.

- Mógłbyś go podnieść, żebym go widziała?

Czekam i nic się nie dzieje.

- Bob, mógłbyś go podnieść?

- Podniosłem - mówi cicho.

Dociera do niego, że nie mogę go zobaczyć.

- Lucy, Gąsko, zjedziesz stąd na chwilę? - pytam.

Odsuwa się w nogi łóżka, co też może być, a Bob stawia samochodowy fotelik obok mnie na łóżku. Linus smacznie śpi, oddycha głęboko i spokojnie. Smoczek ma oparty o otwarte usta, tak że wisi w odpowiedniej pozycji i odległości, gotowy do ssania. Dzięki Bogu, Bob nauczył się jak to zrobić.

Uwielbiam jego policzki, w ciągu dnia podobne do dorodnych, dojrzałych brzoskwinek, które aż się proszą, żeby je uszczypnąć, i które zwisają poza linię brody, gdy Linus śpi. Kocham jego zaciśnięte rączki, dołeczki, które ma zamiast kostek, fałdki na pulchnych nadgarstkach. Kocham słuchać jak oddycha. Boże, mogłabym patrzeć na to przez całą noc.

- Chcę go potrzymać - mówię.

- Ale chyba nie chcesz, żeby się obudził - ostrzega Bob.

- Masz rację. Stęskniłam się za przytulaniem - mówię.

- Mamusiu, chcę usiąść przy tobie - wtrąca Lucy.

- Okej - pozwalam.

Bob zdejmuję Linusa, a Lucy ponownie zajmuje miejsce na moich kolanach.

- Poczytasz mi? - prosi.

- Oczywiście, Gąsko. Tęsknię za czytaniem do snu.

Bob przyniósł ze sobą książeczki czytane na dobranoc. Podaje mi *Junie B. Jones* - ostatnio ulubioną serię Lucy.

Otwieram na pierwszej stronie pierwszego rozdziału.

- Rozdział pierwszy. Pomieszanie z poplątaniem.

Oj. Tytuł jak najbardziej adekwatny. Jednak tekst na tej stronie nie ma żadnego sensu.

„B jak tylko lat. Kiedy dostaniesz pojechać w zeszłym roku mama zabrała i zawiozła mnie dorosłe słowo na podpisany kazala mi jechać”. Brnę przez tę stronę, jak alpinista, który utknął nad przepaścią i szuka miejsca, żeby postawić stopę, ale nie może go znaleźć.

- Dalej, Mamo. „Nazywam się Junie B. Jones. B jak Beatrice, ale nie lubię imienia Beatrice. Podoba mi się tylko B i już”.

Wszystkie książeczki o Junie B. Jones zaczynają się w ten sam sposób. Lucy i ja nauczyłyśmy się już tego na pamięć. Wiem jakie słowa powinny być na tej kartce, ale nie widzę ich. Widzę tylko „B jak tylko lat”. Próbuję sobie przypomnieć, co czytałam po wypadku. Szpitalne menu i pasek wiadomości na CNN. Nie miałam problemu z nimi. Ale jadłospis wydawał się dość ograniczony, a słowa na pasku pojawiają się *od prawej* strony i przesuwają na lewo. Zerkam na Boba, a on widzi, że dopiero teraz zdałam sobie sprawę z tego, że nie umiem czytać.

- Charlie? O Boże, gdzie jest Charlie? - pytam, przenosząc moją panikę na inny obiekt i wyobrażając sobie, że wyszedł z pokoju i błądzi po szpitalu.

- Spokojnie. Jest tutaj - mówi Bob. - Charlie, podejdź do nas.

Ale Charlie się nie pojawia.

- Mamusiu, czytaj! - nalega Lucy.

- Wiesz co, Gąsko, jestem zbyt zmęczona, żeby dzisiaj czytać.

Słyszę wodę spuszczaną w łazience.

- Dziecko, co ty tam robisz? Chodź tutaj - mówi Bob.

- Przyrowadzę go - mówi moja mama. Podskakuję, zapomniałam, że tu jest.

Charlie biegnie, z impetem wskakuje na jedno z krzeseł i otwartą dłońią zaczyna stukać w szybę okna.

- Hej, dosyć tego - strofuje go Bob.

Przestaje na moment, ale po chwili albo zapomina, że Bob kazał mu przestać, albo nie może powstrzymać chęci stukania w szybę i znowu zaczyna uderzać w okno.

- Przestań - mówi Bob, głośniej niż kilka sekund temu.

- Przestań, Charlie. Wiesz co tam jest? Więzienie - mówię.

Przestaje.

- Naprawdę?

- Uhm.

- Prawdziwe więzienie?

- Najprawdziwsze.

- Czy są tam źli ludzie?

- Jasne, pełno ich tam jest.

- Suuuper - mówi i mogę przysiąc, że usłyszałam jak odskoczyło wieczko pojemnika, skrywającego jego wyobraźnię.

Przytyka nos do szyby.

- Jacy źli ludzie?

- Nie wiem.

- Co zrobili?

- Nie mam pojęcia.

- Jak ich złapano? Kto ich złapał?

- Nie...

- Mieszkasz obok złych ludzi? - pyta Lucy, wtulając we mnie swoją buzię i łapiąc mnie rękoma za koszulę.

- Nie mieszkam tutaj, Gąsko - mówię.

- Czy oni próbują uciec? Kto ich łapie? - pyta Charlie,

Z każdym kolejnym pytaniem, natężenie jego głosu rośnie, więc teraz praktycznie krzyczy. Linus wierci się i chwyta smoczek.

- Ciiii - mówię, strofując Charliego.

- Ciiii - mówi Bob, uspakajając Linusa.

- A może na chwilę zabiorę Charliego i Lucy na dół do Dunkin' Donuts? - pyta mama.

Cukier. Jeszcze tylko tego potrzeba Charliemu przed snem.

- Byłoby świetnie - mówi Bob.

- Pączki - krzyczą Charlie i Lucy, a Linus znowu popłakuje.

- Ciiii - mówię do wszystkich.

Charlie i Lucy zeskakują z krzesła i z mojego łóżka i wychodzą za moją mamą, niczym szczury depczące po piętach Szczurołapa z Hamelin. Nawet po zamknięciu drzwi, słyszę jeszcze Charliego, zadręczającego moją mamę pytaniami o kryminalistów, przez całą drogę korytarzem w kierunku windy. A potem zapada cisza.

- Jak w pracy? - pytam, unikając przerażającego tematu mojego analfabetyzmu.

- Daję radę.

- To dobrze. Dzieci też chyba sobie radzą?

- Jasne. Abby i twoja mama trzymają je w ryzach.

- Super.

Bob utrzymuje się jakoś na powierzchni w pogrążającej się firmie, dzieci radzą sobie beze mnie, ja dochodzę do siebie po poważnym urazie mózgu. Wszyscy żyjemy. To dobrze.

Ale ja chcę o wiele więcej. Potrzebuję dużo więcej. Wszyscy potrzebujemy.

Musisz wyzdrowieć, musisz stąd wyjść, musisz wrócić do domu...

- Chcę jechać na narty.

- Okej - mówi Bob, zgadzając się zbyt łatwo, jakbym powiedziała, że chcę dostać szklankę wody albo chusteczkę.

- Tej zimy - dodaję.

- Okej.

- A jeśli nie będę mogła?

- Będziesz mogła.

- A jeśli ciągle nie będę widziała lewej strony?

- Będziesz widziała.

- Nie jestem pewna. Wydaje mi się, że nic mi się nie poprawia. A jeśli to nigdy nie minie? - pytam, zaskoczona tym, że pozwoliłam tym słowom wyjść poza obręb mojej opatulonej w różowy polar głowy.

Nie wiem jakiej reakcji spodziewam się ze strony Boba, ale zaczynam płakać, bo nagle przeraża mnie, że prosta i szczerza odpowiedź może na zawsze zmienić bieg naszego życia.

- Wpuść mnie - mówi.

Wcisną się pomiędzy mnie, a barierkę łóżka i kładzie się na boku twarzą do mnie. To takie miłe, że znowu mogę go poczuć przy sobie.

- Czy jest taka możliwość, że mózg się wygoi, a zespół pomijania jednostronnego ustąpi? - pyta.

- Tak, to możliwe - mówię, ciągle płacząc. - Ale możliwe jest także i to, że...

- Zatem, wyzdrowiejesz. Jeśli coś jest możliwe, Saro, nieważne co to jest, mam całkowitą pewność, że ty tego dokonasz.

Powinnam dziękować moim szczęśliwym gwiazdom za Boba, powinnam powiedzieć mu, że kocham go za jego niczym nieuwarunkowaną wiarę we mnie, ale zamiast tego, zaczynam się z nim spierać.

- Jasne, ale nie wiem, jak mam to zrobić. To co innego, niż zdobycie samych piątek w szkole, znalezienie pracy marzeń, czy wykonanie projektu na czas. To nie polega na wypełnieniu dziesięciu punktów instrukcji, żeby mózg z powrotem zachowywał się normalnie.

Im więcej mam zajęć rehabilitacyjnych, tym bardziej zdaję sobie sprawę, że to nie jest równanie matematyczne. Nikt nie może mi dać żadnych gwarancji. Może mi się poprawi, może nie. Terapia może mi pomóc, albo i nie. Mogę wkładać w nią tyle wysiłku, jak we

wszystko, co zawsze robiłam, a efekty nie będą lepsze niż gdybym tylko leżała i się modliła. Robię jedno i drugie.

- Wiem. Wiem, jak wiele z tego nie podlega twojej kontroli. Ale niektóre rzeczy tak. Przykładaj się do terapii. Myśl pozytywnie. Uwolnij ducha ambicji, którego tak kocham w tobie. Tylko pomyśl. Niektórzy ludzie od tego zdrowieją. Pozwolisz, żeby byli od ciebie lepsi? W żadnym wypadku.

No tak, teraz uderza w mój czuły punkt. Ocieram oczy. Mój cel nie polega na tym, żeby czuć się lepiej. Mój cel to wyzdrowieć! Wiem, jak mam go osiągnąć. Bob i ja jesteśmy skrojeni z tego samego kawałka super-ambitnej tkaniny; przysięgłabym, że w DNA każdego z nas wplecione jest kilka nici boskiej koszulki gimnastycznej. Uwielbiamy rywalizację niemal w każdym aspekcie życia. Nasz pierwszy prawdziwy flirt polegał na zakładzie o to, kto z nas dostanie lepszą ocenę z finansów (on dostał, a potem zaprosił mnie na randkę). Rywalizowaliśmy o tytuł Osoby z Najwyższą Płacą po Szkole Biznesu (tym razem ja wygrałam). Kiedy Charlie i Lucy jeździli w fotelikach samochodowych, ścigaliśmy się, kto pierwszy zapnie dziecko pasami. Kiedy gramy w piłkę, to nie polega to tylko na odbijaniu jej do siebie. Gramy na punkty. A jedyną rzeczą lepszą niż jeżdżenie z Bobem na nartach po Mount Cortland, jest ściganie się z nim.

A co dostaje zwycięzca? Zwycięzca wygrywa. I to jest dokładnie taka porywająca mowa, jakiej potrzebuję.

- Wierzę w ciebie, Saro. Na pewno ci się poprawi, wrócisz do domu, a potem do pracy, i będziemy mogli jechać na narty jeszcze w tym sezonie.

Brzmi prawie jak katarynka w mojej głowie, ale o wiele milej.

- Dziękuję, Bob. Dam radę. Pokonam to cholerstwo.

- Pewnie, że tak.

- Dzięki. Potrzebowałam tego.

- Do usług - mówi i całuje mnie.

- Potrzebuję cię - mówię.

- Ja ciebie też - mówi i jeszcze raz mnie całuje.

Leżąc z nim w moim szpitalnym łóżku i czekając na powrót dzieci z paczkami na dobranoc, czuję się przepełniona optymizmem. Na pewno uda mi się wygrać z chorobą. Ale kiedy próbuję zwizualizować sobie „to” z czym mam walczyć - chore neurony, zapalenie, nieobecność lewej strony, innych ludzi z zespołem pomijania jednostronnego, konkurujących ze mną o miejsce w kręgu zwycięzców - jedynym obrazem jaki widzę wyraźnie, jestem ja sama.

ROZDZIAŁ 14

Test pierwszy tydzień grudnia, od wypadku minęły cztery tygodnie. Nie wróciłam jeszcze do domu. Nie wróciłam do pracy. Ominęła mnie najważniejsza część sezonu rekrutacyjnego w Berkley oraz Święto Dziękczynienia. Owszem, Bob i mama przyprowadzili dzieci i przynieśli tutaj, do Baldwin, całą świąteczną kolację, gdzie wszyscy zjedliśmy ją w stołówce, więc technicznie Dziękczynienie mnie nie ominęło. Przygotowane w domu potrawy były przepyszne (na pewno o wiele smaczniejsze niż poszarzały indyk, tłuczone ziemniaki i sos, który zauważyłam na plastikowych tacach, stojących przed niektórymi pacjentami), poza tym byliśmy wszyscy razem, ale i tak nie czułam atmosfery Święta Dziękczynienia. Było mi smutno i czułam się niezręcznie.

Siedzę teraz w pomieszczeniu, które nazywają siłownią. Za każdym razem, gdy tu jestem, chichoczę w skrytości serca, myśląc „*Trzeba było aż tego, żeby zaciągnąć mnie do siłowni*”. Nie jest to siłownia w tradycyjnym znaczeniu tego słowa, nie jest taka, jak ta, do której miałam chodzić w Welmont, ale nigdy nie chodziłam. Nie ma tutaj bieżni, hantli czy orbitreka. Jest tu jedna maszyna przypominająca atlas, wyższa od Boba, z krążkami i uprzężą, zwisającą z czegoś, co wygląda jak gigantyczne, mechaniczne, stalowe ramię maszyny. Nie chcę nawet wiedzieć, do czego używa się tej rzeczy.

Oprócz tego średniowiecznego ustrojstwa, są tu też dwa długie stoły, dopchnięte do ścian. Na jednym z nich leży schludny stosik testów do rozwiązywania, a na drugim zgromadzono ogromny i chaotyczny stos kostek Rubika, układanek i gier. Są tu też stopy Reeboka i niebieskie piłki gimnastyczne, które jak sądzę, można także znaleźć w prawdziwych siłowniach. Mamy tu także kilka poziomych drążków, przy których można ćwiczyć chodzenie z asystą oraz duże lustro na jednej ze ścian. I to by było na tyle.

Na ścianie, nad stołem z grami, wisi plakat, który mnie zafascynował. Jest to czarno-biała fotografia pięści, umiejscowionej nad słowem „Nastawienie”, zapisanym dużymi, czerwonymi literami. Obrazek i przesłanie nie do końca do siebie pasują, ale im częściej oglądam plakat i myślę o nim, tym bardziej inspiruje mnie to połączenie. Pięść to moc, siła, determinacja, walka. I nastawienie. Pozytywne nastawienie. Wniosę pozytywne nastawienie do mojej walki o powrót do normalnego życia. Solidarnie z pięścią na obrazku, zaciskam swoją dłoń. Jestem silna. Jestem wojownikiem. Dam radę.

Siedzę bezpośrednio przed ścianą z dużym lustrem. Spędzam sporo czasu przed tym lustrem, szukając swojej lewej strony. Rzeczywiście udaje mi się od czasu do czasu znaleźć

jakiś kawałek mnie. Przez sekundę widzę swoje lewe oko. Snurowadła mojego lewego trampka. Moją lewą rękę. Muszę się długo i mozolnie napracować na taką małą i krótkotrwałą nagrodę. Odkryłam, że łatwiej mi zlokalizować lewą rękę niż jakąkolwiek inną część ciała położoną po lewej stronie, ponieważ szukam swojego pierścionka z brylantem. Kiedyś ten pierścionek był dla mnie symbolem mojego związku z Bobem. Teraz stał się pięknym, dwukaratowym, błyszczącym celem. Powiedziałam Bobowi, że aby czynić dalsze postępy, musiałabym mieć więcej biżuterii - bransoletkę wysadzaną diamentami na lewą rękę, diamentowy kolczyk zwisający z lewego ucha, diamentową obróżkę na nogę, diamentowy pierścionek na palec u stopy. Bob śmiał się z tego. A ja tylko trochę żartowałam.

Martha się spóźnia, moja mama korzysta z łazienki, więc oprócz swojego odbicia w lustrze, nie mam na kogo patrzeć, więc przyglądam się sobie. Nie wyglądam zbyt dobrze. W tym pomieszczeniu jest zawsze gorąco, więc nie mam na sobie swojej polarowej czapki. Włosy zaczęły mi odrastać, ale na razie tylko sterczą we wszystkich kierunkach. Wyglądam jak Chia Pet³. Nie mam makijażu. Jeszcze. To coś, co prawdopodobnie będę dziś ćwiczyć. Martha powie mi, że mam się pomalować, ja to zrobię, a potem moja mama, która zazwyczaj gdzieś się czai z tyłu, zacznie albo chichotać, albo wzdychać - w zależności od tego, jak przebiega dany dzień, a Martha powie mi, że niczego nie nałożyłam na lewą stronę. Lewa połowa moich ust zostanie nieuszminkowana, na lewym oku nie będę miała ani tuszu, ani lineru, ani cieni, na lewy policzek nie nałożę różu.

A potem przyjrę się swojej twarzy w lustrze, żeby spróbować dostrzec to, co widzą one, i zobaczę siebie w pełnym makijażu, całkiem ładną, wyjąwszy fryzurę a la Chia Pet. To straszny i żenujący moment, ponieważ jestem świadoma tego, co widzą, w porównaniu do tego, co ja widzę. I czego nie widzę. Umyka mi cały wielki obszar postrzegania, a ja nawet nie jestem tego świadoma. Nie jestem świadoma, że nie zauważam lewej strony swojej twarzy, lewej strony Marthy, lewej strony stronicy książeczki o Junie B. Jones. Według mnie, niczego nie brakuje.

Pierwszym krokiem do mojego ozdrowienia jest uświadomienie sobie mojej nieświadomości, żebym cały czas pamiętała, że mój mózg myśli, że zwraca uwagę na wszystko, ale tak naprawdę zwraca uwagę tylko na prawą stronę wszystkiego i ignoruje lewą stronę. Wydaje się, że w każdej sekundzie danego dnia, zapominam, że tak jest. Skoro ta część mojego mózgu odpowiedzialna za tę świadomość wzięła sobie wolne, muszę zatrudnić inną część mózgu na stanowisko mojej opiekunki, żeby kontrolowała każdy ruch i aby

³ Gliniane figurki, z których po podlaniu wyrasta szalwia, okrywając figurkę pędami, niczym futrem.

wtrącała się za każdym razem, gdy potrzebuję wsparcia.

Słuchaj, Saro, wydaje ci się, że widzisz całą swoją twarz, ale tak naprawdę zwracasz uwagę tylko na jej prawą stronę. Jest tu jeszcze druga połówka. Nazywa się lewa. Przysięgam na Boga.

Hej, Saro, ta strona, na którą patrzysz? Czytasz tylko słowa znajdujące się po prawej stronie. A czasami tylko prawą połowę danego słowa. Naprawdę. Jest jeszcze lewa połowa. Dlatego to, co czytasz nie ma sensu. Zaufaj mi.

Dotychczas moja wewnętrzna opiekunka jest mniej niż wiarygodna, zazwyczaj w ogóle nie stawia się do pracy. Jest zwariowaną nastolatką, zauroczoną swoim chłopakiem. Chyba będę musiała wylać ją z roboty i zacząć na nowo z kimś innym.

Drugi krok, jak już stanę się świadoma mojej nieświadomości, będzie polegał na rozszerzeniu tej wiedzy na lewą stronę, na rozciągnięciu mojej koncentracji i wyobraźni poza to, co wydaje mi się teraz końcem świata i odnalezienie drugiej połowy. To, co kiedyś było automatyczne i odruchowe - widzenie świata jako całości bez żadnych szwów - jest teraz bolesnym i zamierzonym procesem wtłoczenia odłączonej lewej połowy do mojego postrzegania. Patrz w lewo. Przyjrzyj się lewej stronie. Idź w lewo. Brzmi całkiem prosto, ale jak mam patrzeć, przyglądać się i iść do miejsca, które w moim pojęciu w ogóle nie istnieje?

Bob twierdzi, że jestem w stanie zrobić wszystko, co zamierzę. Ale ma wtedy na myśli mnie sprzed wypadku. Mój umysł jest teraz zepsuty i ma gdzieś lewą stronę oraz pragnienie sukcesu mojego starego umysłu.

Nastawienie. Pięść. Walka. Dam radę.

Najdziwniejsze w tym codziennym siedzeniu przed dużym lustrem, jest patrzenie na siebie w wózku inwalidzkim. Niepełnosprawną. Nie czuję się niepełnosprawna, a - mimo to - tak właśnie wyglądam. Ale, dzięki Bogu, nie jestem przecież sparaliżowana. Moja lewa noga może się poruszać. Mięśnie, ścięgna, więzadła i nerwy w mojej nodze, wszystkie połączone i gotowe, czekają tylko na właściwe polecenie, niczym jeden z ludzików z gry Charliego - nieruchomy, dopóki nie wciśnie się właściwego przycisku. Dalej, Saro, wciśnij przycisk z literką A.

Martha wchodzi do siłowni i staje tuż za mną.

- Dzień dobry, Saro - mówi do mojego odbicia w lustrze.

- Dzień dobry.

- Sama tutaj dzisiaj zesłaś?

Znowu to samo. Tak właśnie Martha zaczyna rozmowę ze mną każdego ranka. Wiedziałam, że mnie o to zapyta, a ona zna moją odpowiedź, ale nie przerywam tej gry. To

nasz znak rozpoznawczy.

- Nie, nie sama - mówię, jak świadek na rozprawie.

- Więc jak się tu dostałaś?

Wskazuję na skruszone odbicie mamy, która stanęła za Marthą.

- A próbowałaś?

- Nie widzę powodu, dla którego miałabym marnować czas na naukę jazdy wózkiem inwalidzkim. Mam zamiar wyjść stąd o własnych siłach.

Nastawienie. Pięść. Walka.

- Ile jeszcze razy będziemy przez to przechodzić? Powinnaś wykorzystywać każdą okazję posługiwania się swoją lewą stroną.

Zanim mam możliwość odeprzeć jej argumenty, chwyta za mój fotel, okręca mnie wokół i wyprowadza z siłowni. Słyszę za nami szybko stukające o podłogę obcasy mojej mamy. Jedziemy przez korytarz mijając mój pokój i zatrzymujemy się obok wind. Martha obraca mnie.

- Dobrze, Saro, zobaczmy jak jedziesz na siłownię.

- Nawet nie chcę dotykać tego wózka.

- Zatem dzisiejszą sesję spędzisz siedząc na korytarzu.

- Dobrze, pasuje mi to.

Martha patrzy na mnie, ręce oparła na swoich szerokich biodrach, zacisnęła usta. Zagryzam zęby, żeby nie pokazać jej języka. Ta kobieta wyciąga na światło dzienne moje najgorsze cechy.

- Helen, daj mi znać, kiedy ona zmieni zdanie - mówi, odchodząc.

- Czekaj - wołam za nią. - Dlaczego nie mogę ćwiczyć posługiwania się lewą stroną podczas chodzenia w siłowni?

- Będiesz. Ale najpierw nauczysz się tego - mówi, zatrzymując się, żeby sprawdzić czy ma naprawdę odejść.

Nastawienie. Pięść. Walka. Dobrze.

- Dobrze.

Martha idzie z powrotem w moim kierunku, przy każdym kroku podskakując w swoich granatowych Crocsach. Kładzie moją lewą dłoń na kole i poklepuje ją.

- Czujesz swoją rękę? - pyta.

- Tak.

- Czujesz koło?

- Tak.

- W porządku, chodźmy. Wzdłuż korytarza. Po tej linii.

Na podłodze wymalowana jest prosta żółta linia, która biegnie przez cały korytarz, prawdopodobnie po to, by prowadzić niepełnosprawnych pacjentów, takich jak ja. Jadę wózkiem. Jadę wózkiem. Jadę wózkiem. Uderzam w ścianę. I chociaż to zdarza się nie po raz pierwszy, to jestem zaskoczona tym zderzeniem. Nie zauważyłam, że zboczyłam z żółtej linii i nie widziałam ściany dopóki w nią nie wjechałam.

- Musisz używać swojej lewej ręki, bo nie pojedziesz prosto - mówi Martha.

- Wiem - mówię tonem aż ociekającym złością, typową dla nastolatki.

Oczywiście, że o tym wiem. Rozumiem podstawy i fizyczne uwarunkowania poruszania się na wózku inwalidzkim. To nie problem. Problemem jest to, że nie mogę skupić uwagi na mojej lewej ręce, na lewym kole i na ścianie, która jest coraz bliżej mnie. Muszę od czegoś zacząć. Lewa ręka na lewym kole. Zrobione. Ale jak tylko zaczynam przesuwając prawą ręką po prawym kole, wszystko się rozpada. Bum. Koniec. Żadnych specjalnych efektów, żadnego dymu, pożegnań ani fanfar. Kiedy prowadzę wózek prawą ręką, nie tylko przestaję być świadoma tego, że nie używam już lewej ręki, ale także tracę świadomość istnienia lewej strony. Problem wydaje się nie mieć rozwiązania. I jest to takie zadanie, którego nawet nie zamierzam zaczynać rozwiązywać. Nie chcę się uczyć poruszać na wózku inwalidzkim.

Martha wycofuje i ustawia prosto wózek, na którym siedzę.

- Spróbujmy jeszcze raz - mówi.

Kładzie moją lewą dłoń na kole i poklepuje ją.

- Czujesz dłoń na kole?

- Tak.

- Dobrze, staraj się nie zapomnieć, że masz lewą rękę i trzymaj się linii.

Zamykam oczy i wyobrażam sobie swoją lewą rękę z błyszczącym diamentowym pierścieniem, spoczywającą na gumowej oponie. A potem myślę o tym, co chciałabym jej przekazać. *Droga lewa ręko, proszę prowadź ten wózek prosto.* Ale zamiast po prostu powiedzieć mojej upierścienionej ręce co ma robić, wizualizuję sobie, że mój mózg zmienia tę grzeczną prośbę w ciepłą, płynną energię i przekazuje ją połączeniom nerwowym w mojej lewej ręce. Wyobrażam sobie, że czuję tę rozkoszną ciepłą energię wypływającą z mojej głowy, w dół szyi, przez lewe ramię, po rękę i docierającą do każdego opuszka palca.

- Dobrze, Saro, jedź dalej - mówi Martha.

Moje płynne zakłęcie musi działać. Wytaczam kolejną porcję i posyłam w dół ramienia.

- Udało ci się! - mówi moja mama, a w jej głosie słychać zaskoczenie i ekscytację.

Otwieram oczy. Nie siedzę już przy windach, i nawet nie zderzyłam się ze ścianą.

Zrobiłam prawdziwe postępy. Mama kilka razy klepie się po udach i zaczyna klaskać w ręce. Jakby jej dać pompony, wyglądałaby jak cheerleaderka.

- O to chodziło - mówi Martha. - Zrób to jeszcze raz.

Patrzę na żółtą linię przed sobą. Mam jeszcze kawał drogi przed sobą. Mama skończyła klaskać, ale wciąż ma złączone przed sobą dłonie, co wygląda jakby się modliła. *Okej, Saro, zrób to jeszcze raz.* Przelewam kolejną porcję płynnej energii do ręki.

Ale chyba użyłam innego przepisu niż ostatnim razem, bo coś się zepsuło. Zjechałam z żółtej linii, odczuwam ból, ale nie mogę zlokalizować jego źródła. Podnoszę wzrok na mamę i grymas na jej twarzy mówi mi, że cokolwiek się stało, na pewno jest to bolesne. Bardzo. A potem uświadamiam sobie, że chodzi o moją lewą rękę.

- Stop. Zatrzymaj się. Ręka zaplątała ci się w koło. Czekaj - mówi Martha.

Pochyla się i powoli wycofuje wózek, wyciągając moją lewą dłoń spomiędzy szprych koła.

- Przyniosę zimny okład. Helen, proszę zawieź ją z powrotem do siłowni. Tam się spotkamy, dobrze? Spróbujemy chodzenia z asystą.

- Oczywiście - mówi mama.

Mama wiezie mnie przez korytarz w stronę siłowni i parkuje wózek przed dużym lustrem, tam gdzie już dziś byłam. Palce potwornie mnie boją, ale uśmiech nie schodzi mi z twarzy. Używałam lewej ręki i udało się prowadzić wózek. Jeśli udałoby mi się chodzić, to byłby wielki skok w każdym z moich celów.

ROZDZIAŁ 15

Siedzę w wózku inwalidzkim (nie chcę go nazywać *moim* wózkiem) przed dużym lustrem w moim pokoju i próbuję nałożyć spodnie. Próbuję już od dłuższego czasu. Trudno powiedzieć od jak dawna, ponieważ nie założyłam jeszcze zegarka. Ta część codziennych zmagañ Strong Mana, pod nazwą „Ubieranie”, nadejdzie po tym, jak wcisnę się w koszulę. Jeśli będę miała siłę.

Z jakiegoś powodu ubieranie części ciała położonych na południe od mojej talii, jest nieskończenie łatwiejsze, niż ubieranie górnej części ciała, ale i to jest nieskończenie daleko od łatwego. Całkiem samodzielnie potrafię już założyć skarpetki na obie stopy. Paznokcie na lewej stopie pomalowane mam najbardziej jaskrawym i tandetnym odcieniem czerwieni, jaki udało się znaleźć mojej mamie w drogerii. Paznokcie na prawej stopie pokryte są zwykłym bezbarwnym lakierem. Zdaję sobie sprawę, że wyglądam dziwacznie, ale w najbliższym czasie nie zanosi się na to, żebym nosiła otwarte buty. Czerwony lakier do paznokci pełni rolę dużej czerwonej flagi, podobnie jak pierścionek, pomaga mi zauważyć moją lewą stopę. A kiedy już ją widzę, mogę ją wkładać, wbijać i owijać skarpetą za pomocą prawej ręki.

Noszę także dwie różne skarpetki. Z tego samego powodu, co zdirowaty lakier do paznokci. Moi terapeuci starają się uczynić każdą lewą stronę, włącznie z moją lewą stroną, tak interesującą i wpadającą w oko, jak to tylko możliwe. Więc moja prawa skarpetka jest zazwyczaj w kolorze białym, a lewa w tęczowe paski, kropki, albo romby. Dzisiaj ma kolor zielony i wzór w renifery. Chciałabym, żeby wszystkie były Rudolfami ze świecącymi nosami.

Włożyłam już prawą stopę w prawą nogawkę spodni, jestem pochylona, piersiami dotykam gołych ud, w prawej ręce trzymam rozchylone w pasie džinsy, gotowe na przyjęcie mojej lewej stopy jak tylko uda mi się ją znaleźć. Wyglądam jakbym z siatką czaiła się na rzadki okaz motyla. Problem polega na tym, że nie potrafię robić dwóch rzeczy na raz. Albo patrzę na skarpetkę z reniferami, albo używam prawej ręki. Jak tylko zobaczę skarpetkę i próbuję ją chwycić prawą ręką, to zaraz znika.

Znowu mam reniferową skarpetkę w polu widzenia i postanawiam dać z siebie wszystko, żeby ją złapać. Wstrzymuję oddech, żeby wykrzesać z siebie siłę i determinację potrzebną do złapania nogi na łąso ze spodni. Ale nie trafiam w skarpetkę, moja cała siła i determinacja przechylają się na jedną stronę i pozbawiają mnie równowagi. Zaczynam się przewracać i spadać z wózka. Kiedy lecę przed siebie, uświadamiam sobie, że już nic nie

mogę zrobić, nie mogę nawet podeprzeć się rękoma. Moją prawą rękę wciąż zajmuje projekt związany z łapaniem lewej nogi, a któżby wiedział, gdzie podziewa się moja lewa ręka?

Mama krzyczy i łapie mnie, zanim uderzam głową o wyblakłe linoleum na podłodze. Dzięki Bogu. Ostatnią rzeczą, której pragnę, to kolejny uraz głowy. Podczas zakładania spodni.

Mama podciąga mnie do góry i opiera o wózek, chwytając moją lewą stopę i podnosi ją do góry, jakbym była szmacianą kukiełką.

- Auć, nie jestem aż tak rozciągnięta - mówię.

- Przepraszam. Oprzyj się.

- Masz mi nie pomagać.

- Jakbym ci nie pomogła, leżałabyś na podłodze.

Punkt dla niej.

- Dobrze, ale nie tak wysoko. Trzymaj tak, bo w tej pozycji ją widzę.

Wreszcie wkładam w nogawkę spodni moją reniferową stopę oraz nogę do niej dołączoną. Ociekam potem i marzę o przerwie, ale widzę swoje odbicie w lustrze - dżinsy naciągnięte do wysokości kolan i gołe ciało od pasa w górę. Muszę wracać do roboty.

Mama pomaga mi podnieść tyłek żebyśmy mogła naciągnąć spodnie. To zabiera kilka minut. Następnie szarpie za przód spodni.

- Te dżinsy są za małe - mówi.

- Wiem. Wystarczy, że zapniesz suwak.

Próbuje jeszcze raz, chrząkając przy tym, żeby wiedziała jak bardzo się stara.

- Nie mogę - mówi, patrząc na mnie, jakbym była wypchaną walizką, która nie chce się zapiąć.

- Spróbuj teraz - mówię.

Wdycham potężny łyk powietrza, starając się przyciągnąć brzuch do kręgosłupa.

- Potrzebujesz większych spodni - mówi mama, poddając się.

- Nie potrzebuję większych spodni. Muszę schudnąć.

- Chcesz jeszcze dopisać dietę do listy rzeczy, które musisz tutaj robić? Zwariowałaś.

Kupię ci większy rozmiar.

Czuję jak sprawdza rozmiar na wszytej metce. Jej zimne palce w dole moich pleców.

- Przestań.

- Saro, powinnaś zaakceptować siebie taką, jaka jesteś.

- Taka właśnie jestem. To mój rozmiar. Nie zamierzam przytyć.

- Ale już przytyłaś.

Ponownie zasysam powietrze i ciągnę za suwak. Bez efektu.

- Musisz zacząć przyzwyczajać się do tej sytuacji.

- Aha. Rozmawiamy o moich dzinsach, czy o czymś innym?

Ze wszystkich ludzi na świecie, ona nie powinna sobie rościć żadnego prawa do pouczania mnie na temat akceptowania mojej sytuacji. A kiedy ona zaakceptowała swoją sytuację? Czy kiedykolwiek zaakceptowała mnie? Nagle i niespodziewanie zalewają mnie gorące emocje. Wszystkie skomplikowane uczucia, jakie żywiłam do mojej mamy, dotychczas leżały nieruszone i niezanalizowane, pokryte grubą warstwą kurzu na stole na strychu. Nietknięte przez trzydzieści lat. A teraz poczułam, że właśnie zdmuchnęła z nich kurz, sprawiając, że każda bolesna cząsteczka emocji zaczęła mnie ranić.

- Tylko o twoich spodniach - mówi, wyczuwając moją irytację i wycofując się do narożnika.

- Nie będę nosić większego rozmiaru - mówię, drżąc z nerwów i przyjmując postawę „walcz lub uciekaj”. Ucieczka nie jest możliwą opcją.

- Dobrze.

- Dobrze.

Gapię się na odbicie mojej matki w lustrze, emocjonalne tornado wciąż nabiera we mnie mocy. Zastanawiam się, jak długo damy radę siedzieć w jednym pomieszczeniu i nie rozmawiać o wszystkich tych rzeczach, które nigdy nie zostały powiedziane. Podaje mi czarne, wsuwane buty Merrell, moje jedyne buty z gumową podeszwą, bez obcasów, sznurowadeł i sprzączek, a ja z pomocą lustra i świątecznej skarpetki, wkładam każdy z butów na właściwą stopę, nie przyjmując żadnej pomocy od mamy. Już. Dolna połowa za mną. Reniferkowe skarpetki, wsuwane buty i niezapięte obciste dzinsy.

Jakkolwiek sprawnie czy niesprawnie ubieram swoją dolną połowę (jak na przedszkolaka), zupełnie nie radzę sobie z górną połową. Wyjąwszy całkowite ozdrowienie, nie umiem wyobrazić sobie dnia, kiedy będę wiedziała, jak samodzielnie założyć sobie stanik, tak jak to robiłam każdego dnia odkąd skończyłam trzynaście lat. Lewe ramię przez lewe ramiączko, lewy cycek do lewej miseczki. Nie wspominając już o zapięciu z tyłu. Mój biedny, chory mózg cały się zapętla, jak akrobata cyrkowy, próbując sobie tylko wyobrazić, na czym polega cała procedura. Powinnam przynajmniej spróbować samodzielnie przejść przez wszystkie etapy ubierania, ale jeśli idzie o stanik, przestałam sobie zawracać tym głowę. Zakłada mi go mama i nie przyznajemy się do tego przed terapeutami.

Trzyma jeden z moich białych staników Victorias Secret. Zamykam oczy, nie chcąc patrzeć na upokarzające ręczne manewry przy wkładaniu moich cycków do miseczek stanika.

Ale nawet z zamkniętymi oczami, czuję na skórze jej zimne palce, a ponieważ nie mogę powstrzymać się od myślenia o tym, co robi, dopada mnie ponizenie, zajmuje miejsce i wygodnie się rozsiada. Tak jak każdego dnia.

Kiedy jest już po wszystkim, przychodzi kolej na koszulę. Dzisiaj jest biała, obszerna, zapinana z góry na dół, na wzór męski. Ze względną łatwością wkładam prawą rękę do właściwego rękawa, ale zdaję się na mamę przy lewym. Nie potrafię nawet opisać tego słowami, że znalezienie lewego rękawa lewą ręką jest poza moim wyobrażeniem, a co dopiero możliwościami. Kończy się tym, że wyrzucam lewą rękę wysoko w górę, jakbym siedziała w klasie szkolnej i chciała zadać pytanie, zupełnie pomijając lewy rękaw. Albo udaje mi się prawą ręką znaleźć i chwycić lewy rękaw, ale kiedy próbuję włożyć go na lewą rękę, w jakiś sposób kończy się to tym, że ściągam koszulę przez głowę. Nawet wyrażenie „lewa ręka w lewy rękaw” sprawia, że mój mózg wpada w takie zawirowania, że aż kręci mi się w głowie. Czyste szaleństwo.

Siedzę więc w wózku inwalidzkim, ubrana od pasa w dół, z rozpiętą koszulą, nieprzykrywającą stanika i brzucha przypominającego ciasto na pizzę i boję się tego, co powinnam teraz zrobić.

Zapinanie guzików.

Wyobrażam sobie, że zapinanie guzików koszuli dla człowieka z zespołem pomijania jednostronnego i tylko prawą ręką, wymaga takiej samej niepodzielnej, skomplikowanej, zapierającej dech koncentracji, jakiej potrzeba do rozbrajania bomby. Skończyłam zapinać trzeci z pięciu guzików, które mam zamiar zapiąć i jestem totalnie wykończona. W lustrze zauważam Heidi, zanim zaczynam z czwartym i głęboko oddecham, pozbywając się nagromadzonego napięcia. Trzy wystarczą.

- Dobra robota - mówi Heidi z podziwem.
- Dzięki - odpowiadam z prawdziwą dumą.
- Ale czemu, do licha, to założyłaś? - pyta.
- Co masz na myśli?
- Dlaczego założyłaś koszulę zapinaną na guziki?
- Ponieważ powinnam korzystać z każdej okazji stymulowania swojej lewej strony? - pytam, cytując Marthę i sądząc, że to pytanie jest rodzajem sprawdzianu.
- W granicach rozsądku. Myśl praktycznie.
- Więc nie powinnam tego zakładać? - pytam.
- Ja bym nie zakładała. Wszystkie ubrania zapinane na guziki spakowałabym w cholere i nosiła tylko pulowery.

Przypominam sobie swoją szafę pełną zapinanych na guziki koszul, koszul, które noszę do pracy.

- Na jak długo?

- Na teraz.

W głowie przeprowadzam inwentarz koszul wiszących w szafie - Armani, Donna Karan, Grettacole, Ann Taylor - eleganckie, stylowe, drogie, profesjonalne, wszystkie na guziki. A ta lista nawet nie zawiera tego, co prawdopodobnie wisi w szafie po lewej stronie. Heidi wyczuwa moje wahanie w przyjęciu zaproponowanego przez nią rozwiązania.

- To tak jak wtedy, gdy urodził się Ben i miał potworny refluks. Przez wiele miesięcy miałam na ramionach, z przodu i na plecach ślady po tym, jak mu się ulewało. To było okropne. Przez prawie rok musiałam przestać nosić wszystkie koszule i swetry, które trzeba było oddawać do pralni chemicznej. Za pranie zapłaciłabym fortunę, a poza tym jeździłabym tylko do pralni i z powrotem. Nosiałam tylko rzeczy z bawełny nadającej się do prania w pralce. Nie na zawsze. To był tylko pewien okres w moim życiu. Dla ciebie nadszedł czas na odłożenie na bok zapinanych na guziki koszul.

Obie patrzymy w lustro,

- Szczerze mówiąc nie jest to także czas na spodnie zapinane na zamek - mówi.

Dociera do mnie, że sugeruje mi nie tylko pożegnanie z moimi pięknymi koszulami do pracy, z moimi dżinsami i spodniami, ale także to, że powinnam się przebrać. Powinnam zdjąć koszulę i dżinsy, co także oznacza zdjęcie butów i zaczęcie od samego początku, tym razem z inną garderobą. Nie chcę nawet słuchać tego rodzaju propozycji. Zaczynam płakać.

- W porządku. Rozumiem, że i bez tego twój dzień jest ciężki, prawda?

Potakuję i płaczę.

- Dobrze. Zatem dokonajmy prostych poprawek tam, gdzie się da. Bluzki zakładane przez głowę. Spodnie na gumce.

Nasze spojrzenia przesuwiają się w stronę mojej mamy, która jest ubrana w czarne, syntetyczne spodnie na gumce i bezkształtny sweter. Płaczę jeszcze bardziej.

- Wiem. Wiem, że zawsze wyglądałaś bardzo elegancko. Ale sądzę, że powinnyśmy przekładać niezależność ponad modę. Vogue będzie chciało zrobić ci sesję fotograficzną.

Bardzo śmieszne.

- Wydaje ci się, że lubię buty Crocs? - pyta, wysuwając do przodu jedną nogę w gumowym bucie. - Uwierz mi, wolałabym raczej nosić buty od Jimmy Choo, ale te są o wiele bardziej praktyczne i sprawdzają się przy tym, czym się tutaj zajmuję.

Heidi podaje mi chusteczkę.

- Ale jeśli staram się wrócić do zdrowia w stu procentach, to czy nie powinnam ćwiczyć tego, co umiałam robić przed wypadkiem?

- Mam nadzieję, że tak się stanie, Saro. Mam nadzieję, że wyzdrowiejesz w stu procentach. Jednak może być inaczej. Zamiast koncentrować się tylko na wyzdrowieniu, powinnaś się także skupić na polepszeniu sobie życia takiego, jakie jest teraz.

Przyzwyczaiałam się do słuchania i ignorowania tego rodzaju defetystycznych, negatywnych rad Marthy i nie wierzę, że słyszę je teraz od Heidi, mojej sojuszniczki, mojej przyjaciółki.

- Wiem, że trudno to zaakceptować, ale tylko ci pomoże jeśli przywykniesz do tej myśli.

Znowu to samo. Zaakceptuj sytuację. Czy ona i moja mama razem piły tę samą lemoniadę? Zaakceptuj.

Przystosuj się. Te słowa zupełnie mi nie leżą. Tak naprawdę myślę o nich tylko i wyłącznie przez pryzmat innych słów. *Poddaj się. Przegraj. Wycofaj się.* Zaakceptuj i przystosuj się. Poddaj się. Wycofaj się.

A co z plakatem? Nastawienie. Pięść. Walka. Zaciskam dłoń i pociągam nosem.

- Więc mówisz, że mam zacząć od początku? - pytam odnośnie do tego, w co jestem ubrana.

- Nie, oczywiście, że nie. Ale na jutro, Helen, przynieś coś łatwiejszego, dobrze?

- Dobrze - mówi moja mama.

- Czy coś jeszcze zostało do ubrania? - pyta Heidi.

- Zegarek.

Mama podaje Heidi mój zegarek od Cartiera, a Heidi daje go mnie. Ale zamiast rozpocząć długotrwały proces zakładania, porównuję go z zegarkiem na nadgarstku Heidi. Ten jej jest różowy, plastikowy w stylu sportowym, elektroniczny i bez sprzączki. Ma kształt litery C i wydaje się, że tylko opasuje nadgarstek, jak podkowa wrzucona na palik. Mam pomysł.

- Chcesz się wymienić? - pytam, jakbyśmy byli w podstawówce, a ja oferowałabym jej moją kanapkę z tuńczykiem, w zamian za jej masło orzechowe.

- Nie, Saro, twój jest...

- Zbyt skomplikowany - mówię.

- Drogi - mówi ona.

- Codziennym źródłem nerwów. Musiałabym skończyć politechnikę, żeby rozpracować zapięcie.

- Nie mogę - mówi, ale widzę, że zaczyna rozważać moją propozycję. - Ten kosztuje jakieś trzydzieści dolarów. Twoja mama albo Bob mogą ci taki zamówić.

- Tak, ale chcę go mieć już teraz. Zapomniałaś, co przed chwilą mówiłaś? Zaakceptuj i przystosuj się. Sądzę, że w moim życiu nadeszła pora na różowy, plastikowy zegarek.

Jej oczy się śmieją.

- Okej, ale powiedz mi, jak będziesz chciała go z powrotem.

- Umowa stoi.

Heidi zastępuje mój zegarek od Cartiera z platyny wysadzanej diamentami, swoim różowym plastikowym. Trzymam za krawędź paska prawą ręką, znajduję mój pierścionek z brylantem i jednym szczęśliwym ruchem zakładam jej zegarek na swój lewy nadgarstek. Odczytuję nawet godzinę. 11:12. Mama klaszcze.

- Super, Saro, on jest świetny - mówi Heidi, podziwiając nowy nabytek. - Jesteś tego pewna?

Do głowy przychodzą mi wszystkie te męczące minuty, których sobie zaoszczędziłam.

Zaakceptuj i przystosuj się.

Poddajesz się. Przegrasz. Wycofasz się.

Nastawienie. Pięść. Walka.

- Jestem pewna. Ale nieważne, co powiesz i jak bardzo będę musiała się wysilać, nigdy nie poproszę o twoje Crocsy.

Śmieje się.

- Umowa stoi.

Nie martw się, nie poddaję się, mówię mojej skonfliktowanej części osobowości. Czasami po prostu jestem zbyt wykończona, żeby walczyć.

ROZDZIAŁ 16

Do mojej listy zajęć rehabilitacyjnych dodano medytację, która może, ale nie musi, pomóc mi w powrocie do starego życia. Więc medytuję. A raczej, staram się. Nigdy nie miałam żadnych skłonności do medytacji, a co więcej, nie potrafię sobie wyobrazić nikogo, kto by miał. Według mnie, medytacja to jedno wielkie nicnierobienie. Ja zawsze coś robię. Każda sekunda każdego mojego dnia, wypełniona jest rzeczami, które muszę zrobić. Mam pięć minut? Wyślę email. Przeczytam informację ze szkoły. Załaduję pranie do pralki. Pobawię się z Linusem w chowanego. Mam dziesięć minut? Oddzwonię. Zapiszę główne punkty, które poruszę na zebraniu. Przeczytam ocenę efektywności zespołu. Poczytam Lucy. Siedzenie z zamkniętymi oczami i oddychanie bez planowania, organizowania i realizowania czegoś? To nie dla mnie.

Nawet kiedy wyobrażam sobie kogoś, kto medytuje, to ta osoba w niczym mnie nie przypomina. Najczęściej jest to stary, łysy mnich buddyjski, siedzący na bambusowej macie, w jakiejś starożytnej świątyni, gdzieś w Tybecie. Ma zamknięte oczy, twarz mądrą

i łagodną, jakby poznał sekret wewnętrznego spokoju. I chociaż podziwiam to, że mój wymyślony mnich posiadał umiejętność wprawiania się z stan zadowolenia, to założyłabym się o moją prawą stronę, że nie ma trójki dzieci, dwóch kredytów hipotecznych i czterech tysięcy konsultantów pod sobą,

Ale teraz nie mam swoich emaili, telefonów, informacji ze szkoły ani prania do zrobienia (brak prania jest jedną z zalet przebywania w szpitalu rehabilitacyjnym), poza tym nie ma tu dzieci. Baldwin nie jest buddyjską świątynią, ale ja wciąż jestem łysawa i mam mnóstwo czasu. Ponadto zaczęłam się obawiać, że zbyt dużo telewizji w ciągu dnia, może mieć zgubne skutki dla reszty mojego mózgu. Zatem postanowiłam spróbować medytacji.

Heidi mówi, że to pomoże mi polepszyć koncentrację, która z pewnością mi się przyda. Przed wypadkiem mogłam się skupić co najmniej na pięciu rzeczach na raz. Byłam geniuszem wykonywania wielu rzeczy w tym samym czasie i miałam aż nadmiar mocy przerobowej w mózgu. Jeśli koncentrowanie się na pięciu rzeczach przed wypadkiem pochłaniało pięć galonów paliwa, jeden galon na jedną czynność, to teraz potrzebuję czterech galonów paliwa mózgowego po to tylko, by uświadomić sobie istnienie lewej strony, co pozostawia tylko jeden galon paliwa, wystarczający na to, żeby skupić się na tylko jednej rzeczy. A potem paliwo się wyczerpuje. Więc przydałaby mi się lepsza koncentracja. Medytacja ma mi także pomóc obniżyć ciśnienie krwi i poziom lęku, które są niezdrowo i bezproduktywnie wysokie.

Zaczynam więc. Zamykam oczy.

Wdech. Wydech. Skupiam się na oddechu. Oddycham. Nic więcej. Skupiam się. Oddycham. Och, muszę pamiętać, że mam powiedzieć mamie, żeby podłożyła Linusowi kilka koców pod materac, żeby mu się łatwiej oddychało. Bob mówi, że ma straszny katar. Nienawidzę jak dzieci są chore, a jeszcze nie umieją wydmuchać nosa. Ile lat miała pozostała dwójka, kiedy się nauczyła?

Biedny Linus. Pewnie będzie chorował przez cały czas, od teraz aż do maja. Przysięgam, że jak tylko wyjmujemy zimowe płaszcze z szaf, ktoś w domu musi być chory. Wszystkie te dzieci w szkole i żłobku łapią od siebie katar i kaszel, bo biorą do buzi te same zabawki, wycierają katar w rękaw, a potem dotykają się nawzajem zasmarkanymi rękami, dotykają ustami kranu z wodą, dzielą się zabawkami, smakołykami i wirusami. Ohyda.

Biedny Linus. Powinnam jeszcze powiedzieć mamie, żeby odkręciła kurek z gorącą wodą i zabrała Linusa do łazienki, aby mógł pooddychać parą wodną. To mu pomoże. Tęsknię za naszym prysznicem. W tym tutaj praktycznie nie ma żadnego ciśnienia i gorąca woda szybko się kończy

Tęsknię za naszymi ręcznikami. Grubymi, miękkimi, luksusowymi, z tureckiej bawełny. I niebiańsko pachnącymi, szczególnie zaraz po suszeniu. Te tutaj są cienkie, sztywne i przesiąknięte zapachem chemicznego wybielacza. Powinnam poprosić Boba, żeby przyniósł mi jeden ręcznik kąpielowy.

Czekaj. Co ja robię? Przestań myśleć o ręcznikach kąpielowych. Przestań myśleć. Spokój. Oddychaj. Skup się na oddechu. Medytuj. Ciężko mi idzie. Wszystko mi ciężko idzie. Nie pamiętam, abym kiedykolwiek wcześniej tak się starała i nie robiła postępów. Nic mi się nie udaje. Przegrywam. Nie akceptuję i nie przystosowuję się. Nie chcę, aby Bob zobaczył jak przegrywam. Albo w pracy. Czy będą mnie tolerować, jeśli nie wyzdrowieję i nie wrócę do takiej samej formy jak przedtem? Praca mnie nie przyjmie, jeśli nie wyzdrowieję. Nie obwiniam ich. Ja też bym siebie nie przyjęła.

A co z Bobem? Czy on mnie przyjmie? Oczywiście, że tak. Byłby prawdziwym dupkiem, gdyby zostawił swoją żonę z urazem mózgu. Ale on nie zasługuje na żonę z urazem mózgu. Poślubił partnerkę, nie kogoś, kogo trzeba ubierać, komu trzeba usługiwać i kim trzeba będzie opiekować się do końca życia. Nie pisał się na to. Będzie dźwigał ten krzyż i będzie mnie nienawidził. Będzie uziemiony przy żonie z urazem mózgu, którą trzeba się opiekować i będzie nieszczęśliwy, wykończony i samotny. I będzie miał romans. A ja nie będę go o to winić.

Stop, czy ja w ogóle mogę teraz uprawiać seks? Chyba mogę. Powinnam móc. Wszystkie niezbędne części ciała mam po środku na dole. Dzięki Bogu, nie muszę szukać swojej lewej pochwy. Ale czy Bob będzie kiedykolwiek chciał kochać się ze mną w takim stanie? Czasami ślinię się z lewej strony ust i nawet o tym nie wiem. To rzeczywiście atrakcyjne. I nie mogę ogolić lewej pachy ani lewej nogi. Jestem zaślinionym, włochatym stworem, który nie potrafi chodzić. A Bob i ja rzadko kiedy uprawialiśmy seks, zanim jeszcze do tego doszło. Co teraz będzie? Co, jeśli zostanie ze mną z poczucia obowiązku i nigdy już nie będziemy się kochać?

Przestań, Saro. Skończ z tym negatywnym myśleniem. To ci nie pomaga. Myśl pozytywnie. Może przeciętna osoba nie zdrowieje, albo nawet większość osób nie zdrowieje, ale niektórzy tak. Ty też dasz radę. Pamiętaj - nastawienie. Walka. Polepszy ci się. To jest możliwe. Nie poddawaj się. Oddychaj. Skoncentruj się. Oczyść swój umysł.

Masz, rację. Oddychaj. Skup się. Oddychaj. Kogo ja okłamuję. Daleko do poprawy. Poprawa to maleńka wioska, zagubiona gdzieś w puszczy amazońskiej, a ja nie mam żadnej mapy. Muszę mieć szczęście, żeby do niej dotrzeć. Muszę mieć szczęście, żeby dotrzeć dokądkolwiek. Nie umiem nawet chodzić. Linus jest bardziej sprawny niż ja. Bob mówi, że

umie już okrążyć ławę. A ja cały czas podciągam się na drążkach przy Marcie, która komenderuje każdym moim ruchem, Linus zacznie chodzić przede mną, a mnie nie będzie w domu, kiedy postawi swoje pierwsze kroczki. Nie żebym była przy tym jak Charlie i Lucy stawiali swoje. Byłam wtedy w pracy. Ale mimo wszystko. Chcę do domu.

Przestań myśleć! Masz medytować. Na razie nie idziesz do domu. Nigdzie nie idziesz i niczego nie musisz robić. Masz być tutaj. Oddychać. O niczym nie myśleć. Biała ściana. Wyobraź sobie białą ścianę. Oddychaj. Czyż nie marzyłaś zawsze o tym, żeby mieć czas na relaks i złapanie oddechu?

Tak, ale nie marzyłam o tym, żeby doznać urazu mózgu, aby mieć okazję posiedzieć i pomyśleć o niczym w samym środku dnia. To trochę za duża cena za mały relaks, nieprawdaż? Lepiej by było, gdybym pojechała do spa na weekend.

Saro, znowu zbaczasz ze ścieżki. Wszędzie cię pełno.

Czy to właśnie dolega Charliemu? Założę się, że tak. Bob poszedł z nim wczoraj do lekarza, beze mnie.

Ciężko mi było, że nie mogłam być tam z nimi. Nie mogę wierzyć, że został poddany testom na zaburzenia uwagi. Proszę, niech mu tego nie zdiagnozują. Ale, z drugiej strony, chciałabym, żeby to zdiagnozowali. Przynajmniej mielibyśmy odpowiedź na to, dlaczego tak słabo sobie radzi. A jeśli to zaburzenia uwagi, to przynajmniej moglibyśmy dla niego coś zrobić, zamiast cały czas wydzierać się na niego. Tak, ale to coś, to podawanie mu leków. Będziemy go narkotyzować, żeby mógł się skupić. Nawet nie chcę o tym myśleć.

Halo? Nie myśl o tym. Masz nie myśleć o niczym. Przestań myśleć.

Przepraszam.

Nie przepraszaj. Bądź cicho. Wyłącz się. Wyobraź sobie, że się wyłączasz.

Masz rację. Przestań myśleć. Oddychaj. Wdychaj. Wydychaj. Dobrze. Wdychaj. Wydychaj. Dobrze, udaje mi się. Tak trzymać.

Okej, przestań sobie kibicować. Nie jesteś swoją matką.

Dzięki Bogu. Jak długo zamierza tu jeszcze zostać? Po co tu przyjechała? Nie ma swojego życia na Cape Cod? Pewnie nie. Zrezygnowała ze swojego życia, kiedy Nate miał sześć lat i utonął w basenie sąsiadów. Więc dlaczego tak nagle zapragnęła być częścią mojego życia? Nie może ni z tego, ni z owego zdecydować, że będzie moją matką i zacznie mnie zauważać po wszystkich tych latach. Gdzie była wtedy, gdy jej potrzebowałam? Nie, miała już swoją szansę na to, żeby być moją matką, kiedy jej potrzebowałam. Ale teraz też jej potrzebuję. Ale nie na zawsze. Jak tylko mi się polepszy, przestanę jej potrzebować i będzie mogła wrócić na Cape, gdzie jest jej miejsce, i znowu będziemy mogły przestać się

potrzebować. I tak będzie lepiej dla wszystkich.

Otwieram oczy. Wzdycham. Biorę pilota i włączam telewizor. Zastanawiam się, kto jest dziś gościem u Ellen.

ROZDZIAŁ 17

Jest dopiero po dziesiątej, a ja już mam zły dzień.

Kika minut temu próbowałam dodzwonić się do Boba, ale nie odbierał. Zastanawiam się czy wie.

Jestem w siłowni, siedzę przy stole z grami i układankami i zajmuję się przekładaniem czerwonych plastikowych koralików z białej miseczki, stojącej po mojej prawej stronie, do niewidocznej miseczki, stojącej po mojej lewej stronie, za pomocą łyżki trzymanej lewą ręką. Moja prawa ręka jest zgięta w łokciu i unieruchomiona na temblaku. Terapia polegająca na krępowaniu mnie, ma pomóc zwalczyć chęć używania prawej ręki, a skoro wyeliminowaliśmy konkurencję, mam się czuć pewniej w wyborze lewej ręki. Ale przede wszystkim, czuję się jak kobieta bez rąk.

Jeszcze zanim musiałam zmierzyć się z terapią kaftana bezpieczeństwa, czułam się źle i miałam podcięte skrzydła. Po spotkaniu, jakie dziś rano odbyli moi lekarze i terapeuci, bez mojego udziału, postanowiono, że za trzy dni zostanę wypisana do domu. Właściwie decyzja nie została podjęta przez nich, a została narzucona z góry, bez zapoznania się ze sprawą. Mój ubezpieczyciel wyliczył długo przed moim wypadkiem, poprzez jakieś analizy kosztów, podobne do tych, jakie są obliczane dla różnych firm przez konsultantów z Berkley w arkuszach Excela, że zostanę wypisana do domu za trzy dni. Z góry postanowiono, opierając decyzję na tym, gdzie wypadło przecięcie dwóch zmiennych: taryfy opłat oraz kodu mojej choroby, dodając tylko maleńki margines na to, czy w tym czasie osiągnę postępy czy też nie. A może zostało to postanowione jeszcze wcześniej, kiedy Wenus przecięła gwiazdozbiór Skorpiona. Nieważne czy to za sprawą anonimowego biurokraty, czy zdarzenia mistycznego, mój los został przypieczętowany. Za trzy dni wychodzę do domu.

Kiedy zespół medyków, uzbrojony w super radosne głosy i teatralne maski na twarzach, ogłaszał mi tę dobrą wiadomość, siedziałam cicho, wstrząśnięta, nie wyrażając żadnych emocji. Siedzę na rehabilitacyjnym łóżku, przebywam w rehabilitacyjnym szpitalu, daję z siebie wszystko podczas sesji rehabilitacyjnych i cały czas myślę, że pozostanę tu do czasu, aż zostanę wyleczona. Okazuje się, że nigdy nie było takiej możliwości. Cóż za naiwność z mojej strony.

Właśnie tego dowiedziałam się dziś rano. Normalnie w szpitalach rehabilitacyjnych, jeśli stan pacjentki się pogarsza, pacjentka zostaje. Wszyscy mówią: *Musimy ją uratować*. Ewentualnie, jeśli pacjentka czyni znaczące postępy prowadzące do ozdrowienia, pacjentka

zostaje. Każdy z nadzieją powtarza: *Możemy jej jeszcze pomóc*. Przyspieszenie w dowolną stronę, z górki czy pod górkę, oznacza dalszą rehabilitację. Ale stagnacja, mile płaskiego łądu aż po sam horyzont, oznaczają, że pacjentka zostaje wypisana do domu. Każdy się z tym zgadza: *Nie marnujmy czasu. Nie da się jej pomóc*, jeśli droga do zdrowia prowadzi przez równinę, ubezpieczyciel przestaje płacić za leczenie, co okazuje się być taką samą przeszkodą na drodze, jak góra, na którą próbuję się wspiąć.

Powinam być podekscytowana. Za trzy dni wychodzę do domu. W samą porę na rocznicę ślubu i Boże Narodzenie. Wychodzę do domu. Modliłam się o ten dzień. Powinam odczuwać satysfakcję. Ale zamiast tego, żołądek ściskają mi przerażenie i niepewność i czuję się tak, jakbym miała wymiotować. Skończyli ze mną. Moja firma ubezpieczeniowa postanowiła, że wysiłek, jaki wkładam w rehabilitację w szpitalu już nie jest opłacalną inwestycją. *Nie da się jej pomóc*.

Nie może tak być. Na pewno zasługuję za więcej. Umiem samodzielnie chodzić, ale z trudnością i tylko wtedy, gdy podpieram się laską, którą mi dali. Laska, którą dostałam pochodzi z wyposażenia szpitalnego, jest stalowa i babcina, z rodzaju tych z czterema nóżkami, pokrytymi gumą. Na miłość boską, moja laska nosi Crocsy. Beznadziejnie. Nie ma w niej niczego subtelnego. To laska, która aż krzyczy: *Patrzcie, mam poważny uraz mózgu!* Nienawidzę jej i chcę nauczyć się chodzić bez niej.

Ciągle nie potrafię przeczytać lewej strony tekstu bez wielu poprawek, podpowiedzi i przypominania, że mam korzystać z mojej czerwonej zakładki w kształcie litery L. *Przyjrzyj się lewej stronie, znajdź lewy margines, podążaj za czerwoną zakładką*. Ciągle nie potrafię się sama ubrać. Potrzebuję pomocy w myciu zębów i pod prysznicem. Więc jak mam się zająć dziećmi i domem? Jak mam wszystko ogarnąć? Bez profesjonalnego wsparcia nie potrafię nawet wypuścić łyżki, którą trzymam w lewej ręce. Chciałabym, żeby analityk ubezpieczeniowy, który określił długość mojego pobytu w szpitalu, przyszedł tutaj i spojrzał mi prosto w oczy. Ja wycelowałabym łyżkę prosto w jego głowę i spytała: Czy według ciebie wyglądam na wyleczoną?

Martha wyjaśniła mi, że w domu będę kontynuowała ćwiczenia za pomocą technik poznanych w szpitalu. Heidi zapewniła mnie, że będą do mnie przychodzili terapeuci, pracujący z pacjentami poza szpitalem. Dr Nelson, ten, który nadzoruje moje postępy, powiedział: *Mózg to niezwykła rzecz. Nigdy nic nie wiadomo*. Musiał skończyć studia medyczne, żeby się o tym dowiedzieć.

Nic z tego, co do mnie mówią, nie brzmi optymistycznie. Wszystko jest raczej mętne i spychające problem na dalszy plan, mniej intensywne, mniej zaangażowane, bez wiary w

dalsze postępy. Odbieram to tak, jakbym już nie znajdowała się na drodze do ozdrowienia. Jakbym zamiast tego, dostała się na powolną, gównianą drogę objazdową, która prowadzi gdzieś do położonego na zadupiu, zatłoczonego budynku, gdzie każdy już spisał mnie na straty.

Żołądek mi się skręca. Tracę koncentrację i rozsypuję pełną łyżkę czerwonych koralików. Koraliki podskakują, toczą się i spadają ze stołu. Kiedy słucham, jak rozsypują się po pokrytej linoleum podłodze i rozważam wysypanie kolejnej łyżki, skręcanie i ściskanie zmienia się w kwaśną złość, przewiercającą się przez mój żołądek, wsiąkającą w każdą moją komórkę. Czuję jak mnie pali, nawet w lewej ręce. Mam ochotę rzucić łyżką, ale nie potrafię zwolnić swojego uścisku kung-fu, więc - na odwrót - ściskam łyżkę najmocniej jak potrafię i czuję, że paznokcie wbijają się w miękką skórę dłoni. To boli, i może nawet pojawiła się krew, ale nie potrafię odgiąć ręki, żeby to sprawdzić.

- Nie będę tego robić. Chcę wrócić do swojego pokoju.

- W porządku. Nabierz jeszcze jedną łyżkę. Świetnie ci idzie - mówi Martha.

Jaki w tym sens? Co może zmienić to śmieszne ćwiczenie? Dlaczego nie miałabym pójść do domu już dzisiaj? Co wskóram siedząc w tym więzieniu jeszcze przez trzy dni? Nic. Już postanowione. *Nie da się jej pomóc.*

Twarz mam zaczerwienioną i spoconą, oczy wypełniają mi gorące łzy. Chcę je otrzeć, ale moja prawa ręka jest unieruchomiona, a najlepsze, czego mogłabym oczekiwać od lewej ręki, to dźgnięcie łyżką prosto w oko.

- Chcę wrócić do pokoju - mówię, łamiącym się głosem.

- No dalej, najpierw to skończ. Dasz radę.

- Ale nie chcę. Źle się czuję.

- Nie najlepiej wygląda - mówi moja mama.

- Co cię boli? - pyta Martha.

- Żołądek.

Martha sprawdza, która godzina.

- Już prawie pora na obiad. Myślisz, że poczujesz się lepiej, jak coś zjesz?

Nie, nie sądzę, żeby gówniany obiad ze stołówki mógł mi pomóc.

Wzruszam ramionami.

Martha jeszcze raz zerka na zegarek.

- W porządku, może przez resztę czasu, jaki nam został, wróciłabyś do pokoju z pomocą łaski i swojej mamy, a ja pójde po wcześniejszy obiad dla ciebie? Spotkamy się u ciebie.

Świetnie. Kolejnych dwadzieścia minut spędzę na kuśtykaniu po korytarzu, co normalnie powinno mi zająć jakieś trzydzieści sekund.

- Helen, pomożesz jej zdjąć temblak i zaprowadzisz do pokoju?

- Oczywiście - mówi mama.

Martha patrzy na moją rękę, ściskającą łyżkę.

- Przyniosę ci zupę.

Mama uwalnia moją prawą rękę, podaje mi babciną laskę i ruszamy w drogę powrotną do pokoju. Nie mam już pozytywnego nastawienia. Nie myślę już o pięści. Ani o walce. Nie interesuje mnie akceptowanie i przystosowanie. Mam niewyleczony uraz mózgu i brak nadziei na poprawę. Kiedyś żyłam pełnią życia i odnosiłam sukcesy. A teraz co mi zostało? Babcina laska w jednej ręce i łyżka w drugiej. I trzy dni.

- Nie rozumiem, co się stało, Saro - mówi moja mama.

Wróciłyśmy już do pokoju, mama siedzi na swoim krześle, ja jestem w łóżku.

- Już w porządku - mówię.

- To świetnie. To znaczy, że nie potrzebujesz opieki medycznej.

- Wiem.

- Zobaczysz, w domu będzie ci dużo lepiej.

- Uhm.

Czekam na chwilę, kiedy będę się żegnała z tym miejscem. Za trzy dni minie pięć tygodni mojego pobytu i nigdy nie chciałam tu zostać ani sekundę dłużej niż musiałam. Nie będę tęsknić za niewygodnym łóżkiem, słabym prysznicem, szorstkimi ręcznikami, mdłym jedzeniem, wszechobecnym zapachem dezynfekującego mydła do rąk, siłownią, załosnym widokiem z okna na więzienie, Martha. Przede wszystkim nie będę tęskniła za strasznymi, nocnymi szpitalnymi hałasami, które budzą mnie każdej nocy i nie pozwalają zmrużyć oka, ani się uspokoić - jękami wywołanymi bólem nie do zniesienia, dzikimi wrzaskami kogoś, komu przyśnił się koszmar, prawdopodobnie związany z makabrycznym wypadkiem, który go tutaj sprowadził, wyciem kojota, docierającym z pokoju młodej matki, pozbawionej mowy i swojego nowo narodzonego dziecka, ogłoszeniami docierającymi przez interkom, wzywającymi personel do nagłego wypadku, niosącymi za sobą niewypowiedziane i mrozące krew w żyłach przesłanie, że ktoś - może ktoś w pokoju obok, może ktoś z takim samym jak mój urazem mózgu - właśnie umarł. Nie, w ogóle nie będę tęsknić za tym miejscem.

Ale wyjście stąd wyobrażałam sobie na innych zasadach. W scenie, którą wyreżyserowałam sobie w myślach, moje odejście stąd wyglądałoby tak: ze łzami radości w

oczach, przytulam każdego z członków zespołu terapeutów, dziękując mu za wkład w moje całkowite ozdrowienie i obiecuję, że pozostanę w kontakcie. Następnie, przy dźwiękach muzyki z „Rydwanów ognia”, machając na pożegnanie lewą ręką, oddalam się korytarzem, idąc pewnym krokiem, bez laski, oklaskiwana przez zgromadzonych terapeutów, fizykoterapeutów i pacjentów. Personel nie posiada się z radości i dumy, pacjenci przepełnieni są nadzieją, a ja jestem inspiracją dla nich wszystkich. W końcu korytarza otwierają się automatyczne drzwi, a ja wychodzę przez nie na spotkanie rześkiego, słonecznego dnia. Wychodzę na wolność i do mojego starego życia.

Dla wygody zapominając o tym, że mój samochód poszedł do kasacji, wyobrażam sobie jak odjeżdżam do domu swoją Acurą. A teraz siedząc w szpitalnym pokoju, wiedząc, że zostały mi jeszcze tylko trzy dni terapii, niezależnie od siebie ściskając łyżkę w lewej ręce, czekając na Marthę, która ma mi przynieść zupę, wyczerpana po żenująco krótkiej wyprawie wzdłuż korytarza, którą odbyłam przy pomocy babcinej laski, czuję niedorzeczność i śmieszność moich naciąganych fantazji i wyobrażeń,

- Dalej będę ci pomagała w terapii - mówi moja mama.

Nie jest to ani propozycja, ani pytanie. To założenie, wyciągnięty wniosek. Patrzę na nią, starając się ją zrozumieć. Ma na sobie czarne spodnie na gumce, które wetknęła w czarną podróbkę butów Ugg, biały dziergany sweterek, okulary w czarnej oprawce, zwisające kolczyki z czerwonym motywem świątecznym i szminkę pod kolor. Pod makijażem, mimo upływającego czasu, wciąż widzę w niej młodą kobietę, którą kiedyś była, ale nie mam pojęcia jak wyglądała pomiędzy tym, co kiedyś a tym, co teraz.

Pamiętam brzoskwiniowo-różowy odcień różu, który nakładała na swoje piegowate kości policzkowe, jej ulubiony zielony cień do powiek, kosmyki jasnych włosów za jej uszami, które zawsze wymykały się z jej długiego końskiego ogona, pamiętam, jak drgał jej nos, kiedy się śmiała, błysk w jej jasnoniebieskich oczach, zapach jej szminki (z dodatkiem Marlboro Lights lub gumy Juicy Fruit), który zostawał na mojej buzi, kiedy mnie całowała.

Jestem prawie pewna, że przestała się malować i zajmować swoją fryzurą po tym, jak Nate się utopił. Wiem, że skończyły się wtedy śmiech, od którego drżał jej nos i pachnące pocałunki. Ale nie za dobrze pamiętam, jak wyglądała lub jak się zmieniła po 1982 roku. Kiedy zrobiły jej się kurze łapki? I jak to możliwe, żeby je mieć, kiedy człowiek nigdy się nie śmieje ani nie wychodzi z domu? Kiedy zaczęła siwieć i kiedy skróciła włosy? Kiedy zaczęła nosić okulary? Kiedy rzuciła palenie? Kiedy zaczęła znowu używać szminki?

Nie wyobrażam sobie, żeby ona miała jakieś wspomnienia dotyczące mnie, na przykład jak wyglądałam i jak zmieniałam się po 1982 roku. W ciągu ubiegłego miesiąca nie

poświęciła nawet jednej z tysiąca nudnych minut na to, by przywołać jakieś nostalgiczne historyjki z mojego dzieciństwa. Ponieważ, po 1982 roku przestała zwracać na mnie uwagę.

Po pochowaniu swojego jedyne syna, moja matka pochowała samą siebie w sypialni, a mój ojciec pochował siebie na placu budowy, o ile nie miał dyżuru w remizie straży pożarnej. Moja mama odczuwała tylko żal po stracie Nate'a, podczas gdy mój ojciec niczego nie czuł. Już przed śmiercią Nate'a był odległy emocjonalnie i bywał niewzruszony, potem wycofał się już na zawsze. Przynajmniej fizycznie mój ojciec w końcu wrócił do bycia moim ojcem. Kosił trawnik i wyrzucał śmieci, robił pranie i zakupy, płacił rachunki i regulował opłaty za moje zajęcia pozaszkolne. Zawsze miałam jedzenie na talerzu i dach nad głową. Ale żadna część mojej matki nigdy nie wróciła. A to właśnie jej potrzebowałam najbardziej.

Nie zauważała, kiedy wychodziłam do szkoły w brudnym ubraniu, lub ubraniu, które było o dwa rozmiary za małe. Nie przychodziła na moje mecze w szkole, nie chodziła na wywiadówki. Nie wspierała mnie, ani nie pocieszała, przez te półtora roku, kiedy beznadziejnie zakochałam się w Richie Hoffmanie. Nie opowiedziała mi o bezpiecznym seksie, ani seksie w ogóle. Zapominała o moich urodzinach. Nie chwaliła mnie za doskonałe świadectwa, ani nie cieszyła się z mojego przyjęcia na Middlebury czy Harvard. Kiedy umarł mój ojciec, gdy miałam dwadzieścia lat, wolała zostać sama i nie zaprosiła Boba do tego, co pozostało po naszej żalösnej rodzinie, kiedy skończyłam dwadzieścia osiem lat.

Podajrzewam, że wyglądem przypomiñam jej Nate'a na tyle wyraźnie, żeby wciąż wydobywać na światło dzienne nieodżałowany smutek. Podajrzewam, że mogłabym zrozumieć, szczególnie sama mając teraz dzieci, ten paralizujący horror utraty dziecka. Ale ona nie miała jednego dziecka. Miała dwoje. A ja nie umarłam.

Moje dzieciństwo po śmierci Nate'a nie było łatwe, ale ukształtowało mnie taką, jaką teraz jestem: silną, całkowicie niezależną, żadną sukcesów, ambitną. Udało mi się zostawić za sobą moją przeszłość, a teraz ona siedzi na krześle obok mnie i mówi mi, że pozostanie w pobliżu. Widzi, że uważnie na nią patrzę. Nerwowy uśmieszek wypełza na jej twarz, a ja mam ochotę zetrzeć go pięścią.

- Nie, wystarczy tego. Ja wracam do domu i ty wracasz do domu. Wszyscy jadą do siebie.

- Nie, zostanę. Zostanę, aby ci pomóc.

Przyszła Martha i stoi teraz nade mną z tacą i uniesionymi ze zdziwienia brwiami.

- Jak będę czegoś potrzebowała, poproszę Boba.

- Bob poprosił żebym została i pomogła się tobą opiekować - mówi moja mama.

Gapię się na nią, zabrakło mi głosu, serce bije mi jak szalone. Martha i Heidi spotkały

się beze mnie i postanowiły, że za trzy dni zostanę wypisana ze szpitala, a Bob i moja matka beze mnie ustalili, Bóg wie kiedy, że ktoś musi się mną zajmować i że to mama będzie moją opiekunką. Zdrada i bezsilność szamocą się i kopią, kiedy spadają na samo dno mojej świadomości, gdzie nie czują się komfortowo i skąd nie znają drogi wyjścia, mimo tego, że już tam kiedyś mieszkały przez kilka lat.

- Od kiedy to zaczęłaś się o mnie troszczyć? Nie interesowałam cię odkąd umarł Nate.

Wszystkie kolory, oprócz czerwieni ust, znikają z jej twarzy. Siedzi na krześle, a jej postawa wyraża czujność na najwyższym poziomie, niczym królik wietrzący niebezpieczeństwo, gotowy do ucieczki, żeby ratować życie.

- To nie jest prawda - mówi.

Normalnie wycofałabym się. Nie rozmawiamy o moim bracie, ani o moim dzieciństwie. Nie rozmawiamy o mnie i o niej. Normalnie nic już bym nie powiedziała i zjadła zupę jak grzeczna dziewczynka. A ona wciąż byłaby dobrą mamą i otarła rosół, który niewątpliwie pociekłby mi z lewej strony ust. A ja byłabym dobrą córką, uśmiechnęłabym się i podziękowała. Ale mam już dość tych gier. Koniec z nimi.

- Nigdy nie pomogłaś mi w zadaniu domowym, ani w problemach sercowych, ani w wyborze szkoły, ani nawet w planowaniu ślubu. Nigdy mi w niczym nie pomagałaś.

Przerywam, w zanadrzu mam tysiąc kolejnych przykładów, gotowych, aby ją zmieść z miejsca, jeśli zacznie atakować mnie jakimiś przekręconymi faktami z przeszłości.

- Teraz jestem z tobą - mówi.

- Cóż, ale ja ciebie tutaj nie chcę.

- Ale, Saro...

- Nie zostaniesz.

- Potrzebujesz pomocy.

- Zatem otrzymam ją od kogoś innego, tak jak zawsze. Ciebie nie potrzebuję.

Wpatruję się w nią, prowokując ją do tego, żeby zaczęła zaprzeczać, ale to już koniec. Zaczyna płakać. Martha podaje jej pudełko chusteczek. Mama dmucha w chusteczkę i ociera oczy, ale cały czas płacze. Siedzę i patrzę na nią, zachęcam ją do tego nie przerywając ciszy. Dobrze. Cieszę się, że płacze. Wcale nie jest mi przykro z tego powodu. Nie żałuję jej. Powinna sobie popłakać. Powinna odczuwać żal.

Chociaż jakaś część mnie chce ją widzieć unurzaną w smole i piórach w środku miasta, udaje mi się utrzymać bezduszną i niezłomną postawę nie dłużej niż dwie minuty, a potem zaczyna mi jej być szkoda. Pomagała mi przez te pięć tygodni. Była tu każdego dnia. Pomagała mi chodzić i jeść, myć się pod prysznicem, ubierać, korzystać z toalety.

Potrzebowałam jej. Dlatego tu jest.

Ale nie mogę zapomnieć o trzydziestu latach opuszczenia i udawać, że z własnej woli nie wyrzekła się bycia matką przez większość mojego życia. Nie mogę już patrzeć na jej płacz, ale niech mnie drzwi ścisną, jeśli miałabym przeprosić czy zgodzić się na jej pozostanie ze mną. Skończyłyśmy ze sobą. Wracam do domu, do mojego życia, a ona do swojego. Prawą ręką chwytam swoją babciną laskę, opieram się na niej, spuszczam nogi z łóżka.

- Dokąd idziesz? - pyta Martha.

- Idę do łazienki - mówię, stawiając obie stopy na podłodze.

Martha asekuracyjnie staje obok mnie.

- Nie pomagaj mi. Nie potrzebuję niczyjej pomocy.

Zatrzymuje się i ponownie unosi brwi, następnie odsuwa się i schodzi mi z drogi. Domyślam się, że Martha myśli o mnie, że jestem rozpuszczonym bachorem i okropną córką, ale mam w nosie co, kto sobie o mnie myśli. Może jedynie zależy mi na Heidi, ale jej tutaj nie ma. A teraz jestem rozpuszczonym bachorem i okropną córką, która za wszelką cenę chce dotrzeć do łazienki o własnych siłach.

Chodzenie z lewą nogą, która raz się pojawia a raz znika jest nieopisanie frustrujące i skomplikowane. Nawet zrobienie kroku prawą nogą wymaga stałej i niezachwianej wiary w istnienie lewej strony, ponieważ kiedy prawa noga znajduje się w przestrzeni pomiędzy jednym a drugim krokiem, opieram się wówczas na lewej nodze. Moja lewa noga i stopa muszą być właściwie uaktywnione, w pozycji pomiędzy ugięciem a rozprostowaniem, niezawodnie utrzymujące równowagę oraz wagę mojego ciała w pionie - to wymagający rozkaz dla czegoś, co w ogóle nie odczuwa żadnej lojalności w stosunku do mojej osoby.

Czasami wydaje mi się, że najłatwiej byłoby skakać na prawej nodze, ale dotychczas nie miałam odwagi, żeby tego wypróbować. Logicznie, skakanie powinno się udać, ale z drugiej strony domyślam się, że skończyłoby się moim upadkiem na podłogę. Przewidywany rezultat nie powinien mnie zniechęcać, ponieważ prawie za każdym razem ląduję na podłodze. Mam na ciele duże, kolorowe siniaki. Aż trudno uwierzyć, że jeszcze nie złamałam biodra i nie zwichnęłam kolana. Dzięki Bogu, mam silne kości i luźne stawy. Chyba po prostu wiem, że na dłuższą metę skakanie nie jest praktycznym rozwiązaniem.

Właśnie w takich sytuacjach, przydaje się babcina laska. Zanim zrobię krok którąkolwiek nogą, robię krok prawą ręką, w której trzymam laskę, co pomaga mi utrzymać stabilność i asekuruje mnie przed upadkiem. Następnie przesuwam swój środek ciężkości w prawą stronę, aby jak najbardziej odciążyc zawodną lewą nogę i robię krok prawą nogą do

miejsca, gdzie spoczywa laska.

Teraz moja lewa noga znajduje się gdzieś za mną, a sztuczka polega na tym, żeby o niej pamiętać i wierzyć w to, że jest gdzieś z tyłu. Potem muszę ją znaleźć i przyciągnąć do siebie. Oczywiście, naturalne byłoby podniesienie jej i zrobienie kroku do przodu. Ale - ku mojej konsternacji - nie umiem tego zrobić. Podnoszę lewą nogę i staram się iść normalnie, jak człowiek (cóż, normalny człowiek z babciną laską), tylko kiedy jestem w siłowni na materacu i ktoś mnie asekuje. Jeśli podnoszę z ziemi lewą nogę, mogę (i zazwyczaj tak się dzieje) stracić kontrolę nad tym, gdzie ona jest i potem nie umiem przewidzieć, kiedy znowu dotknie podłogi, zawsze wydaje mi się za późno lub za wcześnie i kończy się to czymś dziwnym i bolesnym, co odczuwam, leżąc rozciągnięta na podłodze.

Zatem ciągnę za sobą lewą nogę. Tak jest dużo bezpieczniej i moje szanse na pójście przed siebie znacząco rosną, jeśli lewa stopa nie traci kontaktu z podłogą. Wiem, że to wygląda żałośnie, ale i tak ubrana jestem w czarne spodnie na gumce, jak moja mama, jaskrawo różową czapkę z polaru, skarpetki nie do pary i nie mam żadnego makijażu. Chyba mogę powiedzieć, że próżność całkiem wyparowała mi z głowy. Poza tym, teraz nie pora na to, żeby szarżować. Jeśli upadnę, Martha i mama rzucą się, żeby pomóc mi wstać z podłogi. A ja nie chcę niczyjej pomocy.

Laska. Krok. Przyciągnięcie. Oddech.

Laska. Krok. Przyciągnięcie. Oddech.

Czuję jak mi się przyglądają. *Nie myśl o nich, Saro. Nie możesz sobie pozwolić na dekoncentrację. Idziesz do łazienki. Idziesz do łazienki.*

Laska. Krok. Przyciągnięcie. Oddech.

Mama wydmuchuje nos. Nie idzie za mną. Myśli, że może tak się zacząć popisywać i być moją matką. Nie ma mowy. Za późno na to. *Przestań. Nie myśl o niej. Idziesz do łazienki.*

Laska. Krok. Przyciągnięcie. Oddech.

Nie wierzę, że Bob rozmawiał z nią, niczego ze mną nie ustaliwszy. Nie wierzę, że sam *zadecydował* z nią, zamiast podjąć zupełnie odmienną decyzję ze mną. Co on sobie myślał? *Nie myśl o tym teraz. Porozmawiasz z nim później. Idziesz do łazienki.*

Laska. Krok. Przyciągnięcie. Oddech.

Oddech.

Dotarłam do łazienki i mam ochotę wykrzyknąć „Udało mi się” i „Widzicie, nie potrzebuję żadnej z was!”, ale byłoby to zbyt szybko ogłoszone zwycięstwo. Nie zrobiłam jeszcze tego, po co tutaj przyszłam i czeka mnie jeszcze mnóstwo wysiłku, zanim się wysikam.

Oddycham głęboko, przygotowując się na puszczenie babcinej laski i uchwycenie stalowej barierki przy sedesie. To przerażający moment, a ja czuję się jak tancerka na linie, balansująca pomiędzy laską a barierką, wyciągająca rękę i szukająca oparcia wysoko w powietrzu, ocierająca się o katastrofę. Ale udaje mi się.

Oddech.

Następny krok. *Droga lewa ręko, proszę, znajdź gumkę moich spodni i majtek i pociągnij je na dół. Wiem, że o dużo proszę i źle się czuję prosząc cię o to, ale moja prawa ręka zajęta jest utrzymywaniem nas nad podłogą. Nie chcę prosić o pomoc nikogo innego. Więc naprawdę cię potrzebuję. Proszę.*

Nic się nie dzieje. Gdzie, do diabła, jest moja lewa ręka? Musi gdzieś tu być. Znajduję pierścionek z diamentem, a potem rękę. O, nie. Ciągłe trzymam tę przeklętą łyżkę. *Droga lewa ręko, proszę wyrzuc łyżkę. Musisz wyrzucić łyżkę jeśli masz znaleźć gumkę moich spodni i majtek i zdjąć je zanim się posikam. Proszę, wyrzuc łyżkę.*

Nic się nie dzieje. *Rzuć. Puść. Otwórz. Rozegnij. Zwolnij. Proszę!*

Nic. Chyba się poddam. Czuję się tak, jakbym tłumaczyła przemęczonemu, niegrzecznemu, rozsierdzonemu dziecku, że musi zrozumieć potrzebę współdziałania. Chce mi się krzyczeć. *Słuchaj mnie, ręko, rób, co mówię albo resztę dnia spędzisz na ławce rezerwowych!*

Naprawdę muszę się wysikać i nie dam rady zbyt długo trzymać, ale nie poproszę o pomoc. Dam sobie radę. Skończyłam Harvardzką Szkołę Biznesu. Wiem jak rozwiązywać problemy. Rozwiążę ten problem.

W porządku. Trzymaj sobie łyżkę. Jest okej. Przyda nam się. *Droga lewa ręko, znajdź gumkę spodni i majtek i zdejmij je łyżką.*

Ku mojemu zdziwieniu, to działa. Potrzeba jeszcze kilku prób i spokojnej zachęty z mojej strony i cieszę się, że nikt mi się nie przygląda, ale udaje mi się opuścić spodnie i majtki na uda, przy pomocy łyżki. Już prawie. Prawą ręką trzymam się barierki, od której zależy moje życie i siadam na desce sedesowej.

Słodka ulga.

Reszta jest względnie łatwa. Podcieram się prawą ręką, podciągam majtki i spodnie na siedząco, również prawą ręką, łapię za barierkę, podciągam się i sięgam po laskę. Następnie odwracam się i robię kilka małych kroków do umywalki. Opieram się o nią miednicą i puszczam laskę.

Tak jak to robię na zajęciach terapeutycznych, szukam lewego kurka z ciepłą wodą i dotykam go prawą ręką. Odkręcam wodę i myję prawą rękę. Nie przejmuję się myciem lewej.

Wycieram rękę o spodnie, mocno chwytam laskę i wychodzę z łazienki.

Laska. Krok. Przyciągnięcie. Oddech.

Jestem prawie na miejscu. *Widzisz? Nie potrzebujesz Marthy. Nie potrzebujesz dalszej rehabilitacji w Baldwin. A na pewno nie potrzebujesz swojej mamy.*

Słyszę, że Martha się śmieje. Żeby zobaczyć o co chodzi spuszczam wzrok z laski i stopy. Patrę i widzę, że Martha śmieje się ze mnie. Mama stara się powstrzymać.

- Co was tak śmieszy? - pytam.

- Chyba powinnaś jeszcze raz rozważyć ofertę pomocy swojej mamy - mówi Martha.

To przeważa szale i obie z mamą zanoszą się ze śmiechu.

- Co? - pytam.

Mama zakrywa usta ręką, jakby próbowała się powstrzymać, ale spotyka się wzrokiem z Martha i znowu wybucha śmiechem. Tym razem głośniejszym.

- Gdzie jest twoja lewa ręka? - pyta Martha, wierzchem dłoni ocierając oczy.

Nie wiem. To dopiero preludium ogromnego zażenowania, które zaczynam odczuwać szukając lewej ręki. Gdzie ona jest? Nie mam pojęcia. Ignoruję ich śmiech i to, że niedostatecznie się koncentruję, stojąc po środku pokoju i próbuję zlokalizować pierścionek z diamentem. Ale nigdzie go nie widzę.

A co tam. Udaję, że ich nie słyszę. Mam właśnie ruszać w drogę z powrotem do łóżka, kiedy nagle zaczynam odczuwać dotyk metalu na moim udzie. Moim gołym udzie. Łyżka. Patrę w dół i na lewo.

Moja lewa ręka została w spodniach.

ROZDZIAŁ 18

Jestem w siłowni, siedzę przy jednym z długich stołów i przerysowuję obrazek, przedstawiający kota. Kończę i z zadowoleniem odkładam ołówek. Heidi patrzy na moją kartkę.

- Jesteś naprawdę dobra - mówi.
- Narysowałam całego kota?
- Nie, ale to, co narysowałaś jest o wiele lepsze od moich rysunków.
- Co ominęłam?
- Lewe ucho, wąsy z lewej strony i łapy po lewej.

Uważnie oglądam oba szkice, porównując oryginalnego kota z moim kotem. Według mnie wyglądają dokładnie tak samo.

- Och - mówię smutnym głosem.

- Ale udało ci się narysować dwoje oczu, lewą stronę nosa i pyszczka, i większość ciała po lewej. Naprawdę dobrze ci poszło. Zawarłaś o wiele więcej, niż za pierwszym razem, kiedy rysowałaś - mówi, przerzucając strony z rysunkami, które skopiowałam od rana.

Poprawiłam się. Ale „naprawdę dobrze” znaczy tak wiele. Charlie i Lucy potrafią przerysować całego kota. A ja ciągle nie umiem. Dzisiejszy dzień jest moim ostatnim.

Heidi kładzie na stole kolejną kartkę, bardzo szczegółowy obrazek, przedstawiający otoczony budynkami skwer miejski, zatłoczony przez samochody, przechodniów, gołębie z fontanną po środku. Jest o wiele bardziej skomplikowany, niż jakikolwiek inny obrazek, jaki kazano mi przerysowywać podczas mojego pobytu w szpitalu. Biorę ołówek do ręki, ale zastygam bez ruchu, nie wiedząc gdzie postawić rysik. Muszę znaleźć lewą stronę tej scenki. Następnie muszę wszystko przerysować z tej ogłupiająco niestałej przestrzeni, włączając także ogłupiająco niestałą lewą stronę tej scenki - lewą stronę każdego samochodu, każdego gołębia, każdej osoby, lewą stronę fontanny. Po prawej stronie fontanny zauważam człowieka wyprowadzającego psa, ale po chwili moją uwagę przyciąga człowiek trzymający cały pęk czerwonych balonów po jego prawej stronie i człowiek z psem znika. Jak, do licha, mam sobie z tym poradzić? To pewnie jest obrazek, który miałam przerysować w ostatni dzień, po tym jak już ozdrowieję, a teraz dostałam tę ostatnią kartkę jakiegoś podręcznika rehabilitacyjnego chociaż jestem dopiero sto stron przed rozdziałem, z którego pochodzi.

- Co się stało? - pyta Heidi.

- Nie potrafię go narysować - mówię, a panika wzbiera w moim gardle.

- Na pewno potrafisz. Zaczynaj może od budynków.
- Nie. Nie potrafię. Nie umiem nawet przerysować kota.
- Świetnie poszło ci z kotem. Rysuj po jednej rzeczy na raz.
- Nie umiem. Nie mogę wrócić do domu w takim stanie, Heidi. Jak poradzę sobie ze wszystkim, co trzeba zrobić w domu?

- Uspokój się. Wszystko będzie dobrze.
- Nie jest dobrze. Nawet nie umiem przerysować kota.
- Narysowałaś większą część kota...
- Skończyłam Harvard, a teraz jestem idiotką, która nie potrafi skopiować kota - mówię, połykając łzy.

Przed wypadkiem wystarczyła mi tylko chwila, żeby zrozumieć, co znajduje się na danej kartce papieru - skomplikowane analizy kosztów, wykresy, drzewka decyzyjne. Teraz, jedna strona z książki Charliego „Gdzie jest Waldo?” rozłożyłaby mnie na łopatki. Patrząc ponownie na obrazek, próbując namierzyć faceta z czerwonymi balonami. Waldo zniknął.

- Poczekaj chwilę - mówi Heidi.

Zabiera obrazek ze skwerem ze stołu - prawdopodobnie po to, abym się nad nim nie rozklejała i wybiega z siłowni. Staram się jakoś trzymać do czasu aż wróci, jakbym potrzebowała publiczności, żeby się nad sobą użalać. Dokąd ona poszła? Może szuka jakiegoś łatwiejszego zadania, czegoś z czym dam sobie radę i poczuję się lepiej, żebyśmy mogły zakończyć naszą ostatnią sesję w miłej, pozytywnej atmosferze. Albo poszła poszukać dr Nelsona i prosi go o zmianę decyzji, dotyczącej odesłania mnie do domu. *Ona nie umie nawet przerysować kota!*

- Okej - mówi. Przyniosła płócienną torbę i usiadła na krześle obok mnie. - Spójrz na ten obrazek.

Kładzie na stole przede mną białą kartkę. Widzę na niej dwa proste domy, jeden na górze kartki, drugi na dole. Każdy z nich ma dwa okna i drzwi wejściowe. Są pod każdym względem identyczne.

- W którym wolałabyś zamieszkać? - pyta Heidi.

Nie chciałabym mieszkać w żadnym z tych małych, ślicznych domków.

- Są takie same - mówię.

- Okej, ale jeśli miałabyś wybrać jeden, w którym byś zamieszkała?

- To nie ma znaczenia.

- Wybierz jeden dla mnie.

Przyglądam się bliźniaczym domkom po raz ostatni, szukając jakiejś subtelnej różnicy

między nimi, którą mogłam wcześniej przeoczyć, jakąś dodatkową szybkę w oknie albo brakującą dachówkę na dachu. Nic, są takie same.

- Dobrze - mówię, wskazując na ten na górze.

Heidi uśmiecha się, z jakiegoś powodu zachwycona moim wyborem hipotetycznego miejsca zamieszkania. Wyjmuje moją czerwoną zakładkę w kształcie litery L i kładzie ją na kartce.

- W porządku, przyjrzyj się lewej stronie. Znajdź czerwoną krawędź.

Mój wzrok przesuwają się na zachód wzdłuż białej strony dopóki nie zauważam koloru czerwonego. Następnie podążam na prawo od czerwonego marginesu i zaskakuje mnie to, co widzę. To oczywiste, nie mogę się mylić. Widzę dwa proste domki, identyczne pod każdym względem, oprócz tego, że lewa połowa dolnego domku stoi w płomieniach.

- O mój Boże - mówię.

- Widzisz to? - pyta Heidi.

- Ten na dole się pali.

- Tak! A ty wybrałaś ten na górze!

- Co z tego? Miałam pięćdziesiąt procent szans.

- To nie przypadek. Twój mózg widział pełen obraz. Po prostu nie za każdym razem jesteś świadoma tego, co widzi po lewej stronie. Ale twoja intuicja powiedziała ci, że masz wybrać górny domek. Musisz słuchać tej intuicji. Nie jesteś idiotką, Saro. Twoja inteligencja pozostała nietknięta.

Oby. Co z tego, że mój mózg widzi cały obrazek? Jeśli nie podzieli się ze mną swoją wiedzą, w sposób dla mnie świadomy, to co w tym dobrego?

- Masz dużo szczęścia. Tak wielu ludzi tutaj nie jest w stanie samodzielnie myśleć, przypominać sobie faktów, mówić lub poruszać się. Wyobraź sobie, że nie mogłabyś rozmawiać z Bobem ani z dziećmi, albo nie pamiętała ich lub nie mogła ich przytulić.

W ciągu ostatniego miesiąca, wiele razy widziałam, jakich niezbadanych spustoszeń może doznać ciało i umysł. W stołówce, na korytarzu, w windzie, w poczekalni natykałam się na ludzi bez rąk i nóg, z brakującym kawałkiem czaszki, zdeformowanymi twarzami, z wymazaną pamięcią, pomieszanym językiem, z maszyną oddychającą za nich z rurkami, które dostarczały im jedzenie. Zawsze zmuszałam się wtedy do patrzenia w inną stronę i zapewniałam sobie, że jestem dobrze wychowana i dlatego się nie gapię. Ale tak naprawdę nie chciałam patrzeć na nikogo w gorszym niż mój stan, ponieważ nie chciałam dopuścić do siebie perspektywy, którą narzuciła mi teraz Heidi - że miałam szczęście.

- Przecież mogłaś umrzeć, Saro. Mogłaś zginąć w wypadku, lub nie przeżyć operacji,

lub nie wybudzić się z narkozy. Mogłaś wjechać w inny samochód i kogoś zabić. A jeśli w samochodzie jechałyby twoje dzieci? Miałaś dużo szczęścia.

Patrzę w jej oczy. Ma rację. Skupiłam się na tym, w jakim okropnym i niesprawiedliwym położeniu się znalazłam, że nie dopuszczałam do siebie pozytywnych aspektów mojego stanu, jakby to, co pozytywne, siedziało schowane gdzieś w najdalszym kąciku lewej strony mojego umysłu, gdzie cały czas było przeze mnie ignorowane. Nie potrafię przerysować całego kota. Ale rozpoznaję go, umiem nazwać, wiem jakie wydaje dźwięki i jaki jest w dotyku. I umiem narysować go prawie w całości. Każdy, kto spojrzy na mój rysunek, będzie wiedział co próbowałam narysować. Mam szczęście.

- Dziękuję, Heidi. Dziękuję, że mi przypomniałaś.

- Nie ma za co. Wszystko będzie dobrze. Wiem o tym. I...

Pochyliła się, sięga do płóciennej torby i podaje mi butelkę białego wina, przybranego ozdobną czerwoną wstążeczką.

- Ta dam! Na przyszły raz, kiedy spotkamy się u mnie lub u ciebie w salonie.

- Dziękuję - mówię z uśmiechem. - Nie mogę się doczekać.

Stawia butelkę na płonącym domu na stole i obejmuje mnie.

- Zaufaj swojej intuicji. Ona cię poprowadzi - mówi, trzymając mnie w objęciach.

- Dziękuję, Heidi. Dziękuję za wszystko - mówię, przytulając ją trochę mocniej prawą ręką.

Jej telefon zaczyna wibrować. Odsuwa się ode mnie i czyta sms-a.

- Muszę zadzwonić. Wrócę za chwilę i przygotujemy cię na powrót do domu.

- Zgoda.

Będąc po raz ostatni sama w siłowni, rozglądam się wokół. Do widzenia wam, równoległe bariery. Żegnaj, lustro. Żegnaj, plakacie. Żegnajcie, gry i układanki na stole. Żegnajcie miseczki i koraliki. Żegnaj... Czekaj.

Wracam do plakatu. Coś się zmieniło. Jestem świadoma tego, że coś uległo zmianie, ale przez kilka sekund nie mogę określić o co chodzi. A potem to zauważam, tak samo dokładnie jak płonący dom.

Obrazek na plakacie to dwie ręce, nie jedna. Ręce nie są zaciśnięte w pięści i gotowe do walki. Te ręce są ze sobą splecione. Splecione ręce. A słowo nad rękoma, napisane czerwonymi literami to nie „Nastawienie”. Słowo nad splecionymi dłońmi to „Wdzięczność”⁴.

⁴ Gra słów nie mająca odpowiednika w języku polskim, nastawienie to attitude w języku angielskim, wdzięczność - gratitude.

Zaczynam płakać, kochałam ten plakat i nie wiedziałam, że postrzegam go całkiem na opak. Myślę o Heidi i Bobie, i moich dzieciach, a nawet o Marcie i mojej mamie, i opiece, jaką mnie otoczyli, i o wszystkim, co mam. Myślę, że mój mózg przez cały czas widział ten plakat w całości i starał się przyciągnąć do niego moją uwagę i pokazać mi go, takim jakim jest. Jakaś część mnie, nienazwana, nieświadoma i nietknięta, zawsze wiedziała, co jest na tym plakacie. *Dziękuję ci, że mi go pokazałeś.*

Jadę dzisiaj do domu, nie umiając przerysować całego kota, ale potrafiąc dostrzec cały plakat i będąc przepelniona wdzięcznością.

ROZDZIAŁ 19

Bob odwozi nas do domu. Do domu! Już nawet jazda dwudrzwiowym Volkswagenem Bug, należącym do mamy, którym nigdy wcześniej nie jechałam., sprawia, że czuję się jak w domu. Znowu jestem w samochodzie! Jestem na autostradzie Mass Pike! Mijam rzekę Charles! Witam każde znane mi miejsce, które mijamy, jakbym właśnie spotkała dawno niewidzianego znajomego. Odczuwam wzbierającą we mnie ekscytację, jak wtedy, gdy jadę do domu z lotniska, wracając z długiej podróży służbowej. Ale dzisiaj odczuwam wszystko dziesięć razy mocniej. Już prawie dojechałam. Prawie jestem *w domu!*

Wszystko wydaje się być podniosłe. Nawet popołudniowe światło na dworze, w moich oczach, zdaje się być wyjątkowo jasne i niesamowite. Rozumiem teraz, dlaczego fotografowie wolą światło naturalne. Wszystko jest bardziej jaskrawe, bardziej trójwymiarowe, bardziej ożywione niż to, co widziałam przez ten miesiąc spędzony w czterech ścianach, w jarzeniowym świetle w Baldwin. I nie chodzi tylko o oczywiste piękno światła dnia. Promienie słoneczne przeświecają przez szybę i cudownie grzeją moją twarz. Mmmm... Światło jarzeniowe tak nie robi. Nie ma porównania.

Powietrze w Baldwin zawsze było nieświeże i stojące. Chcę znowu poczuć prawdziwe powietrze, jego świeżą rzeźkość (nawet jeśli jest trochę zanieczyszczone spalinami) oraz jego ruch. Opuszczam trochę szybę. Wpadając przez małą szparę, zimne powietrze świszczy w samochodzie i targa mi krótkie włosy. Wciągam je nosem, napełniam płuca i wzdycham z rozkoszą.

- Hej, jest zimno - mówi Bob, zamykając szybę przyciskiem przy kierownicy.

Patrzę przez zamkniętą szybę i po zaledwie kilku sekundach nie mogę się oprzeć potrzebie poczucia nieujarzmionego wiatru. Naciskam guzik, ale moja szyba ani drgnie. Naciskam i naciskam.

- Moja szyba się zacięła - mówię, skamle i jęczę, wiedząc, że Bob musiał włączyć blokadę, decydując za wszystkich w samochodzie, że szyby mają zostać zamknięte. Teraz wiem jak czują się dzieci, kiedy sama tak robię.

- Słuchaj, zanim dojedziemy, chciałbym porozmawiać o twojej matce - mówi Bob, ignorując moje skargi. - Zostanie z nami przez pewien czas.

- Wiem, już mi powiedziała.

- Aha, to dobrze - odpowiada.

- Nie, nie dobrze. Nie chcę, żeby została. Nie potrzebujemy jej. Dam sobie radę -

mówię.

On nie odpowiada. Może musi to przemyśleć. Ale może jest zadowolony, że wreszcie wyraziłam moją opinię na ten temat (powinien o nią spytać już dawno temu), a on zgadza się ze mną w stu procentach. Może się uśmiecha i potakuje. Nie mam pojęcia o tym, co robi i co o tym myśli, jestem zbyt zafascynowana tym, co widzę za oknem, że nie jestem w stanie skierować swojej uwagi na to, co dzieje się po lewej stronie, zatem nie wiem, co oznacza jego milczenie. On siedzi za kierownicą. Jest tylko głosem, kiedy coś mówi, a kiedy milczy, jest niewidzialnym szoferem.

- Nie możesz jeszcze sama zostawać w domu. To niebezpieczne.

- Dam sobie radę. Uda mi się.

- To czego potrzebujemy? Jakiegoś programu dwunastu kroków dla ciebie?⁵ Jeszcze nie jesteś gotowa na to, żeby sama zostawać w domu. Mówią to wszyscy lekarze i terapeuci.

- Więc zatrudnimy kogoś.

- Naprawdę nie możemy. Wykorzystałaś wszystkie przysługujące ci dni zasiłku chorobowego oraz urlop, a twoje ubezpieczenie zdrowotne skurczyło się o ponad połowę. Ja ostatkiem sił utrzymuję się w pracy. Zatrudnienie kogoś to droga przyjemność, a twoja matka jest tu za darmo.

Cóż, moja mama może nie każe sobie słono płacić za godzinę, ale założę się, że jeśli zostanie, zapłacę za to słoną cenę. Musi być jakieś inne rozwiązanie. Naprawdę rozumiem w jakiej opłakanej sytuacji finansowej się znaleźliśmy. Zarabiam więcej od Boba, a teraz moje dochody zostały poważnie zmniejszone, a ja nie mogę z żadną pewnością określić, kiedy znowu zacznę zarabiać tyle, co wcześniej. Co najmniej raz dziennie, tanecznym krokiem dociera do mnie myśl, że być może nigdy już nie wrócę na swoje stanowisko. Zanim odsunie się pod ścianę, myśl ta kręci piruety i stepuje pośrodku parkietu. Muszę odzyskać swoją pensję. Muszę, koniecznie. Nawet jeśli Bobowi uda się utrzymać w pracy, a gospodarka kraju wróci na dawne tory, nie damy rady utrzymywać się na takim poziomie, jeśli nie będę zarabiać tyle, co wcześniej.

Muszę przyznać, że modłę się o to, żeby Bob stracił pracę. A dokładniej, modłę się, żeby stracił pracę i żeby nie znalazł innej przez cztery miesiące. Wiem, że to igranie z ogniem i nie przypomina modlitwy, którą Bóg chciałby wysłuchać, ale taka myśl absorbuje mnie bez reszty mnóstwo razy w ciągu dnia. Gdyby Bob został teraz zwolniony, dostałby czteromiesięczną odprawę i gdyby nie znalazł pracy od razu, mógłby zostać ze mną w domu.

⁵ Program 12 kroków - zbiór zaleceń dla osób pragnących wyjść z uzależnienia.

A gdyby był w domu, nie potrzebowalibyśmy pomocy mojej mamy i mogłaby wskoczyć do swojego Volkswagena i odjechać z powrotem na Cape. A pod koniec czwartego miesiąca, kiedy Bob rozpocząłby swoją nową, stałą, lepiej płatną pracę, ja nie tylko byłabym gotowa do zostania w domu, ale byłabym w stanie wrócić do Berkley. Ale dotychczas nic nie wskazuje na to, żeby ten plan się spełnił. Jeśli Bóg słucha, ma inne zamiary.

- A co z Abby? Może Abby mogłaby zostawać dłużej - mówię.

Znowu cisza. Wyglądam przez szybę. Gruby śnieg na drzewach i polach błyszczy w świetle popołudniowego słońca. W mieście nie zauważałam żadnego śniegu, ale tutaj, na przedmieściach, może osiadać na drzewach, polach golfowych i otwartej przestrzeni, gdzie nie jest spychany ani usuwany.

- Zaraz po świętach, Abby wyjeżdża do Nowego Jorku, na staż szpitalny.

- Co?

- Wiem. Fatalnie się złożyło.

- To najgorszy z możliwych terminów!

- Rozumiem, ona też miała okropny dylemat, ale powiedziałem jej, żeby jechała.

Powiedziałem, że chciałabyś, by to zrobiła.

- Dlaczego powiedziałeś jej coś tak głupiego?

- Saro...

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś?

- Wiedziałem, że się zdenerwujesz.

- Cholera! - mówię, zdenerwowana jak diabli.

- No właśnie. Zatem nie mogąc liczyć na Abby i nie mając czasu na to, żeby znaleźć za nią zastępstwo i mając na podorędziu swoją mamę, której nigdzie się nie spieszy, postanowiłem poprosić ją o to, by została. Potrzebujemy jej, Saro.

Cały czas patrzę przez okno, migają mi różne widoki, a każdy z nich przybliża nas do domu. Już prawie jestem w domu. Prawie w domu z moją mamą i wkrótce bez Abby. Słońce znajduje się teraz dokładnie na poziomie wzroku, ponieważ jedziemy na zachód. Wisi tuż pod osłoną przeciwsłoneczną i oślepia mnie. Promienie słoneczne, które na początku cudownie mnie ogrzewały, teraz wydają się nieprzyjemnie gorące i czuję się, jakbym siedziała pod szkłem powiększającym, tuż przed spopieleniem.

- Czy mogłabym sama kontrolować szybę po tej stronie?

Naciskam przycisk i trzymam go, aż szyba opada na sam dół. Do samochodu wpada zimne powietrze. Przez kilka sekund jest świetnie, ale po chwili jest już za zimno i zbyt wietrznie, ale zostawiam tak jak jest, ponieważ chcę mieć możliwość podjęcia choć takiej

decyzji.

Bob skręca z autostrady i wjeżdżamy na główną ulicę Welmont. Centrum miasta jest świątecznie udekorowane. Z latarni zwisają wieńce, okna wystawowe i wejścia do sklepów przybrane są łańcuchami i białymi lampkami. Rosnący przed ratuszem dwustuletni świerk jest cały w kolorowych świeżkach, o tej porze jeszcze nie zapalonych. Słońce jest już nisko i przestało mnie oślepić. Za chwilę zrobi się ciemno, a centrum zostanie rozświetlone i będzie wyglądać jak świąteczna pocztówka. Niedługo będzie najkrótszy dzień roku, więc dzień przechodzi w noc w mgnieniu oka, przypominając mi, że w jednej chwili wszystko może się zmienić.

Bob wjeżdża w ulicę Sycamore. Podjeżdżamy pod wzgórze, skręcamy i już jesteśmy na Pilgrim Lane. Zatrzymuje się na naszym podjeździe i już jesteśmy.

W domu.

ROZDZIAŁ 20

Pamiętam powrót do domu po urodzeniu Charliego, wejście przez drzwi na ganek, spojrzenie na kuchnię i salon oraz wszechogarniające mnie uczucie, że wszystko się zmieniło. Oczywiście, widziałam ten sam stół kuchenny i krzesła, tę samą brązową kanapę i komplet wypoczynkowy pod kolor, tę samą świecę Yankee Candle na tej samej ławie, nasze buty na podłodze, nasze zdjęcia na ścianach, stos gazet przy kominku, wszystko dokładnie takie, jakie było dwa dni wcześniej. Nawet banany w misce na kredensie w kuchni były jeszcze żółte. Tylko ja się zmieniłam. Wyszłam z domu czterdzieści osiem godzin temu, jako olbrzymia ciężarna kobieta, a wróciłam jako matka (co prawda tylko nieznacznie mniejsza). Jednak w jakiś sposób dom, w którym mieszkałam od prawie roku wydawał się obcy, jakbyśmy byli znajomymi po raz pierwszy oficjalnie sobie przedstawionymi.

Dziś czuję to samo. Ale tym razem, to nie ja się zmieniłam. Kiedy krok po kroku przemierzam ganek, podpierając się babciną laską, trzymaną w prawej ręce, z Bobem asekurującym mnie z lewej strony, dociera do mnie, że coś się zmieniło. Następnie, kawałek po kawałku odkrywam te zmiany.

Pierwsza zmiana, którą dostrzegam to kolor pomarańczowy. W całej kuchni widzę jaskrawo-pomarańczowe pasma. Ściany, futryny, szafki i podłoga pokryte są pomarańczowym graffiti, jakby duch Jacksona Pollocka złożył nam wizytę i pozostawił swoje dzieło. Albo, co bardziej prawdopodobne, ktoś dał Charliemu tubkę pomarańczowej farby i zostawił go bez opieki przez całe popołudnie. Ale zanim zaczynam krzyczeć, żeby ktoś przyniósł ręcznik papierowy i butelkę Cloroxu, zaczynam rozumieć. Te maziaki to nie farba i nie są nałożone na chybił trafił. Jaskrawa, pomarańczowa taśma klejąca, przyklepiona została po lewej stronie futryny. Obwiedzione są również lewe krawędzie szafek, lewa strona lodówki. Pokrywa kłamkę drzwi, prowadzących na podwórko. Kto wie ile jeszcze pomarańczowych pasków taśmy przyklepiono do powierzchni, których nie zauważyłam? Pewnie jest ich o wiele więcej.

Następnie dostrzegam poręcz, zamontowaną na klatce schodowej, której stał bardziej przypomina poręcz w Baldwin, a nie przyjemną dębową balustradę po drugiej stronie. Podejrzewam, że to było konieczne. Ładna dębową balustrada znajduje się po prawej stronie, kiedy wchodzi się na górę, ale podczas schodzenia już jej tam nie ma. Na dole i na górze zamontowano tu także nowe, bardziej zaawansowane technicznie, bramki blokujące dostęp do schodów, które - jak zakładam - pojawiły się tutaj dla raczkującego Linusa, ale po chwili

zaczynam podejrzewać, że mogą być również dla mnie. Nie możemy korzystać ze schodów bez opieki osoby dorosłej. Mój dom jest bezpieczny dla dzieci i bezpieczny dla Sary.

Moja babcina laska i prawa noga, robią pierwszy krok do salonu i dotykają podłogi, która wydaje się całkiem obca.

- Gdzie są dywany? - pytam.

- W piwnicy - odpowiada Bob.

- A, tak - mówię, pamiętając, że Heidi powiedziała nam, że będziemy musieli się ich pozbyć.

Trzy ręcznie robione, drogie, orientalne dywany. Ryzyko potknięcia. Zrolowane i wyniesione. Przynajmniej drewniane podłogi są w dobrym stanie. Właściwie są nieskazitelnie błyszczące. Ogarniam wzrokiem cały pokój. Na podłodze nie ma żadnych Matchboxów, tiar, kawałków układanek, piłek, klocków Lego, kredek, cheeriosów, ciasteczek, niekapiących kubeczków i smoczków. Zakładam, że nie są wszystkie zmiecione na lewą stronę.

- Czy dzieci ciągle tu mieszkają? - pytam.

- Słucham?

- Gdzie są ich rzeczy?

- Twoja mama utrzymuje tu idealny porządek. Wszystkie ich rzeczy zniosła do dziecięcych pokoi albo do bawialni. Nie możemy pozwolić, żebyś się potykała na zabawkach.

- Aha.

- Teraz usiądziesz na kanapie.

Bob zastępuje moją laskę swoim ramieniem, drugą ręką podtrzymuje mnie pod pachą i wykonuje coś, co terapeuci w Baldwin nazwaliby umiarkowaną asystą górnej części ciała. Zapadam się głęboko w aksamitne obicie i głęboko wzdycham. Droga z podjazdu do salonu zabrała nam około piętnastu minut i jestem nią wykończona. Staram się nie myśleć o tym, jak biegałam po domu i jak wiele udawało mi się zrobić w ciągu kwadransa. Normalnie odpaliłabym już mojego laptopa, odsłuchałabym wiadomości z poczty głosowej, posortowała emaile, włączyłabym telewizor, zaparzyła kawę i co najmniej jedno dziecko siedziałoby u moich stóp lub na moich kolanach.

- Gdzie są wszyscy? - pytam.

- Abby pojechała po Charliego na mecz koszykówki, a Linus i Lucy powinny gdzieś tu być z twoją mamą. Poprosiłem ją, żeby trzymała ich z dala od salonu do czasu, aż cię posadzę. Pójdę ich poszukać.

Siedzę teraz, zwrócona twarzą w stronę, z której przyszedłem. Widzę drugą stronę salonu i

znajdującego się za nim przeszklonego pomieszczenia, które do tej pory chowały się w cieniu mojego jednostronnego postrzegania. Dostrzegam choinkę, która jest już udekorowana kolorowymi, świecącymi się lampkami, na szczycie choinki kręci się aniołek. W tym roku drzewko jest duże, nawet większe niż zazwyczaj, ma ponad trzy metry. Sufit w naszym salonie jest wysoko sklepiony, ma co najmniej sześć metrów i zawsze kupujemy najwyższe dostępne drzewko. Każdego roku przed zakupem zaczynam się wahać: *Nie sądzisz, że jest trochę za duże?* A Bob odpowiada: *Im większe, tym lepsze, skarbie.*

Jestem więcej niż trochę zniechęcona tym, że nie zauważyłam choinki, kiedy weszłam do salonu. Inną sprawą jest niezauważenie kawałka kurczaka po lewej stronie talerza albo słów wydrukowanych po lewej stronie kartki, ale tym razem przeoczyłam trzymetrową choinkę, przystrojoną migoczącymi kolorowymi lampkami i błyszczącymi ozdobami. Nie naprowadził mnie na trop nawet, uwielbiany przeze mnie, zapach świeżej sosny. Za każdym razem, kiedy zaczynam myśleć, że moje deficyty wydają się niewielkie i nie ma co się nimi przejmować, doświadczam czegoś takiego, jak teraz, co jest niepodważalnym dowodem na to, że jest odwrotnie. Moja choroba okazuje się mieć większy zasięg, niż sędzę. *Przepraszam cię, Bob, czasami większe nie jest lepsze.*

Szklane drzwi do pokoju z dużymi oknami są zamknięte, co jest niezwykle, jeśli nikogo tam nie ma. Bob lub ja zamykamy te drzwi tylko jeśli chcemy popracować i odizolować się od zamieszania panującego w domu. W innym wypadku, drzwi są zawsze otwarte. W niedzielne poranki uwielbiam tam siedzieć sama, ubrana w piżamę i pić kawę z mojego największego kubka z logo Harvardu, czytać New York Timesa na swoim ulubionym krześle, napawając się ciepłem kawy na moich dłoniach i ciepłem słońca na twarzy. W marzeniach spędzam całą niedzielę w tym sanktuarium, nikt mi nie przeszkadza, dopóki nie skończę kawy i gazety, a potem - również w marzeniach - ucinam sobie rozkoszną drzemkę.

Nigdy tak się nie zdarza. Mam około piętnastu minut dla siebie, zanim Linus zacznie płakać, albo Lucy krzyczeć, albo Charlie ma jakieś pytanie, albo któreś z nich chce jeść albo coś robić, zanim zacznie wibrować telefon, albo laptop poinformuje mnie o nadchodzącym mailu, zanim usłyszę, że coś się zbiło, albo rozlało, albo najbardziej niepokojące ze wszystkiego - kiedy nagle wszystkie hałasy ucichną. Mimo tego piętnaście minut może być cudowne.

Dociera do mnie, że teraz powinnam dość łatwo móc spełnić swoją fantazję. Od poniedziałku do piątku dzieci będą w szkole lub żłobku, a ja nie pojedę do pracy. Każdego dnia będę miała całe sześć godzin niczym niezakłóconego czasu. I może przeczytanie całego niedzielnego wydania gazety zajmie mi sześć godzin każdego dnia, ale nie przejmuję się tym.

Jestem podekscytowana tym wyzwaniem. Dziś jest wtorek. Jutro będzie mój pierwszy dzień w odosobnieniu przeszklonego pokoju.

Zerkam przez szybę drzwi ze swojego miejsca na kanapie i zauważam, że tamto pomieszczenie również wydaje się przemeblowane. Mój ulubiony fotel, na którym czytałam, został odwrócony i dopchnięty do ściany i w ogóle nie widzę stolika. Widzę natomiast jakąś roślinę doniczkową z zielonymi liśćmi, która wygląda na taką, którą trzeba podlewać, a w takim wypadku, na pewno zmarnieje w ciągu tygodnia, jeśli to ja będę odpowiedzialna za podlewanie. Zastanawiam się skąd się tu wzięła? A czy tu obok stoi toaleta?

- Mamusiu! - krzyczy Lucy, biegnąc w stronę schodów.

- Powoli - mówi moja mama, idąc za nią z Linusem na rękę.

Przez sekundę wstrzymuję oddech i przysięgłabym, że moje serce również zamiera. Słyszę jak moja mama matkuje Lucy, patrzę na mojego małego synka w jej ramionach, widzę mamę mieszkającą w moim domu. Żyjącą moim życiem. Chyba tego nie wytrzymam.

Lucy otwiera obie bramki, prawie nie zatrzymując się w biegu, podskakuje, biegnąc przez salon i zatrzymując się dopiero na moich kolanach.

- Ostrożnie, Gąsko - mówi Bob.

- Nic jej nie będzie - mówię.

Jest bosa i uśmiechnięta, ma figlarne spojrzenie, kiedy podskakuje na moich kolanach. Na pewno nic jej nie jest.

- Mamusiu, jesteś w domu! - mówi.

- Jestem! Czy to coś nowego? - pytam, wskazując na sukienkę księżniczki Disneya, w którą jest ubrana.

- Tak, babcia mi ją kupiła. Jestem Belle. Jestem piękna, prawda?

- Najpiękniejsza.

- Linus jest Bestią.

- Och, Linus jest zbyt kochany, żeby mógł być bestią. Moim zdaniem jest przystojnym królewiczem - mówię.

- Nie, jest Bestią.

- Witaj w domu - mówi moja mama.

Nastolatka we mnie buntuje się i błaga mnie swoim uciążliwym i jęczącym głosem, żebym udawała, że jej nie słyszę.

- Dzięki - mówię ledwie słyszalnym głosem, co jest moim dojrzałym kompromisem.

- Co sądzisz o choince? - pyta Bob, pękając z dumy.

- Jest ogromna. Śliczna. Zdziwiłam się tylko, że w tym roku nie postawiłeś jej w

przeszklonym pokoju, żeby trzymać Linusa z daleka od niej - mówię, wyobrażając sobie, że bez przerwy muszą bronić przyciągających go szklanych i ceramicznych ozdób.

- Nie ma tam miejsca, kiedy wstawiliśmy łóżko - mówi Bob.

- Jakie łóżko?

- Rozkładane. Twoja mama tam śpi.

- Aha.

To chyba ma sens. Musi gdzieś spać, a my nie mamy żadnej gościnnej sypialni (gdybyśmy mieli taki pokój, mielibyśmy nianię na stałe i mama nie musiałaby u nas mieszkać). Z jakiegoś jednak powodu, wyobrażałam ją sobie na kanapie w piwnicy, pewnie dlatego, że przy zamkniętych drzwiach mogłabym udawać, że wcale jej tu nie ma. Jeśli zamkniemy drzwi do pokoju, w którym śpi i tak będę ją widziała przez szklane szyby. Ciągle będzie obecna. Może powinniśmy kupić jakieś rolety.

Ale gdzie będę czytała gazetę i piła kawę i drzemała? Co z moim spokojnym zakątkiem? Mieszkająca we mnie nastolatka jest oburzona. *Ukradła moje święte miejsce!* Zupełnie nie wiem, co mam o tym myśleć.

- Mamusiu, popatrz jak tańczę! - mówi Lucy.

Zeskakuje z kolan i zaczyna wirować, trzymając ręce nad głową. Mama podaje mi Linusa. Jest cięższy niż pamiętam. Odwraca główkę, patrzy mi w oczy, dotyka mojej twarzy, uśmiecha się i mówi „Mama”.

- Cześć, skarbie! - mówię i mocniej go przytulam.

- Mama - mówi jeszcze raz, klepiąc mnie cały czas w policzek.

- Cześć, słodziaczku. Mama wróciła do domu.

Wtula się we mnie i oboje oglądamy występ. Lucy wymachuje bosymi stopami, porusza bioderkami i kręci się wkoło, zachwycona, że może pochwalić się swoją marszczoną czerwono-złotą spódnicą. Wszyscy klaszczemy i prosimy o więcej. Zawsze jest chętna do popisów i z radością zgadza się na bis.

Mój wzrok sięga ponad głowę Lucy, ponad kuchnię, w stronę okien wychodzących na podwórze. Świecą się lampy na zewnątrz. Widzę huśtawki i domek do zabaw, przyprószony śniegiem. Widzę bałwana, ubranego w jedną z zimowych czapek Boba, z marchwianym nosem i co najmniej pięcioma rękami z patyków. Widzę czerwony talerz do zjeżdżania na szczycie podwórkowego pagórka i szaloną płataninę śladów butów i płóz sanek.

I nigdzie nie widzę więzienia.

Wiele w moim życiu dramatycznie się zmieniło. Ale w pewien sposób, moje życie wciąż jest takie same. Zimowe uciechy na podwórku, tańcząca Lucy, łapki Linusa na mojej

buzi, śmiejący się Bob i zapach choinki. To wytrzymam. I tym się napawam.

ROZDZIAŁ 21

Okazuje się, że największa zmiana w domu nie polega na przyklepieniu na ścianach pomarańczowej taśmy, ani na tym, że mama śpi w pokoju z dużymi oknami. Charlie ma ADHD. Zespół nadpobudliwości psychoruchowej z deficytem wagi. Bob przekazał mi tę wiadomość, kiedy leżeliśmy w łóżku pierwszej nocy spędzonej w domu. Powiedział, że lekarz był pewien i że symptomy Charliego są klasyczne, ale nie najintensywniejsze. Cichutko płakałam w jego ramionach, a on zapewniał mnie, dopóki nie zasnęłam, że wszystko z Charliem ułoży się dobrze.

Charlie zażywa lek o nazwie Concerta, który jest podobny do Ritalinu, ale uwalnia się stopniowo przez dwanaście godzin. Podaje mu się jedną tabletkę dziennie podczas śniadania. Nazywamy ją witaminą, a nie lekarstwem, żeby nie pomyślał, że jest chory, opóźniony czy niepełnosprawny. Dotychczas nie narzekał na bóle głowy, nie stracił apetytu, a pani Gavin mówi, że zauważa pozytywne zmiany w jego zachowaniu w szkole.

Zaczęliśmy również dokonywać wielu zmian w jego „stylu życia”, które mają mu pomóc. Zmodyfikowaliśmy jego dietę - koniec ze słodzonymi płatkami, koniec z żelkami i lodami z E129 i E132, koniec z gazowanymi napojami, koniec z fast foodem. Nie jest zbyt zachwycony tymi zmianami i wcale się temu nie dziwię. Nawet mnie brakuje żelków. Ma na rano i wieczór listy rzeczy „Do Zrobienia” - są to tabelki wydrukowane w dużym formacie i przyklepione do ściany w jego pokoju. W ten sposób łatwo może sprawdzić co musi zrobić przed wyjściem do szkoły i pod koniec każdego dnia. Na lodówce przyczepiliśmy magnesem „Zasady Charliego”.

Nie stukam.

Nie krzyczę.

Nie przerywam innym.

Słucham, co się do mnie mówi.

Odrabiam zadanie domowe bez marudzenia.

Przy wsparciu pani Gavin, Bob i ja wdrożyliśmy program motywujący - Kulkowe Minuty. Charlie każdy dzień rozpoczyna z sześcioma szklanymi kulkami w kubku. Każda kulka to dziesięć minut telewizji lub gier video. Jeśli przez cały dzień do siedemnastej, Charlie stosuje się do wszystkich reguł, może oglądać telewizję przez godzinę. Za każde przewinienie i odstępianie od zasad, traci jedną kulkę.

Dzisiaj jest typowy dzień. Jest szesnasta, a on już stracił połowę swoich kulek. Wyrwał

Lucy iPoda z rąk i uderzył ją nim w głowę, kiedy chciała go odzyskać. Moja mama trzy razy prosiła go, żeby podniósł z podłogi swoją kurtkę i zawiesił ją na wieszaku w ganku. Ja rozmawiałam przez telefon z moim terapeutą zajęciowym dla pacjentów spoza szpitala, kiedy - niczym karabin maszynowy - zaatakował mnie serią okrzyków: *mamo, mamo, mamo, mamo, mamo, mamo*. Powinnam była zabrać mu po jednej kulce za każde „mamo”, ale tak bardzo chce zagrać w Super Mario, a ja już wiem, że lepiej nie pozbywać się wszystkich kulek, zanim nie skończy odrabiać zadania domowego.

Siedzimy przy kuchennym stole, przed nim rozłożone książki i zeszyty z zadaniami do odrobienia, przede mną ćwiczenia zadane mi przez terapeutę. Oboje wolelibyśmy robić coś innego. Wiem, że Charlie trzyma kciuki za to, żeby nie stracić pozostałych kulek. Mam nadzieję, że i ja swoich nie stracę. Bob jest w pracy, a moja mama zabrała Linusa na lekcje tańca Lucy. Telewizor jest wyłączony, w domu jest cicho, stół jest uprzątnięty.

- Okej, Charlie. Zabieramy się do pracy. Kto zaczyna?

- Ty - odpowiada.

Patrzę na tacę, stojącą przede mną. Pionowa linia z pomarańczowej taśmy przedziela tacę na pół. Taca jest pusta.

- Dobrze, ja zacznę - mówię.

Zadanie Charliego polega na tym, że kładzie na lewej stronie tacy od jednej do pięciu gumowych piłeczek, wielkości mandarynki. Moje zadanie polega na zobaczeniu, ile piłeczek się tam znajduje.

- Gotowe - mówi.

Moje zadanie domowe zaczynam od uchwycenia prawą ręką dolnej części tacy. Następnie przesuwam nią w lewo aż poczuję kąt prosty lewego rogu. Dopada mnie niepokój, kiedy prawą ręką przekraczam linię, wyznaczającą środek mojego ciała i pozostawiam ją gdzieś na niezbadanym Łądzie Lewej Strony. To uczucie przywodzi mi na myśl ćwiczenie zaufania, w którym raz uczestniczyłam na warsztatach dla pracowników Berkley. Stojąc z zamkniętymi oczami, musiałam upaść do tyłu ufając, że złapią mnie moi współpracownicy. Pamiętam, że sekundę przed tym, jak zaczęłam odchyłać się w tył, nie widząc i nie kontrolując tego, jak i gdzie wyląduję, i nie chcąc rozwalić głowy o twardą podłogę, podczas tego głupiego ćwiczenia, zdrowy rozsądek i pierwotny instynkt krzyczały „Nie rób tego”. Ale gdzieś w środku, udało mi się uaktywnić funkcję ignorowania tego głosu. I oczywiście, moi koledzy mnie złapali. Doświadczam podobnego uczucia, kiedy prawa ręka przekracza pomarańczową linię. Instynktowny strach, wewnętrzna odwaga, ślepa wiara.

Teraz prawą rękę przesuwam w prawo, badając powierzchnię tacy, co jest naturalne i

proste, ponieważ w ten sposób wycofuję się z lewej strony.

- Cztery - mówię.

- Tak! Świetnie, mammo! - mówi Charlie. - Przybij piątkę!

Szukanie piłeczek jest najłatwiejszą częścią mojej pracy domowej i nie zasługuje na aplauz, ale nie chcę go zniechęcać. Uśmiecham się i uderzam w jego dłoń.

- Przybij piątkę *lewą* ręką - mówi Charlie.

Uwielbia ze mną pracować. I tak muszę odnaleźć lewą rękę przed kolejnym ćwiczeniem, więc spełniam jego zachciankę i zaczynam szukać. Znajduję ją, zwisając luźno z boku i udaje mi się ją podnieść, ale nie wiem dokładnie gdzie się znajduje. Charlie czeka z podniesioną do przybicia piątki ręką, która jest moim celem. Ale on podniósł swoją prawą rękę, która dla mnie znajduje się po lewej, co sprawia, że i ją niełatwo mi znaleźć. Charlie jest prawdopodobnie najbardziej wymagającym terapeutą, jakiego miałam. Nie mając żadnej pewności, że mi się uda, biorę zamach ręką. Nie trafiam w piątkę i uderzam go w klatkę piersiową.

- Mammo! - mówi ze śmiechem.

- Przepraszam, skarbie.

Zgina moją rękę w łokciu, jakbym była jedną z zabawkowych figurek, rozcapierza mi palce, bierze zamach i przybija piątkę do swojej dłoni, z głośnym i zadowolającym go kłaśnięciem.

- Dzięki. Dobrze, teraz następne zadanie - mówię, chcąc już skończyć.

Teraz lewą ręką muszę podnieść jedną z czerwonych piłeczek i ścisnąć ją. Wnętrze lewej dłoni ciągle mnie trochę piecze od piątki przybitej z Charliem, co się bardzo dobrze składa i rokuje, ponieważ sprawia, że ręka nie znika od razu i ze względną łatwością mogę ją położyć na tacy. Macam dookoła i łapię najbliższą piłeczkę. Następnie lekko ją ściskam.

- Tak, mammo! Odłóż ją teraz.

I tutaj się zacinam. Nie mogę wypuścić piłeczki. Zaniosę ją ze sobą do łóżka, cały czas nieświadoma tego, że tulę pasażera na gapę. Obudzę się rano ciągle trzymając ją w upartej ręce, aż ktoś litościwie wyłuska ją z mojego uścisku.

- Nie mogę. Nie umiem jej puścić.

Próbuję poluzować chwyt, ale jest zbyt mocny. Staram się rozluźnić rękę. Nic się nie dzieje. Mój mózg zawsze wolał trzymać niż puszczać.

- Pomożesz mi, Charlie?

Wyjmuje piłeczkę z mojej sztywnej dłoni i odkłada ją na tacę, następnie odsuwa ją na drugą stronę stołu. Teraz jego kolej.

- Chciałbym mieć twoje zadanie domowe. Twoje jest łatwe - mówi.

- Nie dla mnie - odpowiadam.

Przykłada moją czerwoną zakładkę do lewej strony swojej karty pracy, tak żebym mogła śledzić to, co robi i oboje zaczynamy czytać. Ale po kilku sekundach, najbardziej zauważalną rzeczą, którą robi, staje się nie czytanie ani pisanie, tylko wiercenie się. Kręci się na krześle, kołysze w przód i w tył, siada, podpierając się na kolanach, a potem znowu na tyłku, macha nogami. Przed wypadkiem, zawsze zasiadałam z nim do pracy domowej kilka godzin po tym, jak zaczął ją odrabiać i kiedy był już pokonany. Był już wykończony fizycznie, apatyczny i w niczym nie przypominał tego chaotycznego, falującego kłębaka energii, na który teraz patrzę.

- Zaraz spadniesz z krzesła. Siedź spokojnie.

- Przepraszam.

Na minutę jego wewnętrzne perpetuum mobile uspokaja się, ale po chwili następuje ponowny zapłon i wszystko znowu pracuje na najwyższych obrotach.

- Charlie, wierzysz się.

- Przepraszam - mówi ponownie i patrzy na mnie, jego śliczne oczy pytają mnie czy straci kolejną kulkę.

Ale wiem, że nie popisuje się, ani nie jest świadomie nieposłuszny. Nie będę karała go za to, że nie może usiedzieć na miejscu. Ale to oczywiste, że nie może poświęcić całej swojej energii umysłowej słowom na kartce, skoro tak wiele jej potrzeba na sprostanie potrzebom ciała.

- A może pozbedziemy się krzesła? Będziesz odrabiał zadanie na stojąco? - pytam.

Odsuwa krzesło i stoi, od razu zauważam różnicę. Jedną nogą tupie w podłogę, jakby odmierzał czas, ale reszta ciała się uspokaja. I odpowiada na pytania w karcie pracy.

- Zrobione! - mówi, odkładając ołówek. - Mogę teraz pograć w Mario?

- Czeka, czeka - mówię, ciągle czytając trzecie pytanie.

Jane strzeliła 2 gole w pierwszym meczu i 4 gole w drugim meczu. Ile w sumie strzeliła goli? Sprawdzam jego odpowiedzi.

- Charlie, pierwsze trzy odpowiedzi są złe. Wróć do nich.

Jęczy i tupie nogą.

- Widzisz, jestem głupi.

- Nie jesteś głupi. Nie mów tak. Myślisz, że ja też jestem głupia?

- Nie.

- No właśnie. Żadne z nas nie jest głupie. Nasze mózgi pracują inaczej niż mózgi

większości ludzi i musimy się nauczyć, jak zaprząć je do pracy. Ale nie jesteśmy głupi, prawda?

- Prawda - mówi, zupełnie mi nie wierząc.

- Okej. Dlaczego tak się spieszyłeś?

- Nie wiem.

- Masz mnóstwo czasu, żeby pograć w Mario. Nie musisz się spieszyć. Zwolnij i rozwiąż po jednym zadaniu na raz. Przeczytaj jeszcze raz pierwsze.

Ja też je czytam. *W lewej kieszeni Billy ma 2 dolary i 5 dolarów w prawej kieszeni. Ile dolarów ma w sumie?*

Patrzę na Charliego, spodziewając się, że i on na mnie spojrzy w nadziei na moje instrukcje, ale on wciąż czyta. A jego oczy patrzą gdzieś w dwóch-trzecich strony.

- Charlie, czy trudno ci się skupić na jednym zadaniu, kiedy jest ich tak wiele na kartce?

- Tak.

- Aha. Mam pomysł. Przyniesź nożyczki.

Pod każdym pytaniem, rysuję poziomą linię ołówkiem Charliego. On wraca do stołu z nożyczkami, tym, o co go poprosiłam, co samo w sobie jest znaczącym krokiem naprzód.

- Przetnij kartkę wzdłuż linii, które narysowałam.

Wykonuje polecenie.

- Teraz ułóż je jak talię kart i podaj mi je.

Podaję mu pierwsze pytanie. Stuka nogą i czyta jego treść.

- Osiem? - pyta.

- Bardzo dobrze.

Uśmiecha się od ucha do ucha. Przybiłabym z nim piątkę, ale nie chcę go rozpraszać, żeby nie stracił dobrej passy. Odwracam kolejny pasek papieru. Czyta treść i liczy szeptem, kładąc na stole po jednym paluszku na każdą kolejną cyfrę.

- Sześć?

- Tak!

Kiedy nie ma innych słów, przyciągających jego uwagę, widzi tylko jedno pytanie i nie miesza informacji w nim zawartych z innymi zadaniami. Daję mu kolejno wszystkie dziesięć karteczek z ćwiczeniami i na wszystkie odpowiada właściwie. Kończymy w około piętnaście minut. Rekord na Pilgrim Lane 22.

- Koniec, Charlie. Nie ma więcej zadań. Zrobiłeś wszystkie.

- Skończyłem?

- Tak. Świetna robota.

Triumf i duma pojawiają się na jego buzi. Uderza mnie to, że przypomina mnie samą.

- Mogę zagrać w Mario?

- Możesz. Ale wiesz co? Tak świetnie się spisałeś, że sędzę, że zasłużyłeś na zwrot trzech kulek.

- Naprawdę?

- Jasne. Jeśli chcesz, możesz grać całą godzinę.

- Juhu! Dziękuję, mamo.

Wybiega z kuchni, ale po chwili znowu wpada do środka.

- Mamo? Mogłabyś powiedzieć pani Gavin o tych karteczkach z pytaniami i o tym, że stałem przy stole? Chcę się uczyć w ten sposób.

- Oczywiście, kochanie.

- Dzięki!

Wypada tak szybko, jak się pojawił i słyszę, jak zbiega po schodach do pokoju zabaw.

Patrzę na kartę pracy, pociętą na kawałki i mam nadzieję, że pani Gavin zrozumie. Zawsze możemy ją z powrotem posklejać, jeśli to dla niej istotne. Nasze mózgi są inne i musimy dowiedzieć się, jak zmusić je do pracy.

Słyszę znajome dźwięki Super Mario i wyobrażam sobie nieczęsty u Charliego wraz twarzy, na którym maluje się samozadowolenie. Zostaję przy kuchennym stole, czekając na mamę i pozostałą dwójkę dzieci i też czuję zadowolenie. Jak Super Mama.

ROZDZIAŁ 22

Dziś jest nasza rocznica. Wybieramy się Bobem do Pisces, naszej ulubionej restauracji w Welmont. Nie mogę się doczekać. Nie będzie tam jedzenia podawanego na plastikowych tacach ani w styropianowych pojemnikach; w menu nie będzie makaronu zapiekanego z serem ani drobiowych nuggetsów; nie będzie płaczących i marudzących dzieci, ani rodziców błagających, żeby zjadły makaron i kurczaka. Będzie za to solniczka i karta win na każdym stole. Dawno już nie jadłam porządnego posiłku w cywilizowanym towarzystwie. Już mi leci ślinka.

- Wygląda na to, że wszyscy dziś wylegli do miasta - mówi Bob, kiedy w ślimaczym tempie przemierzamy główną ulicę, w poszukiwaniu miejsca parkingowego, czyhając na tych przechodniów, którzy wyglądają, jakby zmierzali do swoich samochodów i wkurzając kierowców jadących za nami.

Mijamy miejsce parkingowe dla niepełnosprawnych, które jest niezajęte i kuszące. Ale nie mamy pozwolenia na parkowanie w tym miejscu. Nie chcę takiego mieć. Z tego samego powodu, z jakiego Concertę Charliego nazywamy witaminką, nie chcę mieć inwalidzkiej rejestracji ani nalepki, ani nawet żadnego dokumentu z rysunkiem przedstawiającym osobę na wózku inwalidzkim. Nie jestem chorą osobą, poruszającą się na wózku inwalidzkim. Bob wspiera mnie w tym myśleniu i przyklaskuje temu, że postrzegam siebie jako osobę zdrową, ale teraz zaczynam żałować, że nie możemy zaparkować na tym miejscu. Bob zwalnia jeszcze bardziej, kiedy zbliżamy się do Pisces, a następnie zatrzymuje się za jakimś samochodem tuż przy wejściu do restauracji.

- Może bym cię tu wysadził i pojechał poszukać miejsca? - pyta Bob.

- Jasne, już wyskakuję i biegnę - odpowiadam, nie ruszając się z miejsca.

- No tak - mówi Bob, uświadamiając sobie, że nie wyskoczę, ani nie pobiegnę. - Naprawdę powinni mieć portiera przy wejściu.

W końcu znajdujemy miejsce przed sklepem z serami, cztery przecznice dalej. Cztery długie przecznice.

- Która jest godzina? - pytam.

- Osiemnasta czterdzieści pięć.

Mamy rezerwację na dziewiętnastą. Piętnaście minut na przejście czterech przecznic. To niedaleko. Patrzę na swoje stopy. Chciałam założyć buty na obcasach, ale Bob i moja mama upierali się, żebym założyła wsuwane buty Merrell. Śmiesznie wyglądają w

zestawieniu z sukienką, ale - dzięki Bogu - nie postawiłam na swoim. Nigdy nie dałabym rady przejść czterech przecznic na wysokich obcasach.

Bob otwiera drzwi z mojej strony, rozpiną mój pas (na pewno przepadłby nam stolik, gdybym musiała się sama rozpiąć), podnosi mnie za pachy, wyciąga z samochodu i stawia na chodniku, gdzie w pogotowiu czeka moja babcina laska. Chwytam ją, a Bob chwyta mnie pod lewe ramię.

- Gotowa, moja królowo? - pyta.

- Chodźmy.

I ruszamy, para żółwi pędząca na kolację. Nigdy nie umiałam chodzić wolno. Nie przechadzam się, ani nie spaceruję. Wrzucam piąty bieg i idę. Nie jestem żadnym wyjątkiem. Sądzę, że większość bostończyków chodzi szybko i prosto do celu. Mamy mnóstwo rzeczy do zrobienia, ważnych rzeczy i brakuje nam czasu. Nie mamy go na guzdranie się, pogaduszki i wachanie róż. Może i brzmi to arogancko, niegrzecznie a nawet kołtuńsko, ale tak nie jest. Jesteśmy najczęściej praktyczni, odpowiedzialni i staramy się nadażyć ze wszystkim, czego od nas oczekują. Poza tym, od listopada do maja i tak nie kwitną róże. Jest zimno, idziemy tak szybko jak się da, żeby wrócić pod dach, gdzie jest ciepło. Tak jak dzisiaj. Dzisiaj temperatura spadła poniżej zera, a hulający po ulicy wiatr przenika nas do szpiku kości. Na pewno nie pomaga mi to, że zapięłam tylko dwa górne guziki wełnianego płaszcza zanim się zniechęciłam, przewidując, że „*będziemy na zewnątrz najwyżej minutkę*”. Gdybym nie miała niesprawnej lewej strony, zaproponowałabym, żebyśmy pobiegli. Ale mam niesprawną lewą stronę, więc brniemy do przodu. Laska, krok, przyciągnięcie, oddech.

Chodnik jest zrobiony z płyt i przy tym nieprzewidywalnie nierówny, poza tym raz prowadzi z górki, raz pod górkę, co sprawia, że teren jest bardziej wymagający, niż oznaczone żółtą linią korytarze w Baldwin czy nasza pozbawiona dywanów podłoga. Z każdym krokiem i przyciągnięciem dziękuję Bogu za laskę i Boba. Bez któregośkolwiek z nich leżałabym na zimnej, twardej ziemi, poniżona i spóźniona na kolację.

Przez to, że do świąt brakuje tylko tygodnia, chodniki wyglądają jak poruszające się z wielką prędkością pasy transmisyjne, transportujące konsumentów. Klienci nadchodzący z przeciwnej strony, mijają nas z godną pozazdrosczenia prędkością, podczas gdy ci, którzy są za nami, zwalniają, niecierpliwie depcząc nam po piętach, aż pojawi się jakaś mała luka na przeciwnym pasie, która pozwoli im nas wyprzedzić. Typowy przekrój przez społeczeństwo - kobiety ze świeżo pomalowanymi paznokciami i misternie ułożonymi włosami, z torbami z butików niesionymi na jednym łokciu i krzykliwą, choć drogą, torebką na drugim. Są też nastolatki, zawsze w grupach po trzy lub więcej osób, zawsze z iPodami i iPhonami i z

kubkami z Frappuccino. Wszyscy wydają dużo pieniędzy.

Kilka razy zbieram się na odwagę i spoglądam na zbliżających się ludzi i zauważam, że nikt nie patrzy wprost na mnie. Wszyscy ludzie albo skupiają wzrok na tym, co przed nimi, jakby szli wąskim tunelem, albo wpatrują się w ziemię. Odczuwam zażenowanie i niepewność, które sprawiają, że mam ochotę zapaść się pod ziemię. Muszę stawić temu czoła. Może i nie mam na czole tatuażu z człowiekiem siedzącym na wózku, ale jestem inwalidką. Ci ludzie nie patrzą na mnie, ponieważ krępuje ich mój widok. Już mam powiedzieć Bobowi, że chcę wracać do domu, ale przypominam sobie, że większość ludzi w centrum Welmont (w tym ja) z nikim zazwyczaj nie nawiązuje kontaktu wzrokowego, szczególnie wtedy, gdy trzeba przeciskać się zatłoczonym chodnikiem w mroźny dzień, tak jak teraz. Nie ma w tym nic osobistego. Zażenowanie i niepewność w moim żołądku przepraszają i proszą o wybaczenie, pozostawiając po sobie chłód i wzmagający się głód. Pisces znajduje się już tylko jedną przecnicę stąd.

Bob zdejmuje mój płaszcz, sadza mnie na krześle i zajmuje miejsce naprzeciw mnie. Oboje wdychamy i śmiejemy się, szczęśliwi, że dotarliśmy w jednym kawałku, że wreszcie jesteśmy w cieple, że zaraz dostaniemy jedzenie. Zdejmuję swoją różową polarową czapkę, zawieszam ją na mojej babcinej lasce i przeczesuję włosy dłonią, a mój gest przypomina drapanie psa po brzuchu. Chociaż trudno je nazwać długimi, moje włosy są na tyle długie, że wyglądają już tak, jakby fryzura była zamierzona, a nie wymuszona zabiegiem neurochirurgicznym. Kiedy w domu zauważam swoje odbicie w lustrze, w którym wyglądam jak Annie Lennox, zawsze przez chwilę zastanawiam się *Kim, do cholery, jest ta kobieta?* Za każdym razem trwa to trochę krócej. Zaczynam się przyzwyczajać i przyjmować to za normę, tak jak wszystkie inne zmiany, które na mnie spadły w ciągu miesiąca. Naprawdę cieszy mnie to, że mam teraz świetną fryzurę niewymagającą suszenia, prostowania, lakierowania i innych zabiegów. Wystarczy, że je umyję, wysuszę ręcznikiem, podrapię jak psa po brzuchu i gotowe. Powinnam była je obciąć dawno temu.

Jako że to typowy sobotni wieczór, Pisces tętni życiem, jakby była odporna na recesję. Z miejsca, gdzie siedzę, widzę młodą parę na randce, stolik przy którym siedzą poważni panowie i panie w garniturach i duży stół z hałaśliwymi kobietami - damski wieczór. No i Bob i ja.

- Wszystkiego dobrego, skarbie - mówi Bob, podając mi małe, białe pudełko.
- Och, kochanie. Ja niczego ci nie kupiłam.
- Wróciłaś do domu. Tylko tego chciałem.

Jak słodko. Ale jeszcze niczego nie kupiłam dla niego na gwiazdkę, i skoro teraz dostał ode mnie „powrót do domu”, lepiej byłoby gdybym coś zorganizowała. Zanim otwieram, przez chwilę przyglądam się białemu pudełku z wdzięcznością, że albo z litości dla mnie, albo z braku czasu nie opakował go w papier. W środku znajduje się ciężka, srebrna bransoletka z trzema wisiorami. Na nich wygrawerowano: Charlie, Lucy, Linus.

- Dziękuję, kochanie. Jest śliczna. Założysz mi ją?

Bob pochyla się nad stolikiem i dotyka mojego lewego nadgarstka.

- Nie tutaj. Załóż ją na prawą rękę, żebyś ją widziała.

- Ale ona ma być na lewej. Dzwonienie wisiorów będzie pomagało ci znaleźć rękę.

- No, dobrze.

Więc nie jest to tylko przemyślany prezent na naszą rocznicę i sentymentalna biżuteria. To narzędzie terapeutyczne. Cygaro nigdy nie jest tylko cygarem. Bob zapina bransoletkę i uśmiecha się. Wzruszam prawym ramieniem, co sprawia że automatycznie rusza się i lewe ramię, a ja słyszę dzwonienie na nadgarstku. Jestem owcą z dzwoneczkiem na szyi.

- Wiesz, że jeśli próbujesz mi pomóc zlokalizować lewą rękę, to brylanty łatwiej zobaczyć niż srebro - mówię, niezbyt subtelnie podpowiadając kolejne rehabilitacyjne błyskotki.

- Tak, ale one nie wydają żadnych dźwięków. Na pozostałych oczkach możemy powiesić jeszcze inne charmsy.

Widziałam takie dzwoniące bransoletki na nadgarstkach innych kobiet - z serduszkami, psami, podkowami, aniołkami, motylami, imionami dzieci, ja nie jestem typem zbieracza. Nie kolekcjonuję porcelanowych figurek Hummels ani Lladrós, żadnych postaci Bubbleheads, memorabiliów po Elvisie, monet, znaczków i tym podobnych. Patrę na zadowolonego Boba i rozumiem, że teraz będę zbierała zawieszki na srebrnej bransoletce. Zastanawiam się czy Annie Lennox taką nosi.

- Dziękuję.

iPhone Boba wibruje na stole. Odczytuje wiadomość.

- Praca - mówi, a na jego twarzy widać coraz większe zaniepokojenie. - Nie. O, nie. O, rany.

Palcem wskazującym wystukuje odpowiedź, dociskając mocniej niż to konieczne i paskudnie się przy tym krzywiąc. Przestaje pisać i teraz przesuwając jakiś tekst, zapewne czyta email, ale jego twarz wciąż wyraża niechęć w stosunku do tego, co przeczytał w sms-ie. Znowu coś pisze.

Jego włosy, które zazwyczaj są krótkie jak u żołnierza i dawno już powinny zostać

obcięte, są przylizane na czole i falujące przy uszach i na karku. Zapuścił także brodę, za którą nigdy nie przepadałam, ponieważ nie widać spod niej jego przystojnej twarzy i drapie delikatną skórę dzieci, kiedy Bob je całuje. Wygląda na zmęczonego, ale nie tak jak wtedy, gdy za krótko śpi, chociaż pewna jestem, że tak jest. Wygląda na wyczerpanego. Biedny Bob.

Skończyłam go obserwować, ale Bob jeszcze nie skończył tego, co go tak pochłonęło, więc postanawiam przyjrzeć się pozostałym gościom. Młoda para obok nas pije szampana. Zastanawiam się co świętują. Kobieta śmieje się filuternie i coś papla. Mężczyzna pochyla się nad stołem, żeby ją pocałować. Ona dotyka jego twarzy i ponownie wybucha śmiechem.

Zaraża mnie ich romantyczna energia i też się uśmiecham. Wracam wzrokiem do Boba, chcąc mu pokazać tę młodą parę i zauważam, że wygląda jak zahipnotyzowany, a jego spojrzenie jest zupełnie nieprzeniknione w swoim skupieniu. Zupełnie przepadł. Jego ciało siedzi naprzeciw mnie, ale Bob jest pustą łupiną, hologramem, awatarem prawdziwego Boba. Mój uśmiech znika. Czekam i czekam. To, że praca nachodzi nas w życiu prywatnym nie jest niczym nowym i w przeszłości nigdy mnie nie niepokoiło. Przeciwnie, miesiąc temu oboje siedzielibyśmy ze zwieszonymi nad telefonami głowami, jak dwa awatary spożywające kolację. Ale teraz nie mam żadnych sms-ów do wysłania, żadnych wiadomości do odczytania ani telefonów do wykonania i czuję się coraz bardziej samotna, skrepowana i znudzona. Młodzi ludzie przy stoliku obok, znowu wybuchają donośnym śmiechem, a ja w ostatniej chwili powstrzymuję się, żeby ich nie uciszać.

Pojawia się nasza kelnerka, co wyrywa Boba z transu, a mnie ratując przed samą sobą. Przedstawia się, proponuje specjały i pyta czego się napijemy.

- Ja poproszę Shiraz - mówię.

- Doprawdy? - pyta Bob.

Wzruszam ramionami i uśmiecham się, zastanawiając się czy będzie mnie zmuszać do zamówienia imbirowego piwa. Mogę pić alkohol, ale jestem pewna, że Martha by oponowała. Wiem, że po kolacji będę musiała przejść cztery przecznice do samochodu, i że raczej nie powinnam pić i że chodzę o lasce, ale to tylko jeden kieliszek. Chcę zjeść normalną kolację z mężem, a normalnie zamówiłabym kieliszek wina. Właściwie, normalnie zamówilibyśmy całą butelkę, a ja tylko chcę jeden kieliszek, zatem nie robię niczego zdroźnego i nieodpowiedzialnego. Chcę świętować, a to mnie odpręży. Zasłużyłam na minutę relaksu. Wszystko, co teraz robię, sprowadza się do patrzenia na lewo, szukania lewej strony, znajdowania lewej strony. Chcę trzymać kieliszek z pysznym czerwonym winem w prawej ręce i wznieść toast z moim kochanym, choć trochę owłosionym i nieobytym, mężem. Chcę jeść, pić i weselić się, jak młoda para przy stoliku obok.

- Dla mnie to samo - mówi Bob. - I możemy już składać zamówienie.

Znamy menu na pamięć, co tego wieczoru okazuje się być bardzo przydatne, ponieważ oznacza, że nie muszę wysilać się, żeby przeczytać lewą stronę karty czy lewą stronę prawej strony. Nie muszę też prosić Boba, żeby mi czytał. Zamawiamy to, co zawsze.

- Wróciłeś? - pytam, wskazując na telefon.

- Tak, przepraszam. Wygląda na to, że szykuje się kolejna fala zwolnień. Rany, mam nadzieję, że moja głowa nie leży na pieńku.

- Czy to naprawdę byłoby takie najgorsze? - pytam. - Dostałbyś odprawę, prawda?

- Niekoniecznie.

- Ale każdy dostaje równowartość trzech lub czterech pensji.

- Tak, ale ta studnia zaczyna wysychać, jeśli już nie wyschła.

- Ale mówiłeś, że dostaniesz czteromiesięczną odprawę, nie byłoby tak źle.

- Nie byłoby też za dobrze. Zainwestowałem tak dużo siebie w tę firmę, że nie chciałbym obejść się niczym. Muszę się utrzymać. Zła passa w przedsiębiorstwach musi się kiedyś skończyć. A ja muszę się utrzymać i ją przetrwać.

Wygląda na to, że kiedy ja modliłam się o to, żeby Bob stracił pracę, on modlił się, żeby ją utrzymać. Nie wiem jak dobrym matematykiem jest Bóg, ale według mnie wyszliśmy na zero, kasując wzajemnie swoje modły. Tak jakbym ja głosowała na demokratów, a Bob na republikanów. Rozumiem i podziwiam jego ambicję i niezłomną postawę. Ja mam też wrodzony pęd do zwyciężania, ale u mnie on mieści się we krwi, a jego poziom zmienia się od czasu do czasu, podczas gdy Bob ma ambicję zakorzenioną w szpiku kostnym.

- Jak spędziliśmy rocznicę w zeszłym roku? - pytam, próbując zmienić temat na niezwiązany z pracą Boba.

- Nie pamiętam - odpowiada. - Przyszliśmy tutaj?

- Nie pamiętam. Bardzo możliwe.

Pobraliśmy się w Cortland w stanie Vermont dziewięć lat temu. Wybraliśmy tydzień przedświąteczny, ponieważ jest to magiczny czas. Świąteczka, ogniska, kolędy, dobre życzenia - wszystko to zdawało się uczestniczyć także w naszym ślubie. Spędziliśmy tydzień miodowy, zjeżdżając po świeżo otwartych, szerokich trasach, ze świadomością, że po świętach zwałą się tłumy ludzi z dziećmi.

Wadą ślubu o tej porze roku jest to, że nasze rocznice przypadają na najgorętszy przedświąteczny okres, szczególnie jeśli ma się dzieci. To także czas rocznej ewaluacji skuteczności zespołów, co oznacza, że jestem przywalona robotą i jeszcze bardziej zajęta niż zwykle. Zatem nasze rocznice nie są zbyt huczne.

Porzucamy swoje zramolałe wspomnienia i rozmawiamy o dzieciach. Ja trochę opowiadam o mojej domowej terapii i starannie unikam mówienia o Berkley i mojej mamie. W międzyczasie, co kilka sekund, Bob zerka na telefon, który znowu leży na stole przed nim i chociaż jest cicho, wciąż prosi się o uwagę. Wygląda, jakby był na torturach, jak alkoholik na głodzie, wpatrujący się w kieliszek Martini. Mam już zaproponować, żeby go schował lub sprawdził wiadomości, kiedy przynoszą nasz posiłek.

Zamówiłam grillowaną polędwicę wołową, ubite ziemniaki z chrzanem i pieczone szparagi, a Bob przegrzebki z risotto z orzechami. Wszystko przepysznie wygląda i pachnie. Umieram z głodu i już mam rzucić się na talerz, kiedy ogarnia mnie zwątpienie i wstyd, bo zupełnie nie przemyślałam swojego zamówienia.

- Kochanie, nie dam rady tego zjeść - mówię.

- Dlaczego? Coś nie tak z jedzeniem?

- Nie, tylko ze mną coś nie tak.

Patrzy raz na mnie, raz na moje nietknięte danie, starając się domyślić o czym mówię i nieświadomie angażując się tak samo, jak w pracy przy rozwiązywaniu skomplikowanego problemu o wysokim priority. W końcu mu się udaje.

- Aha. Dobrze, wymieńmy się talerzami na chwilę - mówi.

Zamienia nasze talerze i zjadam kilka przegrzebków i trochę risotto, kiedy on kroi moje mięso. Czuję się głupio, kiedy przyglądam się, jak kroi całą polędwicę na równe kęsy, jak dla małego dziecka. Młodzi ludzie obok znowu wybuchają śmiechem. Patrzą na nich dyskretnie przez ramię, ponieważ moje ego zakłada, że śmieją się ze mnie, trzydziestosiedmioletniej kobiety, która nie potrafi pokroić sobie mięsa. Kobieta ciągle się śmieje i ociera łzy z oczu, a mężczyzna szczyrzy zęby, podnosząc kieliszek z szampanem. Nie wiem co ich tak rozśmieszyło, ale to oczywiste, że nie ja. Są tak sobą pochłonięci, że pewnie nawet nie zauważyli, że Bob i ja tutaj jesteśmy. Muszę zejść na ziemię.

- Proszę - mówi Bob i znowu zamienia talerze.

- Dziękuję - odpowiadam i ciągle się wstydzę.

Nakłuwam widelcem kawałek mięsa i wkładam je do ust. Bob robi to samo ze swoim daniem.

- I jak? - pyta.

- Doskonale.

Kończymy kolację. Nie mamy ochoty na deser, więc czekamy na rachunek. Okazuje się, że mój kieliszek wina nie był najlepszym pomysłem, nie dlatego, że czuję się wstawiona (tylko odrobinę), ale dlatego, że muszę teraz skorzystać z toalety i nie ma takiej możliwości,

żebym wytrzymała do powrotu do domu. Ale naprawdę nie mam ochoty korzystać z publicznej toalety. Staram się wyrzucić tę myśl z głowy i myśleć o czymś innym. *Naprawdę chciałabym wyjechać do Vermont. Naprawdę chcę wrócić do pracy. Naprawdę chcę wrócić do domu i pójść do łazienki.* Bez sensu. Nie wytrzymam przez cztery przecznice i przejazd samochodem. Wydawało mi się, że szczytem wstydu jest to, że mąż trzydziestosiedmiolatki kroi jej mięso na talerzu, ale aż się boję wyobrazić sobie jak trzydziestosiedmiolatka moczy się pośrodku restauracji Pisces. Młodzi ludzie przy stoliku obok, tym razem na pewno padliby ze śmiechu.

- Bob? Muszę iść do toalety.

- Dobrze. Zaprowadzę cię.

Przechodzimy obok młodej pary, która - mogłabym przysiąc - wciąż nas nie zauważyła, przez labirynt stolików, przez wąskie przejście, w którym blokujemy kelnerkę niosącą tacę z jedzeniem, która prawie nie kryje się ze swoją irytacją i docieramy do pustego korytarza. Laska. Krok. Przyciągnięcie. Oddech. Stop.

Dotarliśmy do drzwi damskiej toalety.

- Dasz radę stąd? - pyta Bob.

- Nie wejdiesz ze mną?

- Do damskiej toalety? Nie mogę.

- Oczywiście, że możesz. Nikogo to nie obchodzi.

- W porządku. To chodźmy do męskiej.

- O, nie. A jeśli będę potrzebowała twojej pomocy?

- To mnie zawołasz.

- Przyjdiesz, jak zawołam?

- Przyjdę.

- Będziesz tu czekał pod drzwiami?

- Nie ruszę się z miejsca.

- Okej. To idę.

Bob przytrzymuje mi drzwi, a ja ostrożnie wchodzę do środka. Przede mną, z prawej strony, znajdują się umywalki, co oznacza, że kabiny muszą być gdzieś po lewej. Oczywiście. Skup się na lewej, patrz w lewo, idź w lewo. Mam je. Są trzy zwykłe kabiny i jedna dla niepełnosprawnych. Ta dla niepełnosprawnych jest większa i jest w niej sporo miejsca, żeby się odwrócić i byłaby kabiną, którą zasugerowaliby mi moi terapeuci. Ale jest też najdalej, a mnie naprawdę bardzo chce się siku. Poza tym, nie jestem niepełnosprawna.

Wybieram pierwszą kabinę i popycham jej drzwi babciną laską. Otwierają się, a potem

zamykają uderzając o laskę. Przesuwam się do przodu, aż drogę blokuje mi muszla klozetowa, nad którą właśnie stoję. Po raz pierwszy w życiu żałuję, że nie jestem facetem.

Ale nie jestem facetem, więc rozpoczynam wymagający dużo zachodu proces odwracania się i siadania. W tym właśnie momencie, jak za dotknięciem magicznej różdżki, pojawiały się uchwyty do trzymania w Baldwin oraz te, zamontowane w naszych domowych łazienkach, za które mogłam chwycić, jak za koło ratunkowe. W publicznych toaletach nie ma takich hojnych ułatwień. Drzwi nie mają klamki, tylko lichą zasuwkę, a podajnik z papierem znajduje się gdzieś po lewej stronie, co sprawia, że dla mnie jest bezużyteczny.

Zanim udaje mi się odwrócić, zdjęć rajstopy i bieliznę, mija sporo czasu, wypełnionego moim postępowaniem, chrząkaniem i chaotycznymi ruchami. Słyszę jak ktoś rozwija papier w kabynie obok. Super. Jestem pewna, że ta osoba wyobraża sobie, że Bóg wie co tu robię. Zapomnij o niej. Już prawie ci się udało. Postanawiam, że najprościej będzie mi usiąść podtrzymując się laski i zjeżdżając po niej coraz niżej, aż wyląduję trochę tak, jak strażak w remizie. Jakimś cudem udaje mi się trafić w sedes.

Kiedy kończę, uświadamiam sobie z przerażeniem, że tu utknęłam. Musiałam puścić laskę, kiedy siadałam, a ona poleciała do przodu i teraz oparta jest o drzwi kabiny poza moim zasięgiem. Staram się wyobrazić sobie wstawanie bez laski, bez uchwytu, bez umiarkowanej asysty ze strony terapeuty i bez Boba, ale jedyne co widzę, to moment, kiedy lecę głową do przodu na metalowe drzwi kabiny albo głową do tyłu z powrotem na sedes.

- Bob? - krzyczę.

- Och, nie, Paula - mówi kobieta z kabiny obok.

Paula spuszcza wodę.

- Boooob?!

Słyszę, jak otwierają się drzwi kabiny Pauli i odgłos jej kroków, zmierzających w stronę umywalek.

- Cześć, jak się masz? Ładna sukienka - mówi Bob.

- Hm, ja... hmm - mówi Paula.

- Przepraszam, to nasza rocznica i trudno nam się rozstać nawet na chwilę.

Śmieję się i słyszę kroki Pauli przy drzwiach wyjściowych. Drzwi od kabiny poruszają się lekko i laska odbija się od nich, lecąc w moją stronę. Łapię ją. Pojawia się Bob, z uśmiechem od ucha do ucha.

- Wołałaś?

- Pomożesz mi się stąd wydostać?

- Gotowa?

Podnosi mnie, trzymając pod pachy i wyciąga z kabiny.

- Szkoda, że nie widziałaś miny tej kobiety - mówi.

Oboje wybuchamy śmiechem.

- Uciekała stąd, aż się kurzyło - mówię.

Śmiejemy się jeszcze głośniej.

Otwierają się drzwi. Wchodzi młoda kobieta ze stolika obok nas. Rzuca okiem na Boba podtrzymującego mnie pod pachami, zerka na moje stopy, zapiera jej dech ze zdziwienia, odwraca się na pięcie i wypada z toalety.

Bob i ja patrzymy tam gdzie ona. Moja bielizna i rajstopy zwisają mi wokół kostek. Tego już za dużo. Zanosimy się śmiechem. Dawno tak się nie śmiałam w ramionach Boba.

- Cóż, kochanie, nie sądzę, żebyśmy kiedykolwiek zapomnieli tę rocznicę - mówi Bob.

Nie, nie sądzę, żeby to się udało.

ROZDZIAŁ 23

- No, chodź - mówi Bob.

Ma na sobie kurtkę narciarską North Face, spodnie narciarskie, na szyi ma lustrzane okulary na czarnej tasiemce, tryska optymizmem. Trzyma moje nowe narty. K2 Burnin Luvs. Są wąskie i błyszczące, na nieskazitelnej bieli widnieje rdzawopomarańczowy wzorek. Dostałam je pod choinkę od Boba. Są wspaniałe i normalnie byłabym podekscytowana na ich widok, wyobrażając sobie jak świetnie będą reagowały i nie mogąc się doczekać wyjścia na stok. Ale teraz czuję tylko presję.

- Nie jestem gotowa - mówię.

Od świąt minęły trzy dni, a my jesteśmy w Vermont. Linus śpi, Charlie i Lucy są na ganku, gdzie ubierają się przed lekcją jazdy na nartach. Ja siedzę przy stole, jestem wciąż w piżamie, a przede mną leży rozłożony New York Times. Bob będzie tu tylko przez weekend, a moja mama, dzieci i ja zostaniemy przez cały tydzień wolny od zajęć w szkole. Bob nie ma ochoty zostawiać mnie przez cały tydzień w domu, który nie został profesjonalnie zabezpieczony przed Sarą, jednak przekonałam go, że tydzień w Vermont dobrze mi robi. Tydzień w Vermont zawsze dobrze mi robi.

- To był twój pomysł - mówi Bob.

- Nie powiedziałam, że chcę zjeżdżać - odpowiadam.

- To po co tu przyjechaliśmy, skoro nie chcesz iść na narty? - pyta.

- Podoba mi się tutaj.

- No, chodź. Myślę, że powinnaś spróbować.

- Niby jak mam jeździć na nartach, skoro nawet nie potrafię chodzić?

- Może to jest łatwiejsze od chodzenia.

- Jak to możliwe?

- Nie wiem, może to coś, co odpowiada za połączenie z lewą stroną, nie chce zbierać piłeczek z tacy. Może uaktywni się wtedy, gdy będziesz robiła to, co kochasz.

Może. Może jazda na nartach obudzi uszpioną część mojego mózgu, której ani trochę nie kręci podnoszenie czerwonych piłeczek. Może powinnam po prostu puścić się w dół Mount Cortland w moich nowych nartach K2, a moja lewa i prawa kończyna zgodnie i bezpiecznie powiodą mnie na dół. Może jednak, co bardziej prawdopodobne, upadnę i złamię nogę, albo uszkodzę więzadło w kolanie, lub też wypadnę ze szlaku i zatrzymam się na drzewie. Moja terapia czerwonymi piłeczkami nie jest może demonem szybkości w kategorii wyzdrowienia,

ale przynajmniej nie niesie ze sobą ryzyka, że skończę na wózku inwalidzkim, albo - co gorsza - stanę się jeszcze bardziej zależna od mojej matki.

- Co może ci się stać? - pyta Bob.

Połamane nogi. Kolejny uraz mózgu. Śmierć. Bob powinien wiedzieć, że właśnie ja mogę mu udzielić mnóstwa katastroficznych odpowiedzi na to pytanie. Kręcę tylko głową i unoszę brwi. Bob zauważa, że obrał złą taktykę.

- Jedynym sposobem na to, żeby przekonać się czy wciąż umie się jeździć konno, to wskoczyć na siodło - mówi Bob.

Stare kowbojskie porzekadło. Kręcę głową i wzdycham.

- Chodź. Spróbuj. Będzie fajnie. Zostaniemy na oślej łączce z dziećmi. Będę cały czas przy tobie i będę cię wspierał.

- Bob, ona nie jest jeszcze gotowa na narty. Może się połamać - wtrąca moja mama.

Stoi za mną w kuchni i sprząta naczynia po śniadaniu. Usmażyła maślane placuszki i kiełbaski. To dziwne uczucie, że jest tu z nami i szykuje śniadanie dla mojej rodziny. Dziwne jest też to, że wstawiła się za mną i podziela moje zdanie. Ale muszę przyznać, że jej placuszki były przepyszne, a jej głos wsparcia i troski daje mi najlepsze z możliwych wytłumaczenie na to, żeby zostać w piżamie w domu. *Przykro mi, moja mama mówi, że nie mogę iść.*

- Niczego sobie nie złamiesz. Obiecuję, będę obok ciebie - mówi Bob.

- Za wcześnie na to. Próbujesz mnie zmusić - mówię.

- Potrzeba ci zachęty. Chodź, dobrze ci to zrobi.

Jazda na nartach zrobiłaby mi dobrze. Ale nawet jeśli odejmę możliwość wypadku o skutku śmiertelnym oraz poważnego urazu, moja wyobraźnia nie sięga poza to, że skończę na tyłku z poplątanymi nogami i nartami. Że po każdym żenującym upadku wypną mi się narty, że nie będę w stanie balansować lewą nogą na śliskim stoku, starając się wpasować prawą nogę w wiązanie. Że równie niemożliwe będzie balansowanie na prawej nodze, żeby wpiąć zupełnie nieposłuszną lewą, palcami do przodu, w wiązanie lewej narty. Te myśli nawet przez moment nie są zabawne. I w ogóle trudno nazywać to jazdą na nartach.

- Nie chcę.

- To ty powiedziałaś, że chcesz jeździć na nartach jeszcze w tym roku - mówi Bob.

- W tym sezonie - poprawiam go. - Powiedziałam. I będę. Ale nie dzisiaj.

Patrzy na mnie, opierając ręce na biodrach i myśli.

- Okej, ale nie możesz cały czas siedzieć w domu - mówi i przez znaczącą chwilę patrzy na moją mamę.

- Musisz wrócić do rzeczy, które robiłaś - do swojej pracy, do nart. Jeszcze uda nam się razem pojeździć w tym sezonie, Saro.

- Okej - mówię i wiem, że Bob ma dobre zamiary, ale czuję się bardziej zastraszone, niż zainspirowana.

Bob opiera moje narty o stół kuchenny, naprzeciw miejsca, gdzie siedzę, pewnie po to, abym na nie patrzyła i żałowała tego, co mnie omija w konsekwencji mojej decyzji. Daję dzieciom i Bobowi buziaka na do widzenia, życzę im dobrej zabawy oraz bezpiecznej jazdy i słyszę jak za drzwiami, szeleszcząc ubraniami, zakładają ciężkie buty.

Potem słyszę odjeżdżający z podwórka samochód, wzdycham i szykuję się na miły, spokojny poranek wypełniony czytaniem. Spuszczam wzrok na artykuł, który ostatnio czytałam. Czytam kilka słów i patrzę na moje błyszczące, nowe narty. *Przestańcie na mnie patrzeć. Dzisiaj nigdzie nie idziemy.* Czytam kilka słów. Mama stuka garnkami i naczyniami w zlewie. Nie mogę się skupić. Muszę wypić kawę.

W prezencie świątecznym Bob dostał ode mnie nowy ekspres do kawy - Impresa S9 One touch, najlepszy z najlepszych, najbardziej wypasiony ekspres do cappuccino, kawy latte i latte macchiato. Jest szalenie drogi, więc nie był to rozsądny zakup, jeśli weźmiemy pod uwagę naszą obecną sytuację finansową, ale nie mogłam się oprzeć. Wystarczy dotknąć jeden przycisk na jego błyszczącym panelu ze stali nierdzewnej, żeby zmielił ziarna, spienił mleko i zaparzył kawę o dokładnie określonej temperaturze, objętości i mocy. Czyści się automatycznie i jest zachwalany jako najcichszy ekspres dostępny na rynku, poza tym tak pięknie wygląda na blacie w naszej kuchni. Jest jak idealne dziecko - dobrze wychowane, wykształcone, które robi dokładnie to, co mu się każe, wykonuje obowiązki bez ponaglenia i daje samą radość. Opiliśmy się wczoraj do granic przyzwoitości. Sikałam chyba z dwanaście razy, z czego trzy razy podczas drogi do Cortland (Bob chciał mi już założyć pieluchę). Nie mogłam zmrużyć oka w łóżku, bo kofeina wciąż buzowała w moich żyłach, nie byłam w stanie zahamować myśli wiele godzin po tym, kiedy normalnie smacznie śpię. Ale było warto.

Ponieważ oboje nie mogliśmy zdzierżyć myśli o rozstaniu na weekend z naszym nowym dzieckiem, przywieźliśmy Impresę do Vermont. Ale niestety, zapomnieliśmy zabrać kawy, a najbliższy sklep sprzedający kawę, która jest godna tego, żeby dotknąć Impresy, znajduje się w St. Johnsbury, dwadzieścia mil na południe. Mimo tego, że pragnę napić się doskonałego latte macchiato i napawać bogatym aromatem unoszącym się w całym domu, najszybszym sposobem na poranną kawę (i ulgę od bólu głowy, który na skutek odstawienia kofeiny, pojawił się w moich skroniach) jest udanie się do kafejki B&C Cafe.

- Mamo? - wołam przez prawe ramię w stronę kuchni, gdzie zmywa naczynia. - Pojechałabyś do B&C i przywiozła mi dużą odfuszczoną latte?

Przyjechała za nami swoim Volkswagenem, więc będziemy miały auto, kiedy Bob wróci do pracy.

- Czy to gdzieś we wsi?

- Tak.

Wszystko jest we wsi. W Cortland jest tylko jedno miejsce z sygnalizacją świetlną, a kilka wąskich dróg prowadzi albo do miasteczka, albo w góry, albo na autostradę. A sama wieś to tylko krótki odcinek głównej drogi, przy której stoją oryginalne sklepiki prowadzone przez rodzinę i oferujące narzuty, ser cheddar, cukierki i syrop klonowy. We wsi jest także sklep sportowy, jedna stacja benzynowa, kościół, biblioteka, kilka restauracji, galeria sztuki i B&C. Moja mama jest tu krócej niż dobe, a już orientuje się w topografii, nawet bez pomocy GPS-a Boba. Pięciolatek by się połapał. A nawet trzydziestosiedmiolatka z zespołem pomijania stronnego dojechałaby do kafejki i wróciła z niej nie stwarzając zagrożenia.

- Dasz sobie radę beze mnie? - pyta.

- Nic mi się nie stanie. To tylko kilka minut.

Nie jest przekonana.

- Czytam teraz gazetę. Linus śpi. Nic się nie stanie.

- Dobrze - mówi. - Zaraz wracam.

Słyszę, zamykające się za nią drzwi i samochód wycofujący z podjazdu. Uśmiecham się wiedząc, że za parę minut dostanę parujący kubek z kawą. Mniej więcej o tej samej porze Charlie i Lucy rozpoczną swoją całodzienną lekcję, a Bob będzie wjeżdżał wyciągiem na szczyt. Jestem zaskoczona tym, że nie czuję się opuszczona i że nie odczuwam najmniejszego ukłucia zazdrości. Widok z Mount Cortland na ośnieżone czubki drzew, majestatyczne Góry Zielone, zamarznięte jeziora i wijącą się dolinę, zapiera dech w piersiach. Skąpany w miękkim porannym świetle, świat widziany ze szczytu wydaje się spokojny i nieruchomy. Przepiękny. Pojadę tam. Kiedyś.

A teraz, kiedy Linus śpi, a wszyscy pozostali wyszli, spokój i cisza są też tutaj. Wyglądam przez przesuwane szklane drzwi, prowadzące na podwórko - trzy akry łąki, kończącej się lasem w obszarze chronionym. Płatanina tropów jakiegoś zwierzęcia, pewnie jelenia, przełamuje nietkniętą, gładką kołderkę śniegu. Nie mamy płotu powstrzymującego dzikie zwierzęta, wiążącego nasze dzieci i burzącego panoramę. Dom najbliższego sąsiada widoczny jest tylko od frontu i tylko wtedy, gdy opadną liście ze wszystkich klonów. Żyje się tutaj intymnie, spokojnie, okazale. Przecudownie.

Od sześciu dni czytam tę samą gazetę. Jestem teraz na niedzielnym dodatku, poświęconym biznesowi. To ostatni dział. Alleluja. Szczerze mówiąc, nie przeczytałam każdego słowa z każdego działu. Przeczytałam większość artykułów z pierwszej strony. To zabrało mi zeszłą niedzielę i większość poniedziałku. Kolumny są gęsto napakowane i pracowite, a dotyczą głównie korupcji, biedy, upadku i politycznego wytykania palcami na skalę krajową i międzynarodową. Po przeczytaniu tych artykułów czuję się lepiej poinformowana, ale niekoniecznie odniosłam wiele pożytku w zamian za włożony wysiłek.

Ominęłam dział sportowy. Zupełnie mnie nie interesują rozgrywki NFL, NHL, NBA i inne N. Nigdy nie interesowały. Nigdy nie czytałam działu sportowego i nie mam zamiaru teraz czytać, żeby tylko sobie udowodnić, że mogę przeczytać całą niedzielną gazetę. Pominęłam również dział recenzji książkowych (skoro już gazeta jest wyzwaniem) i mody (skoro jestem skazana na spodnie na gumce i chodaki). Moje „ja” sprzed wypadku kręci głową z dezaprobatą, grozi palcem i nazywa mnie niechlujem. Ale powypadkowe „ja” mówi jej stanowczym i nieznoszącym sprzeciwu tonem, żeby odpuściła i zamknęła się. Może i życie nie jest za krótkie na przeczytanie całej gazety, ale tydzień na pewno jest. Przynajmniej dla mnie. Omijam, omijam, omijam i omijam!

Dział o biznesie jest moim ulubionym, nie tylko dlatego, że jest ostatni. Ze względu na to, że konsultanci Berkley obsługują każdą dziedzinę przemysłu w większości krajów rozwiniętych, większość artykułów jest istotna dla przeszłych, teraźniejszych i przyszłych zleceń. Prawie każdy artykuł jest smakowitym, soczystym, słonym i słodko-gorzkim kąskiem ze świata korporacji - żywiołu, który kochałam. Wall Street, handel z Chinami, przemysł motoryzacyjny, farmakologiczny, technologie paliwowe, udziały w rynku, fuzje i przejęcia, zyski, straty, pierwsze oferty publiczne. W dziale biznesowym czuję się jak w domu.

Ponieważ uwielbiam jego zawartość, to i czytam go najszybciej. Co takiego? Może jednak jest coś w teorii Boba dotyczącej Narcianej Terapii - że poprawa zdrowia i normalne funkcjonowanie mogą nadejść szybciej, jeśli zacznę robić rzeczy, które sprawiają mi przyjemność, zamiast pokornie wykonywać automatyczne ruchy podczas zadań, do których nie mam żadnego stosunku emocjonalnego.

- Wiem, że dałybyście wszystko, żeby sobie pozjeżdżać, ale potrzebuję jeszcze trochę czasu - mówię do moich nart. I przysięgam, że są rozczarowane.

Zauważyłam, że potrafię już przeczytać każde słowo na stronie i to radosne odkrycie nie dotyczy tylko działu biznesowego. Oprócz pionowej czerwonej zakładki, którą przywiozłam z Baldwin, przydatnej do zaznaczania lewego marginesu, używam także drugiej zakładki, zwykłego białego paska papieru z Welmont Books, którą trzymam poziomo pod linijką, którą

aktualnie czytam. Kiedy dochodzę do końca linijki, z powrotem wracam wzrokiem do początku wersu, aż do miejsca, gdzie jest czerwona zakładka, następnie przesuwam białą w dół i zaczynam czytać następną linijkę. Kiedy to robię, czuję się jak karetką w maszynie do pisania, a nawet odtwarzam w głowie jej charakterystyczny dźwięk „ding” za każdym razem, gdy wracam do lewej strony i przesuwam się w dół.

Bez poziomej zakładki gubię się na stronie, kiedy próbuję wrócić do lewego marginesu. Dotarłabym do czerwonej zakładki, ale niczym zły pływak, chcący przepłynąć mocny prąd morski, mój wzrok zaczyna dryfować w górę i w dół, czasami całe akapity dalej od słów, które ostatnio czytałam. Zawsze wiedziałam, że jestem za daleko na południe lub na północ od miejsca, gdzie powinnam czytać, ponieważ zdanie, które czytałam nagle traciło wszelki sens. Dodatkowa zakładka trzyma mnie w linii. Ciekawe jest to, że pomysł drugiej zakładki nie wyszedł od Marthy, Heidi, Boba ani żadnego terapeuty. Wyszedł od Charliego. On tak czyta. A teraz oboje tak czytamy.

Od kiedy korzystam z tej techniki, powiedziałaabym, że moja dokładność, a co za tym idzie - także zrozumienie, wróciły do normy. Co jest rewelacyjnie dobrą wiadomością. Jest tak rewelacyjnie dobra, że powinnam skakać do góry (oczywiście tylko metaforycznie) i zadzwonić do Richarda, żeby powiedzieć mu, że już wyzdrowiałam i jestem gotowa wrócić do pracy. Jednak z nikim się jeszcze nie podzieliłam tą rewelacyjną wiadomością. Nawet z Bobem. Nie rozumiem powodu tej nietypowej dla mnie tajemniczości. Podejrzewam, że wynika ona z tego, iż wiem, że nie jestem jeszcze gotowa. Moje tempo czytania jest wciąż dużo, dużo wolniejsze. Kiedyś wystarczał mi tylko rzut oka na pewne fragmenty, czego nie ośmielałam się teraz robić. Czytam każde słowo, co jest świetne jeśli chodzi o dokładność, ale zabójcze dla wydajności. Czytaj, wróć, *ding*, czytaj. To działa, ale jest to męczący proces i w tym tempie na pewno nie dałabym rady nadażyć z codzienną korespondencją i dokumentami, przychodzącymi do Berkley. Przy najwyższej prędkości, mój tydzień pracy zamyka się w siedemdziesięciu do osiemdziesięciu godzin. Nie da się pracować wolniej. Więc ogłoszenie mojego powrotu byłoby zbyt wczesne. Lepiej siedzieć cicho.

Ale prawdziwy powód nie ogłoszania światu, że znowu potrafię czytać niewiele ma wspólnego z odpowiedzialnością czy strachem, że przerośnie mnie tempo. I na pewno nie chodzi o to, że jestem skromna czy cenię prywatność. Wręcz przeciwnie, zazwyczaj bezwstydnie przechwalałam się swoimi sukcesami, szczególnie przy Bobie, który zawsze słucha o nich z dumą. Ale nie chcę jeszcze nikomu o tym mówić, tak jak mi to podpowiada instynkt - trzymam swoją rewelacyjną wiadomość w tajemnicy.

Kończę dział biznesowy i przewracam ostatnią stronę gazety. Skończyłam! *Cóż, oprócz*

działu sportowego, modowego i książkowego. Cicho. Nie ma czego świętować. Cicho. Zabrało ci to siedem dni! Powinnaś ją przeczytać w jedno przedpołudnie. Cicho, cicho, cicho! Skazuję na banicję siebie sprzed wypadku i nalegam na to, żeby pławić się w blasku tej chwili. Jestem w Vermont, świeci słońce, w domu jest cicho, a ja skończyłam niedzielne wydanie New York Timesa. Uśmiecham się do nart, z którymi chcę podzielić się swoim osiągnięciem. Przysięgam, że i one się do mnie uśmiechają. Brakuje mi tylko gorącej kawy. Gdzie jest moja mama? Powinna już wrócić.

Ani minuty dłużej nie dam rady czekać na kofeinę w dowolnej formie. Podniesiona na duchu przez biegłość w czytaniu, postanawiam podejść do lodówki po dietetyczną colę. Jeśli Bob uważa, że jestem gotowa zjechać na nartach z pionowego stoku, powinnam również przejść kilka kroków po poziomej podłodze kuchni, prawda? Łapię za laskę i obie kuśtykamy od stołu do lodówki. Znajduję uchwyt na lodówce, który znajduje się po lewej stronie i nawet nie jest oklejony pomarańczową taśmą. Dobrze, jak na razie. Puszczam laskę i łapię za uchwyt. Mam go. Otwieram lodówkę, ale stoję tuż przed nią, więc osiągam jedynie to, że drzwi odbijają się ode mnie. Zamykam je. Muszę najpierw się odsunąć. W lewo. Trzymając się za uchwyt, przesuвам się w bok na tyle, żeby zrobić drzwiom miejsce i znowu ciągnę.

Ale jest jedna ważna różnica między uchwytami szpitalnymi i uchwytami na lodówkach. Uchwyty się nie przemieszczają. Mogę się o nie opierać, huścić, pchać i ciągnąć za nie z całej siły, a uchwyt (niczym Bob w czasie sprzeczki) ani drgnie. W przeciwieństwie do uchwytu lodówki z otwartymi drzwiami. To jest oczywiste, ale nigdy wcześniej nie opierałam się o uchwyt lodówki i nie doświadczyłam tego na własnej skórze. Nie rozważyłam także tego przypadku zanim lodówkę otworzyłam.

Kiedy drzwi się otwierają, leci za nimi moja ręka i reszta ciała, a ja niespodziewanie zginam się w pół, stopy spoczywają na podłodze, każdy mięsień mojego ramienia drży na skutek rozciągnięcia i od uwieszonego na nim ciężaru. Ze wzrokiem wbitym w podłogę i trzymając się tak mocno za uchwyt lodówki, jakby od tego zależało moje życie, zbieram wszystkie siły, żeby podnieść się do pionu, ale przeceniam ilość energii do tego potrzebnej i za bardzo odchylam się do tyłu, zamykając przy tym lodówkę. Próbuję jeszcze raz z takim samym skutkiem. Próbuję raz za razem jak wańka-wstańka.

Za każdym razem, kiedy przechyliam się w przód, kątem oka zauważam kuszącą srebrną puszką dietetyczną colę, stojącą na najwyższej półce. Potem odchylam się w tył, drzwi się zamykają i cola znika.

Spociałam się i zasapałam, więc postanawiam chwilę odetchnąć. Mimo powagi, z którą traktuję to przedsięwzięcie, zaczynam chichotać. Na miłość boską, zostałam Laverne De

Fazio⁶. W porządku, Saro, spróbuj jeszcze raz. Musi być jakiś sposób.

Tym razem ciągnąc, robię mały kroczek i pochylam się w przód. To sprawia, że nie zginam się w pół, ale jestem teraz uwięziona pomiędzy drzwiami, za które trzymam i półkami lodówki. Nie jest idealnie, ale zawsze to jakiś postęp. Na wysokości mojego wzroku stoi pięć puszek dietetycznej Coli.

Nie jestem pewna czy stojąc w takiej pozycji, mogę uwolnić prawą rękę puszczając uchwyt lodówki i nie upaść na podłogę. Nie chcę ryzykować, skoro nikogo nie ma w domu. Zatem albo lewa ręka, albo nic. Chłodne brzegi półek lodówki wbijają mi się w lewe ramię, łokieć i nadgarstek, co nie jest wygodne, ale dobrze się składa, ponieważ stymulacja sensoryczna sprawia, że jestem świadoma istnienia lewej ręki i dłoni. Ale kiedy posyłam wiadomość zmarzniętej lewej ręce: *Droga Lewa Ręko, proszę podnieś się i zdejmij colę*, nic się nie dzieje. Zaklinowała się. Staram się ją uwolnić, luźniej chwytając rączkę lodówki, ale kiedy to robię, zaczynam przechylać się do tyłu. Spinam się i znowu kurczowo się chwytam. Zastanawiam się i nie mogę wymyślić żadnego rozwiązania. Utknęłam w lodówce. *Powodzenia, Laverne. Nieźle się wpakowałaś.*

Gapię się na puszki dietetycznej coli przed moim nosem. Tak blisko, a tak daleko. Starając się obmyślić plan zdobycia coli lub uwolnienia się od lodówki (a tak naprawdę zrobienia obu tych rzeczy), zauważam jakąś torebkę za puszkami. To paczka kawy! Jednak pamiętaliśmy, żeby ją zabrać! Do licha, jak to się stało, że Bob jej tutaj nie zobaczył?

Jak mnie to wkurza! Bob nigdy niczego nie umie znaleźć w lodówce. Typowy przykład (ja zawsze wtedy jestem w innym pomieszczeniu):

- Saro, gdzie mamy keczup?
- Na najwyższej półce!
- Nie widzę!
- Obok majonezu!
- Nie widzę żadnego majonezu!
- Sprawdź na drzwiach!
- Nie ma go na drzwiach!
- Dotknij każdej rzeczy!

W końcu słyszę, sygnał alarmujący o tym, że drzwi lodówki są zbyt długo otwarte i postanawiam, że czas go uratować. Podchodzę do lodówki, choć on wciąż stara się w niej znaleźć keczup, rzucam okiem na najwyższą półkę, sięgam ręką i biorę keczup (który stał

⁶ Laverne de Fazio - bohaterka serialu pt: „Laverne & Shirley”.

obok majonezu) i podaję Bobowi. Tak, jakby miał zespół niedostrzegania lodówki. A po tym, co musiałam przez niego przejść dzisiaj rano, powinien zapisać się na jakiś program rehabilitacyjny.

Wyobrażam sobie, jak go opierniczę, kiedy wróci do domu. Uśmiecham się, podekscytowana i dumna z siebie. Znalazłam paczkę kawy! Będę mogła korzystać z Impressy! *Tak, tak ale teraz jesteś trzydziestosiedmiolatką, która utknęła w lodówce. Cicho.*

Ponownie budzi się we mnie nowa determinacja. Ta misja nie ma na celu zdobycia marnej puszki zimnej dietetycznej coli. To wyprawa po Świętego Graala kofeiny - gorącej, świeżo parzonej latte. Czas coś zrobić, Saro. No, dalej. Skończyłaś Szkołę Biznesu na Harvardzie. Rozwiąż problem.

Pochylam głowę, jakby była kulą, a puszki kręglami i próbuję przewrócić colę, na której przestało mi już zależeć. Przewracam je po dwóch próbach, co jest dobrym wynikiem. Następnie wyciągam szyję najdalej jak się da i chwytam zębami za zrolowany brzeg paczki kawy. Mam cię!

Teraz trzeba ją wyciągnąć. Postanawiam, że muszę iść do tyłu. Brzmi prosto, ale nie wierzę, że tak będzie. Od wypadku nie poruszałam się do tyłu. Podejrzewam, że chodzenie do tyłu nie jest tym, co terapeuci zajęciowi i fizjoterapeuci w Baldwin uważają za niezbędną umiejętność. Na pewno nie przewidzieli, że jedna z ich pacjentek utknie w lodówce, wgrzyzając się w torebkę z kawą. Będę musiała powiedzieć Heidi, że powinni dodać takie ćwiczenie.

Zaczynam. Prawą nogą robię krok w tył, ale zanim pomyślę co dalej, odchylam się od pionu tak bardzo, że drzwiczki otwierają się za szybko, a ich siła wyrывa mi uchwyt z ręki. Upadam do tyłu i uderzam głową o płytki na podłodze.

Zaliczyłam tak wiele upadków, że ten szczególnie mnie nie niepokoi. Ból, guzy, siniaki, upokorzenie - nauczyłam się je przyjmować na klatę (w sensie dosłownym i przenośnym). To wszystko jest częścią codziennych zmagania osoby z pomijaniem stronnym. Zatem to nie upadek sprawia, że zaczynam płakać.

Płaczę, ponieważ otworzyłam buzię kiedy leciałam na podłogę i upuściłam torebkę, a ona się otworzyła i wszystkie moje bezcenne ziarenka kawy rozsypały się po podłodze. Płaczę, ponieważ nie potrafię zrobić kilku kroków po płaskim, żeby wyjąć colę z lodówki. Płaczę, ponieważ nie mogę sama pojechać do B&C. Płaczę, ponieważ chciałabym teraz zjeżdżać z Bobem. Płaczę, ponieważ będę leżała na podłodze, dopóki ktoś mnie z niej nie podniesie.

Pogrążając się w żalu nad sobą, zapomniałam, że Linus śpi, a moje żałosne szlochanie

może go obudzić. Teraz Linus płacze razem ze mną.

- Przepraszam, skarbie! - krzyczę tak głośno, żeby mnie usłyszał na drugim piętrze. - Nie płacz! Wszystko już dobrze! Zaraz przyjdzie babcia!

Ale głos mamy udający, że wszystko jest dobrze i dochodzący z innego piętra, nie jest tym, czego chce Linus. On chce mamy. Chce, żeby mama przyszła na górę i wzięła go na ręce. A ja nie mogę. Płaczę.

- O, Boże, co się stało? - słyszę głos mamy.

- Nic mi nie jest - szlocham.

- Coś ci się stało?

Stoi nade mną ze styropianowym kubkiem w ręce.

- Nie. Idź do Linusa. Nic mi nie jest.

- Może poczekać. Co tu się stało?

- Chciałam wyjąć kawę.

- Przyniosłam ci kawę. Dlaczego nie poczekałaś aż wrócę?

- To trwało za długo.

- Och, Saro. Zawsze jesteś taka niecierpliwa - mówi. - Pomogę ci wstać.

Podnosi mnie do pozycji siedzącej ciągnąc za ramiona, usuwa ziarna kawy z miejsca obok mnie i siada na podłodze. Podaje mi kubek z kawą.

- Nie jest z B&C - mówię, nie zauważając logo na kubku.

- Zamknęli B&C.

- W sobotę?

- Na zawsze. W budynku niczego nie ma poza kartką „na wynajem” w oknie.

- To gdzie ją kupiłaś? - pytam.

- Na stacji benzynowej.

Upijam jeden łyk. Jest okropna. Znowu zaczynam płakać.

- Chciałabym móc sama kupić sobie kawę - zawodzę.

- Wiem. Wiem, że chcesz.

- Nie chcę być bezsilna - mówię, a mój płacz się wzmaga, kiedy słyszę w swoich ustach słowo „bezsilna”.

- Nie jesteś bezsilna. Potrzebujesz trochę pomocy. To nie to samo. No, dobrze, pozwól mi, że cię postawię na nogi.

- Dlaczego? Dlaczego mi pomagasz?

- Bo tego potrzebujesz.

- Dlaczego ty? Dlaczego teraz? Dlaczego zachciało ci się mi pomagać?

Wyjmuje kubek z mojej dłoni i chwyta mnie za rękę. Ścisną ją i patrzy mi prosto w oczy. Nigdy nie widziałam u niej takiego spojrzenia.

- Ponieważ chcę znowu być częścią twojego życia. Chcę być twoją matką. Przepraszam, że nie było mnie z tobą, kiedy dorastałaś. Wiem, że wtedy nie byłam twoją matką. Chcę, żebyś mi przebaczyła i pozwoliła sobie pomóc.

Nie ma takiej możliwości! Miała swoją szansę i nie chciała z niej skorzystać. A co ze wszystkimi tymi latami, gdy była ci potrzebna? Gdzie wtedy była? Jest zbyt samolubna, zbyt zajęta sobą. I jest już za późno. Nie możesz jej ufać. Miała swoją szansę.

Cicho.

ROZDZIAŁ 24

- Proszę - mówię z buzią pełną pasty do zębów - zostań. Jesteśmy z Bobem w głównej łazience. Opieram się o umywalkę, szykując się do snu. Bob stoi za mną i szykuje się do wyjazdu do Welmont. Dogląda także mojego mycia zębów, tak samo jak kilka minut temu doglądał tego u Charliego i Lucy. Nie można im ufać, że porządnie wymyją zęby bez nadzoru rodzica. Charlie poszedłby do łazienki, ale zapomniałby po co tam przyszedł. Porysowałby ściany kredkami do malowania w kąpeli, zostawił na podłodze rozwiniętą całą rolkę papieru lub wszczął drugą wojnę światową ze swoją siostrą. Lucy nigdy nie zapomina po co przyszła, ale oszukuje. Namoczyłaby szczoteczkę wodą, odstawiała do kubka i przez kolejnych dwadzieścia minut stroiłaby miny do lustra i mówiła do siebie. Nie możemy więc posyłać ich samych do łazienki i liczyć na to, że zastosują się do reguł higieny jamy ustnej.

Stosujemy przypomnienia słowne, żeby porządnie wymyli zęby. *Wyszczotkuj górę. Jeszcze raz w tym miejscu. Za szybko, jeszcze nie skończyłeś.* Czasami śpiewamy im piosenkę, a oni szczotkują, aż piosenka się skończy. Bob czyści im zęby nicią dentystyczną.

Teraz moja kolej. Mnie też nie można zaufać, że porządnie wymyją zęby bez nadzoru. Jak dla mnie, jest jeszcze za wcześnie, żeby kłaść się do łóżka, ale Bob chce mnie mieć z głowy zanim wyjedzie.

- Nie mogę - mówi. - Nie szczotkujesz po lewej stronie.

Patrząc na swoją twarz w lustrze, macham szczoteczką we wszystkie strony w nadziei, że przypadkowo zahaczę o lewą. Bóg mi świadkiem, że nie specjalnie omijam tę stronę. Jeśli się nie skupię, nie jestem nawet świadoma tego, że mam lewą stronę twarzy. A pod koniec dnia trudno mi się skupić.

Niezależnie od pory dnia, brak lewej strony twarzy skutkuje niepożądanymi konsekwencjami. Czasami wycieka mi ślina z lewego kącika ust i nawet o tym nie wiem do czasu, aż ktoś (moja mama) obetrze mnie chusteczką lub śliniaczkiem Linusa. Całkiem możliwe, że ośliniony na brodzie Linus wygląda słodko, ale jestem pewna, że tak nie jest w moim przypadku. Jestem też sławna z tego, że nieświadomie składuję częściowo przeżute kawałki jedzenia między dziąsłami a policzkiem i wyglądam jak wiewiórka, zbierająca orzechy na zimę. Wygląda to obrzydliwie i grozi zachłyśnięciem, więc kilka razy dziennie mama dokonuje „przeglądu wiewiórki”. Kiedy zostaję przyłapaną na chomikowaniu - albo wydfubuje jedzenie palcem, albo podaje mi szklankę wody i każe przepłukać usta i wypluć. Każde rozwiązanie jest tak samo ohydne, jak sam problem.

Mam mnóstwo drogich kosmetyków, które zalegają teraz w szufladach. Tusz do rzęs, liner i cień nałożony tylko na jedną powiekę, róż na jednym policzku i usta pomalowane rubinową czerwienią tylko z prawej strony, wyraźnie przerażały domowników. Jeden raz poprosiłam Boba, żeby wykonał mi makijaż - wyglądałam wtedy jak kobieta lekkich obyczajów. Skoro mam tylko dwie opcje - obłąkanej dziwaczki lub prostytutki, postanowiłam - dla dobra wszystkich - nie wyjmować kosmetyków do makijażu z szuflady.

Nie muszę zatem mówić, że mycie zębów nie jest konkurencją, w której mogę zdobyć złoto. Bob zawsze każe mi najpierw próbować samej, a potem sam czyści mi zęby. Przypadkowo biorę za duży zamach szczoteczką i zaczynam się dławić. Zbiera mi się na wymioty, więc spluwam do umywalki i podaję szczoteczkę Bobowi.

- Czy inni też przyjadą? - pytam.

- Wątpię. Może Steve i Barry.

Zarząd firmy Boba ogłosił w Wigilię, że w okresie pomiędzy świętami a Nowym Rokiem, firma będzie zamknięta - taki wymuszony, niepłatny urlop dla całego zespołu, w celu zaoszczędzenia na kosztach w tygodniu, kiedy w wielu przedsiębiorstwach niewiele się dzieje, nawet wtedy, kiedy nie ma recesji. Z tego, co mówił Bob, Steve i Barry są okropnymi pracoholikami, nawet jak na nasze standardy. Steve nienawidzi swojej żony i nie ma dzieci, a Barry jest rozwiedziony. Oczywiście, że przyjadą. Nie mają nic lepszego do roboty.

- To szaleństwo. Zostań. Pojeździsz sobie na nartach przez ten tydzień. Pobędziesz z dziećmi, pooglądamy filmy przy kominku. Wyśpisz się, odpoczniesz.

- Nie mogę. Mam tyle do zrobienia i chciałbym nadgonić przez ten czas. Przestań gadać, żebym mógł umyć ci zęby.

Z powodu zwolnień brakuje personelu i Bob, oprócz swoich obowiązków, musi jeszcze pracować za trzy inne osoby. Dziwię się, że jest w stanie tyle ogarnąć, a z drugiej strony martwię się, że się przepracowuje. Rano przed szkołą i wieczorami przed snem, pomaga dzieciom i mnie, śpi tylko kilka godzin, a resztę czasu spędza w pracy, dobijając do osiemnastu godzin na dobę. Jest jak świeca paląca się z obu stron i martwię się, że w pewnym momencie zostanie z niego tylko kałuża stopionego wosku.

Podnoszę rękę i sygnalizuję, że chcę wypluć pianę.

- Więc jedziesz do pracy, za co ci nie zapłacą, zamiast zostać przez tydzień nami - mówię.

- Chciałbym zostać, ale muszę zrobić wszystko co w mojej mocy, żebym razem z firmą utrzymał się na powierzchni. Wiesz, że nie mam wyjścia.

Za każdym razem, kiedy mama przynosi do domu zawartość skrzynki na listy i widzę

białe koperty, ułożone na kuchennym blacie, pogłębia się straszna, ciemna dziura w moim żołądku i staje się jeszcze czarniejsza i przerażająca. Jeśli nie wrócę do pracy, to nawet jeśli Bob utrzyma się w firmie i zachowa pensję, wkrótce zacznie nam brakować pieniędzy. Rachunki napływają niczym bezlitosna burza śnieżna i zaczynają nas zasypywać. A jeśli Bob straci pracę, nie mając zaklepanej następnej przed moim powrotem do Berkley, będziemy musieli dokonywać bolesnych wyborów. Serce szaleje, kiedy dociera do niego to, co mój umysł tchórzliwie od siebie odsuwa.

- Wiem. Rozumiem. Szkoda, że nie możesz zostać. Kiedy ostatnio mieliśmy urlop w tym samym czasie? - pytam.

- Nie wiem.

Nie spędziliśmy wspólnie ani tygodnia urlopu, ani nigdzie razem nie wyjechaliśmy bez dzieci, odkąd Lucy była dzidziusiem. Kiedy ja mogłam wziąć urlop, Bob nie mógł. I na odwrót. Najczęściej kończyło się tym, że braliśmy po kilka dni urlopu albo wykorzystywaliśmy je w sposób, który trudno byłoby nazwać wypoczynkiem - zazwyczaj wtedy, kiedy Abby była chora lub gdzieś wyjeżdżała. Z wyjątkiem tego roku, kiedy wykorzystywałam cały mój urlop na pobyt w cudownym Hotelu Baldwin, nigdy nie udawało mi się wykorzystać przysługujących mi dni wolnego w danym roku. Bob także nie wykorzystuje swojego. Te dni nie przechodzą na kolejny rok; przepadną, jeżeli ich nie wykorzystamy.

Po raz pierwszy dociera do mnie, że nasze zachowanie jest niewybaczalne. Nasi pracodawcy chcą nam płacić przez pięć tygodni, żebyśmy mogli ze sobą pobyć, odpocząć od biurka, zebrań, terminów, a my co roku mówimy: *Dziękujemy, wolimy jednak popracować*. Coś jest z nami nie tak.

- Jesteś pewien? Firma ani nie zatonie, ani nie zostanie uratowana przez ten tydzień, bo inaczej by jej teraz nie zamykali. Jesteś wykończony. Zostań. Pozjeżdżaj, Odpocznij. Tydzień wolnego dobrze ci zrobi.

- Otwórz buzię - mówi, trzymając w palcach nitkę dentystyczną i wyglądając na zadowolonego z tego, że znalazł sposób na to, żeby się zamknęła.

Poddaję się, a on zaczyna czyścić mi zęby nitką. Nie ma szans, żebym zrobiła to sama. Chyba szybciej udałoby mi się nauczyć swój duży paluch prawej nogi trzymać jeden koniec nitki, niż zmusić lewą rękę do uczestnictwa w tym zadaniu. Ale nie mam zamiaru wyglądać jak szympan, dla dobra mojego uzębienia. Dzięki Bogu, zajmuje się tym Bob, bo pewnie do czterdziestki byłabym szczerbata.

Widzę jego wzrok skupiony na wnętrzu mojej buzi. Zanim wyszłam z Baldwin płakałam za każdym razem, kiedy wyobraziłam sobie jak Bob się mną opiekuje. Oplakiwałam

utratę naszego partnerskiego układu, na rzecz - godnego ubolewania - brzemienia opieki nade mną, które zostanie na niego narzucone. Wstydziałam się tego. Ale teraz, kiedy patrzę, jak się mną opiekuje, nie myślę już w ten sposób. Obserwuję jego spokojne skupienie, a w sercu czuję ciepło i wdzięczność.

- Nie mogę, skarbie. Przepraszam. Wrócę pod koniec tygodnia.

Moje przedwypadkowe „ja” potakuje głową, rozumiejąc te życiowe dylematy. Robi to, co sama bym zrobiła. Ale teraz bardziej martwię się o niego, niż o jego pracę i dostrzegam to, na co moje przedwypadkowe wcielenie jest ślepe - on i jego praca to tak naprawdę dwie różne sprawy. Skończywszy z moimi zębami, idziemy w stronę łóżka. Bob wyjmuję z szafki moją piżamę.

- Ręce do góry - mówi tym samym tonem, jakim mówimy do dzieci.

- Jak mi poszło? - pytam, nie wiedząc czy moja lewa ręka posłuchała rozkazu.

- Sama zobacz.

Potrząsa moją bransoletką z zawieszkami i słyszę dzwonięcie gdzieś w okolicy bioder, a nie znad głowy. Nie dziwi mnie to. Zawsze jak proszę obie ręce, obie dłonie lub obie nogi, żeby zrobiły coś w tym samym czasie, jest tak, jakby strony rywalizowały ze sobą i prawa zawsze zwyciężała. Kiedy mój mózg słyszy „*Ręce do góry*” i rozlega się wystrzał pistoletu startowego, moja prawa ręka sprintem rusza do mety, podczas gdy lewa ręka wiedząc, że to nie jej liga, nawet nie wysunie jednego palca poza linię startu i jak sparaliżowana zostaje w miejscu, oszołomiona wspaniałymi osiągnięciami prawej ręki.

Rusz się lewa ręko, do góry!

Wyobrażam sobie, że lewa ręka odpowiada głosem Kłapouchego: „*Po co się trudzić, skoro prawa ręka już tam jest*”. Chciałabym, żeby moja lewa strona zrozumiała, że to nie są zawody.

Bob zdejmuje mi przez głowę wełniany sweter i musi pomóc mi wyjąć lewą rękę. Następnie sięga do tyłu, żeby rozpiąć mi stanik. Kiedy chodziliśmy ze sobą, nigdy nie miał problemów ze zdjęciem stanika, ale teraz chyba go zamroczyło. To chyba kwestia motywacji. Stoimy twarz przy twarzy, a on zerka ponad moim ramieniem na haftki. Całuję go w policzek. Zostawia stanik w spokoju i patrzy na mnie. Całuję go w usta. To nie jest niewinny pocałunek ani buziak za to, że wyczyścił mi zęby. A także nie taki, jaki dajemy sobie na do widzenia, spiesząc się do pracy. Wszystkie moje pragnienia - pragnienie wyzdrowienia, pragnienie powrotu do pracy, pragnienie jazdy na nartach, pragnienie tego, żeby Bob został, pragnienie, by pokazać mu jak bardzo go kocham są w tym pocałunku. Oddaje mi pocałunek i przysięgam, że czuję go nawet w palcach lewej stopy.

- Zamierzasz mnie uwieść, żebym został - mówi.

- Nie zostaniesz - mówię i całuję go ponownie.

Zdejmuje mój stanik bez dalszych ceregieli, pomaga mi dojść do łóżka, zdejmuję mi spodnie i bieliznę. Rozbiera się i kładzie na mnie.

- Tak dawno tego nie robiliśmy - mówi.

- Wiem.

- Trochę się boję, że zrobię ci jakąś krzywdę - mówi, głaszcząc mnie po włosach.

- Po prostu nie stukaj moją głową o zagłówek, to będzie dobrze - mówię z uśmiechem.

Śmieje się i widzę jaki jest zdenerwowany. Przyciągam go do siebie, obejmując za szyję i znowu się całujemy. Tak przyjemnie czuć na sobie jego goły, szeroki, silny i gładki tors. I jego ciężar na mnie. Zapomniałam, jak bardzo lubię czuć jego ciężar wsparty na mnie.

Nie przemyślałam tego zanim go pocałowałam, ale nawet w najbardziej pasywnej pozycji, muszę aktywnie używać swojej lewej strony. Obejmuję go prawą nogą, ale lewa po prostu leży na łóżku, jak nieożywiony kawał mięsa, ani trochę nie podniecony, a moja asymetria sprawia, że Bob, oględnie mówiąc, ma trudności z przejściem do sedna sprawy. Chociaż chętnie wykorzystuję różnego typu dziwaczne instrumenty rehabilitacyjne oraz także same techniki do czytania, chodzenia i jedzenia, nie zgadzam się na wpuszczenie do sypialni żadnych czerwonych linijek, pomarańczowej taśmy, babcinej laski i terapeutycznych zabawek seksualnych. Chcę normalnego seksu z moim mężem.

- Przepraszam, nie mogę znaleźć lewej nogi - mówię, odczuwając żal, że nie jest protezą, którą mogłabym po prostu odpiąć i zrzucić na podłogę.

- Nie szkodzi - odpowiada.

Udaje nam się, ale zauważam, że Bob trzyma moją lewą nogę pod kolanem, balansując mną, co przypomina mi to jak trzymał mnie za nogę podczas porodów, kiedy nadeszła faza skurczów partych. Moje myśli krążą wokół wspomnień z porodu - skurczy, znieczulenia zewnątrzoponowego, nacięcia pochwy. Staram się opanować te myśli, które postrzegam jako zupełnie nieodpowiednie i dywersyjne wobec tego co właśnie robię.

- Przepraszam za owłosioną nogę - mówię.

- Ciiii...

- Przepraszam.

Całuje mnie, chyba po to, żebym się zamknęła - z pozytywnym skutkiem. Wszystkie natrętne, onieśmielające myśli, rozmywają się i topią pod wpływem pocałunku, pod jego ciężarem i w obliczu tego, jak mu teraz ze mną dobrze. Może nie jest to całkowicie normalny stosunek, ale jest do przyjęcia. Właściwie, jest doskonały.

Po wszystkim Bob się ubiera, pomaga mi założyć piżamę i jeszcze na chwilę kładziemy się obok siebie.

- Tęsknię za tym - mówi.

- Ja też.

- Umówisz się ze mną na randkę przy kominku, kiedy wrócę?

Uśmiecham się i potakuję. Sprawdza godzinę.

- Lepiej zacznę się już zbierać. Miłego tygodnia. Do zobaczenia w sobotę - mówi i całuje mnie.

- Przyjedź w piątek.

- Będę w sobotę z samego rana.

- Weź wolne w piątek. Przyjedź w piątek rano.

- Nie mogę. Naprawdę muszę pracować.

Zanim to powiedział, zawahał się przez moment, więc wiem, że zrobiłam wyłom w jego murze.

- Zagrajmy w papier-nożyce-kamień.

Przez sekundę patrzymy na siebie z obawą, pamiętając co się stało ostatnim razem, gdy w to zegraliśmy.

- Okej - mówi i podciąga mnie do pozycji siedzącej.

Chowamy ręce za plecami.

- Raz, dwa, trzy, teraz! - mówię.

Papier Boba owija mój kamień. Przegrywam. Ale Bob nie świętuje swojej wygranej.

- Wyjdę z pracy wcześniej w piątek. Przyjadę wczesnym wieczorem - mówi.

Dotykam jego ręki, przyciągam go do siebie i mocno przytulam jednym ramieniem.

- Dziękuję.

Owija mnie grubym kocem i kołdrą.

- Wygodnie ci? - pyta.

Jeszcze nie pora na sen, ale nie mam nic przeciw położeniu się wcześniej. Odkąd wróciłam z Baldwin, śpię bardzo dużo, co najmniej dziewięć godzin każdej nocy i jeszcze godzinkę lub dwie po południu i niezwykle mi się to podoba. Po raz pierwszy od wielu lat rano nie budzę się wykończona.

- Tak. Jedź ostrożnie.

- Oczywiście.

- Kocham cię.

- Ja ciebie też kocham. Spij smacznie.

Słyszę jak wychodzi z domu, a potem widzę jak po ścianach sypialni przesuują się smugi światła, rzucone przez odjeżdżający samochód. Jest po dwudziestej, ale przez okno widzę konary i pnie klonów i sosen, odcinające się prawdziwą czernią na tle granatowego nieba. Księżyc musi dzisiaj mocno świecić. Nie sądzę, żeby w Cortland były jakieś latarnie uliczne.

Bob zostawił szczelinę w drzwiach sypialni, prawdopodobnie po to, żebym w razie czego mogła wezwać mamę do pomocy. W kominku wciąż się pali, a płomienie tańczą w szparze. Słucham strzelającego ognia i zanurzam się w sen w odcieniach szarości.

ROZDZIAŁ 25

Jest poniedziałek rano. Moja mama zmywa po śniadaniu. Zjadłam gęstą owsiankę z syropem klonowym i truskawkami, którą popiłam kawą latte. Dzieci i moja mama zjadły jajecznicę na bekonie i bułkę z sokiem pomarańczowym. Moja mama jest zwolenniczką ciepłych i pożywnych śniadań, o czym nie miałam okazji nigdy się przekonać. Wyrosłam na płatkach czekoladowych, chrupkim pieczywie i napojach owocowych.

Dużo się nauczyłam o mamie, od czasu gdy wypisano mnie ze szpitala. Upiera się także przy odmawianiu modlitwy dziękczynnej przed obiadem; chodzeniu po domu w kapciach lub skarpetkach, a nie w butach czy boso; prasuje całe pranie (włącznie z ręcznikami i bielizną); twierdzi, że codziennie każdy powinien spędzić co najmniej kwadrans na dworze, niezależnie od tego jaka jest pogoda; że dzieci mają za dużo „rzeczy” i za długo oglądają telewizję; że Bob jest „dobrym mężem”, ale „zapracowuje się na śmierć”; że Bóg ma jakiś plan. Poza obsesją na punkcie prasowania, zgadzam się z jej poglądami i zasadami życiowymi (nawet jeśli sama ich nie przestrzegam) i jestem zdziwiona tym, jakie jesteśmy do siebie podobne.

Mimo tego, że już tak wiele się o niej dowiedziałam, wciąż nie mam większego pojęcia o tym, co sądzi na mój temat, poza tym, że potrzebuję pomocy. Chciałabym wiedzieć więcej, więc szukam jakichś wskazówek, nie umiając spytać wprost, jakbym ciągle była uczennicą, wgapiającą się w plecy Seana Kelly w świetlicy szkolnej i zastanawiającą się czy on mnie lubi. Czy moja mama uważa, że jestem dobrym człowiekiem? Dobrą matką? Czy jest ze mnie dumna? Czy wierzy, że uda mi się całkowicie wyzdrowieć? Zastanawiam się.

Im więcej się o niej dowiaduję, tym więcej pytań wychodzi na powierzchnię, szczególnie tych dotyczących przeszłości. Gdzie ta kobieta się podziewała, kiedy byłam dzieckiem? Gdzie podziały się zasady, gorące posiłki i wyprasowane ubrania? Zastanawiam się, ile godzin spędziłam, oglądając „The Brady Bunch”⁷, ile moich obiadów składało się z kanapek z wędliną i majonezem, które zjadałam sama przed telewizorem, nie odmawiając modlitwy, podczas gdy ona przebywała w odosobnieniu swojej sypialni, a tata pracował na nocną zmianę. Dlaczego jej nie wystarczałam? Zastanawiam się nad tym.

Prognoza pogody dla Mount Cortland przewiduje porywiste wiatry, więc zamknięto wszystkie wyciągi. Mimo tego, że nie przeszkadzałoby to Charliemu i Lucy na oślej łączce, postanowiliśmy odpuścić i zostać w domu. Założyłam, że marzą o tym, by pooglądać jakiś

⁷ Amerykański serial komediowy.

film lub pograć w grę video, ponieważ odkąd przyjechaliśmy, nie mieli jeszcze takiej możliwości. Ale oni oboje chcą wyjść na dwór, żeby pobawić się na podwórku.

- Kombinezony, czapki, rękawiczki, kozaki - mówię, patrząc jak ganiają się na ganku.

- A gdzie są zabawki plażowe? - wrzeszczy Charlie, mając na myśli wiaderko z łopatkami, kubelkami i foremkami, które tak samo nadają się do śniegu jak i do piasku.

- Wszystko jest już na dworze - odpowiada moja mama. - Charlie, poczekaj! Twoja witaminka!

Wpada pędem do kuchni, ubrany w kombinezon i kozaki i grzecznie połyka Concertę.

- Bardzo ładnie. Teraz możesz lecieć - mówi mama.

Patrzymy na nie przez panoramiczne okno. Lucy ubrana jest w jeden z wielu zestawów skrzydeł wróżki, nałożonych na kurtkę jak plecak i zbiera patyki do czerwonego wiaderka. Charlie biegnie bliżej lasu i zaczyna tarzać się po śniegu. W międzyczasie Linus, ciągle w śpioszki, krąży dookoła lawy w pokoju i łączy namagnesowane pociągi.

- Za chwilę zabiorę Linusa na świeże powietrze - mówi moja mama.

- Dzięki.

Siedzi na krześle po mojej prawej stronie, w takim miejscu, żebym mogła ją widzieć. Trzyma kubek z herbatką ziołową i przegląda magazyn People. Ja mam przed sobą wczorajsze wydanie New York Timesa. Szukam strony C5, gdzie jest dalszy ciąg artykułu o kosztach wojny afgańskiej, który zaczęłam czytać wczoraj, zaczynając od pierwszej strony gazety. Nie mogę jej znaleźć.

- Wiem, że masz hopla na punkcie niedzielnego wydania Timesa, ale są prostsze metody dotarcia do wiadomości i poćwiczenia czytania.

- Chyba nie mówisz, że People ma jakieś istotne wiadomości.

- Właśnie to mówię. Mogłabyś to dzisiaj poczytać - mówi, przewracając stronę dla większego efektu.

Nic do niej nie dociera. Nie chodzi o to, żeby po prostu poczytać cokolwiek czy o wybieranie drogi na skróty. Chodzi o to, że chcę czytać to, co czytałam przed wypadkiem. Czytanie niedzielnego Timesa jest powrotem do mojego normalnego życia.

- Czytasz i czytasz, a niczego nie wiesz o Angelinie Jolie - mówi moja mama, uśmiechając się z wyższością.

- Jakoś przeżyję - odpowiadam.

Wciąż śmiejąc się ze swojego żartu, otwiera przezroczyste pudełko z jakimiś pigułkami i wysypuje na dłoń kilka białych i żółtych tabletek, po czym połyka je popijając każdą łykiem wody.

- Na co one są? - pytam.

- One? - pyta, potrząsając pudełkiem. - To są *moje* witaminki.

Czekam na ciąg dalszy.

- Moje pigułki rozweselające. Leki antydepresyjne.

- Och...

- Nie ma mnie bez nich.

Przez cały czas nawet mi nie zaświtało w głowie, że może cierpieć na kliniczną depresję. Mój ojciec i ja zawsze mówiliśmy tym, którzy o nią pytali, że ciągle jest w żałobie, albo że ma trudny okres, albo że nie najlepiej się czuje, ale nigdy nie użyliśmy słowa „depresja”. Myślałam, że jej brak zainteresowania mną i tym, co zostało z jej rodziny, był jej wyborem. Po raz pierwszy, biorę pod uwagę inną możliwość.

- Kiedy zaczęłaś je zażywać?

- Jakieś trzy lata temu.

- Dlaczego nie poszłaś szybciej do lekarza? - pytam, zakładając, że potrzebowała ich znacznie wcześniej.

- Ani ja, ani twój tata nie pomyśleliśmy o tym. Nasze pokolenie nie chodziło do lekarza z powodu uczuć. Chodziło się ze złamanymi kośćmi, na zabieg, albo żeby urodzić dzieci. Nie wierzyliśmy w depresję. Oboje sądziliśmy, że potrzebuję czasu na żałobę, a potem będę mogła przywdziać uśmiech i pójść dalej.

- Tak się nie stało.

- To prawda.

Dotychczas moje nieliczne rozmowy z mamą były powierzchowne i nigdzie nie prowadziły. To taka mała rzecz usłyszeć od swojej matki coś, o czym zawsze wiedziałam, czyli przyznanie się do tego, że nie była szczęśliwa i nie wyszła z żałoby. Ale jej szczere wyznanie dodaje mi odwagi, żeby zanurkować w głębokiej, mętnej wodzie. Głęboko oddycham, nie wiedząc jak blisko dna będę pływać i czy nie natrafię na jakieś przeszkody.

- Zauważyłaś różnicę jak zaczęłaś je zażywać?

- O, tak, od razu. W ciągu jakiegoś miesiąca. To było tak jakbym żyła w ciemnej, zanieczyszczonej chmurze, która wreszcie popłynęła dalej. Znowu poczułam ochotę do życia. Zaczęłam doglądać ogrodu. Czytać. Zapisalam się do klubu i do Czerwonych Kapeluszy, każdego ranka zaczęłam chodzić na spacer po plaży. Chciało mi się rano wstawać i coś robić.

Trzy lata temu. Charlie miał cztery lata, a Lucy dwa. Bob wciąż miał zapał i marzenia związane z pracą, a ja ciągle pracowałam w Berkley - pisałam raporty, latałam do Chin,

zapewniając sukces i długowieczność firmie wartej miliony dolarów. A moja matka znowu uprawiała ogródek. I czytała, i spacerowała po plaży. Ale nie próbowała nawiązać kontaktu ze swoją jedyną córką.

- Zanim zaczęłam zażywać te leki, nie chciało mi się wstawać rano. Paraliżowały mnie pytania. Co, jeśli bardziej uważałabym na Nate'a w basenie? Wciąż by żył. Byłam jego matką, ale go nie uchroniłam. A jeśli coś by się tobie stało? Nie zasłużyłam na to, żeby być twoją matką. Nie zasłużyłam na to, żeby żyć. Przez prawie trzydzieści lat, każdego wieczoru prosiłam Boga, żeby pozwolił mi umrzeć we śnie.

- To był wypadek. Nie było w tym twojej winy - mówię.

- Czasami myślę, że twój wypadek też zdarzył się z mojej winy.

Patrzę na nią nie rozumiejąc, co ma na myśli.

- Modliłam się do Boga, żeby dał mi możliwość powrotu do twojego życia, jakiejś przyczyny, która pomogłaby mi cię znowu poznać.

- Mamo, proszę, przecież Bóg nie rąbnął mnie w głowę i nie zabrał mi lewej strony po to, byś znalazła się w moim życiu.

- Ale jestem w twoim życiu, bo dostałaś w głowę i straciłaś lewą stronę.

Bóg ma plan.

- Wiesz, mogłaś do mnie po prostu zadzwonić.

I nie włączać w to Boga, ani ograniczającego mnie urazu mózgu.

- Chciałam. Próbowałam, ale za każdym razem jak podnosiłam słuchawkę, zamierałam, zanim skończyłam wybierać numer. Nie miałam pojęcia, co powinnam powiedzieć. Bałam się, że mnie nienawidzisz i że jest już za późno.

- Nie nienawidzę cię.

Te słowa wymknęły mi się, zanim się nad nimi zastanowiłam, jakbym mechanicznie odpowiadała „Dobrze” na pytanie „Jak się masz?”. Ale po chwili nieprzerwanej żadnym słowem, dociera do mnie, że powiedziałam prawdę i nie była to zwykła uprzejmość. W skomplikowanej sieci niezbyt pochlebnych opinii o mojej matce, żadna z nici nie jest utkana z nienawiści. Przyglądam się mamie i zauważam oczywistą zmianę w jej energii, jakby jej zdenerwowanie obniżyło poziom. Nie do zera, ale opadło znacząco w dół.

- Tak mi przykro, że cię zawiodłam, Saro. Mam tak wiele wyrzutów sumienia. Nie przypilnowałam Nate'a, nie dotarłam do niego zanim nie zrobiło się za późno, straciłam te wszystkie lata z tobą, nie udałam się wcześniej po leki antydepresyjne. Szkoda, że firmy farmaceutyczne nie wymyśliły jeszcze tabletek przeciw żalowi.

Przyjmuję te szczere słowa i uważnie studiuję jej twarz - zmarszczki od zmartwień,

które bardziej przypominają głębokie bruzdy, pomiędzy brwiami i wzdłuż czoła, smutek w jej oczach, skrucha wpisana w każdy rys twarzy. Lekiem na jej ból nie jest jeszcze niewymyślony specyfik, nie jest nim także żadna pigułka na receptę. Moja mama nie potrzebuje kolejnej tabletki. Potrzebuje przebaczenia. A chociaż słowa „Nie nienawidzę cię” i „To nie była twoja wina” wyszły ode mnie zupełnie szczerze, wiem, że w najlepszym razie są środkiem uśmierającym ból. „Nie jest brzydka” nie oznacza tego samego, co „jest piękna”, a „on nie jest głupi” to nie to samo, co „jest bystry”. Moją mamę na zawsze ulecą słowa „Przebaczam ci” wypowiedziane przeze mnie. Tak mi mówi przeczucie, ale jakaś część mnie, stara, poraniona i sama oczekująca jakiegoś cudownego leku, stawia opór temu hojnemu wyznaniu i nie pozwala słowom opuścić mojej głowy. I nawet wtedy, zanim zostaną wypowiedziane, muszą odbyć długą podróż z głowy do serca jeśli mają zabrzmieć tak szczerze, jak powinny, żeby przyniosły skutek.

- Ja też mam wyrzuty - mówię zamiast tego, wiedząc, że waga wyrzutów siostry jest nieporównywalna do tego, co czuje matka. To tak, jakby pyłek spoczywający na moich ramionach przyrównać do całej planety wspartej na niej. - Ciągle za nim tęsknię.

- Ja również. Codziennie. I ciągle jest mi smutno. Ale smutek nie połyka mnie w całości tak jak dawniej. I pojawia się radość. Widzę odrobinę Nate'a z czasów, gdy był dzidziusiem, w Linusie, i dużo z niego widzę w tobie i Charliem. To balsam na moją duszę, widzieć żyjące części niego.

Patrzę na Linusa, ciągnącego po stole kilkanaście połączonych wagoników pociągu. Miałam tylko trzy lata, kiedy Nate był w jego wieku i nie pamiętam go z tego okresu, zatem nie widzę podobieństwa w zachowaniu ani wyglądzie. Zastanawiam się co takiego widzi moja mama. Wyglądam przez okno i widzę Charliego budującego górę ze śniegu. Pamiętam, że Nate uwielbiał przygody, pamiętam jego determinację i wyobraźnię. Charlie ma te wszystkie cechy. I ja też.

- A Lucy? W niej też dostrzegasz Nate'a?

Lucy bawi się blisko domu. Zrzuciła rękawiczki i posypuje brokatem gniazdka uwite z gałązek, kamyczków i szyszek, które są chyba domami dla leśnych wrózek z jej wyobraźni.

- Nic a nic. Ta kochana mała wariatka jest jedyna w swoim rodzaju.

Obie się śmiejemy. Lubię słuchać jej śmiechu. Szkoda, że nie odkryła tych pigułek, kiedy byłam dzieckiem i żałuję, że uczę się brzmienia jej śmiechu dopiero jako trzydziestosiedmioletnia kobieta, za cenę poważnego urazu mózgu. Rzucam okiem na pudełko z pigułkami. Nagle dociera do mnie, że zażyła znacznie więcej tabletek niż powinna, lecząc się tylko z depresji. Zastanawiam się, na co jeszcze bierze lekarstwa.

ROZDZIAŁ 26

Jest czwartek, tydzień urlopu upływa w świetnej atmosferze. Co prawda przez kilka pierwszych dni drżałam jak osika, ponieważ uświadomiłam sobie, że konsola do gier została w Welmont. Spodziewałam się, że czeka nas katastrofa na skalę światową, morze łez i wybuchów złości oraz prawdopodobnie ekspresowa przesyłka kurierska od Boba, ale dzieci nawet o nią nie spytały. Charlie i Lucy bawili się na dworze lub chcieli grać ze mną i moją mamą w gry z „zamierzchłych czasów”, takie, do których niepotrzebna jest lewa strona, na przykład w zgadywanki, wyliczanki i kamień-papier-nożyczki (nawet dzieci zawsze ze mną wygrywają). Moja mama kupiła także dwanaście słoiczków modeliny Play-Doh i przez wiele godzin wałkowaliśmy ją, rzeźbiliśmy i sklejaliśmy (a Linusowi udało się jej skosztować).

Ja pamiętałam, żeby zabrać kubek z kulkami, ale zupełnie ich nie potrzebowaliśmy. Po zabawie na świeżym powietrzu dzieci są wykończone pod koniec dnia i z przyjemnością i bez żadnych warunków, pozwalałam im przez godzinę pograć w Nick Jr. Przez cały tydzień zachowanie Charliego wydawało się całkiem normalne. Być może przyczyniła się do tego Concerta, ale mama i ja sądzimy, że wyraźnie służy mu niezorganizowana zabawa na dworze, wolność od ograniczających ścian, płotów czy miejsca w klasie szkolnej, mnóstwo aktywności fizycznej oraz dni, które nie są wypełnione bieganiem z miejsca na miejsce.

Szczerze przyznaję, że i ja skorzystałam na tym odstąpieniu od codziennych schematów i odcięciu od świata. Przez cały tydzień w telewizji obejrzałam tylko Ellen. Nie sprawdzałam ani paska wiadomości na CNN, ani ich nie oglądałam i wcale mi tego nie brakuje. Oczywiście, tęsknię za pracą, ale nie tęsknię za napięciem, jakie pojawia się w dowolnej minucie każdego dnia, kiedy trzeba natychmiast zareagować na jakiś ważny telefon, na trzydzieści nieoczekiwanych emaili, które przychodzą wtedy, gdy jestem na zebraniu lub na dowolny niespodziewany kryzys, który niechybnie stanie mi na drodze, zanim wybije osiemnasta. Zgadzam się, że to może być ekscytujące, ale podobnie fascynujące jest patrzenie na rodzinę jeleni, która zatrzymuje się, żeby na nas spojrzeć, przechodząc przez nasze podwórko.

Rano mama zabrała Charliego i Lucy w góry na lekcje zjeżdżania i wzięła Linusa ze sobą. Po długich błaganiach, pozwoliłam Charliemu spełnić marzenie o zmianie nart na deskę snowboardową. Wczoraj miał pierwszą lekcję i wrócił z niej jak urzeczony. Snowboard jest najfajniejszy, a ja zostałam mianowana najfajniejszą mamą za to, że pozwoliłam mu zostać fajnym snowboardzistą.

Dzisiaj przy śniadaniu bardzo zręcznie próbował wymusić moją zgodę na to, abym pozwoliła mu zjeżdżać samemu i nie iść na lekcję, ale nie zgodziłam się na to. Ani ja, ani Bob nie umiemy jeździć na desce, więc nie będziemy w stanie mu pomóc na stoku (zakładając, że wrócę na stok). Musi porządnie nauczyć się podstaw, a ja twierdzę, że potrzeba na to więcej niż jednego dnia. On twierdzi, że już wszystko umie, a dzisiejsza lekcja będzie NUDNA, ale Charlie zawsze ma więcej wiary, niż umiejętności, a najmniej ma cierpliwości. Ja natomiast nie chcę, żeby sobie złamał kark. Próbował się dąsać, ale nie zmieniłam stanowiska. Próbował nawet namówić Lucy do ujęcia się za nim, w nadziei, że jak razem na mnie naskoczą, to ulegnę, ale Lucy podobają się lekcje. Jest skrupulatna i towarzyska, lubi być w centrum uwagi instruktora i zbierać entuzjastyczne pochwały. Kiedy w końcu zrozumiał, że albo pójdzie na lekcję, albo nigdzie, poddał się, ale odebrał mi status najfajniejszej mamy. Przynajmniej mogłam się nim cieszyć przez jeden dzień.

Siedzę przy kuchennym stole i maluję obrazek przedstawiający podwórko, korzystam z farb olejnych z pięknego przybornika, który dostałam od mamy na gwiazdkę. Przybornik z zewnątrz jest gładką, prostą drewnianą skrzynką, ale w środku skrywa rzędy farb olejnych, pastelów, akryli, węgla drzewnego i pędzli - feeria barw i kreatywnych możliwości. Na szklaną paletę wycisnęłam kilka lepkich odcieni farb - czerni, bieli, żółci kadmowej, ultramaryny, palonej sienny, umbry, szkarłatu, zieleni - a następnie przy pomocy stalowego nożyka, dołączonego do zestawu, zmieszałam je w wiele kombinacji kolorystycznych. Niektóre mieszanki przybrały kolor błota, ale inne - jak za dotknięciem różdżki - zmieniły się w nowe, żywe odcienie barw.

Nasze podwórko, samo w sobie, wygląda jak obraz olejny, więc jest oczywistą inspiracją - pokryte śniegiem pole, nad którym w oddali górują klony i sosny, za nimi widać wzgórza pod błękitem nieba i białą chmur, nasza szopka pokryta jaskrawoczerwoną farbą z zaśniedziałym, miedzianym kurkiem osadzonym na dachu. Od lat nie trzymałam w ręku pędzla, ale wszystko wraca do mnie bez trudu, jak jazda rowerem (choć, przypuszczam, że jazda na rowerze nie jest najlepszym przykładem, jeśli o mnie chodzi). Malowanie to patrzenie. To skupianie się na tym, co zwykle omiatamy wzrokiem, zamiast patrzeć. To spędzanie wolnego czasu w pełnym znaczeniu tego wyrażenia. Widzę niebo, które nie jest po prostu niebieskie, ale składa się z wielu odcieni niebieskiego, białego i szarego, najbliżej tam, gdzie styka się z górami, najbardziej niebieskie gdzie całuje niebiosą. Na szopie widzę trzy różne odcienie czerwieni, powstałe pod wpływem gry światła i cienia, a cienie rzucone przez chmury tańczą na wzgórzach jak duchy z sadzy.

Patrzę na płótno i uśmiecham się, zadowolona z tego, co stworzyłam. Wkładam pędzel

do słoika po ogórkach, w którym trzymam pozostałe pędzle, z których już korzystałam i odsuwam płótno na bok do wyschnięcia. Biorę łyk kawy, która już całkiem wystygła i zawieszam wzrok na widoku za oknem. Po kilku minutach męczy mnie patrzenie i mam ochotę zrobić coś innego. Mama powinna niedługo wrócić. Powiedziała mi, żebym nie łaźniła po domu, kiedy jej nie ma, więc chociaż mam wielką ochotę wyciągnąć się na kanapie, wyciągnęłam wnioski z nieudanej „wyprawy” *do lodówki*. Postanawiam wybrać takie zajęcie, które może odbyć się w miejscu, gdzie siedzę.

W moim zasięgu leży niedzielne wydanie New York Timesa. Przyciągam je do siebie i zaczynam wyrzucać niektóre działy, szukając Przeglądu Tygodnia. Pośród pozaginanych stron znajduję magazyn People należący do mamy. Podnoszę go i studiuję okładkę. Moje przedwypadkowe „ja” nie wierzy, że mogę to brać pod uwagę. O, do diabła! Sprawdźmy co słychać u Angeliny Jolie.

Odsuwam gazetę i otwieram magazyn, uważnie oglądając fotografie gwiazd i czytając podpisy pod nimi, opisujące kto z kim był widziany. Jestem w trakcie czytania, kiedy do pokoju wpada zgrzana i zasapana mama, z Linusem na rękach.

- Wszystko w porządku? - pytam.

- Jest coraz cięższy - odpowiada mama.

Jest ciężki, wagą i kształtem przypomina indyka podawanego na Święto Dziękczynienia, ale ostatnio trochę wysmukłał, ucząc się chodzić. Mama sadza go na podłodze, zdejmuje mu buty, rozpiną kombinezon. Następnie głęboko wzdycha i patrzy na mnie. Twarz jej się rozpromienia.

- Mam cię! - mówi, łapiąc mnie na gorącym uczynku.

- Wiem, wiem.

- Super, co nie?

- Super to za duże słowo.

- Oj, przestań, to rozrywka. Możesz ją nazwać niezdrową przyjemnością. Ale w czytaniu dla przyjemności nie ma niczego złego.

- Niedzielny Times daje mi przyjemność.

- Och, przestań! Masz wtedy bardziej skrzywioną minę, niż Charlie odrabiający najgorsze z zadań.

- Naprawdę?

- Tak, wyglądasz jakby ci borowali zęby.

No, jasne.

- Ale nie mogę zastąpić New York Timesa magazynem People. Muszę być na bieżąco.

- Oczywiście, ale to też może być dla ciebie dobrym ćwiczeniem. Podaj nazwiska wszystkich ludzi na tej stronie - mówi, stając za mną.

- Renée Zellweger, Ben Affleck, nie wiem kim jest ta kobieta i Brad Pitt.

- Katie Holmes, żona Toma Cruise'a. Jeszcze ktoś?

Ponownie patrzę na stronę.

- Nie.

- Czy ktoś stoi koło Brada Pitta? - pyta zadziornym tonem, więc wiem, że nie chodzi o odpowiedź tak lub nie, ale o konkretne nazwisko.

Nawet nie próbuję dostrzec tej osoby i strzelam zgodnie z oczekiwaniami.

- Angelina.

- Pudło - mówi, ponaglaając mnie do kolejnej próby.

Cóż. Nikogo więcej nie widzę. Okej. Patrz w lewo, przyjrzyj się lewej stronie, idź w lewo. Wyobrażam sobie, że szukam czerwonej zakładki, chociaż teraz jej nie mam. O, Boże. Patrzcie, patrzcie. Jest!

- George Clooney.

Rękę dałabym sobie uciąć za to, że zauważę go, mimo poważnego urazu mózgu.

- Tak, to będzie dobre ćwiczenie - mówię, zachwycając się szelmowskim uśmiechem George'a i filuternymi oczami.

- Dobrze, jestem z ciebie dumna - mówi moja mama.

Nigdy nie mówiła, że jest ze mnie dumna. Ani po ukończeniu college'u, ani po dostaniu się do Szkoły Biznesu na Harvardzie, ani po znalezieniu świetnej pracy, nigdy też nie pochwaliła mojego, może niezbyt zachwycającego, ale skutecznego, podejścia do dzieci. Pierwszy raz, kiedy mi mówi, że jest dumna, dotyczy przeczytania magazynu People. To najdziwniejsza rzecz, z której rodzic może być dumny.

- Saro, ależ to jest piękne - mówi, przenosząc uwagę na mój obraz.

- Dzięki.

- Jesteś naprawdę utalentowana. Gdzie się tego nauczyłaś?

- Zapisalam się na kurs w college'u.

- Naprawdę jesteś dobra.

- Dzięki - powtarzam, patrząc jak śmieją jej się oczy do tego, co namalowałam.

- Podoba mi się nawet to, że brakuje rzeczy z lewej strony i tego jak niektóre z nich się rozmywają.

- Gdzie?

- Wszędzie.

Patrz w lewo, przyjrzyj się lewej stronie, idź w lewo. Prawą ręką znajduję lewą krawędź płótna i uważnie lustruję obrazek, począwszy od lewej strony. Najpierw zauważam niebo - zupełnie nietknięte białe płótno przy lewym brzegu, stopniowo zmieniające się w pochmurną szarość, aby przy prawej krawędzi przybrać odcień czystego błękitu. Wygląda to tak, jakby poranna mgła przesuwała się z prawej do lewej strony. Po lewej klony nie mają gałęzi, sosny mają tylko połowę zielonych igieł. I chociaż obszar rezerwatu rozciąga się w każdym kierunku poza zasięg spojrzenia, to na obrazku las rośnie tylko z prawej strony. Lewa strona każdego wzgórza wygląda na rozplaszczoną, a lewa strona szopy znika w nicości. Zapomniałam namalować kurka na dachu. Stoi z lewej strony.

Wzdycham i wyjmuję pędzel moczący się w słoiku.

- I to też będzie dobrym ćwiczeniem - mówię, zastanawiając się, w którym miejscu zacząć wypełnianie luk.

- Nie, nie ruszaj. Zostaw tak, jak jest. Teraz też jest ładnie.

- Czyżby?

- Wygląda ciekawie, trochę strasznie, trochę tajemniczo, ale nie jest przerażający. Jest dobry. Zostaw tak, jak jest.

Jeszcze raz oglądam swoje dzieło i staram się dostrzec to, co widzi mama. Staram się, ale zamiast tego dostrzegam tylko prawą stronę każdego elementu, zauważam wszystko to, czego brakuje. Widzę wszystko, co jest złe.

Pominięcia. Błędy. Zaniedbania. Uraz mózgu.

- Chciałabyś zobaczyć końcówkę lekcji dzieci i zjeść obiad w górskim domku? - pyta moja mama.

- Jasne - mówię.

Wciąż patrzę na obrazek, na pociągnięcia pędzla, cieniowanie, kompozycję, starając się zobaczyć to, co widzi mama.

Starając się zobaczyć to, co jest dobre.

ROZDZIAŁ 27

Siedzę przy stoliku w restauracji na dole stoku narciarskiego, prawym ramieniem opieram się o okno z widokiem na południową ścianę góry. Mama siedzi naprzeciw mnie i robi na drutach niepraktyczny, ale śliczny sweterek z wełny w kolorze kości słoniowej dla Linusa, który śpi w przenośnym foteliku. Dziwię się, że potrafi spać w tym hałasie. Zbliża się pora obiadowa i zaczyna robić się tłoczno, sala wypełnia się rozgadanyimi, głodnymi narciarzami, tupiącymi ciężkimi butami w drewnianą podłogę. Nie ma tutaj żadnych dywaników, zasłon, ani dekoracyjnych tkanin, więc nic nie tłumi dźwięków i każdy krok obutą nogą, i każde słowo, odbijają się kakofonicznym echem w całym pomieszczeniu, co - bez wątpienia - przyprawi mnie o ból głowy.

Wczoraj stojąc w kolejce do kasy w markecie, mama zauważyła książeczkę z zadaniami, polegającymi na wyszukiwaniu słów i pamiętając, że Heidi dawała mi takie ćwiczenia w Baldwin, kupiła ją dla mnie. Korzysta z każdej szansy, żeby być moją terapeutką.

Mam

przed sobą jedno z zadań i do tej pory odnalazłam jedenaście słów z dwudziestu. Zakładam, że pozostałe dziewięć znajduje się gdzieś po lewej stronie, ale teraz nie mam ochoty na nie polować. Postanawiam trochę sobie pomarzyć, wyglądając przez okno.

Rozpogodziło się i jest słonecznie, światło odbijające się od śniegu sprawia, że jest bardzo jasno, więc potrzebuję minuty na to, żeby wzrok oswoił się z bielą. Szukam dzieci, odbywających lekcje na oślej łączce przy wyciągu Czarodziejski Dywan i zauważam Charliego na desce w połowie górkę. Co kilka sekund upada na tyłek albo na kolana, ale przez te kilka sekund, kiedy stoi na nogach, wydaje się poruszać całkiem sprawnie i wygląda na zadowolonego. Dobrze mieć młode kości i niewiele ponad metr wzrostu nad ziemią, o którą co chwilę się obija. Nawet nie chcę sobie wyobrażać, jaka byłabym obolała, posiniaczona i wymęczona, gdybym upadła tyle razy. Przypominam sobie ostatnie miesiące. Cóż, chyba jednak mogę to sobie wyobrazić.

Zauważam Lucy, czekającą - zapewne na instrukcje - na samej górze wyciągu. W przeciwieństwie do swojego nieustraszonego brata, ona nie ruszy jedną nartą bez pozwolenia. Cały czas czeka, a ja straciłam już Charliego z oczu, więc patrzę w prawo, bo tak mi najłatwiej, na dolną część moich ulubionych tras: Biegnącego Lisa i Pogoni za Dziką Gęsią. Obserwuję narciarzy, kleksy w kolorze czerwonym, niebieskim i czarnym, żeglujące po morzu bieli, a potem wspinające się w górę, na wyciągu krzeselkowym na wprost mnie.

Chciałabym tam być. Przypatruję się jednej parze, jak przypuszczam, mężowi i żonie, którzy zatrzymali się obok siebie w pobliżu okna. Mają zaróżowione nosy i policzki, śmieją się i rozmawiają. Nie wiem o czym mówią. Z jakiegoś powodu chciałabym, żeby spojrzeli w górę, tam gdzie siedzę, ale tak się nie dzieje. Odwracają się i podjeżdżają do kolejki przy wyciągu, przesuwają się skokami, szykując do wjazdu. Przypominają mi Boba i mnie. Wszystko wokół bombarduje moje zmysły, skłania do tego, abym wzięła moje nowe, błyszczące narty i wyszła na stok - dźwięki w restauracji, zapach frytek, intensywny blask światła dziennego, wyobrażenie zimnego górskiego powietrza, wdzierającego się w moje płuca i chłodzącego policzki i nos, patrzyenie na rozradowaną młodą parę po ukończonym zjeździe. Też chcę tam być.

Będiesz. Ale nie jestem tego aż tak pewna. Z trudnością poruszam się po płaskiej, nie śliskiej podłodze i to z pomocą laski. **BĘDZIESZ**, nalega moje przedwypadkowe „ja”, a jej ton nie znosi słowa sprzeciwu. Przedwypadkowa „ja” jest taka czarno-biała, a ja uświadamiam sobie, że - podobnie jak Charlie - ma więcej wiary, niż możliwości, na poparcie swoich racji. *Będiesz.* Tym razem w głowie rozlega się głos Boba, pewny siebie i zachęcający. Wierzę mu niechętnie.

- Co to? - pyta moja mama.

- Co? - zastanawiam się czy przypadkiem nie powiedziałam na głos czegoś, o czym właśnie myślałam.

- Tam. Ta osoba zjeżdżająca z górki na siedząco.

Przyglądam się kolorowym kleksom na śniegu, ale nie wiem o kim mówi.

- Gdzie?

- Tam - pokazuje palcem. - Stoi za nią narciarz.

Wreszcie to zauważam. Są już bliżej i wygląda na to, że osoba z przodu siedzi na sankach na płozach z nart, a osoba z tyłu zjeżdża na nartach i trzyma sanki za rączki, prawdopodobnie sterując nimi.

- To chyba jakiś niepełnosprawny - mówię.

- Może ty też tak byś mogła - zauważa mama, a jej przepełniony ekscytacją głos odbija się ode mnie jak piłeczka pingpongowa.

- Nie chcę tak.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ ja nie chcę jeździć na siedząco.

- Cóż, może jest jakiś sposób, żebyś mogła stać.

- Tak, nazywa się jazdą na nartach.

- Nie, miałam coś innego na myśli.

- Miałaś na myśli jazdę po inwalidzku.

- Chciałam tylko powiedzieć, że może jest jakiś sposób na to, żebyś mogła teraz jeździć.

- Nie chcę jeździć teraz, jeśli nie mogę jeździć normalnie, a nie jestem jeszcze gotowa.

Nie chcę być narciarzem inwalidą.

- Tylko ty używasz tego słowa, Saro.

- Nieważne. Nie mamy żadnego „specjalnego” sprzętu, a ja nie zainwestuję tysięcy dolarów w jakieś sanki na nartach, których nie mam zamiaru używać.

- A może uda nam się je wypożyczyć na miejscu. Przepraszam, proszę pani?

Mama zwraca na nas uwagę młodej kobiety, przechodzącej obok. Ubrana jest w charakterystyczny kombinezon narciarski w kolorze czarno-czerwonym, który nosi personel Mount Cortland.

- Widzi pani tę osobę, która tam zjeżdża? Czy można tutaj wypożyczyć taki sprzęt?

- Tak, w biurze Związku Sportowego Niepełnosprawnych Nowej Anglii - odpowiada dziewczyna. Zerka na moją babciną laskę. - To w budynku obok. Mogę tam panią zaprowadzić, jeśli pani chce.

- Nie, dziękuję - mówię, zanim mama zacznie pakować nasze rzeczy. - Byłyśmy tylko ciekawe, dziękuję.

- Czy przynieść paniom jakieś informacje na ten temat?

- Nie, dziękujemy - mówię.

- Dobrze, ZSNNA jest niedaleko, gdyby zmieniła pani zadanie - mówi i odchodzi.

- Moim zdaniem powinnaś to sprawdzić - mówi moja mama.

- Nie chcę.

- Ale zabiłabyś, żeby pojeździć na nartach.

- To nie jeżdżenie, to siedzenie.

- Ale bardziej przypomina narciarstwo niż siedzenie w restauracji. Odbywa się na dworze. Polega na zjeżdżaniu z góry.

- Nie, dzięki.

- Dlaczego nie spróbujesz?

- Nie chcę.

Szkoda, że nie ma tu Boba. Zdusiłby tę bezcelową konwersację w zarodku. „Narciarz” i powożący zaprzęgiem za nim zatrzymali się przed naszym oknem. Powożący ma na sobie taką samą czerwono-czarną kurtkę jak dziewczyna, z którą rozmawialiśmy. Jest instruktorem. Nogi „narciarza” są przypięte do sanek. „Narciarz” jest prawdopodobnie sparaliżowany od pasa w dół. Ja nie jestem sparaliżowana. „Narciarz” może też być osobą po amputacji, a jedna lub obie jego nogi są protezami. Ja mam obie nogi. „Narciarz” i instruktor rozmawiają przez chwilę. „Narciarz” uśmiecha się od ucha do ucha. Instruktor następnie prowadzi „narciarza” na sam początek kolejki do wyciągu, gdzie zajmują miejsce na krzeselkach z łatwością, o jaką bym ich nie podejrzewała.

Patrzę jak jadą na szczyt góry i odprowadzam ich wzrokiem, aż do momentu, gdy znikają w oddali. Kolejne pół godziny przed obiadem spędzam, obserwując narciarzy i snowboardzistów, jeżdżących zygakiem w dół dwóch szlaków. Jeśli mam być szczerą, to nie przyglądam się pasywnie temu, co robią narciarze, ale staram się wyłuskać wzrokiem siedzącego „narciarza” i jego pomocnika. Ale nie udaje mi się ich zobaczyć.

Przez cały obiad raz po raz zerkam przez szybę, ale już ich nie widzę. Musieli pojechać na jakąś inną trasę. Ostatni raz szukam ich, kiedy zbieramy się do wyjścia. Ciągle ich nie ma.

Ale kiedy zamykam oczy, widzę uśmiechniętą twarz „narciarza”.

ROZDZIAŁ 28

Zbliża się koniec stycznia, a ja z Bobem jesteśmy znowu w sali pani Gavin, ale tym razem zorganizowała dla nas wysokie krzesła, a moje buty są tak samo brzydkie jak jej. Rok szkolny w szkole podstawowej w Welmont podzielony jest na trzy semestry, obecnie trwa semestr drugi. Pani Gavin chce omówić z nami osiągnięcia Charliego, zanim roześle karty postępów.

Siedzimy, a Bob chwyta mnie za lewą rękę. Zanim zaczyna mówić, pani Gavin obdarza nas uprzejmym uśmiechem, prawdopodobnie trzymanie za rękę interpretując jako oznakę zdenerwowania w obliczu nadchodzących złych wieści, miłą oznakę wzajemnego wsparcia emocjonalnego. Ja również w tym geście widzę oznakę solidarności ze strony Boba, ale podejrzewam, że głównym powodem uścisku jest powstrzymanie mojej ręki przed nieskoordynowanymi ruchami.

Przez większość czasu moja lewa ręka bezwładnie zwisa, niepotrzebna, ale też nie zwracająca na siebie uwagi. Ale ostatnio ta ręka zaczęła przejawiać zainteresowanie rozmową i bez mojej wiedzy wykonuje różne gesty.

Moi terapeuci, Heidi, moja mama i Bob - wszyscy sądzą, że to dobry znak, pozytywna oznaka życia, powracającego do lewej strony. Zgadzam się z nimi, ale według mnie jest to niezbyt fajny symptom, ponieważ sprawia, że odnoszę wrażenie, jakbym była kukiełką, poruszaną przez kogoś innego. Czasami ruchy są nieznaczne i we właściwy sposób współgrają z tym, co akurat mówię, ale innym razem ruchy ręki zupełnie nie są związane z treścią rozmowy i wydaje się, że ręka macha bez celu, a nawet spazmatycznie. Wczoraj, podczas haniebnie zagorzałej dyskusji z moją mamą, na temat „Kate Plus Eight”⁸, moja lewa ręka zawędrowała na mój lewy cycek i już tam została. Zorientowałam się dopiero wtedy, gdy mama i Bob zaczęli ryczeć ze śmiechu moim kosztem. Dopiero, gdy otarli łzy, mama wtajemniczyła mnie w dowcip i zdjęła moją rękę z piersi (ponieważ sama nie mogłam tego zrobić). Zatem Bob może trzymać mnie za rękę, żeby mnie wesprzeć swoją miłością, ale prawdopodobnie bardziej przejmuję się tym, że mogłabym zacząć się obmacywać w obecności pani Gavin. Jakkolwiek by nie było, jestem mu za to wdzięczna.

- Cieszymy się, że już jest pani w domu, pani Nickerson - mówi nauczycielka.
- Dziękuję.

⁸ Nadawany w USA reality show „Rodzina 2+8” z celebrytką Kate Gosselin.

- Jak się pani miewa? - pyta.

- Dobrze.

- Dobrze. Bardzo martwiłam się, kiedy usłyszałam o tym, co się pani przytrafiło. Poza tym bałam się, że pani nieobecność w domu, niekorzystnie odbije się na postępach Charliego.

Przytakuję i czekam na dalszy ciąg dotyczący jego popisów i tego, jak zostaje w tyle za klasą. Bob ściska moją dłoń. On też czeka.

- Ale Charlie naprawdę dobrze sobie radzi. Powiedziałabym, że lepiej pracuje rano niż po południu, ale to może ze względu na to, że zaraz po zażyciu lek działa najintensywniej, a po południu nie jest już tak skuteczny. Może wynikać to też z tego, że po południu jest już zmęczony. Jednak widzę dużą poprawę.

Wow. Miałam nadzieję usłyszeć taką informację o Charliem, ale nie miałam odwagi mówić o tym głośno. W domu też lepiej sobie radzi - kończy zadanie domowe w niespełną godzinę i to bez jakiegoś jęczenia i dramatyzowania, pamięta, że ma założyć buty, jeśli o to go poproszę i nie traci więcej niż połowę kulek w ciągu dnia. Nie wiedzieliśmy jednak, czy poprawa zachowania w domu przekłada się na szkołę. Bob potrząsa moją ręką, wyrażając swoją radość i czekamy na dalsze szczegóły, dotyczące poprawy osiągnięć Charliego.

- Łatwiej przychodzi mu wypełnianie instrukcji i udaje mu się bez większego wysiłku rozwiązywać zadania z kart pracy, które rozdaję w klasie.

Podaje Bobowi plik białych kartek. Wciąż trzymając mnie za lewą rękę, Bob przekłada po jednej kartce. Na każdej z nich widnieje imię Charliego, napisane ołówkiem, jego charakterem pisma. Na większości kartek Charlie odpowiedział na wszystkie pytania, co samo w sobie jest godnym odnotowania osiągnięciem i dotychczas zauważyłam jeden, dwa lub trzy błędy na dziesięć lub więcej pytań na danej kartce. *Bardzo dobrze! Świetnie! Doskonale!* to słowa wypisane czerwonym pisakiem na górze prawie każdej karty, do wielu z nich dodano uśmiechnięte buźki i dużo wykrzykników. Chyba nigdy wcześniej nie widziałam tylu gratulacji na pracach Charliego.

- To jest ostatnia - mówi Bob.

Są na niej proste zadania matematyczne. W kółku na górze strony jest napis: 100%!!! Doskonały wynik dla mojego cudownego, niedoskonałego synka.

- Możemy je zabrać do domu? - pytam, promieniejąc radością.

- Oczywiście - mówi pani Gavin, oddając uśmiech.

Nie mogę się doczekać aż kartkę z dodawaniem i odejmowaniem pokażę mojej mamie, która będzie tak samo uradowana i przyczepi ją magnesem do lodówki. Może powinniśmy ją oprawić i powiesić na ścianie w jadalni.

- To bardzo duża poprawa, nieprawdaż? - pyta pani Gavin.

- Nie ma porównania - mówi Bob.

- Pozwalam mu korzystać z dużej żółtej kartki, którą zasłania pytania poniżej tego, na którym się aktualnie skupia. Rozcinanie karty na pojedyncze ćwiczenia było zbyt czasochłonne i inne dzieci zainteresowały się „pracami ręcznymi” Charliego. Nagle wszystkie chciały pociąć swoje karty. Nie mam nic przeciw temu, żeby państwo robili tak w domu, ale tutaj będzie używał żółtej kartki, bo wydaje mi się, że skutek jest ten sam.

- Oczywiście, nam też tak będzie łatwiej. Stoi czy siedzi na zajęciach? - pytam.

- Powiedziałaś mu, że może sam zdecydować co woli i przez pewien czas stał, ale teraz wrócił do siedzenia. Uważam, że stanie pomaga mu skupić się na zadaniach i nie zajmować niczym innym, ale niektóre dzieci dokuczają mu, kiedy stoi. Głównie chłopcy.

Kto? Kto go dręczy? Dajcie mi nazwiska, muszę znać ich nazwiska.

- W jaki sposób? - pyta Bob.

- Kiedy stoi, ktoś odsuwa mu krzesło, więc kiedy chce z powrotem usiąść, upada na podłogę. Jednego dnia ktoś położył mu na krześle czekoladową babeczkę, którą wyjął ze śniadaniówki, więc kiedy skończył rozwiązywać zadanie, usiadł prosto na niej. Śmiali się z niego mówiąc, że czekolada to kupa. Nazwali go Osrane Portki.

Czuję się tak, jakby pani Gavin kopnęła mnie w brzuch swoim brzydkim butem. Mój biedny Charlie. Patrząc w bok i dostrzegam plakat „Mistrzowie czytania”. Do wielu innych zdjęć dodano fotografię przedstawiającą Charliego. Przesadny uśmiech sprawia, że ma zmrużone oczy. Na plakacie są jeszcze czterej inni chłopcy. Oni też się uśmiechają. Minutę temu powiedziałabym, że to mili mali chłopcy, ale teraz postrzegam ich jako gang zepsutych potworów. Zakały. Dlaczego Charlie niczego nam nie powiedział?

- Co pani zrobiła w tej sprawie? - pyta Bob.

- Upominam dzieci, które mu dokuczają, jeśli widzę, że coś takiego ma miejsce, ale jestem pewna, że wiele występków uchodzi mojej uwadze. I niestety, kary odnoszą często odwrotny skutek i bardziej napędzają tych chłopców.

Wyobrażam to sobie. Słowne ostrzeżenia, zawieszenie w obowiązkach czy chociażby reprimenda w gabinecie dyrektora, tylko podsycają ogień. Ale na pewno jest coś, co możemy dla niego zrobić. Do głowy przychodzi mi niezbyt dobrze o mnie świadczące scenariusze zemsty. Oko za oko, kupa za kupę. Swoją gniew wyładowuję ściskając laskę. Chłosta. Chłosta jest dobrym pomysłem.

- Więc sugeruje pani, że Charlie musi swoje odcierpieć? - pyta Bob. - A może przesadzi pani dzieci, które go prześladują do innych stolików?

- Zrobiłam to. Więc mógłby stać, jeśli tylko chce i nikt by mu nie przeszkadzał, ale wybrał siedzenie na krześle podczas pracy. Sądzę, że po prostu chce być taki jak inni.

Wiem, co czuje.

- Wiem, że nie powinnam używać tego słowa w poprawnie politycznym świecie, ale czy sądzi pani, że nasz syn będzie kiedyś „normalny?” - pytam.

Serce mi dudni. Wiem, że pytam o Charliego, ale czuję się tak, jakbym pytała o samą siebie. Czy kiedykolwiek będę normalna? Czy kiedykolwiek na swojej karcie pracy ujrzę „100%”? Pani Gavin milknie i widzę jak stara się dobrać właściwe słowa, zanim otworzy usta. Wiem, że jej odpowiedź będzie tylko opinią młodej nauczycielki o jednym z jej uczniów, oparta na bardzo ograniczonym doświadczeniu. Ale moje serce jest nieczułe na tę logikę i wydaje mu się, że prawda o losie Charliego i moim spoczywa w tym, co zaraz powie nauczycielka, jakby miała ogłosić przepowiednię. Ściskam laskę.

- Sądzę, że dzięki lekom, dietetycznym i behawioralnym dostosowaniom, które państwo stosujecie, z pozytywnym skutkiem, oraz dzięki wsparciu i pozytywnej motywacji, ADHD Charliego nie stanie mu na drodze w osiągnięciu sukcesu naukowego. Naprawdę gratuluję państwu tego, że tak szybko państwo wdrożyli nowe zasady. Wielu rodziców zignorowałoby mnie lub bez końca oskarżało system edukacji, zanim zrobiliby to, co zrobili państwo, żeby mu pomóc.

- Dziękujemy. Słuchamy tego z ulgą - mówi Bob.

- Ale co ze sprawami ważnymi dla dzieci, takimi jak dopasowanie do grupy?

Waha się.

- Powiem nieoficjalnie - mówi, wciąż się wahając.

- Mam jedną uczennicę, która nałogowo obgryza paznokcie aż do mięsa, chłopca, który cały czas dłubie w nosie, innego, który mruczy pod nosem jak pracuje i jeszcze innego, który się jąka. Każdego roku dzieci z wystającymi zębami nazywane są „Królikami Bugsami”, a te, które noszą okulary - przezywane okularnikami. Wiem, że każdy rodzic chciałby, żeby dziecko się dopasowało i nikt nie zasługuje na przezwiska, ale przejścia Charliego, to normalna sprawa w pierwszej klasie.

Śmieję się, pozbywając się z serca całego nagromadzonego tam strachu i pragnienia zemsty i zastępując je pełną akceptacją i empatią, która rozpoczyna się od Charliego z jego żółtą kartą, kubkiem z kulkami, osiągnięciami poniżej stu procent i poplamionymi czekoladą spodniami. Empatia rozciąga się na całą pierwszą klasę z jej różnorodnością, szalonymi tikami, dziwactwami i brakami. Dosięga też pani Gavin w brzydkich butach za to, że posiada cierpliwość i odwagę, by uczyć, zmagając się codziennie z tyloma przeciwnościami. A skoro

mam jej tak dużo, otaczam nią i siebie.

Trzydziestosiedmiolatkę, którą mąż trzyma za rękę, żeby nieświadomie nie zaczęła obmacywać swojego cycka.

- Według mnie normalność jest przereklamowana - mówi pani Gavin.

- Zgadza się - mówię.

Pani Gavin uśmiecha się. Naprawdę zastanawiam się nad przyszłością Charliego. Czy kiedy inni uczniowie przestaną dłużyć w nosie, dzieci z krzywymi zębami trafią do ortodonty, a okularnicy zaczną nosić soczewki kontaktowe, ADHD Charliego wciąż będzie czynić z niego outsidera? Sport daje doskonałą możliwość odnalezienia się w grupie, ale Charlie nie potrafi czekać na swoją kolej, nie ustoi na danej pozycji, nie przestrzega reguł - nie ma podstawowych cech piłkarza, koszykarza czy bejsbolisty. Już teraz nie lubi grać w żadną z tych gier, ale jest zbyt młody, żeby wiedzieć, że nie musi uczestniczyć w zajęciach. Zapisujemy go na wszystko, co można uprawiać w jego wieku, a on chodzi na zajęcia i mecze, tak jak do szkoły, ponieważ tak mu każemy i zawozimy go na miejsce. Ale w pewnym wieku, zapewne już całkiem niedługo, jeśli dalej nie będzie mu szło, będzie chciał się z nich wypisać. Straci wtedy możliwość odnalezienia się w grupie i zawiązania trwałych przyjaźni, które oferuje przynależność do drużyny. Szkoda, że nie mieszkamy bliżej gór. Zapewne odnalazłby się w drużynie snowboardzistów.

- Proszę kontynuować w domu to, co dobrze się sprawdziło. Chciałam tylko dać państwu znać, że w szkole też radzi sobie znacznie lepiej. Sądzę, że tym razem będą państwo dumni z raportu osiągnięć Charliego - mówi pani Gavin.

- Dziękujemy. Tak właśnie będzie - mówi Bob.

Dzieci z klasy Charliego bawiły się na dworze podczas naszej rozmowy. Zostało im jeszcze kilka minut do powrotu do klasy, więc razem z Bobem postanawiamy iść przywitać się z Charliem, zanim Bob odwiezie mnie do domu i wróci do pracy. Dochodzimy do długiego, wyłożonego kocimi łbami chodnika i zatrzymujemy się, widząc, że koło huśtawek wyniknęło jakieś zamieszanie. Wygląda na to, że dwoje dzieci bije się ze sobą, a nauczycielka robi wszystko, żeby ich rozdzielić. Cały plac zabaw zamarł w bezruchu, każdy stara się dostrzec, co tam się stało. Z miejsca, gdzie stoimy, nie widzę twarzy bijących się dzieci, ale po chwili rozpoznaję jedną z kurtek. Ta Charliego jest pomarańczową kurtką narciarską z North Face.

- Charlie! - krzyczę.

Bob puszcza *moją lewą rękę i biegnie w kierunku Charliego*. Każdy mięsień mojego

ciała wrywa się do biegu, ale zepsuty mózg nie pozwala mi na bieg. Moje dziecko znalazło się w niebezpieczeństwie lub w kłopotach, albo w jednym i drugim, a ja nie mogę być przy nim, żeby go uratować albo opierniczyć. Bob jest już przy Charliem, a nauczycielka ciągnie drugiego chłopca za rękę. Podpieram się laską, robię krok, przyciągam nogę, oddycham z każdym krokiem coraz bardziej sfrustrowana, wściekła na siebie, że jeszcze tam nie doszłam.

- Co się stało? - pytam, kiedy wreszcie docieram na miejsce zdarzenia.

Charlie kopie brudny śnieg butem i nic nie mówi. Kapie mu z nosa i ciężko oddycha przez usta. Ma brudną buzię i paznokcie, ale nie widzę krwi.

- Dalej, odpowiedz mamie - mówi Bob.

- On powiedział coś brzydkiego - mówi Charlie.

Patrzę na Boba. To pewnie jeden z tych chłopców, którzy mu dokuczają. Staram się spojrzeć w lewo, żeby zobaczyć chłopca odciągniętego przez nauczycielkę, ale nie udaje mi się go zobaczyć.

- Ten chłopiec cię przezywał? - pytam.

Charlie przestaje kopać i przenosi wzrok na mnie.

- Nie - mówi. - Ciebie przezywał. Powiedział, że jesteś głupią kaleką.

Zatyka mnie, nie jestem w stanie przywołać przygotowanej, oklepanej reprimendy, którą każda matka ma zawsze w zasięgu ręki. Znowu próbuję wypatrzeć coś po lewej, zastanawiając się czy ten chłopiec jest Dłubaczem w Nosie, czy Jąkałą, ale wciąż go nie widzę. Zwracam się więc do Charliego.

- Dziękuję, że stanąłeś w mojej obronie - mówię z miłością. - Ale nie powinieneś się bić.

- Ale... - mówi Charlie

- Żadnych ale. Żadnego bicia. Poza tym, ten dzieciak zupełnie nie wiedział o czym mówi - dodaję. - Ja jestem najmądrzejszą kaleką, jaką kiedykolwiek widział.

ROZDZIAŁ 29

Od godziny - razem z mamą - siedzimy w restauracji na dole stoku i przyglądamy się jak Bob i Lucy zjeżdżają z oślej łączki. Po wielu prośbach, negocjacjach, dąsach i płaczu, a przede wszystkim dlatego, że w zeszły weekend, podczas ferii zimowych, naprawdę opanował podstawy, Charlie w końcu zdołał wyprosić u nas zgodę na opuszczenie lekcji z instruktorem. Od czasu do czasu widzimy go zjeżdżającego po trasie Biegnącego Lisa. Nie jestem w stanie dostrzec jego twarzy, ale wyobrażam sobie jego uśmiech od ucha do ucha.

- Chyba wrócę do domu - mówi moja mama. Ma ściągnięte brwi, jakby coś ją bolało.

- Co ci jest? - pytam.

- Naprawdę nic. Boli mnie głowa, chyba od słońca. No i nie spałam zbyt dobrze.

Zdrzemnę się razem z Linusem. Ty też chcesz jechać?

- Nie, zostanę.

- Jesteś pewna?

- Tak. Na pewno nic ci nie dolega? - pytam.

- Muszę tylko chwilę poleżeć. Zadzwoń, jak będę ci potrzebna.

Zbiera pudełka z plasteliną, książeczki i wagoniki, którymi bawił się Linus i wrzuca wszystko do jego torby na pieluchy. Wychodzi zza stolika, przypina Linusa w foteliku i wychodzi.

Jest jeszcze wcześniej i w restauracji panuje cisza. Wyglądam przez okno, ale nie widzę Boba z Lucy ani Charliego. Mama zostawiła mi szkicownik i kredki, książeczkę z wyszukiwankami słów i najnowszy magazyn People. Ale ja już go przejrzałam, nie mam też ochoty na rysowanie. Powinnam zająć się wyszukiwankami. Moi terapeuci twierdzą, że zadania tego typu pomogą mi opanować szybsze szukanie liter na klawiaturze komputera, a przecież muszę pisać szybciej, skoro chcę wrócić do pracy, zatem powinnam rozwiązać wszystkie zadania z tej książeczki. Jednak nie mam na to ochoty.

Postanawiam trochę pochodzić, chociaż nie mam żadnego konkretnego celu. Oprócz parkingu nie ma za bardzo gdzie chodzić, a i on nie jest miejscem najbezpieczniejszym dla kogoś, do kogo nie docierają wszystkie informacje z lewej strony i kto nie będzie potrafił szybko usunąć się z drogi. Zmęczyło mnie takie siedzenie i tłumaczę sobie, że świeże powietrze dobrze mi zrobi.

Babcina laska i ja wychodzimy na zewnątrz i od razu odzyskuję animusz pod wpływem zimnego powietrza i gorącego słońca. Bez żadnego planu, że tam pójde i wciąż brnąć w tamtą

stronę, nawet kiedy już uświadomiłam sobie dokąd zmierzam, podchodzę do budynku stojącego obok. Zatrzymuję się i czytam tabliczkę na drzwiach: ZWIĄZEK SPORTOWY NIEPEŁNOSPRAWNYCH W NOWEJ ANGLII, następnie wchodzę po rampie dla inwalidów i dostaję się do środka.

Zaskakuje mnie wygląd tego miejsca, niczym nie różniący się od typowej stacji narciarskiej - sosnowe podłogi, drewniane ławy, przezroczyste misy na ladzie, wypełnione rozgrzewaczami do rąk, ChapStickami, kremami z filtrem oraz stojak z polaryzacyjnymi okularami przeciwsłonecznymi. Chyba spodziewałam się, że będzie tu jak w szpitalu rehabilitacyjnym. Oprócz mnie w pomieszczeniu jest tylko jedna osoba, młody mężczyzna na wózku inwalidzkim, na oko dwudziestolatek. Jego krótka fryzura oraz młody wiek każą mi przypuszczać, że chłopak jest weteranem wojny w Iraku. Wygląda na pewnego siebie i rozluźnionego, jakby był tu już wiele razy. Zajęty jest zakładaniem pasów na nogi i wydaje się, że mnie nie zauważa.

- W czym mogę pomóc? - pyta uśmiechnięty mężczyzna w czerwono-czarnej kurtce.
- Chciałabym się rozejrzeć - mówię, próbując nie nawiązywać kontaktu wzrokowego.
- Jeździ pani na nartach? - pyta.
- Kiedyś tak.

Oboje poważnie patrzymy na moją łaskę.

- Nazywam się Mark Green - mówi.

Wciąż się uśmiecha. Zastyga w tym uśmiechu, czekając aż i ja się przedstawię, ale w ogóle nie jestem chętna, aby porzucić swoją anonimowość. Ale jego białe zęby - wyglądające jeszcze bielej na tle złocisto-brązowej opalenizny ze stoku, podkreślonej bledszym obrysem wokół oczu w kształcie gogli narciarskich, niczym odwrotność szopa pracza - nie chcą zrezygnować.

- Sarah Nickerson - mówię, poddając się.
- Sarah! Oczekiwaliśmy cię! Cieszę się, że wreszcie przyszedłaś.

Teraz uśmiecha się do mnie, jakbyśmy byli starymi przyjaciółmi, co sprawia, że zaczynam czuć się nieswojo i zamierzam przeprosić i wykorzystać okazję, żeby się wycofać i przemknąć między autami na parkingu.

- Doprawdy?
- Tak. Kilka tygodni temu była tutaj twoja mama. Wypełniła za ciebie większość dokumentów.

Aha, teraz rozumiem. Oczywiście, musiała się wtrącać.

- Przepraszam, niepotrzebnie to zrobiła.

- Nie przepraszaj. Jesteśmy gotowi zabrać cię w góry, kiedy tylko będziesz chciała. I masz rację. Nie jesteś już narciarzem. Przynajmniej na razie.

Dokładnie. I w tym miejscu pojawi się inspirujący i przekonujący monolog sprzedawcy na temat cudownych i wspaniałych sanek na nartach. Zaczynam przypominać sobie różne sposoby na przerwanie spodziewanego wywodu i zakomunikowanie w uprzejmy sposób „*Nigdy w życiu, proszę pana*” tak, żeby go nie obrazić, zanim zmarnuje na mnie za dużo pary.

- Jesteś teraz snowboardzistką - mówi śmiertelnie poważnie.

Tego się nie spodziewałam. Nigdy bym nie przypuszczała.

- Kim jestem?

- Snowboardzistką. Jeśli masz ochotę, nawet dzisiaj możemy zabrać cię na snowboard.

- Ale ja nie umiem jeździć na desce.

- Nauczymy cię.

- To normalna deska snowboardowa? - pytam, widząc w tym możliwość wycofania się.

- Ma kilka dodatkowych bajerów, ale, tak, to najzwyklejsza deska - mówi.

Obdarzam go takim samym spojrzeniem, jakim patrzą na mnie Charlie i Lucy, kiedy mówię im, że brokuły są pyszne.

- Poza tym, co oznacza „normalne”? To po prostu sprzęt do zjeżdżania z góry. Moim zdaniem, normalność jest przereklamowana.

Normalność jest przereklamowana. Tych samych słów użyła pani Gavin, kiedy rozmawialiśmy o Charliem. A ja się z nią zgodziłam. Zmienia się mój wyraz twarzy, jakbym zaczęła sobie wyobrażać, jak pyszny jest brokuł z parmezanem. Mike zauważa tę zmianę.

- Chodź, pokażę ci.

Intuicja podpowiada mi, że bym mu zaufała, że ten człowiek zna nie tylko moje imię i nazwisko, ale też wie więcej z opowieści mojej mamy.

- Okej.

Przyklaskuje w ręce.

- Super. Chodź za mną.

Omija weterana na fotelu inwalidzkim i kieruje się do przylegającego pomieszczenia, ale idzie zbyt szybko, abym mogła za nim nadążyć. Czeka na mnie na progu i patrzy, jak się poruszam. Ocenia mnie. Laska, krok, przyciągnięcie. Prawdopodobnie zaczyna kwestionować pomysł ze snowboardem. Laska, krok, przyciągnięcie. Pewnie myśli, że sanki na nartach byłyby lepsze w moim przypadku. Laska, krok, przyciągnięcie. Czuję, że patrzy na mnie także weteran, który zapewne zgadza się z werdyktem. Na ścianie przede mną zauważam

plakat, przedstawiający osobę zjeżdżającą na sankach na nartach oraz powożącego instruktora za nim. Zaczynam panikować, przez głowę przemykają mi chaotyczne myśli, błagając mnie żebym posłuchała zdrowego rozsądku i powiedziała Mike'owi, że nie mogę mu teraz towarzyszyć, że muszę już iść, że umówiłam się z mężem w restauracji przy bazie, że muszę wrócić do wyszukiwanek w książeczce, że ktoś gdzieś na mnie czeka - ale nie odzywam się i idę za nim do pokoju obok.

Pomieszczenie wygląda jak magazyn, w którym przechowuje się zmodyfikowane narty i sprzęt snowboardowy. Widzę mnóstwo kijków narciarskich różnej wielkości, z miniaturowymi nartami przyczepionymi na dole, drewniane kołki z piłeczkami tenisowymi na końcach, różne rodzaje butów i sprzętu wykonanego z metalu. Panika wzmaga się, kiedy stoję naprzeciw długiego rzędu sanek na nartach, ustawionego pod ścianą.

- Proponuję zacząć od tego.

Odwracam się w lewo, starając się zlokalizować Mike'a, jego białe zęby oraz saneczki, od których chce żebym zaczęła i czuję się przy tym całkiem przygnębiona. Powinnam była zostać w bazie z magazynem People oraz wyszukiwanką słów. Powinnam pojechać z mamą i zdrzemnąć się chwilę. Ale kiedy go znajduję, okazuje się, że nie stoi obok sanek. Stoi przed deskami do snowboardu. Paniczne myśli cofają się i uspokajają, ale pozostają sceptyczna i zdystansowana, zupełnie nie wstydzę się, ani nie odczuwam skruchy za ten fałszywy alarm.

Mimo bardzo ograniczonej wiedzy na temat desek wnioskuję, że ta wygląda całkiem zwyczajnie. Od normalnych odróżnia ją tylko metalowy uchwyt, przykręcony do deski przed zaczepami i sięgający mi do pasa, który służy do podparcia. Oprócz tego, deska niczym się nie wyróżnia.

- Co o niej sądzisz? - pyta.

- Nie jest najgorzej. Ale nie rozumiem dlaczego sądzisz, że jestem snowboardzistką.

- Nie jesteś w stanie kontrolować swojej lewej nogi, prawda? Zatem po prostu pozbądź się jej. Przypniemy ją we właściwym miejscu na desce przy twojej prawej nodze, no i już, nie będziesz musiała jej ciągnąć za sobą, podnosić, ani nią sterować.

Brzmi ciekawie.

- Ale jak będę skręcać?

- To właśnie dlatego jesteś snowboardzistką. Jazda na nartach polega na balansowaniu ciałem z prawej na lewo, jazda na desce polega na przenoszeniu ciężaru ciała do przodu i do tyłu.

Demonstruje to, wypychając biodra do przodu i po chwili wypinając tyłek, zginając kolana w obu tych pozycjach.

- Podaj mi ręce i spróbuj.

Staje przede mną, chwyta moje ręce i rozprostowuje je przede mną. Staram się naśladować to, co pokazywał, ale nawet mając przed sobą lustro nie wiem czy to, co robię nie przypomina przypadkiem Martina Shorta⁹, imitującego ruchy frykcyjne, a nie osoby na desce.

- Prawie - mówi próbując się nie śmiać - wyobraź sobie, że wypinasz się nad publiczną toaletą, na której nie chcesz usiąść. To ruch w tył. A potem wyobraź sobie, że jesteś facetem, który sika na odległość. To ruch w przód. Spróbuj jeszcze raz.

Trzymając go cały czas za ręce, mam już wypiąć się do przodu, ale zatrzymuję się w pół ruchu, czując się głupio udając, że sikam na Mike'a.

- Przepraszam, mój opis jest może zbyt przerysowany, ale zwykle się sprawdza. Do przodu na paluszkach, do tyłu, przysiad na piętach.

Próbuję jeszcze raz. Wypycham prawe biodro do przodu, do tyłu, do przodu i znowu do tyłu. I, w przeciwieństwie do tego, kiedy poruszam prawą nogą czy prawą ręką, kiedy poruszam prawym biodrem, moje lewe biodro podąża za nim. Zawsze. Jeśli tak jeździ się na desce, to wygląda na to, że dam sobie radę.

- A co z zatrzymywaniem? Jak będę mogła kontrolować szybkość?

- Ten uchwyt pomaga zachować równowagę, jak teraz, kiedy trzymasz mnie za ręce. Ale przede wszystkim jest dla nas, instruktorów. Jeśli wyjdziemy dziś na stok, będę jechał twarzą do ciebie, trzymając za uchwyt i kontrolując twoją prędkość. Kiedy nauczysz się trzymać równowagę, będziesz mogła jeździć na takiej desce.

Pokazuje mi inny model. Ten nie ma uchwytu i na pierwszy rzut oka nie widzę niczego szczególnego. Mike przeciąga czarny kabel przez metalową pętelkę, przymocowaną do jednego końca deski.

- Zamiast napierać na ciebie od przodu, będę trzymał się z tyłu na tym kablu i pomagał kontrolować prędkość.

Przed oczami staje mi pies na smyczy.

Wyjmuje smycz z pętelki jakby mówiąc *Ta dam! Normalna deska!*

- Ale jak uniknę wpadania na innych ludzi na trasie? Jeśli na czymś się koncentruję, nie widzę niczego po lewej.

Uśmiecha się, wiedząc, że udało mu się sprawić, że zaczęłam już myśleć o tym jak wracam na stok.

- Moja w tym głowa, dopóki nie nauczysz się sama. A kiedy przeniesiesz się na deskę

⁹ Martin Short - kanadyjski aktor komediowy.

bez uchwytu, będziesz mogła korzystać z takiego wysięgnika - mówi, pokazując kijek narciarski z małą nartą na końcu. - To ci da dodatkowy punkt podparcia, tak jak laska, i pomoże utrzymać równowagę.

- No nie wiem - mówię.

Rozglądam się w poszukiwaniu kolejnego *ale*. Bezskutecznie.

- Chodź, spróbujesz. Na dworze jest tak pięknie, że chciałoby się wyjść - mówi.

- Powiedziałeś, że moja mama wypełniła *większość* dokumentów - mówię, sięgając po ostatni przyczółek mojego oporu.

- Ach, tak. Jest kilka standardowych pytań, na które tylko ty znasz odpowiedź.

- Okej.

- Jaki cel chcesz osiągnąć, uprawiając sporty zimowe?

Zastanawiam się. Jeszcze kilka minut temu, moim jedynym celem na dzisiaj był krótki spacer.

- Podejrzewam, że chcę zjechać z góry na desce i nie zabić ani siebie, ani nikogo innego.

- Świetnie. Możemy to osiągnąć. A jakieś odleglejsze cele?

- Chyba jazda na desce bez niczyjej pomocy. A w końcu powrót na narty.

- Doskonale. A jakie masz cele życiowe? Te na najbliższą przyszłość?

Nie mam pojęcia jak te informacje mogłyby się przełożyć na moją umiejętność jeżdżenia na snowboardzie, ale mam gotową odpowiedź, więc ją podaję.

- Powrót do pracy.

- Czym się zajmujesz?

- Byłam zastępcą prezesa do spraw zasobów ludzkich w strategicznej firmie konsultingowej w Bostonie.

- Wow. Brzmi onieśmialająco. A jakie są twoje długoterminowe cele?

Przed wypadkiem miałam nadzieję na awans w ciągu dwóch lat i objęcie stanowiska prezesa od spraw zasobów ludzkich. Bob i ja oszczędzaliśmy na większy dom w Welmont, który miałby co najmniej pięć sypialni. Planowaliśmy zatrudnić nianię na stałe. Ale teraz, po wypadku, te cele stały się zupełnie nieadekwatne, a nawet nedorzeczne.

- Odzyskać swoje życie.

- Dobrze, Saro, cieszę się, że tu przyszedłaś. Jesteś gotowa na snowboard ze mną?

Cały niepotrzebny stres i panika zwinęły się w kłębuszek pod kocykiem i smacznie śpią. Moje przedwypadkowe „ja” może i nie podskakuje z radości, ale i nie zgłasza obiekcji. Nie ma tu Boba, więc też się nie wtrąca. Decyzja należy do mnie.

- Okej, chodźmy.

Mike ciągnie mnie za uchwyt na wyciąg; Latający Dywan, poruszamy się na deskach, w górę lekkiego wzniesienia o nazwie Biegnący Lis. Latający Dywan wygląda jak pas transmisyjny, a ludzie, przede wszystkim dzieci, kilku rodziców, paru instruktorów, Mike i ja - przypominają walizki na lotnisku albo produkty spożywcze przy kasie w supermarkecie, jadące po czarnej, gumowej taśmie, w oczekiwaniu na zeskanowanie.

Rozglądam się za Bobem i Lucy, z jednej strony chcąc, żeby mnie zobaczyli, z drugiej strony modląc się, żeby mnie nie widzieli. Co Bob sobie pomyśli, kiedy zobaczy mnie na desce dla niepełnosprawnych? Czy pomyśli sobie, że się poddałam zespołowi pomijania stronnego? Czy się poddałam? Czy to dostosowanie czy porażka? Czy powinnam czekać do czasu, aż wyzdrowieję, żeby wrócić na narty? A jeśli nigdy nie wyzdrowieję? Czy mam tylko dwie opcje - siedzenie w bazie u stóp stoku lub zjeżdżanie w taki sam sposób, jak przed wypadkiem i nic pomiędzy nimi? A jeśli zobaczy mnie ktoś z pracy, kto tu przyjechał na weekend? A jeśli przyjechał Richard i zobaczy mnie trzymającą się uchwytu przy desce i prowadzoną przez instruktora ze Związku Sportowego Niepełnosprawnych Nowej Anglii? Nie chcę, żeby mnie ktoś widział.

Co ja robię? To może okazać się impulsywną i naprawdę złą decyzją. Kiedy zbliżamy się na szczyt - który w rzeczywistości nie ma nic wspólnego ze szczytem, bo jest tylko umownym końcem Latającego Dywanu, widocznym z bazy, w której wygodnie sobie siedziałam, zanim poszłam węszyć - niespokojny trajkot narasta w mojej głowie, zmieniając się w prawdziwą panikę.

Zmieniłam zdanie. Nie chcę tego robić. Nie chcę jeździć na desce. Chcę wrócić do restauracji i porozwijać zadania z książeczki. Chcę być na dole wzgórza.

Ale jesteśmy już na końcu wyciągu, a na dół nie prowadzi żaden Latający Dywan. Niestety, w przeciwieństwie do dzieci, które paraliżuje strach lub panikują z jakiegoś innego bezsensownego powodu, nie mogę po prostu rzucić deski i zejść na dół. Moja laska została w siedzibie ZSNNA i nie wyobrażam sobie, że Mike pomógłby mi zejść na dół na piechotę, nie namawiając mnie do przynajmniej jednej próby na snowboardzie.

Mike przesuwa mnie na bok, żebym nie spowodowała zatoru na górze pasa transmisyjnego. Następnie odwraca się i staje twarzą do mnie, z rękami na uchwycie, przymocowanym do mojej deski.

- Gotowa? - pyta i błyska zębami.

- Nie - mówię, zaciskając moje i starając się nie rozplakać.

- Na pewno tak. Najpierw przesuniemy się odrobinę w przód.

Pochyla się w dół i zaczynamy zjeżdżać. Czy mi się podoba czy nie (z akcentem na *nie*), muszę zjeżdżać na desce.

- Super, Saro! I jak?

I jak? Czuję, że podniecenie i przerażenie wirują we mnie jak pranie w suszarce. Co sekundę odczuwam inne emocje.

- Nie wiem.

- Spróbujmy skrócić. Pamiętaj, sikanie w lesie, żeby jechać w lewo, sikanie nad toaletą - w prawo. Do przodu na paluszki, do tyłu na pięty. Zacznijmy od ruchu w przód.

Wysuwam biodra do przodu i zaczynamy skręcać w lewo. I to wydaje się okropnie niewłaściwe. Zsuwam kolana razem, spinam się w biodrach i staję prosto. Tracę kontrolę nad równowagą, ale czuję, że Mike koryguje i chroni mnie przed upadkiem.

- Co się stało? - pyta.

- Nie lubię skręcać w lewo. Dopóki nie dojadę na miejsce, nie widzę dokąd jadę i to mnie przeraża.

- Nie martw się. Będę kontrolował drogę. Obiecuję, że w nikogo nie wjedziemy ani w nic nie uderzymy.

- Nie chcę jechać w lewo.

- Okej. Pozjeżdżajmy trochę, a kiedy będziesz gotowa, zaprzyj się na piętach i skreć w prawo.

Odchyła się, trzymając uchwyt i zaczynamy wspólnie zjeżdżać z górki. Po kilku sekundach, zapieram się na piętach, kucam nad wymagowaną toaletą i skręcamy w prawo. Wracam do normalnej pozycji i jedziemy do przodu. Postanawiam zrobić to jeszcze raz. *Kucnij, pięty, prosto, w przód. Kucnij, pięty, prosto, w dół.*

- Świetnie, Saro! Zjeżdżasz na desce!

Czyżby? Przestaję się koncentrować na wykonywaniu pojedynczych ruchów i zauważam całość. *Zjazd, skręt, zjazd. Zjazd, skręt, zjazd.*

- Jadę na desce!

- Jakie to uczucie? - pyta.

Jakie to uczucie? Chociaż Mike pomaga mi utrzymać równowagę i kontroluje prędkość, to ja decyduję, kiedy skręcamy i kiedy zjeżdżamy. Czuję się wolna i niezależna. Chociaż trzymam się uchwytu dla inwalidów, a normalne deski nie mają takich uchwytów, nie czuję się nienormalna ani upośledzona. Chodzenie z pominięciem lewej strony jest pracochłonne i kłopotliwe, wymaga mnóstwa wysiłku, żeby przesunąć się o kilka żaloznych metrów. Kiedy

jedziemy w dół wzgórza na deskach, czuję się naturalnie, płynnie i pełna wdzięku. Na twarzy czuję słońce i wiatr. Czuję radość.

Zatrzymujemy się na dole, ciągle stojąc twarzą w twarz. Patrzę na roześmianą twarz Mike'a i widzę swoje odbicie w jego okularach. Moje zęby wyglądają na tak duże i podekscytowane jak jego. Jak się czuję? Czuję, jakby Mike zrobił wielką wyrwę w szklanej ścianie moich, z góry przyjętych, opinii, uderzając w sam ich środek, roztrzaskując mój strach w milion błyszczących kawałków. Czuję się lekka i wdzięczna do granic możliwości.

- Chciałabym to powtórzyć.

- Fantastycznie! Ruszajmy!

Teraz na płaskim terenie, Mike wypina jedną nogę i holuje mnie za uchwyt do Latającego Dywanu. Mijamy wszystkich i jedziemy na początek kolejki, ponieważ taki jest przywilej ZSNNA.

- Mamusiu! Mamusiu!

To Lucy. Stoi przed nami, obok Boba. Jest z nimi Charlie. Mike przyprowadza mnie do nich i przedstawiam go swojej rodzinie.

- Niech ci się przyjrze! - mówi Bob, zaskoczony moim widokiem, ale zadowolony. W jego oczach, które zawsze mówią prawdę, nie widzę śladu rozczarowania lub oskarżenia.

- Patrz, patrz! - mówię z dziecięcą dumą. - Jestem snowboardzistką, jak Charlie!

Charlie mierzy mnie z góry na dół, sprawdzając słusność tego stwierdzenia, zatrzymując wzrok na odzianej w rękawiczkę ręce Mike'a, która spoczywa na uchwycie mojej deski i zastanawiając się czy moja deklaracja nie powinna zostać potwierdzona, jakby mój entuzjazm nie mówił sam za siebie.

- Fajnie! - mówi.

- Zjechała właśnie po raz pierwszy i poszło jej doskonale. Jest naturalna - mówi Mike.

- My właśnie chcemy zjechać ostatni raz przed obiadem - mówi Bob. - Pojedziesz z nami?

- Możemy tutaj wskoczyć? - pytam.

- Jasne - odpowiada Mike i przyciąga mnie do kolejki za Lucy.

Wjeżdżamy Latającym Dywanem i zbieramy się razem na szczycie.

- Gotowa? - pyta Mike.

Potakuję. Odchyła się i zaczynamy zjeżdżać. *Zjazd, skręt, zjazd.* Śmieję się, wiedząc, że Bob i dzieci trzymają się z tyłu, aby mi się przyjrzeć i czując, że Bob też się uśmiecha. Jestem na oślej łączce, zamiast na szczycie góry i jestem na desce dla niepełnosprawnych, zamiast na nartach, ale wszystko wydaje się być w 100% doskonałe. Jestem na stoku z rodziną. Jestem

tu.

Zjazd, skręt, zjazd. Uśmiech.

ROZDZIAŁ 30

Poniedziałek rano. Wiem, że jest poniedziałek, ponieważ wczoraj wieczorem wróciliśmy z Cortland do Welmont, zatem wczoraj musiała być niedziela. Jest początek marca, nie byłam w pracy od czterech miesięcy, co oznacza, że od czterech miesięcy egzystuję bez dokładnego dziennego rozkładu, który kiedyś wyznaczał najważniejsze punkty każdego z dni. - Kto, Co, Kiedy, Gdzie, Dlaczego. Kiedy jesteśmy w Vermont - jest weekend, wiem też, kiedy jest poniedziałek i piątek, ponieważ wtedy albo wracamy, albo pakujemy się do wyjazdu, ale pozostałe dni zaczęły mi się zlewać ze sobą. Już w środę nie wiem czy mamy wtorek czy czwartek. Nie ma to większego znaczenia.

Wiem, że jest poniedziałek także dlatego, że Linus nie poszedł dzisiaj do żłobka. Wciąż zawozimy go od wtorku do piątku, ale w poniedziałki nie - jest to jeden z naszych sposobów na zaoszczędzenie pieniędzy. Charlie i Lucy są w szkole, Bob w pracy, a Linus poszedł z moją mamą do sklepu. Jestem sama w domu, jeszcze nie zdjęłam piżamy i siedzę na ulubionym krześle w przeszklonym pokoju. W moim świętym miejscu.

Czytam magazyn The Week, zamiast niedzielnego wydania New York Timesa. Skończyłam z New York Timesem. The Week odkryłam w poczekalni stomatologa dziecięcego i od razu pokochałam. W skrótovej formie, na trzech stronach, przekazuje najważniejsze wiadomości z ostatniego tygodnia, zawiera także skróty artykułów z najważniejszych gazet, takich jak New York Times. Jest tam nawet jedna strona dla tych, którzy - jak ja - są fanami People i ploteczek z Hollywood. Wszystkie artykuły zaczynają i kończą się na tej samej kartce, a cały magazyn liczy przyjemne czterdzieści stron.

Ma te same cechy, które najbardziej cenię u moich ulubionych konsultantów w Berkley - wydajny ale dokładny, zmierzający prosto do celu. Przewracając kartki i zastanawiając się nad tym porównaniem, przypominam sobie nagle regułę 80 - 20.

Traktowana jako jedno z dziesięciu przykazań dla konsultantów Berkley oraz prawda uniwersalna, reguła 80 do 20 wywodzi się z ekonomii i mówi, że 20 procent wysiłku wydaje 80 procent plonów. Innymi słowy, oznacza, że tylko 20 procent wysiłku przekłada się na jakiś rezultat. Dla naszych pracowników, którzy mają kilka tygodni na wypracowanie strategii dla klientów i nie mogą pozwolić sobie na luksus zajmowania się danym problemem przez rok, reguła 80 do 20 jest przypomnieniem, że powinni skupić się na 20 procentach istotnych informacji i zignorować pozostałe 80 procent, które prawdopodobnie nie są aż tak ważne (nasze największe gwiazdy intuicyjnie wiedzą na czym się skoncentrować, a co pominąć).

Redaktorzy The Week również wyłuskali 20 procent wiadomości istotnych dla mnie i opublikowali je w schludnym, małym magazynie. Jeszcze dzisiaj, najdalej jutro, wszystko przeczytam, co oznacza, że we wtorek będę już wystarczająco poinformowana, dzięki czemu będę miała później czas na coś innego. Reguła 80 do 20 jest genialna.

Przez okno patrzę na podwórko, a potem przez przeszklone drzwi zerkam w stronę salonu i wzdycham, zastanawiając się czym to „coś” mogłoby być. Mam tylko mnóstwo wykreślanek, które mogę rozwiązać i wiele czerwonych piłeczek do odszukania i podniesienia z tacy. Skończyła się moja terapia pozaszpitalna, która odbywała się dwa razy w tygodniu. Nie dlatego, że całkowicie wyzdrowiałam (bo nie), nie dlatego, że zrezygnowałam (bo nie), ale dlatego, że ubezpieczenie pokrywa koszt terapii zaledwie przez dziesięć tygodni i mój czas się skończył. Nie pojmuję, jak człowiek myślący, posiadający odrobinę ludzkich uczuć i serce, mógł wymyślić i zatwierdzić takie przedwczesne i bezsensowne ograniczenie.

Wydawało mi się, że odczekałam ze słuchawką przy uchu co najmniej tydzień zanim udało mi się połączyć z konsultantką firmy ubezpieczeniowej. Przełałam całą moją wściekłość na jakąś biedną Betty pracującą w biurze obsługi klienta, która, jestem pewna, nawet nie maczała palców w ustalaniu przepisów i która z pewnością nie ma żadnego wpływu na ich zmianę. Ale wybuch przyniósł mi ulgę. I tak to jest. Jeśli mam wyzdrowieć w 100%, to od tej chwili będzie to zależało w 100% ode mnie.

Kończę czytanie The Week. Co teraz? Dziwne, że mama i Linus jeszcze nie wrócili. Linus już chodzi i jak tylko ma okazję - próbuje biegać. Nienawidzi siedzieć spokojnie i jest wyjątkowo uparty, co - według mojej matki - przekazałam mu w genach. *Niedaleko pada jabłko od jabłoni*, mówi. Mam nadzieję, że jej nie zamęcza. Niesamowicie dobrze radzi sobie z trójką dzieci, opanowała ich rozkłady dnia, szykuje im posiłki, pierze ubrania i czerpie radość z tego, że jest przy nich, ale widzę, że po południu zaczyna opadać z sił. Źle się czuję z tym, że ma tyle pracy, ale nie potrafię wyobrazić sobie, jak moglibyśmy dać radę bez niej.

Zapadam się w miękkim krześle, zamykam oczy i napawam się relaksującym ciepłarnianym powietrzem tego pomieszczenia. Ale nie jestem zmęczona i nie chce mi się spać. Szkoda, że to nie sobota. W sobotę bylibyśmy w Vermont i zjeżdżałabym na desce. Już nie mogę się doczekać.

Dzwoni telefon. Mama przyniosła mi telefon tak jak zawsze, gdy wychodzi z domu i zostawia mnie samą, ale nie widzę go w zwykłym miejscu, pomiędzy podłokietnikiem a poduszką. Znowu dzwoni. Zwracam się w stronę, z której dochodzi dźwięk i znajduję go na małym stoliku naprzeciw mnie. Przypominam sobie, że Linus się nim bawił i musiał go tam odłożyć. W odległości metra, czyli całej mile ode mnie.

Mogłabym wstać i wspierając się o lasce podejść do stolika, ale raczej nie uda mi się tego dokonać, zanim przestanie dzwonić. Powinnam poczekać aż włączy się sekretarka, ale przecież przed chwilą chciałam mieć coś do roboty. Zamierzam wygrać z telefonem. Zostały mi jeszcze trzy sygnały.

Chwytam za laskę i odwracam ją do góry nogami, łapię za jedną z gumowych nóżek. Wyciągam rękę przed siebie i opieram zagiętą rączkę o koniec stołu. Poruszam laską aż telefon znajduje się w zagięciu. Czwarty dzwonek. Szarpnię i telefon spada ze stolika wprost na moje kolano. Auć. Teraz dzwoni na podłozie. Sięgam, podnoszę, wciskam zieloną słuchawkę i o mały włos nie krzyczę *Wygrałam!* zamiast *Hallo?*

- Cześć Saro. Mówi Richard Levine. Jak się masz?

- Dobrze - odpowiadam, starając się wyrównać oddech.

- Dobrze. Dzwonię, żeby dowiedzieć się o twój stan zdrowia oraz zapytać czy jesteś już gotowa porozmawiać o swoim powrocie do pracy.

Jaki jest mój stan zdrowia? Jest prawie południe, ja mam na sobie piżamę, a największym osiągnięciem tego dnia było sięgnięcie laską po telefon i odebranie przed szóstym sygnałem.

- Czuję się świetnie, dużo lepiej.

Czy jestem gotowa rozważyć powrót do pracy? Moja mama zwróciłaby uwagę na to, że skoro nie odzyskałam koordynacji ruchów potrzebnych do zmiany pieluchy, to jak mogłabym koordynować zasoby ludzkie? Ale Bob powiedziałby, że jestem gotowa. Powiedziałby, że mam w to wejść. Betty, konsultantka z biura obsługi klienta firmy ubezpieczeniowej, powiedziała, że jestem gotowa. Przedwypadkowa „ja” już otwiera szampana, klepie mnie po plecach i praktycznie wypycha mnie za drzwi.

- Bardzo chciałabym omówić mój powrót.

- Doskonale. Kiedy możesz przyjechać?

Zastanówmy się. Dziś po południu przed drzemką miałam iść na spacer po naszej dzielnicy; mama pojechała do sklepu, co oznacza, że pewnie dostanę nową książeczkę z zadaniami, poza tym mam nagranie nowego odcinka Ellen.

- Kiedy ci pasuje.

- Może jutro o dziesiątej?

- Świetnie.

- Do zobaczenia zatem.

- Do jutra.

Odkładam telefon, opadam głębiej na poduszkę i razem z ciepłem promieni słonecznych

zaczynają do mnie docierać konsekwencje tej niespodziewanej rozmowy. Jedno i drugie sprawia, że zaczynam się pocić. Jestem gotowa omówić swój powrót do pracy. Ale czy jestem gotowa tam wrócić? Napadłam na biedną Betty z biura obsługi, oskarżając ją o kryminalne przepisy i zaprzestanie mojej terapii, zanim ozdrowiałam w 100%. Zanim byłam gotowa w 100%. Więc do jakiego stopnia wyzdrowiałam? Umiem powoli czytać i pisać. Chodzę jeszcze wolniej. Boję się spóźnień na spotkania i zawałonych terminów, tego, że nie dostrzegę jakiegoś ważnego dokumentu, rzuconego na lewą stronę biurka, że zapomnę otworzyć pliki, zapisane po lewej stronie pulpitu mojego komputera. Myślę o regule 80 do 20. Czy osiągnęłam choć 20 procent?

Zawsze byłam perfekcjonistką, zawsze stawiałam kropkę nad każdym „i”, zawsze wszystko ogarniałam. Ale jeśli starczałoby mniej niż moje 100%? Jeśli wyzdrowiałam na 20 procent i to wystarczy, żeby wrócić do pracy? To możliwe. Moja praca to zasoby ludzkie, praca biurowa. To nie chirurgia (gdzie potrzebne są dwie ręce) ani nie foxtrot (gdzie potrzebne są dwie nogi). Może nie wyzdrowiałam w 100%, ale wciąż mogę być świetna w pracy, prawda?

Siedzę na ulubionym krześle w moim świętym miejscu, serce mi łomocze, każde uderzenie napędza w różnej mierze strach i radość, i zastanawiam się czy ogłoszenie gotowości jest rozsądnym optymizmem, czy haniebnym kłamstwem. Wyglądam przez okno na nasz ogród i wzdycham, nie będąc w stanie skłonić się ku żadnej odpowiedzi. Przekonamy się jutro.

ROZDZIAŁ 31

Ponownie zerkam na budzik. Jest cztery minuty później, niż ostatnim razem, kiedy sprawdzałam. A my ciągle walczymy z moimi spodniami. Wciągam powietrze a mama próbuje je zapiąć, ale zamka nie da się do końca zasunąć.

- Powinnaś założyć te - mówi moja mama, trzymając jedno z wielu takich samych czarnych spodni na gumce.

- Powinnaś jeszcze raz spróbować - mówię.

- Wyżej już się nie zapnie.

- No i dobrze. Jak będę miała zapiętą bluzkę, to wszystko przykryje.

Przechodzimy do bluzki. W czasie, który dawniej potrzebowałam na ubranie się od stóp do głów, udaje mi się samodzielnie zapiąć dwa guziki. Zapinam jeszcze jeden, wstrzymując oddech i zaciskając zęby, ale poddaję się i zlecam cały projekt mojej mamie. Patrzę na zegarek. Nie mogę się spóźnić.

Mama kończy zapinanie bluzki i marynarki od żakietu. Zakłada mi na szyję wisiołek z turkusem, a na lewą rękę bransoletkę z dzwoniącymi zawieszkami. Wyjmuję małe kolczyki z diamentami. Wkłada mi je w dziurki w uszach i zapina. Nakłada mi podkład na całą buzię, potem bronzer, rozciera odrobinę różowego cienia na moich powiekach, depiluje kilka niesfornych włosów nad nosem i z brody, nakłada delikatny błyszczek na usta. Patrzę w lustro i zatwierdzam jej pracę.

Ścinamy się jednak, kiedy nadchodzi pora na wybór butów. Nie chcę zakładać Merrelli (ani zaproponowanych przez nią białych tenisówek!), a ona odmawia podwiezienia mnie do pracy, jeśli założę buty na obcasie

- Mój wygląd musi być składowy. Ma wyrażać siłę i wyrafinowanie.

- Rzeczywiście będziesz wyglądać na silną i wyrafinowaną, kiedy potkniesz się i zaryjesz twarzą w podłogę.

Niestety, jest to całkiem możliwe. Postanawiam nie ryzykować tego upokorzenia i proponuję kompromis, wybierając baletki na płaskiej podeszwie od Bruno Magli. Mama wolałaby gumowe podeszwy Merrelli, od „śliskich” baletek, ale zgadza się je przynieść. No, proszę. Oprócz fryzury na Annie Lennox, którą bardzo polubiłam, wyglądam prawie tak jak cztery miesiące temu. Korporacyjnie, wyrafinowanie, silnie i przede wszystkim pełnosprawnie.

Do chwili, gdy biorę laskę. W niej nie ma mocy ani wyrafinowania, ale - niestety -

jestem na nią skazana. Chciałabym zastąpić ją zwykłą laską. Smukła drewniana laska z wymyślną mosiężną rączką, kojarzy się zupełnie inaczej niż ordynarna stalowa z szarą gumą - z dystygowanym, lekko utykającym gentlemanem, a nie z kruchą staruszką, dochodzącą do siebie po wstawieniu endoprotezy stawu biodrowego. Mama proponuje, że owinie rączkę babcinej laski ładnym jedwabnym szalem, ale nie chcę niczego, co niepotrzebnie zwracałoby na nią uwagę. Lepiej ją ignorować i mieć nadzieję, że wszyscy pójdą za moim przykładem.

W kuchni bez dzieci jest dziwnie cicho. Bob zawiózł je do szkoły i do żłobka, dając mnie i mamie czas na przygotowania. Wypiłam tylko kawę. Mam zbyt ściśnięty żołądek, żebym mogła coś zjeść. Sprawdzam godzinę.

- Chodźmy już.

Odkąd wstałam, czuję się spięta i sędzę, że to uczucie przeniosło się też na moją mamę, ale ubieranie, mimo tego, że moja rola sprowadzała się głównie do podawania wskazówek, dało nam możliwość wykorzystania nerwowej energii. Teraz jedziemy do Bostonu, ja jestem przypięta pasami na miejscu pasażera, a mój niepokój miota się, uwięziony w samochodzie, nie mając stąd ujścia. Z każdą sekundą rośnie i staje się coraz bardziej klaustrofobiczny.

Ramionami prawie dotykam uszu, prawa noga wciska nieistniejący pedał gazu na podłodze, a wszystkie nerwy krzyczą *Jedź, pospiesz się, żebym się nie spóźniła!* W międzyczasie moja mama wjeżdża na pierwszy pas autostrady i w ten najważniejszy dla mnie dzień, jedzie wolniej niż zwykle, a wszyscy w Massachusetts zdają się nas wyprzedzać. Ona jest żółwiem, a ja królikiem. Nie powinnyśmy były, pod żadnym pozorem, wspólnie jechać do Bostonu podczas porannej godziny szczytu.

Mam już wybuchnąć, kiedy zauważam gdzie jesteśmy, co sprawia, że wszystkie spanikowane myśli odsuwają się i w głowie mam mrozącą krew w żyłach ciszę. Na plecy i ręce wypełza mi gęsia skórka. Nie ma niczego charakterystycznego na tym odcinku Mass Pike,

żadnych budynków w oddali, zjazdu, znaku z lewej lub z prawej strony, nic, na co można by zwrócić uwagę. Właśnie tutaj to się stało. Tutaj straciłam panowanie nad samochodem. Tutaj zmieniło się moje życie.

Chcę pokazać to miejsce mamie, ale zanim udaje mi się skoordynować myśli z głosem, zostaje już w tyle za nami i nie ma sensu nic mówić. Postanawiam siedzieć cicho i nic nie mówić na temat miejsca mojego wypadku, ani nie zgłaszać uwag, dotyczących stylu jazdy mamy. Zdamy. Jedziemy wystarczająco szybko.

Zostawiamy auto na parkingu W Prudential i wsiadamy do windy, jadącej na poziom sklepowy.

- Dobrze, mam. Stąd pójde już sama. Gdzie się spotkamy?

- To ja nie idę z tobą?

Staram się wyglądać na niezależną, pewną siebie i gotową do pracy. Wejście do firmy z mamusią za rękę, wywołałoby odwrotny efekt.

- Nie, możesz zrobić jakieś zakupy. Spotkajmy się potem w części restauracyjnej. Zadzwoń do ciebie jak skończę.

- Ale ja chciałam zobaczyć gdzie pracujesz.

- Innym razem. Proszę.

Wiem, że zraniłam jej uczucia, ale mam za dużo do stracenia. Nie chcę nawet, żeby ktokolwiek się domyślił, że mama przywiozła mnie do pracy. Niech myślą, że przyjechałam sama.

- Jesteś pewna? - pyta mama.

- Tak. Jestem dużą dziewczynką. Zadzwoń.

- Dobrze. Pójde do Gap kupić Linusowi nowe, większe body.

- Świetnie.

- Powodzenia - mówi i ku mojemu zaskoczeniu przytula mnie.

- Dzięki.

Przechodzę obok sklepów tą samą drogą, którą przemierzałam tysiące razy idąc do biur Berkley, mieszczących się w kameralnym, ekskluzywnym zakątku centrum. Recepcja wygląda dokładnie tak, jak dawniej - w części dla oczekujących, niczym w salonie, stoją smukłe, nowoczesne krzesła, obite kremową skórą i szklany stół. Na stole leży dzisiejszy numer New York Timesa i Wall Street Journal. Na imponująco wysokim kontuarze recepcji, stoi drogi bukiet świeżych kwiatów, a na ścianie za nim, złotymi literami napisano Berkley Consulting. Heather, nasza recepcjonistka, siedzi przy biurku na podwyższeniu, tak żeby

wystawała ponad blat, a fakt, że na interesantów patrzy z góry, również składa się na pierwsze onieśmielające wrażenie autorytetem Berkley.

- Dzień dobry, Heather.

- Sarah! Witamy z powrotem!

- Dziękuję. Cieszę się, że tu jestem. Przyszłam spotkać się z Richardem.

- Tak, przyjmą cię w Sali Concord.

- Świetnie. Dziękuję.

Przechodzę obok biurka Heather, z całych sił starając się ukryć to, że ciągnę za sobą lewą nogę.

- Saro? Sala Concord znajduje się tam - mówi, wskazując w przeciwnym kierunku, jakby rozmawiała ze słodką, zagubioną staruszką. Przekłeta laska.

- Wiem. Chcę się najpierw z kimś przywitać.

- Och, przepraszam.

Idę długim korytarzem, wolniej niż kiedykolwiek wcześniej, i czuję się jakbym wróciła do domu. Znajomy rozkład biur, które mijam, oprawione fotografie miast z lotu ptaka, wiszące na ścianach, światło, wykładzina, wszystko znajome i zapraszające. Myślałam, że może spotkam gdzieś tu Jessicę, ale tak naprawdę nie planowałam z nikim się witać. Zatrzymuję się przed moim biurem.

Otwieram drzwi i włączam światło. Komputer jest wyłączony, biurko wolne od papierów. Zdjęcia Boba i dzieci stoją pod tym samym kątem, w jakim je ustawiłam. Nawet mój czarny wełniany sweter wisi na oparciu krzesła, gotowy na dni, kiedy będę marznąć i potrzebować dodatkowego okrycia, co zazwyczaj zdarza się w miesiącach letnich przy rozkręconej do oporu klimatyzacji.

Myślałam, że będę chciała wejść, usiąść na swoim krześle, włączyć komputer, spędzić kilka minut, przyglądając się ludziom na ulicy za oknem, ale żadna z moich baletek nie przekracza progu. Recepcja i korytarz wydawały się bliskie jak dom, ale moje biuro, w którym w ciągu ostatnich ośmiu lat spędziłam pewnie więcej czasu, niż we własnym domu, wydaje się jakieś obce, jakby było miejscem przestępstwa. I chociaż brak w nim żółtej policyjnej taśmy zabezpieczającej, wolę nie wchodzić i niczego nie dotykać. Wyłączam światło i ostrożnie zamykam drzwi.

Przyszłam tutaj pod wpływem impulsu, bo wyobrażałam sobie, że nie zajmie mi to dużo czasu. Powinnam wiedzieć lepiej. Bostońskie biura Berkley są główną siedzibą firmy, zajmującą ogromną przestrzeń, a moje biuro znajduje się tak daleko, jak to możliwe, od Sali Concord. Dzwonię bransoletką z zawieszkami i znajduję na nadgarstku zegarek Heidi.

Cholera.

Kiedy wchodzę do Sali Concord, podpierając się laską, wszyscy popijają kawę siedząc na swoich miejscach i czekając na mnie. Stają się świadkami mojego wielkiego wejścia z babciną laską. Powinnam pojawić się przed nimi. Co ja sobie w ogóle myślałam?

- Wejdz, Saro - mówi Richard.

Richard i Carson siedzą z prawej strony stołu konferencyjnego dla dziesięciu osób. Przyglądam się lewej stronie. Gerry i Paul, dwóch dyrektorów zarządzających siedzi naprzeciw Richarda i Carsona, a Jim Whiting, jeden z partnerów, siedzi obok Paula. Widząc ilu ich się zebrało, wyciągam dwa wnioski. Po pierwsze, decyzja jest wyjątkowo istotna. Po drugie, podjęcie jej zajmie im wszystkim dziesięć minut. Wszystko się wyjaśni, zanim mama znajdzie sklep Gap.

Ich uprzejma cisza i niewyraźne uśmiechy mówią mi, że wszyscy są zatroskani, a nawet zdziwieni i wytrąceni z rytmu, przez moje pojawienie się z laską. Robię głęboki oddech i zbieram w sobie potrzebną siłę, następnie wszystkim podaję rękę i zajmuję miejsce u szczytu stołu. Mam idealny uścisk dłoni - mocny, ale nie łamiący kości, pewny siebie i ujmujący - modłę się więc, żeby zatarł fatalne pierwsze wrażenie.

Odrzucam propozycję napicia się kawy lub wody, nie chcąc ryzykować, że zacznę mi cieknąć z lewej strony ust i żałując, że nie mogę wypić obu. Zmachałam się i zaschło mi w ustach po długim spacerze po siedzibie Berkley i chętnie coś bym wypila. Spociałam się pod pachami i przy staniku, więc z rozkoszą zdjęłabym wełniany żakiet, ale nie mam ochoty zapewniać im dodatkowego widowiska. Poza tym muszę chować niedopięte spodnie. Prawa ręka znajduje lewą i unieruchamia ją pomiędzy kolanami. Zatem jestem: spóźniona, spocona, spragniona i modląca się o to, żeby lewa ręka się nie uwolniła i nie zrobiła niczego niestosownego ani kalekiego. Uśmiecham się do Richarda, jakby wszystko grało jak zwykle i już jestem gotowa.

- Zatem, Saro, na przyszły kwartał mamy w planach kilka dużych projektów, a jak wiesz, doświadczyliśmy niespodziewanych zmian kadrowych. Carson świetnie sobie radzi, zastępując ciebie, ale w żadnym wypadku nie możemy sobie pozwolić na żadne opóźnienia ani przestoje.

Uśmiecham się i jestem mile połączona. Wyobrażam sobie dział zasobów ludzkich, utykający o lasce przez ostatnie cztery miesiące, niepełnosprawny, niezdolny do funkcjonowania pełną parą beze mnie.

- Chcieliśmy więc dowiedzieć się co u ciebie i czy czujesz się gotowa na powrót na stanowisko.

Chcę wrócić. Tęsknię za swoim korporacyjnym życiem - szybkim tempem, intensywnością, dokładaniem się do czegoś ważnego, odczuwaniem mocy i wyrafinowania, byciem wydajną. Patrzę na każdego po kolei, starając się wyczytać z ich twarzy czy wierzą w moją gotowość do powrotu, zobaczyć czy ich mina lub język ciała wyrażają mój entuzjazm, ale nie dostaję pozytywnego wsparcia, na które czekam. Gerry i Paul mają założone przed sobą ręce, a wszyscy przybrali twarz pokerzysty. Wszyscy prócz Jima. Przed chwilą się z nim witałam, ale teraz nigdzie go nie widzę. Możliwe, że się wymknął, bo dostał wiadomość na pager i musiał pójść do ważniejszych obowiązków. Ale bardziej możliwe jest to, że trochę odsunął się z krzesłem od stołu, albo że pstrykający długopisem Carson absorbuje zbyt dużo mojej uwagi po prawej stronie, albo że nie wiadomo czemu, ciągle tu jest ale wpadł w czarną dziurę mojego pomijania stronnego.

Kogo próbuję nabrać? Zmagam się z czymś więcej niż kuśtykanie. Mama musiała mnie ubrać i przywieźć na miejsce, moja lewa ręka jest uwięziona między kolanami, boję się wypić kawę przy ludziach, jestem wykończona wędrówką z biura do sali konferencyjnej i nie mam pojęcia, gdzie znajduje się partner zarządzający. Nieważne w ilu procentach jestem gotowa, to wciąż za mało. Myślę o ogromie pracy, jaką codziennie wykonywałam. Pracy, której ode mnie oczekiwano. Biorąc pod uwagę mój obecny stan i możliwości, po prostu zabraknie mi godzin w ciągu dnia. I jakkolwiek bardzo chciałabym wrócić, nie mam ochoty ryzykować obniżonej jakości mojej pracy i - co się z tym wiąże - także mojej reputacji.

- Naprawdę bardzo chciałabym wrócić, ale chcę postawić sprawę uczciwie. Nie jestem gotowa do pracy w pełnym wymiarze. Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś wykonywała swoje obowiązki, ale potrzebuję na to więcej czasu.

- Co powiedziałaś na pół etatu? - pyta Richard.

- Czy mam taką opcję? - pytam.

Berkley nie zatrudnia pracowników w niepełnym wymiarze godzin. Jak tu pracujesz, należysz do nich. Nie kawałek ciebie. Cała ty.

- Tak. Rozumiemy, że zanim wydobrzejesz i wrócisz na normalne obroty, możesz potrzebować więcej czasu, ale dla nas lepszym, bardziej wydajnym i opłacalnym rozwiązaniem jest zaproponowanie ci niepełnego etatu, niż znalezienie i wyszkolenie kogoś nowego.

Wyobrażam sobie analizę kosztów i zysków, przeprowadzoną przez jednego z naszych analityków. W jakiś sposób musiało się okazać, że liczby stojące przy moim nazwisku są bardziej atrakcyjne, niż liczby przy nowym wiceprezesie od spraw zasobów ludzkich. Przynajmniej w ciągu następnego kwartału. Zastanawiam się, jakiego wskaźnika użyto do

obliczenia strat, wynikających z mojego pomijania stronnego.

- Dla jasności, ile godzin to niepełny etat?

- Czterdzieści - mówi Richard.

Wiedziałam jaka będzie odpowiedź, zanim zadałam pytanie. W większości firm czterdzieści godzin to cały etat, a dwadzieścia to pół etatu. Wiem, że mogłabym poradzić sobie przy dwudziestu. Ale to jest Berkley i prawdopodobnie praca na pół etatu zajęłaby mi czas potrzebny na pełen etat, ale to dałoby się zrobić. Teraz to dla mnie oznacza osiemdziesiąt godzin wysiłku i zapłatę za czterdzieści. Bob i ja naprawdę potrzebujemy drugiej pensji, nawet mniejszej niż dotychczas.

- Kiedy miałabym zacząć?

- Najlepiej od razu.

Miałam nadzieję, że w przyszłym miesiącu, co dałoby mi jeszcze trochę czasu, ale pośpiech związany z organizacją spotkania i liczba ważniaków na nim sprawiły, że zaczęłam podejrzewać, że potrzebują kogoś na to stanowisko od dzisiaj. Myślę o wszystkich piłeczkach, którymi codziennie żonglowałam - drogich, kruchych, ciężkich, niezastąpionych piłeczkach - które z trudnością udawało mi się utrzymać w ruchu, myślę jak kochałam adrenalinę związaną z tym, co robię.

I oto znowu jestem w Berkley, a Richard wita mnie z otwartymi ramionami. Moja prawa ręka jest gotowa, ale lewa jest ściśnięta między kolanami.

- Zatem, jaka jest twoja decyzja?

Oto jestem, z powrotem w Berkley, a Richard wita mnie słowami, o które modliłam się każdego dnia w ciągu ostatnich czterech miesięcy. Stoję na progu drzwi do mojego starego życia. Muszę jedynie go minąć, żeby je odzyskać.

ROZDZIAŁ 32

- Zamierzam odrzucić tę propozycję. - Rozradowana twarz Boba zmienia się w maskę wyrażającą zdumienie, jakbym jednym tchem powiedziała mu, że wygraliśmy w totolotka i że oddałam zwycięski kupon bezdomnej, zebrzącej na rogu Fairfield i Boylston.

- Straciłaś rozum?

- Nie - odpowiadam urażona. Cóż, właściwie straciłam kawałek mózgu, ale nie pora na to, żeby mi to wypominać.

- To dlaczego, do licha ciężkiego, chcesz to zrobić?

- Nie jestem gotowa.

Raz po raz pociera palcami czoło, jak wtedy, kiedy dzieci doprowadzają go do szału, a on próbuje się uspokoić. Ale dzieci teraz nie ma w domu. Jesteśmy sami i siedzimy naprzeciw siebie przy kuchennym stole.

- Oni uważają, że jesteś - mówi.

- Nie wiedzą tego, co my wiemy.

Nie wiedzą, ile trudności sprawia mi przeczytanie każdego słowa na każdej stronie, szczególnie tych po lewej stronie kartki. Nie wiedzą, jak wiele czasu zabiera mi odszukanie liter po lewej stronie klawiatury. Nie wiedzą, że moje biuro musiałyby być przystrojone pomarańczową taśmą i znakami mówiącymi mi PATRZ W LEWO. Nie wiedzą, ile czasu zajęło mi przejście z biura do Sali Concord i że po drodze zderzyłam się z kilkoma futrynami oraz jedną doniczką, nie wiedzą, że Jim zniknął w połowie spotkania, ponieważ siedział zbytnio po lewej stronie. Nie widzieli jak się wywracam, jak się ślinię i jak próbuję zdjąć kurtkę.

- Naprawdę uważam, że jesteś gotowa - mówi Bob.

- Nie jestem.

Od dnia wypadku wsparcie Boba było niezachwiane, ufnie prowadził mnie po cienkiej linie optymizmu, wyparcia, determinacji i desperacji. W niektóre dni potrzebuję właśnie takiego podbudowania morale, ale w inne, tak jak dzisiaj, jego słowa wydają się mieć mniej wspólnego z rzeczywistością, niż ja z lewą stroną kuchni.

Praca w Berkley, nawet w niepełnym wymiarze godzin, byłaby zbyt dużym obciążeniem i presją, tak jakbym miała przeczytać całe niedzielne wydanie Timesa w jeden dzień. Doskonale potrafię sobie wyobrazić kosztowne pomyłki, zaniedbania, wstyd, przeprosiny. Moje ego i ja cierpielibyśmy przez to wszystko, ale w rezultacie moich cierpień,

pokrzywdzeni byliby konsultanci, klienci i Berkley. Wszyscy byliby przegrani.

- Dokładnie to samo mówiłaś o jeździe na nartach, a teraz zjeżdżasz w każdy weekend - mówi Bob.

- Ale nie na nartach, tylko na desce.

- Chodzi o to żebyś tam wróciła. To będzie najlepszą terapią. Sądzę, że powrót do pracy będzie miał dla ciebie pozytywne skutki. Co najgorszego może się zdarzyć?

- Że zawiodę na całej linii.

- Nie zawiedziesz. Musisz przynajmniej spróbować.

- A ty byś spróbował?

- Bez dwóch zdań.

- Nie, na pewno nie. Nie wróciłbyś, dopóki nie odzyskałbyś formy.

- Wróciłbym. Ty też wrócisz. Nie przekonasz się, jeśli nie spróbujesz.

- Wiem, że nie umiem jeździć na nartach, chociaż nie próbowałam.

- To coś innego niż narty.

- Wiem.

- To naprawdę ważne.

- Wiem.

Znowu chwytając się za czoło. Ponadto zaczęły mu pulsować skronie, jak wtedy, kiedy stara się przywołać do porządku rozhisteryzowaną Lucy, co z góry skazane jest na niepowodzenie, jakby starał się przekonać huragan, żeby zmienił kierunek lub stał się łagodnym tropikalnym deszczykiem. Ja ją ignoruję, ale Bob nie może się oprzeć kolejnym próbom zaradzenia tym wybuchom. Przemawia i szarpie nią. Ona wyje i młóci powietrze. Czasami udaje się odwrócić jej uwagę, ale w większości przypadków musi się wyrzucić, zanim uspokoi się na tyle, że docierają do niej nasze słowa.

- Zaczynam już wariować, Saro. Nie dam rady ciągnąć wszystkiego sam. Nie stać nas na życie na takim poziomie bez twoich zarobków - dodatkowe zajęcia dzieci, żłobek, nasze pożyczki studenckie, hipoteki. I nie wiemy jak długo twoja mama będzie chciała się dla nas poświęcać. Chyba powinniśmy pomyśleć o sprzedaży domu w Vermont.

- Albo może powinniśmy sprzedać ten dom - proponuję.

- Gdzie wtedy byśmy mieszkali? - pyta Bob, protekcjonalnym tonem.

- W Vermont.

Patrzy na mnie, jakbym zaproponowała przehandlowanie jednej z nerek, ale według mnie to rozsądny pomysł, który od pewnego czasu dojrzewał w mojej głowie. Najwięcej wydajemy na koszty utrzymania i spłatę kredytu za dom w Vermont. Znalezienie kupca na

dom w Vermont może przeciągnąć się nawet ponad rok, ale mimo niesprzyjających czasów, ceny nieruchomości w Vermont wciąż stoją na najwyższym poziomie. Nasz dom ma tylko skromne cztery sypialnie, a większość ludzi szuka tutaj większej przestrzeni, ale jest dobrze utrzymany i ładnie się prezentuje. Prawdopodobnie sprzedałby się od razu.

- Nie możemy przeprowadzić się do Vermont - mówi Bob.
- Czemu nie? Koszt życia w porównaniu do tego miejsca jest praktycznie żaden.
- Dlatego, że nic tam nie ma.
- Jest tam bardzo wiele rzeczy.
- Nie ma tam pracy dla nas.
- Znaleźlibyśmy ją sobie.
- Jako kto?
- Nie wiem. Jeszcze tego nie przemyślałam.

Ale chcę. Nie za dużo dzieje się w północno-wschodnim Królestwie Vermont. To nie to samo co Corporate America. To obszar rolniczy Nowej Anglii, rzadko zaludniony, głównie przez artystów, narciarzy, entuzjastów kolarstwa górskiego, byłych hipisów, rolników i emerytów.

- Mogłabym otworzyć jakąś kafejkę - mówię, po krótkiej burzy mózgu.
- Co takiego?
- Kafejkę. Zamknęli B&C i w Cortland brakuje dobrej kawiarni.
- Może zamknęli B&C ponieważ w Cortland nie utrzyma się żadna dobra kawiarnia.
- Może po prostu nie była właściwie zarządzana.
- To nedorzeczny pomysł na biznes.
- Co w nim śmiesznego? Czy Starbucks to też nedorzeczny biznes?
- Więc chcesz otworzyć Starbucksa?
- Nie...
- Chcesz z nimi konkurować?
- Nie.
- Więc chcesz zostać Juanem Valdezem¹⁰ hrabstwa Cortland?
- Bardzo śmieszne.

- Nie ma w tym nic śmiesznego. Ja także uwielbiam Vermont, ale jesteśmy zbyt młodzi i ambitni, żeby zamieszkać tam na stałe. To dobre miejsce na urlop. Nasze życie toczy się tutaj. Tutaj mamy pracę.

¹⁰ Juan Valdez jest postacią fikcyjną, znaną z logo i reklam producenta kawy Cafe de Colombia.

Zupełnie nie rozumiem, dlaczego tak musi być.

- Wiesz, że wkrótce oboje możemy być bezrobotni. Nie wiem dlaczego nie mielibyśmy rozejrzeć się po Vermont.

- Ale co byśmy tam robili? Chcesz kierować zasobami ludzkimi z firmie Syrop Klonowy Cioci Marysi?

- Nie.

- Chcesz żebym ja sprzedawał bilety na wyciąg?

- Nie. Nie wiem jeszcze, jakie tam są perspektywy.

- Niczego tam nie ma.

- Tego nie wiesz. Nie sprawdzałeś.

- Zatem chcesz zrezygnować z pracy w Berkley i szukać czegoś w Vermont?

- Tak.

- Ta rozmowa jest zupełnie bez sensu.

- Może.

- Na pewno.

- Okej, zatem gadamy sobie od rzeczy.

Bob, który jest urodzonym ryzykantem z żyłką do interesów i umysłem otwartym na różne pomysły, powinien być otwarty na tego typu propozycję. Powinien również wiedzieć, że część najlepszych na świecie pomysłów, największych innowacji i najbardziej udanych przedsięwzięć biznesowych, w pierwszej chwili zostało uznane za szalone i - w związku z tym - oprotestowane. Przestał pocierać czoło i nie pulsują mu już skronie. Patrzy na mnie jakby nie wiedział kim jestem. Jego oczy wyrażają strach i osamotnienie.

- Przepraszam, Saro. Nie chcę już o tym rozmawiać. I nie chcę na ciebie naciskać. Wiem przez co przechodzisz, ale śmiem twierdzić, że nie powinnaś przepuszczać takiej okazji. Jeśli zechcesz zwlekać, znajdą sobie kogoś innego i raczej drugi raz nie ponowią tej propozycji. To jedyna szansa na powrót. Potrzebują cię w Berkley.

Ostatnie zdanie brzmi bardziej jak rozkaz niż apel. Ale tak jak nie mógł mi rozkazać, żebym znowu jeździła na nartach, tak samo nie może mi kazać wrócić do pracy. Moja niezależność i upór były zawsze murem nie po przebycia i wyzwaniem dla Boba. Śmiesz mi, że po tylu latach wciąż próbuje go pokonać. Chociaż czasami bardzo się stara, tak jak teraz, nigdy nie udało mu się ustawić w pozycji szefa. Nasze małżeństwo oparte jest na partnerstwie, czasami z korzyścią dla nas, a czasami nie. Zazwyczaj jest to cecha pozytywna, coś z czego jesteśmy dumni, ale czasem niezmiernie ciężko jest dwóm kapitanom na jednym statku i dwóm parom rąk na jednym kole sterowym. Bob chce płynąć na lewo, ja na prawo,

albo jedno z nas ustąpi, albo uderzymy w skałę i wszyscy zatoniemy.

- Wiem, że się boisz. Też bym się bał. Ale jesteś dzielna. Spójrz ile już osiągnęłaś i z czym musiałaś się zmierzyć. Jestem dumny z ciebie. Wiem, że jeśli każdego dnia udaje ci się znaleźć siłę i odwagę do walki z zespołem pomijania stronnego, znajdziesz siłę i odwagę, żeby wrócić do pracy. Rozumiem, że to przerażające, ale wierzę w ciebie. Oni też wierzą. Dasz radę. Jesteś gotowa.

Myśl o powrocie do Berkley jest przerażająca. Ale w innym sensie niż pierwszy zjazd na snowboardzie, próba spaceru bez laski czy Martha w złym nastroju. I to nie jest powód, dla którego nie chcę tam wracać. Odkąd skończyłam szkołę biznesu, zasuwam jak szalona, robię tysiąc kilometrów na godzinę, każdego dnia ścieram się na pył, pędząc ku jednemu przyświecającemu mi celowi. Udanemu życiu. Nie tylko ku zwykłemu sukcesowi. Nie chodziło mi tylko o sukces, jakiego mogliby mi zazdrościć byli koledzy z klasy, o jakim opowiadaliby profesorowie, stawiając mnie za przykład przyszłym studentom, o jakim marzyliby nawet najzamożniejsi mieszkańcy Welmont, z którego Bob mógłby być dumny. Chodziło mi także o taki sukces, takie udane życie, które byłoby całkowitym przeciwieństwem mojego zepsutego, haniebnego dzieciństwa.

Tak było do dnia wypadku. Po raz pierwszy od niemal dekady, przestałam zapierniczać tysiąc mil na godzinę. Wszystko się zatrzymało. I chociaż duża część bezruchu ostatnich czterech miesięcy okazała się bolesnym i strasznym doświadczeniem, pozwoliła mi podnieść głowę i rozejrzeć się wokół.

Zaczęłam zastanawiać się nad sobą. Na czym jeszcze polega życie? Może sukces polega na czymś innym, a może można go osiągnąć inaczej. Może istnieje inna droga dla mnie, po której mogłabym poruszać się z rozsądną prędkością. Nieważne czy nie mogę, czy mam zbyt wielkie obawy, czy zmieniło się coś we mnie, co chce odmiany, a może jest to połączenie wszystkich tych powodów, ale wiem, że nie chcę wracać do Berkley. Nie chcę tamtego życia. Ta sama intuicja, która doprowadziła mnie do Mike'a Greena i snowboardu, prowadzi mnie teraz gdzieś indziej. A ja jej ufam.

- Nie wrócę do Berkley.

ROZDZIAŁ 33

Jest wczesny sobotni poranek, dziecioty nie zaczęły jeszcze bębnić na klonach i sosnach, nie ruszyły jeszcze wyciągi narciarskie. Linus zeskoczył właśnie z moich kolan i leży na podłodze, w jednej ręce trzymając auto, króliczka w drugiej i smoczek w buzi. Ciągłe ubrany w piżamę ogląda Ulicę Sezamkową z mocno ściszoną fonią. Charlie i Lucy na razie bawią się cicho w swoich pokojach. Moja mama i ja siedzimy na kanapie przy przyjemnie grzejącym kominku, ciesząc się tym spokojnym początkiem dnia. Bob został w Welmont, mówiąc, że ma za dużo pracy do wykonania w weekend, ale podejrzewam, że wciąż jest wściekły na mnie i nie chce przyczyniać się do pozytywnych wrażeń, związanych z tym miejscem i pośrednio wspierać mojego „przeziętego” pomysłu przeprowadzki do Vermont. Przed kolejnym łykiem wdycham zapach gorącej latte. Mmmm. Pewnie takiej mu właśnie brakuje.

Ostentacyjnie rozwiązuję zadanie, polegające na wykreślaniu słów, ale przede wszystkim delektuję się kawą, relaksuję przy kominku i obserwuję mamę. Jest całkowicie pochłonięta robótką na drutach. Dzierga jaskrawoczerwony szalik i od czasu do czasu pod nosem powtarza kolejność oczek. Przerywa, żeby rozmasować sobie ramię.

- Dobrze się czujesz? - pytam.

- Boli mnie ramię, chyba od noszenia Linusa.

Uciska górną część lewej ręki. Jestem pewna, że zazwyczaj dźwiga go na prawej ręce.

- Może za bardzo napinasz rękę, jak robisz na drutach - zgaduję, chociaż jej sylwetka nie wygląda na spiętą.

- Stawiałabym raczej na Linusa.

Jeszcze chwilę pociera ramię od barku do łokcia i wraca do swojej robótki. Szal spada kaskadą z jej drutów, leży na jej kolanach i na kanapie niczym koc. Wydaje się prawie gotowy i wyobrażam sobie, że ładnie będzie się na niej prezentował, pasując do jej siwych włosów, okularów w czarnej oprawie i czerwonej szminki, którą się chętnie maluje.

- Pewnie tęsknisz za swoimi przyjaciółkami z Czerwonych Kapeluszy - mówię.

- To prawda - mówi, nie podnosząc wzroku ani nie przerywając stukania drutami. - Ale często z nimi rozmawiam.

- Naprawdę?

Nigdy nie widziałam jej z telefonem.

- Na Skype.

- Używasz Skype?

- Uhm.

Ta kobieta przegapiła pojawienie się kuchenek mikrofalowych, video i pilota do telewizora, a wszystkie te rzeczy do teraz ją deprymują. Nie ma własnej komórki ani laptopa, nie ma też GPS-a w swoim samochodzie. I korzysta ze Skype?

- Skąd wiesz co to jest Skype? - pytam.

- Widziałam u Oprah.

Powinam się była domyślić. Trzy źródła informacji dla mojej mamy to Oprah, Ellen i magazyn People. Wykształcony snob we mnie chce pokazać jej swoją wyższość, ale przyznaję, że mi zaimponowała. Przeszła długą drogę w ciągu czterech miesięcy Korzysta z GPS-a Boba jak profesjonalistka i jeździła po Bostonie w godzinach szczytu, kiedy leżałam w Baldwin. Nauczyła się w końcu, który pilot jest do czego (mamy pięć) i umie wybrać odpowiednią kombinację przycisków, żeby przełączyć grę video na obraz telewizyjny (nawet Abby miała z tym problemy). Odbiera telefon, który dostała od Boba, żebyśmy mogli się do niej dodzwonić. I jak się okazuje, rozmawia na Skype z naszego domowego komputera.

- A za domem? Pewnie tęsknisz za byciem u siebie - pytam.

- Tęsknię za niektórymi rzeczami. Czasami brakuje mi mojej samotności. Ale gdybym tam była, tęskniłabym za głosami dzieci, ich śmiechem i wszystkimi zajęciami.

- A za swoimi ścieżkami i zajęciami nie tęsknisz?

- Tutaj też mam zajęcia i mnóstwo innych rzeczy. Dom jest tam, gdzie mieszkasz. Na razie mieszkam z wami, więc tu jest mój dom.

Dom jest tam, gdzie mieszkasz. Przypomina mi się znak na końcu Storow Drive w Bostonie: *Gdybyś tu mieszkał, byłbyś już w domu.* Wyglądam przez okno i widzę naturalne piękno otwartej przestrzeni, szary poranek wypełniający się kolorami, kiedy nad górami wschodzi słońce. Chciałabym tu mieszkać. Sądzę, że dzieci też by uwielbiały. Ale Bob ma rację. Nie możemy tak po prostu się przeprowadzić i wyrwać wszystkich z ich środowiska, bez konkretnego planu na życie. Wyobrażam sobie znak na granicy Vermont: *jeśli chcesz tutaj mieszkać, musisz znaleźć pracę.* *Prawdziwą pracę,* słyszę głos Boba wcinający się w myśli krążące mi po głowie.

- Chętnie wróciłabym do siebie na lato. Brakuje mi mojego ogrodu i plaż. Uwielbiam lato na Cape - mówi moja mama.

- Sądziś, że poprawi mi się do lata?

- Och, sądzą, że do tego czasu będzie dużo lepiej.

- Nie, mam na myśli to, czy według ciebie będę taka, jak przed wypadkiem?

- Nie wiem, kochanie.

- Wszyscy lekarze zdają się twierdzić, że jeśli do lata nie wyzdrowieję, to prawdopodobnie nigdy nie wrócę już do stanu sprzed urazu.

- Oni nie wiedzą wszystkiego.

- Wiedzą więcej niż ja.

Sprawdza oczka w swojej robótce.

- Założę się, że nie wiedzą jak zjeżdżać na desce - mówi.

Uśmiecham się, wyobrażając sobie przestraszoną i niepewną Marthę na desce na stoku, co chwilę upadającą ciężko na tyłek.

- Nie ma rzeczy niemożliwych - mówi.

Lekarze i terapeuci powiedzieliby mi także, że nie dam rady jeździć na snowboardzie, że to jeszcze jest niemożliwe. A mimo to, jeżdżę. *Nie ma rzeczy niemożliwych.* Siedzę i wchłaniam słowa mamy aż czuję, że dotarły do najdalej położonej części mnie, skąd nie da się ich pozbyć. Mama postukuje drutami i koncentruje się na wyglądzie swojego szala, więc nie zauważa, że się jej przyglądam, zakochana w wypowiedzianych przez nią prostych i pięknych słowach, dumna z niej, że aby tu być, musiała wiele przejść, wdzięczna, że w ogóle tu przyjechała i została nawet wtedy, gdy kazałam jej wracać do siebie. Dzięki Bogu, że mnie nie posłuchała. Ściskam jej odzianą w skarpetkę stopę.

- Co? - pyta, zerkając znad robótki.

- Nic - odpowiadam.

Wraca do dziergania szala. Sącze kawę i wpatruję się w ogień, rozkoszując się tą dobrą chwilą. Jestem w domu, ze swoją mamą.

ROZDZIAŁ 34

Prawdziwa zima zawitała do Nowej Anglii w Dniu Świętego Patryka. Podczas gdy trzydzieści centymetrów śniegu w Welmont nikomu powyżej osiemnastego roku życia nie kojarzyło się z niczym przyjemnym, tylko z zawieszeniem nauki w szkołach, opóźnieniami lotów, śliskimi drogami, długimi przejazdami, stłuczkami - to ponad cztery metry śniegu tu, w Cortland, witane było przez wszystkich jak puszyste, białe błogosławieństwo prosto z nieba. Warunki w górach w tę słoneczną, bezwietrzną sobotę nie mogłyby być lepsze.

Zrobiłam duże postępy w jeździe na desce. W zeszły weekend Mike zdjął z niej uchwyt, a zamiast niego, używam pojedynczego kijka, trzymanego prawą ręką. Kijek ma małą, prawie niewidoczną, nartę na dole, która daje mi pewność, sprawia, że stabilniej stoję i mam kontakt z podłożem, na tej samej zasadzie jak saling w łodzi lub moja laska, kiedy chodzę. Ale mój kijek jest znacznie fajniejszy niż laska. Nie ma w nim nic babcinego.

Jestem także przyczepiona do Mike'a, który jedzie na desce za mną, a linka biegnie przez pętlę w moim snowboardzie do jego rąk. Wygląda jak Święty Mikołaj, trzymający lejce renifera, a ja wobec tego jestem Dasherem, Dancerem lub Rudolfem, ale tak naprawdę mam w nosie to, jak wyglądamy. Z miejsca, gdzie stoję, widzę tylko zwykłą deskę i przecudowną trasę, pokrytą świeżym śniegiem. Będąc za mną z lejcami, Mike może kontrolować moją prędkość, wykrzykiwać zachęty, przypominać o właściwej technice i wykrzykiwać ostrzeżenia, jeśli coś dzieje się po lewej. Mówi mi, że przed końcem sezonu powinnam być w stanie jeździć na desce sama, choć może zechcę zatrzymać kijek. To jest zarazem ekscytujące, prawie niewiarygodne i niewyobrażalne. Na razie ciągle nie zauważam miejsc porytych lodem, skrętów na trasie lub innych narciarzy i snowboardzistów, znajdujących się z lewej strony, dopóki Mike mi ich nie pokaże (a czasami nawet wtedy jeszcze nie widzę), więc wiem, że nie jestem gotowa na wyzbycie się wiary w Świętego Mikołaja.

Wyszliśmy poza Bieg Lisa, na moje ulubione trasy dla średnio zaawansowanych i jestem bardziej niż szczęśliwa, że jeżdżę na prawdziwej górze poza Latającym Dywanem i górką dla początkujących. W tej chwili jesteśmy w połowie Biegu Lisa. Wypatruję i nasłuchuję Charliego. Od czasu do czasu widzę go na desce, zadowolonego, że tu jestem, a nawet bardziej tym, że mnie wyprzedza. Patrząc na niego, odnosi się wrażenie, że jazda na snowboardzie nie wymaga żadnego wysiłku. Nie wiem jak ja wyglądam, ale podejrzewam, że łatwo można dostrzec mój wysiłek i niezwykłą koncentrację. Ale, tak jak mówiłam, nie zależy mi na tym, co widzą inni. Może i nie wyglądam na wyluzowaną snowboardzistkę, ale

właśnie tak się czuję.

Chociaż warunki są idealne, cieszę się, że Charlie śmiga na desce, całkowicie ufam Mike'owi w kwestii mojego bezpieczeństwa i czuję się jak Shaun White¹¹, to dzisiaj nie doświadczam typowego dla mnie zachłyśnięcia się radością i prędkością na stoku. Niemal z całej siły koncentruję się na technice i wyczuciu deski, ale mała cząstka mnie słucha dramatycznego monologu, rozbrzmiewającego w mojej głowie, zajętej myśleniem o zjeździe.

Jeśli Bob ma rację? Jeśli Berkley było jedyną szansą na powrót? Jeśli zrezygnowałam z mojej jedynej szansy na odzyskanie prawdziwego życia? Może przeprowadzka do Vermont to szalony pomysł. Odchylam się na pięty i skręcam w prawo. Ale jestem trochę za nisko, kiedy deska bierze zakręt, więc lecę na tyłek. Mike zatrzymuje się przy mnie i pomaga mi wstać.

- W porządku? - pyta.

- Tak - mówię, chociaż wiem, że i moja kość ogonowa, i ego, zostały posiniaczone.

Ustawiam deskę we właściwej pozycji i znowu zjeżdżamy.

Co byśmy tu robili z Bobem? Nie chcę otwierać kafejki, sprzedawać biletów na wyciąg, ani prowadzić galerii sztuki (pomysł mojej mamy). Może niczego tu dla nas nie ma. Czy życie tutaj oznaczałoby wyzbycie się naszego drogiego i okupionego ciężką pracą wykształcenia, wszystkiego, co chcieliśmy osiągnąć i czym zasłużyć się światu, wszystkiego, o czym marzyliśmy?

- Hej, Goofy!

To Charlie. Nazywa mnie Goofy, ponieważ prowadzę deskę prawą nogą, co nazywa się stylem na Goofiego. Lubi się tak ze mną drażnić. A ja sądzę, że nazwa pasuje do mnie jak ulał. Tym razem nie zwalnia i widzę tylko tył jego pomarańczowej kurtki, kiedy śmiga obok nas. Uśmiecham się.

- Chwalipięta!

Może jestem, tylko niepełnosprawną, przestraszoną kobietą, która próbuje pociągnąć Boba za sobą. Może próbuję uciec i schować się. Może oszalałam.

Czyżbym oszalała?

Moja deska skierowana jest w dół wzgórza, a ja jadę z najszybszą prędkością, z jaką czuję się bezpiecznie, ale nagle stok staje się bardziej stromy, a ja przyspieszam. Ścisła mnie w dołku, napręża się każdy mięsień mojego ciała. Mike wyczuwa moją panikę i mocno ciągnie za linę, więc zamiast upaść na łeb na szyję, delikatnie hamuję i zatrzymuję się.

- Wszystko w porządku? - woła za mną Mike.

¹¹ Shaun White - amerykański profesjonalny snowboardzista i skateboardzista, dwukrotny złoty medalista Zimowych Igrzysk Olimpijskich.

- Tak. Dziękuję.

Szkoda, że nie może w taki sam sposób zatrzymać myśli, które wymknęły mi się spod kontroli. Jedziemy dalej.

Nie chcę wracać do Berkley. Musi być jakiś inny sposób. Inna opcja na życie. Wiem o tym, tak jak wiem, że śnieg jest biały. Ale jaka? Gdzie? Czy uda się tu żyć pełnią życia? To wydaje się niemożliwe.

Przerzucam ciężar ciała na palce. Ku własnemu zaskoczeniu udaje mi się utrzymać w pionie. Rozkładałam punkt ciężkości na biodra i zjeżdżam dalej. Udało mi się czysto skręcić w lewo. Nie ma rzeczy niemożliwych.

Może, ale czy ufam bardziej intuicji czy Bobowi? Czy wrócę do starego życia, czy rozpocznę nowe? Czy oszalałam, sądząc, że mogę jeszcze odzyskać stare życie? Czy oszalałam, bo chcę czegoś innego? Nie wiem, co mam robić. Potrzebuję jakiegoś znaku. Boże, proszę, daj mi jakiś znak.

Kończymy ostatni zjazd tego popołudnia, a moje myśli wciąż krążą wokół kwestii zwątpienia i obaw, nie potrafiąc znaleźć wyjścia z sytuacji. Na podłodze umysłu, gdzieś za moimi oczami, utworzył się nieporządny, poplątany stos obaw, przyprawiający mnie o ból głowy. Po raz pierwszy od chwili, gdy zaczęłam jeździć na desce, cieszę się, że to koniec na ten dzień. Mike i ja wracamy do siedziby ZSNNA, gdzie muszę zostawić sprzęt i odebrać swoją babciną laskę.

Siedzę na drewnianej ławie i zdejmuję kask. Znajduję swoje buty i laskę.

- Byłaś dzisiaj jakaś nieuważna - mówi Mike.

- Tak.

- Nie ma sprawy. W niektóre dni będziesz czuła się odważniej niż w inne. Tak jak każdy.

- Jasne.

- W niektóre dni dostrzeżesz duże postępy, a w inne nie.

Potakuję.

- Nie zniechęcaj się, dobrze? Przyjdziesz jutro?

- Z samego rana.

- Dobra dziewczynka! Zapomniałbym, mam te materiały dla twojej koleżanki. Są na biurku. Poczekasz chwilę? - pyta Mike.

- Oczywiście.

Zaproponowałam, że opowiem o ZSNNA Heidi, żeby mogła poinformować pacjentów o istnieniu tego związku. Nie mam żadnych danych naukowych ani klinicznych na poparcie

tej tezy, ale sędę, że snowboard jest najbardziej skutecznym rodzajem terapii, jakiego sama doświadczyłam. Zmusza mnie do skupienia się na moich umiejętnościach, a nie na niepełnosprawności, do przewycięzania przeciwności i fizycznych, i psychologicznych, do pozostania na desce i zjazdu z góry w jednym kawałku. Za każdym razem, kiedy zjeżdżam na dół w jednym kawałku, zdobywam prawdziwą wiarę w siebie i poczucie niezależności, których nie odczuwałam od czasu wypadku, a także dobre samopoczucie, które zostaje ze mną długo po weekendzie. I nawet jeśli uprawianie snowboardu w ZSNNA nie ma większego wpływu na terapię ludzi takich jak ja, to bez cienia wątpliwości jest zabawniejsze, niż rysowanie kotków i zbieranie czerwonych piłek z tacy.

Mike wraca z plikiem folderów w ręce.

- Przepraszam, że tak długo. Akurat zadzwonił telefon. Nasz dyrektor od spraw rozwoju, przeprowadza się do Colorado i mamy niemożliwy problem ze znalezieniem kogoś na jego stanowisko. Szkoda, że nie mieszkasz w pobliżu. Nadawałabyś się doskonale.

Zaklinałam gwiazdy, odpukiwałam w niemalowane, trzymałam kciuki i modliłam się do Boga o sporo rzeczy w życiu, ale nigdy wcześniej nie dostałam bardziej oczywistej i bezpośredniej odpowiedzi. Może to tylko ślepy traf. Może Mike Green jest aniołem na ziemi. Może Bóg rzuca kość dla biednego Goofiego. Ale jest! Jest znak.

- Mike, ze wszystkich ludzi na świecie, ty powinieneś wiedzieć najlepiej - mówię. - Nie ma rzeczy niemożliwych.

ROZDZIAŁ 35

W Vermont nie ma Mangii - mówi Bob. Ja nic nie odpowiadam. Wszyscy jedziemy samochodem Boba do Mangii, mojej ulubionej rodzinnej restauracji w Welmont. Ale nie jestem skłonna przyznać Welmont dodatkowych punktów za Mangię. W Vermont jest także sporo porządnych restauracji.

Normalnie nie widzę Boba, kiedy siedzi za kierownicą, ale z jakiegoś powodu moje pole widzenia się rozszerzyło i dostrzegam kawałek jego profilu, wystarczająco dużo, żeby zauważyć, że kciukiem uderza w ekran telefonu.

- Przestań! - krzyczę.

Wciska hamulec. Pas wbija mi się w klatkę piersiową, kiedy szarpie mną do przodu. Mamy szczęście, że nikt w nas nie uderzył od tyłu, ponieważ poruszamy się po zatłoczonej drodze.

- Nie, nie zatrzymuj się. Chodzi o telefon. Odłóż go - mówię.

- O rany! Saro, przestraszyłaś mnie. Myślałem, że coś się stało. Muszę tylko wykonać jeden krótki telefon.

- Niczego nie nauczył cię mój wypadek?

- Saro - mówi, a jego głos brzmi tak, jakby chciał powiedzieć „nie dramatyzuj”, „nie bądź śmieszna”.

- Chcesz skończyć tak, jak ja?

- Nie wiem jak mam odpowiedzieć na to pytanie - mówi.

- Zatem ja odpowiem za ciebie. Nie. Nie chcesz skończyć tak, jak ja. I nie chcesz też nikogo zabić, prawda?

- Przestań, nie strasz dzieci.

- Odłóż telefon. Koniec z dzwonieniem w samochodzie, Bob. Mówię poważnie. Żadnych telefonów.

- To tylko szybka rozmowa. Muszę złapać Steve'a.

- Żadnych telefonów! Żadnych telefonów! - skandują Charlie i Lucy z tylnej kanapy, ciesząc się, że mają okazję porozkazywać tacie.

- Zajmie mi to tylko dwie sekundy. Już bym skończył.

- Za dziesięć minut będziemy w Mangii. Chyba możesz poczekać te dziesięć minut? Czy Steve i wielki ważny świat mogą na ciebie poczekać te dziesięć minut?

- Tak - mówi w taki sposób, że widzę, że próbuje ukryć wrzącą w nim złość. - Ale

wtedy będziemy w restauracji, a teraz nic innego nie robię.

- PROWADZISZ samochód!

Ja również kiedyś wykorzystywałam poranne i wieczorne dojazdy na wykonywanie telefonów (a nawet wysyłałam sms-y i emaile podczas przerw w jeździe). Teraz już nigdy nie będę korzystała z komórki w samochodzie (zakładając, że jeszcze kiedyś będę prowadzić). Żadnych Telefonów w Samochodzie to najważniejsza nauzka, jaką dostałam w następstwie tamtego zdarzenia.

- Czy to mało? - pytam. - Możemy ze sobą porozmawiać. Porozmawiajmy miło przez dziesięć minut, a potem my pójdziemy sobie do restauracji, ty zaparkujesz i zadzwonisz do Steve'a, a my będziemy na ciebie czekać.

- Zgoda.

- Dziękuję.

Bob prowadzi, ale się nie odzywa. Dzieci przestały skandować. Cała nasza szóstka siedzi w samochodzie, jest czerwone światło, nikt się nie odzywa, nie gra ani radio, ani DVD, a cisza staje się nie do wytrzymania. Nic do niego nie dotarło, co najpierw sprawia, że zaczynam się martwić, ale jego milczenie działa jak katalizator i szybko zmieniam nastawienie od smutku do złości. Kiedy czekamy na kolejnym świetle, a on wciąż się nie odzywa, przestaję się złościć na to, że nie dociera do niego, dlaczego nie chcę, żeby korzystał z telefonu w samochodzie i zaczynam się złościć na to, że nie dociera do niego, dlaczego nie chcę wrócić do Berkley i dlaczego chcę zamieszkać w Vermont. Zwalniamy, ponieważ auto przed nami skręca w prawo, a ja nie mogę uwierzyć, że on niczego nie rozumie.

- O czym chcesz rozmawiać? - Bob wreszcie pyta, chociaż do Mangii pozostało zaledwie kilka przecznic.

- O niczym.

ROZDZIAŁ 36

Mama i ja zabijamy czas z Linusem w sklepie z zabawkami w Welmont, podczas gdy Lucy ma lekcje tańca na tej samej ulicy, a Charlie trening koszykówki w domu kultury po drugiej stronie miasta. Linus, wypuszczony ze spacerówki, ma tu jak w niebie, ponieważ może bawić się przy makiecie z kolejkami, łączyć i rozłączać wagoniki, popychać je po torach, przejeżdżać przez tunele i po mostach. Mógłby to robić cały dzień, ale mamy tylko około dwudziestu minut do końca lekcji tańca, a mama i ja już wiemy jak będzie wyglądała akcja Wychodzenie ze Sklepu z Zabawkami.

Ja mu powiem radosnym, zwiastującym mnóstwo zabawy tonem, że już czas na nas. On, nawet przez chwilę nie da się na to nabrać i natychmiast zacznie łapać tyle pociągów, ile tylko mu się zmieści w rękach, w celu wyniesienia ich ze sklepu. Mama i ja będziemy następnie wyjaśniać temu rocznemu dziecku, niezdolnemu do racjonalnego myślenia, że pociągi są własnością sklepu i tu muszą zostać. W dalszej kolejności on rzuci się na podłogę w próbie przeciwstawienia się naszemu zamiarowi wyjścia stąd, a my będziemy musiały wyszarpywać mu pociągi i wynieść ze sklepu, podczas gdy on, całkowicie będzie odmawiał współpracy i zacznie wrzeszczeć, prężyć się i wyginać. To będzie okropne. Ale na razie jest rozkosznym i kochaniutkim chłopczykiem, pogrążonym w zabawie.

- Patrz na to - mówi moja mama, pokazując mi strojną, falbaniastą sukienkę, jak dla księżniczki.

- Podobałaby się jej, ale nie potrzebuje takiej.

Lucy ma cały kufer wypchany podobnymi kostiumami.

- Wiem, ale świetnie by w niej wyglądała.

Stoję przed półką z gramami video i szukam takiej o nazwie „Jeździmy na nartach i snowboardzie”, ale nigdzie jej nie widzę. Mogłabym zamówić przez Internet, ale tak naprawdę sama chciałabym mieć tę grę i miałam nadzieję, że pogramy w nią dziś po południu.

- Mamo, pomożesz mi znaleźć grę o snowboardzie? Zanim się poddam, chcę mieć pewność, że nie schowała się gdzieś z lewej strony. Podchodzi do mnie i staje obok, podpira się rękami pod boki, schyla i przegląda tytuły z góry do dołu.

- Czego szukamy? - pyta.

- „Jeździmy na nartach i snowboardzie”,

- Nie widzę - mówi. - Powinnyśmy już iść. Muszę jeszcze wykupić receptę w aptece.

Apteka jest oddalona o trzy przecznice.

- To idź, poczekamy tu na ciebie - mówię, z jednej strony chcąc dać Linusowi więcej czasu na zabawę pociągami, które tak kocha, z drugiej pragnąc oszczędzić sobie drogi.

- Jesteś pewna? - pyta.

- Tak, nic się nie stanie.

- Dobrze. Zaraz wracam.

Nie widząc żadnej gry, którą chcą dzieci ani takiej, której jeszcze nie mamy i uświadamiając sobie, że na pewno nie potrzebujemy żadnej nowej, idę bliżej stołu z pociągami. Tam grzebię wśród klasycznych gier planszowych, które pamiętam jeszcze z dzieciństwa. Są tu Kraina Cukierków, Drabiny i Węże, Chińczyk i wiele innych, o których nawet nigdy nie słyszałam. Przechodzę obok gier i zatrzymuję się obok półki z produktami firmy Alex - farbami, modeliną, klejami, kordonkami, pacynkami, koralikami, origami - gdybym była dzieckiem, oszalałabym przy tym stoisku. Lucy uwielbia prace ręczne, ale gdyby tu była. znalazłaby się dokładnie w miejscu, w którym zatrzymała się moja mama, zapewne zachwycając się tą samą sukienką, którą mama mi pokazywała.

Odwracam się i patrzę na stół z pociągami. Nie ma Linusa. Prawdopodobnie stoi gdzieś z lewej strony. Patrz w lewo, przyjrzyj się lewej, idź w lewo. Nie ma Linusa.

- Linus?

Obchodzę stół dookoła. Nie ma go tutaj.

- Linus, gdzie jesteś? Linus?

Słyszę strach w swoim głosie, co jeszcze bardziej mnie przeraża. Stawiam laskę, robię krok, podchodzę do nastolatki siedzącej przy kasie.

- Widziałas może rocznego chłopczyka? - pytam.

- Tak, jest przy makiecie z pociągami.

- Już go tam nie ma. Nie mogę go znaleźć. Pomożesz mi?

Nie czekam na jej odpowiedź. Odwracam się i zaczynam rozglądać się po sklepie.

- Linus!

Gdzie on może być? Sklep jest niewielki, oryginalny, z otwartą przestrzenią, a większość zabawek wystawiono na półkach, stojących przy ścianach. Nie ma tu długich rzędów regałów, ani zabawek poustawianych aż do sufitu. To nie Toys R Us. Nawet jeśli się chowa, powinnam go dostrzec. Szukam pod kostiumami na bal przebierańców, za kukiełkami, za samochodami i ciężarówkami, które dla Linusa są następne po pociągach. Patrz w lewo, obserwuj lewą, idź w lewo. Nigdzie go nie ma.

- Proszę pani, nie ma go w sklepie - mówi nastolatka.

O Boże.

Tak szybko jak potrafię, idę do wyjścia. Kiedy otwieram drzwi, słyszę przymocowany do nich dzwonek. Drzwi są za ciężkie i nie mógłby ich sam otworzyć. Wcześniej w sklepie były jakieś nastolatki. Musiał wyjść za nimi. Pamiętam, że słyszałam dzwonek. Jakiś czas temu. O Boże. Lustruję chodnik. Wszędzie są grupki przechodniów. Patrzę pomiędzy ich nogami. Nie widzę go.

- Linus!

Odwracam się i wypatruję go z drugiej strony. Nie widzę. O mój Boże. Ruszam przed siebie, modląc się, żebym szła w dobrą stronę i nienawidząc siebie za to, że nie mogę pobiec.

- Linus!

Zakładając, że nie został porwany (Boże, proszę), to dokąd mógłby pójść? Najbardziej na świecie lubi pociągi, samochody i ciężarówki, szczególnie te mocno hałasujące.

Te, które się poruszają. Czas, dźwięk i życie wydają się rozplýwać i zaginać wokół mnie, kiedy zatrzymuję się, żeby rozejrzeć się po głównej ulicy miasta. Późne popołudnie to czas, kiedy na ulicach pełno jest zmęczonych kierowców, kierowców rozmawiających przez komórki, kierowców, którzy nie spodziewają się rocznego dziecka, spacerującego po ulicy. Stoję przy krawężniku i gapię się na ulicę, wyobrażając sobie niewyobrażalne, jakbym przymarzła do tego miejsca. Każdy cal mojego ciała przymarzł do tego miejsca - moja lewa strona, prawa strona, serce, płuca, nawet krew - tak jakby każda ruchoma, żywa część mnie zamarła, żeby być świadkiem tego, co ma się stać, jakby ich istnienie zostało poddane próbie. Nigdzie go nie widzę. Zginął. Nie mogę oddychać.

- Saro!

Patrzę i patrzę. Nie widzę go. Zawęża mi się pole widzenia. Szczegóły i kolory rozplýwają się. Płuca zmieniają się w kamień. Duszę się.

- Saro!

Mózg rejestruje głos mojej mamy. Patrzę na drugą stronę rozmazanej ulicy i na chodnik, ale jej też nie widzę.

- Saro!

Głos jest teraz głośniejszy i dochodzi z lewej strony. Odwracam się i widzę jak biegnie w moim kierunku, trzymając Linusa na rękach. Powietrze i życie wracają do mnie.

- Linus!

Dociera do mnie, zanim udaje mi się ruszyć.

- Wysłałam z apteki i przypadkiem spojrzałam w drugą stronę. Właśnie wchodził na ulicę - mówi. Oddech ma niespokojny i drży jej głos.

- O Boże.

- Co się stało?

- Nie wiem. W jednej chwili tam był, w następnej...

Zasycha mi w gardle. Nie umiem tego powiedzieć.

Nie umiem o tym mówić, nawet jeśli jest to tylko coś, co mogło się zdarzyć, ale na szczęście się nie zdarzyło. Wybucham płaczem.

- Chodź tutaj, usiądź - mówi i prowadzi mnie do ławki przed sklepem z serami.

Siadamy i mama podaje mi Linusa. Trzymam go mocno, całuję raz za razem i płaczę. Mama sapie, ma oczy wielkie jak spodki i patrzy na ulicę, ale nie wygląda jakby docierało do niej coś poza sceną, którą odtwarza w głowie. Przetacza się przed nami wielka ciężarówka.

- Ciężarówka! Ciężarówka! - mówi zachwycony Linus.

Ściskam go jeszcze mocniej. Mama otrząsa się z transu i sprawdza godzinę na zegarku.

- Musimy iść po Lucy - mówi.

- Dobrze - odpowiadam, ocierając łzy. - Jego wózek został w sklepie.

Zanim podam go mamie, patrzę jeszcze raz na mojego ślicznego synka. Nic mu się nie stało i jest zupełnie nieświadomy tego, co mogło się stać. Całuję go w szyjkę i ponownie przytulam. Mój wzrok pada na jego rączki.

- Musimy oddać te pociągi.

Tego samego dnia wieczorem, wciąż czując się nieswojo, wychodzę z łóżka, zakradam się do pokoju Linusa i przyglądam mu się jak śpi w łóżeczku. Leży na plecach, ubrany w niebieską piżamę ze stopkami i trzyma jedną rączkę nad głową. Słucham jego głębokiego oddechu. Nawet po upływie lat od okresu niemowlęcego, moje matczyne uszy odczuwają ulgę, słysząc spokojny oddech śpiących dzieci. W buzi ma pomarańczowy smoczek, miękki rożek ulubionego koca dotyka jego policzka, a Króliczek leży w poprzek jego brzucha. Z każdej strony jest otoczony najbardziej wymyślnym sprzętem, zapewniającym bezpieczeństwo, a mimo to, żaden z nich nie ochronił go przed tym, co mogło się dziś zdarzyć.

Boże, dziękuję, że nic mu się nie stało. Wyobrażam sobie co mogło się dziś stać, a potem wyobrażam sobie, że stoję tu i widzę puste łóżeczko. Ta wizja pozbawia mnie tchu, ledwie udaje mi się ustać na nogach. *Boże, dziękuję, że nic mu się nie stało.* Mimo tego, że wierzę, iż ze względu na dobre maniery i przyszłe układy wypada podziękować Bogu, to tym razem wiem, że powinnam dziękować komuś innemu.

Wychodzę z pokoju Linusa tak cicho, jak to możliwe i schodzę na dół, przechodzę

przez salon i kieruję się do przeszklonego pokoju. Mam już pukać, kiedy wydaje mi się, że słyszę jedno z dzieci. O, nie, chyba obudziłam Linusa. Ale po sekundzie nasłuchiwania dociera do mnie, że ten dźwięk dochodzi zza rozsuwanych drzwi.

- Mamo? - pytam i wchodzę bez pozwolenia.

Leży na łóżku, zwinięta pod kołdrą, przysypana stosem zużytych białych chusteczek. Płacze.

- Co się stało? - pytam.

Odwraca się w moją stronę, z pudełka wyjmuje czystą chusteczkę i przyciska ją do oczu.

- Och, jestem dzisiaj taka roztrzęsiona.

- Ja też - mówię.

Podchodzę bliżej i siadam na brzegu łóżka.

- Serce by mi pękło, gdyby coś mu się stało - mówi.

- Moje też.

- Nie wiesz, Saro, i mam nadzieję, że nigdy nie dowiesz się, jak to jest.

Dociera do mnie, że dzisiejsze zdarzenie obudziło wspomnienia.

- Nie powinnam była zostawiać was w sklepie z zabawkami - mówi.

- Nie, to ja powinnam była go pilnować.

- Powinnam była zostać.

- Byłaś tam, gdzie trzeba. Ty go znalazłaś. Nic mu się nie stało.

- A gdybym go nie zobaczyła? Cały czas myślę o tym, co mogło się stać.

- Ja też,

- Powinnam była zostać.

Zaczyna szlochać.

- Już dobrze, mamo. Nic mu nie jest. Byłam u niego. Śpi i śni o pociągach. Nikomu nic się nie stało.

- Przepraszam, że nie było mnie przy tobie.

- Byłaś.

- Przy tobie. Przez te lata. Przepraszam.

Wyjmuję z pudełka ostatnią chusteczkę i, wciąż płacząc, dmucha w nią nos. Nie ma dosyć chusteczek na smutek, z którym musi żyć. Prawą ręką obejmuję ją za szyję i przytulam ją do siebie.

- W porządku, mamo. Przebaczam ci. Teraz jesteś ze mną. Dziękuję ci, że tu jesteś.

Trzymam ją w objęciach, aż się rozluźnia. Kiedy się wreszcie uspokaja, kładę się koło

niej i zasypiam.

ROZDZIAŁ 37

Heidi otwiera butelkę wina, którą dostałam od niej ostatniego dnia pobytu w Baldwin i nalewa nam do kieliszków. Następnie bierze oba kieliszki, a ja „biorę” moją babciną laskę. Czuję, że obserwuje jak się poruszam w drodze z kuchni do salonu.

- O wiele lepiej chodzisz - mówi. - Płynniej i nie ciągniesz tak nogą.

- Dzięki - mówię, zaskoczona tym komplementem.

Teraz, cztery i pół miesiąca po wypadku, wiele rzeczy odzyskało płynność i przestało się ciągnąć - znajdowanie jedzenia z lewej strony talerza, wkładanie lewej ręki do rękawa koszuli, pisanie na klawiaturze, czytanie. Ale poprawa nie nastąpiła z dnia na dzień. Robię postępy powoli, małymi krokami, nieśmiało i zniechęca i dopiero po kilku tygodniach lub miesiącach, a nie dniach, można dostrzec spektakularne zmiany. Na przykład ja nie zauważyłam, żeby mój chód się poprawił od czasów Baldwin. Miło mi to słyszeć.

Siadamy na kanapie i Heidi podaje mi wino.

- Za twój powrót do zdrowia - mówi, podnosząc kieliszek.- Z chęcią za to wypiję - podnoszę swój kieliszek i czekam aż Heidi stuknie w niego swoim (ja bym pewnie nie trafiła i poląła ją winem z góry na dół).

Kieliszki się zderzają i pijemy za mój powrót do zdrowia. Chyba jest jedynym pracownikiem służby zdrowia, który jeszcze w to wierzy i otwarcie przyznaje się do tego. Wszyscy pozostali nie wypowiadają się na ten temat, unikają mówienia o rokowaniach lub mówią „może”, a następnie „może” otaczają całą listą „ale” oraz zastrzeżeń i zwrotem „*Nie chcę pani robić nadziei*”.

Dużym problemem jest wyparcie. Nikt nie chce, żebym żyła w przekonaniu, że mogę jeszcze wyzdrowieć, skoro wiele wskazuje na to, że tak się nie stanie. Broń Boże. Ale może Heidi nie mówi o moim powrocie do zdrowia z punktu widzenia terapeuty zajęciowego. Może wierzy w tę możliwość, jako moja przyjaciółka. Kiedy idzie o zespół pomijania stronnego, wolę wierzyć przyjaciółce, niż ostrożnym prognozom fizjoterapeutów.

- Co słyhać w Baldwin? - pytam.

- Stara bieda. Mamy nową kobietę z zespołem pomijania stronnego. Ma sześćdziesiąt dwa lata, przeszła wylew. Jej przypadek jest gorszy od twojego, poza tym ma inne deficyty. Jest u nas od trzech tygodni i wciąż jest całkowicie nieświadoma swojej choroby, myśli, że wszystko z nią w porządku. Jej rehabilitacja będzie wielkim wyzwaniem.

Przypominają mi się dni spędzone w Baldwin, kiedy to ja byłam nowym przypadkiem

zespołu pomijania. Z jednej strony wydaje mi się, że było to milion lat temu, z drugiej, że zaledwie wczoraj. Prawie nic nie wiem o tej kobiecie w szpitalu, ale czuję się z nią związana, tak jak z ludźmi pochodzącymi z Middlebury, czy absolwentami Harvardzkiej Szkoły Biznesu, albo z tymi mieszkającymi w Welmont. Nieważne jak się różnimy, mamy podobne doświadczenia życiowe.

Zdarza się, że czasami zapominam, że mam zespół pomijania stronnego, ale nie dlatego, że jestem nieświadoma braku lewej strony, tak jak byłam na początku. Wiem, jakie mam ograniczenia. Zatem nie próbuję chodzić bez laski zakładając, że lewa noga będzie mnie słuchała. Wiem, że potrzebuję pomocy przy ubieraniu, więc nie wyrywam się sama, żeby potem nie wyjść z domu w koszuli założonej tylko na jedną rękę i z lewą nogawką spodni ciągnącą się po ziemi. Nie korzystam z kuchenki, ponieważ wiem, że to niebezpieczne (nie żebym używała jej często przed wypadkiem). Wiem, że cały czas muszę sobie przypominać, że lewa strona istnieje, że ja mam lewą stronę, że mam patrzeć w lewo, przyglądać się lewej i iść w lewo, a nawet kiedy tak robię, wciąż istnieje szansa, że rejestruję tylko to, co widzę po prawej.

Ale kiedy nie chodzę, nie czytam i nie szukam marchewki na talerzu, kiedy odpoczywam w przeszklonym pokoju, rozmawiam z dziećmi czy popijam na kanapie wino z przyjaciółką, czuję się zupełnie zdrowa. Nie czuję, że coś mi dolega. Nie jestem kobietą z zespołem pomijania stronnego. Jestem Sarą Nickerson.

- Co u Marthy? - pytam.
- Och, bardzo za tobą tęskni - mówi ze śmiechem.
- Wyobrażam sobie.
- Cieszę się, że wreszcie udało nam się spotkać - mówi.
- Ja też.

Heidi dzwoniła do mnie co najmniej raz w tygodniu, odkąd wróciłam z Baldwin. Wiele razy również wpadała na chwilę, zazwyczaj podrzucając Charliego po treningach koszykówki. Ale ze względu na jej grafik w pracy i moje wypady do Vermont w każdy weekend i w ferie zimowe, wcześniej niż pod koniec marca nie znalazłyśmy czasu na spotkanie i wypicie wina.

- Macie śliczny dom - mówi, rozglądając się wokół.
- Dziękuję.
- Nie wierzę, że możecie się stąd wyprowadzić.
- Wiem. Jeśli się tak stanie, będzie to dla nas wielka zmiana.
- Opowiedz mi o tej pracy.

- Chodzi o dyrektora rozwoju Związku Sportowców Niepełnosprawnych Nowej Anglii. Byłabym odpowiedzialna za rozwój strategii pozyskiwania funduszy, czyli pozyskiwanie sponsorów, darczyńców, pisanie programów marketingowych, szukanie grantów. Pracowałabym dwadzieścia godzin w tygodniu, z czego co najmniej połowę mogłabym robić w domu.

- Idealna praca dla ciebie.

- Dokładnie. Przydadzą mi się wszystkie umiejętności nabyte w Szkole Biznesu i w Berkley. Mogłabym wykonywać ją z pasją, bo moja niepełnosprawność wzbogaca mnie o empatię i doświadczenie, jako że sama skorzystałam z ZSNNA. Pomogłabym w rozwoju organizacji, którą sama uważam za bardzo ważną. Poza tym, te fantastyczne godziny pracy...

- A Bob? On też zatrudni się w ZSNNA? - pyta.

- Nie, nie. Ta organizacja opiera się głównie na wolontariuszach. A on i tak wolałby robić coś innego.

Heidi spogląda na zegarek. Mój stary zegarek. Ładnie na niej wygląda.

- Gdzie jest Bob? - pyta, uświadamiając sobie jak jest już późno.

Dzieci i moja mama są już w łóżkach.

- Ciągle w pracy.

- Wow, pracuje do nocy.

- Tak.

Nie rozwijam tematu. Nie ma nic niezwykłego w tym, że Bob pracuje do nocy, czasami musiał zostawać dłużej nawet przez miesiąc, ale teraz zaczął znikać na całe dni w momencie, kiedy odrzuciłam ofertę Berkley, co nie wydaje mi się zwykłym zbiegiem okoliczności. Możliwe, że zostaje po godzinach, żeby mieć pewność, że jako jedyny żywiciel rodziny, nie zostanie zwolniony, albo może jest pod wielką presją i pragnie pomóc swojej tonącej firmie przetrwać kolejny dzień, ale sądzę, że po prostu próbuje unikać mnie i rozmowy o ofercie pracy w Vermont.

- Kiedy musielibyście się przeprowadzić?

- Cóż, ZSNNA chce mieć odpowiedź tak szybko jak to możliwe, ale pracę zaczęłabym dopiero jesienią. Zatem mamy czas.

- Jakiej odpowiedzi im udzielisz?

- Chcę przyjąć tę ofertę, ale nie mogę, dopóki Bob nie zdobędzie pewności, że znajdzie tam coś dla siebie. Zobaczymy. Jeśli nie uda się u nich, to jestem pewna, że znajdę tam dla siebie jakąś inną pracę - mówię, chociaż w ogóle nie jestem tego pewna.

- A co z twoją mamą? Pojedzie z wami?

- Na lato wraca na Cape, ale wróci do nas po Święcie Pracy¹².

- Jak jej się podoba pomysł zamieszkania w Vermont?

- Ona uwielbia tam być. Bardziej niż tutaj.

- Kto będzie ci pomagał latem?

- Jeśli będziemy w Vermont, siostrzenica Mike'a Greena wraca na wakacje z college'u i będzie szukała jakiejś dorywczej pracy. Przez wiele lat była nianią i uczy się w szkole dla pielęgniarek, więc Mike sądzi, że świetnie sobie poradzi ze mną i z dziećmi. Jeśli zostaniemy tutaj, to w maju Abby wróci z Nowego Jorku i powiedziała, że może być naszą nianią w czasie wakacji.

- Wygląda na to, że poza Bobem, wszystko masz już zapięte na ostatni guzik.

- Dokładnie.

Wszystko oprócz Boba.

¹² Święto Pracy obchodzone jest w USA w pierwszy poniedziałek września.

ROZDZIAŁ 38

Jest ostatni weekend marca. Większa część kraju cieszy się już pierwszymi oznakami wiosny, ale w Cortland obchodzimy właśnie coroczny Festiwal Wiecznej Zimy. Bob, Charlie, Lucy i ja zjedliśmy właśnie obiad w głównej bazie sportów zimowych, po spędzeniu całego poranka na stoku. Moja mama i Linus spędzili rano na festiwalu, Bob i dzieci też się tam wybierają, a ja czuję się trochę zmęczona. Postanawiamy, że Bob podwiezie mnie do domu na drzemkę i pojedzie tam z dziećmi beze mnie.

Festiwal trwa cały weekend i jest ważnym rodzinnym świętem dla całego Vermont. Organizowane są konkursy na najładniejszego bałwana, ogniska, sprzedaje się gorące kakao i lody, jeździ na łyżwach po jeziorze, odbywają się wyścigi przełajowe na nartach, gra muzyka na żywo. Wszyscy lokalni rzemieślnicy sprzedają swoje towary na rynku festiwalowym - syrop klonowy, karmelki, dżemy, sery, kołdry, obrazy i rzeźby. Jesteśmy w samochodzie i czytam na głos broszurę festiwalową, żeby nakręcić trochę dzieci.

- Ooo, będą dziś wyścigi psów zaprzęgowych! - Może mógłbym zostać zawodowym poganiaczem psów - mówi Bob.

- Tak! - krzyczą Charlie i Lucy.

- I zawody w łowieniu ryb pod lodem - mówię, starając się trzymać tematu festiwalu.

- Mógłbym być rybakiem łowiącym spod lodu - mówi Bob.

- Tak! - Charlie i Lucy kibicują tacie.

- Bob - upominam go.

- Albo mógłbym hodować krowy na podwórku i robić lody!

- Tak! - krzyczą i chichoczą.

Ja też się śmieję, ale tylko dlatego, że zaczynam sobie wyobrażać Boba z podwiniętymi rękawami koszuli, kiedy próbuje wydoić krowę.

- Mógłbym jeszcze mieć własną ciężarówkę z lodami i zostać obwoźnym sprzedawcą lodów!

- Tak! - wrzeszcza.

- Zrób tak, tatusiu - mówi Lucy.

- Tak, zostań lodziarzem - namawia Charlie.

- Przegłosowane, skarbie. Jestem nowym lodziarzem w Vermont. Będę potrzebował białej ciężarówki i czapki.

Znowu wybucham śmiechem, wyobrażając sobie Boba w czapce. Dodałam mu jeszcze

czerwone szelki.

Dobrze jest poartować na ten temat. Nasze rozmowy o pracy Boba oraz o Welmont kontra Cortland, są napięte i stresujące i - jak dotąd - nie przyniosły żadnego rozwiązania. Przynajmniej jest otwarty na nowy pomysł i aktywnie poszukuje pracy w Vermont. Ale jest wybredny. Skoro nie udało mu się znaleźć wystarczająco dobrej oferty w Bostonie, to mam coraz mniej nadziei, że któregoś dnia uda mu się znaleźć coś tutaj.

Zajeżdżamy pod nasz dom i Bob pomaga mi wysiąść z samochodu, ale nie wyłącza silnika.

- Dasz sobie radę stąd? - pyta, podając mi laskę.

- Tak, jasne. Przywieziecie mi trochę karmelków?

- Nie ma sprawy. Poczekam przed domem, aż wejdiesz do środka.

Idę po zwirowej ścieżce, prowadzącej pod drzwi wejściowe. Puszczam laskę, przekręcam klamkę i popycham drzwi. Następnie odwracam się i macham im na do widzenia, a Bob wyjeżdża z podwórka. Coraz lepiej mi idzie i coraz pewniej się czuję, stojąc bez podparcia o laskę czy jakiś uchwyt i jestem podekscytowana, kiedy udaje mi się ustać kilka sekund na własnych obu stopach.

Wchodząc na ganek słyszę jakiś wysoki dźwięk, jakby gwizdanie. Brzmi jak gwizdek jednego z pociągów na baterie, należących do Linusa, ale on teraz powinien spać, jak zawsze po południu. Lepiej żeby nie bawił się teraz pociągami.

- Mamo? - wołam, ale nie za głośno, w razie gdyby jednak spał, tak jak powinien.

Wchodzę do salonu. Mama śpi na kanapie. Linus musi być na górze w łóżeczku. Dobrze. Ale tutaj lepiej słyszeć gwizdanie. Słyszeć je nieprzerwanie. Może zaciął się przycisk w którymś z elektronicznych pociągów. Rozglądam się po pokoju w poszukiwaniu pociągu, ale żadnego nie widzę. Pokój jest wysprząpany, a zabawki Linusa odłożone na miejsce. Sprawdzam telewizor. Jest wyłączony.

Podpierając się na lasce, podchodzę do pudełka z zabawkami i nasłuchuję. Gwizdanie nie dobiega spośród zabawek. Nadstawiam ucha, starając się zlokalizować ten dźwięk. Nie mogę się rozeznać. Jestem bardziej ciekawa co to do licha może być, niż zmartwiona. Nie jest głośny i nie przeszkadza w śnie Linusowi ani mojej mamie i jestem pewna, że nie usłyszałabym go z sypialni. Ale co to może być?

Stawiam laskę, robię krok, przesuwam się w stronę kuchni i nasłuchuję. Ten dźwięk z całą pewnością dochodzi właśnie stamtąd. Otwieram i zamykam lodówkę. Nie, nie tutaj. Lustruję podłogę, stół i blat kredensu pod kątem pociągów Linusa. Wszędzie jest czysto. Żadnych pociągów. Żadnych elektronicznych zabawek. Żadnych komórek. Żadnych iPodów.

Patrzę na kuchenkę. Nic na niej nie stoi. Nagle przypominam sobie, że muszę spojrzeć w lewo i dostrzegam czajnik na rozpalonym do czerwoności palniku, z dzióbka bucha para. Jeszcze raz patrzę na blat, tym razem pamiętając o tym, że mam patrzeć w lewo i zauważam pusty kubek mojej mamy, z boku którego zwisa sznureczek od torebki herbaty.

Ze strachu ściska mi się w żołądku, wilgotnieją dłonie. Przekręcam gałkę kuchenki i przestawiam czajnik na inny palnik. Gwizdanie się urywa.

Wracam do pokoju. Nasłuchuję. Jest zupełnie cicho. Siadam na skraju kanapy obok mamy i jeszcze zanim chwytam jej rękę, wiem, że nie śpi.

ROZDZIAŁ 39

Sprzedaliśmy dom w Welmont i w czerwcu, po zakończeniu roku szkolnego, przeprowadziliśmy się do Cortland. Bob wziął urlop na lato, Charlie i Lucy spędzali pół dnia na obozie dla dzieci, a popołudniami cała nasza trójka bawiła się na podwórku i pływała w jeziorze Willoughby. Ja nauczyłam się pływać kajakiem na tym samym jeziorze, korzystając z letniego programu ZSNNA. Mimo tego, że moja mama planowała spędzić lato u siebie na Cape Cod i tak czułam się dziwnie, nie mając jej w pobliżu. Cały czas wydawało mi się, że wejdzie do domu, że przyniesie mi najnowszy numer People, że usłyszę jej śmiech. Cały czas tak mi się wydaje. Wyobrażałam sobie, że będziemy do niej jeździć latem z dziećmi i Bobem. Wyobrażałam sobie, że będziemy z nią chodzić na plażę, zajadać się świeżymi pomidorami z jej ogrodu, spotykać jej przyjaciółki z Czerwonych Kapeluszy. A kiedy nie byłibyśmy razem na Cape, to wyobrażałam sobie, że będziemy rozmawiać na Skype.

Teraz jest początek listopada, opadła większość liści z drzew, skończył się sezon rowerowy, ale pozostał jeszcze co najmniej miesiąc do chwili, gdy w górach spadnie śnieg. To spokojny miesiąc w mieście, które cały rok wygląda jak pogrążone w śpiączce, ale mnie to nie przeszkadza. Siedzimy z Bobem przy naszym ulubionym stoliku przy kominku, w Cesca. Nie musieliśmy robić rezerwacji, nie mieliśmy najmniejszego problemu ze znalezieniem miejsca do parkowania przed samą restauracją, nie musieliśmy czekać na swój ulubiony stolik. W całej sali jesteśmy tylko my - częściowo, ponieważ jest jeszcze bardzo wcześnie, ale i tak nie ma szans, żeby sala wypełniła się w miarę trwania wieczoru.

Bob przesuwając w moją stronę małe, białe pudełko.

- Co to? - pytam, nie spodziewając się, żadnego prezentu.

- Otwórz - mówi.

Jesteśmy tutaj, ponieważ dziś mija pierwsza rocznica od dnia, w którym przeżyłam wypadek. Świadomie postanowiliśmy uczcić ten dzień, ale nie chcemy skupiać się na żalach i gdybaniu „co by było gdyby”. Gdybym przegrała w papier-kamień-nożyczki? Gdyby tego dnia nie padało? Gdybym nie chciała skorzystać z telefonu? Gdybym szybciej spojrzała przed siebie? Gdybym nie dostała w głowę? Jesteśmy tu, by świętować życie jakiego mamy, a nie rozczulać się nad tym, które straciliśmy. Ale zanim otwieram pudełeczko od Boba, nie mogę się powstrzymać i myślę o jednym i drugim.

Tęsknię za starą pracą w Berkley. Brakuje mi Richarda i Jessiki, wspaniałych konsultantów, uczucia zwycięstwa nad pozornie niepokonanym dniem, obsadzania ciekawych

projektów, sezonu rekrutacji, rozwoju zawodowego i poczucia, że jestem w tym dobra. Ale nie tęsknię za dojazdami, podróżami, godzinami pracy i stresem, który im towarzyszył.

Uwielbiam moją nową pracę w ZSNNA. Uwielbiam Mike'a i personel składający się z wolontariuszy, różnorodnej grupy ludzi o najbardziej szczodrych sercach na tej ziemi. Uwielbiam mój czas pracy. Jestem w pracy od ósmej do południa, od poniedziałku do piątku, ponadto zazwyczaj pracuję jeszcze dodatkowe pięć godzin w domu, ale w niektóre dni pracuję tylko w domu, nie ruszając się z kanapy. Uwielbiam samą pracę. Jest wymagająca i ważna. I jestem dobra w tym, co robię. Pracuję tu od dwóch miesięcy i jeszcze ani raz nie musiałam płakać. I nie przewiduję, że będę musiała.

Nie tęsknię za moimi kostiumami do pracy, zapinanymi z góry na dół koszulami i marynarkami, które trzeba było zanosić do pralni chemicznej. W ZSNNA pracuje się w niewyszukanych strojach. Ale tęsknię za wysokimi obcasami.

Brakuje mi mojej starej książeczki czekowej oraz poczucia dumy, siły i wartości, którą mi zapewniała. Zarabiam teraz dużo mniej pieniędzy. Dużo mniej. Ale to, co straciłam w dolarach, zyskałam w czasie. Popołudniami mam czas, żeby pomóc Charliemu i Lucy w odrabianiu zadań domowych, żeby z nimi pograć w gry video, żeby kibicować Charliemu na meczach, żeby zdrzemnąć się z Linusem. Nie mogę się doczekać, kiedy będę popołudniami mogła jeździć na snowboardzie. Mam czas, żeby namalować portret Lucy (mojego jedyne dziecko, które jest w stanie usiedzieć w miejscu) albo jabłka, które zebraliśmy w miejscowym sadzie. Mam czas na czytanie powieści, medytację i przyglądanie się sarnom, przechadzającym się po naszym ogrodzie, żeby każdego dnia zjeść obiad z rodziną. Mniej pieniędzy, więcej czasu. Jak dotąd, ta wymiana jest warta każdego grosza.

Żadne z nas nie tęskni za starą pracą Boba. Znalazł sobie zajęcie w Verde Inc. Pracuje dla klientów zagranicznych nad tym, jak najkorzystniej przestawić się na odnawialne źródła energii. Firma jest młoda, prężnie rozwijająca się i podchodząca z entuzjazmem do tego, co robi i Bob ją uwielbia. Ma siedzibę w Montpelier, około pięćdziesięciu mil od naszego domu w Cortland, ale jedzie się cały czas autostradą, która prawie zawsze jest pusta, więc droga do pracy zabiera mu około czterdziestu pięciu minut, czyli tyle samo co z Welmont do Bostonu (jeśli była ładna pogoda, jeśli nie było żadnych wypadków i jeśli w mieście nie grali Red Sox). Jego szefowie i współpracownicy rozumieją, że musi wcześniej wychodzić z biura, żeby pomóc mnie i dzieciom. Zazwyczaj jest w domu przed szesnastą.

Tutejsza podstawówka jest wspianała. W klasach jest o połowę mniej dzieci niż w Welmont, a nauczyciele zajmujący się uczniami ze specjalnymi potrzebami edukacyjnymi, fantastycznie zajęli się Charliem. On nie może się doczekać, kiedy zacznie uprawiać

snowboard w szkolnej drużynie. Lucy lubi swoją nową nauczycielkę i Hannah, swoją nową najlepszą przyjaciółkę. A Linus bez żadnego problemu wszedł w rytm nowego żłobka. Codziennie rano Bob odwozi dzieci, a Chris albo Kim z ZSNNA, przywożą ich do domu około czternastej.

Tęsknię za Heidi. Obiecała przyjechać z całą rodziną do Cortland na tygodniowe ferie zimowe w lutym, żeby pojeździć na nartach i na desce.

Brakuje mi Starbucksa. B&C wciąż jest zamknięte. Przynajmniej mamy swoją Impresę.

Brakuje mi tego, że wciąż nie jestem w stanie wykonywać prostych rzeczy z dawną łatwością. Mozolnie brnę przez czytanie, pisanie, golenie się, ubieranie, przecinanie kartki nożyczkami, zmienianie pościeli, wywlekanie koszuli na prawą stronę.

Brakuje mi prowadzenia samochodu i wolności jaką daje. Rano Bob przywozi mnie pod Mount Cortland, a Mike lub któryś z wolontariuszy odwozi mnie do domu, ale tęsknię za podróżowaniem na miejscu kierowcy.

Mały odsetek ludzi z zespołem pomijania stronnego odzyskuje możliwość samodzielnego jeżdżenia samochodem. W zeszły poniedziałek, przed pracą, wciąż niezniechęcony i pełen wiary we mnie Bob, podjechał na pusty parking i kazał mi spróbować. Zamieniliśmy się miejscami, zapięłam pasy (coś, czego nie zrobiłabym jeszcze pół roku temu), zmieniałam biegi, prawą nogę zdjęłam z hamulca i wcisnęłam gaz. Przejechaliśmy tylko kilka metrów, zanim Bob krzyknął „Stop!” Zahamowałam spanikowana, nie wiedząc o co mu chodzi. SPÓJRZ W LEWO, powiedział. Najpierw niczego nie zauważyłam, a dopiero po chwili do mnie dotarło - drzwi od strony kierowcy, otwarte na oścież. Więc - jak sądzę - wciąż nie jestem gotowa, by jeździć. Może kiedyś.

Tęsknię za chodzeniem. Cały czas podpieram się laską i przyciągam lewą nogę, ale poruszam się pewniej i mniej ciągnę nogą, więc mam nadzieję na poprawę i zmianę laski na normalną. Nadzieja. Postęp. Dużo jeszcze ich przede mną.

Ale ze wszystkiego, najbardziej brakuje mi mojej mamy. Co jeśli nie wygrałabym w papier-nożyczki-kamień? A jeśli nie uderzyłabym się w głowę? Jeśli nie potrzebowałabym jej pomocy? Jeśli ona by jej nie zaoferowała? Jestem niezmiernie wdzięczna za tę szansę poznania i pokochania jej, zanim umarła.

Podnoszę wieczko pudełka. Serce przyspiesza mi z emocji, po uśmiechniętych policzkach płyną łzy.

- Jakie to piękne, Bob.

- Daj, przywieszę ją.

Sięga przez stół i chwyta moją lewą rękę.

- Proszę - mówi.

Wzruszam ramieniem i słyszę pobrzękiwanie moich zawieszek na bransoletce. Patrz w lewo, przyjrzyj się lewej, idź w lewo.

Znajduję pierścionek z brylantem i obrączkę ślubną. Ja i Bob.

Patrz w lewo, przyjrzyj się lewej, idź w lewo.

Znajduję różowy, plastikowy zegarek. Moja dobra przyjaciółka, Heidi.

Patrz w lewo, przyjrzyj się lewej, idź w lewo.

Znajduję srebrną bransoletkę z trzema okrągłymi zawieszkami. Charlie, Lucy i Linus.

Patrz w lewo, przyjrzyj się lewej, idź w lewo.

Widzę prezent od Boba. Moją nową zawieszkę. Srebrny kapelusz ozdobiony jednym rubinem. Moja mama.

- Dziękuję kochanie. Jest śliczna.

Kelnerka przynosi nam butelkę Shiraza i pyta co chcemy na kolację. Oboje zamawiamy sałatkę Cezar i dyniowe ravioli. Bob nalewa wino i podnosi kieliszek.

- Za pełnię życia - mówi.

Uśmiecham się, kocham go, że zmienił się razem ze mną, za to że poszedł za mną tam, gdzie zabrał nas mój uraz, za to, że ze mną doświadcza czegoś nowego. Chociaż cały czas mam nadzieję na powrót do dawnej sprawności, nauczyłam się, że można doświadczać życia w pełni, mając mniej. Patrzę znowu w lewą stronę i znajduję swoją rękę, ustrojoną w biżuterię, symbolizującą mnie i Boba, nasze dzieci, moją przyjaciółkę i teraz także moją mamę. Skupiając się do granic możliwości, podnoszę kieliszek lewą ręką.

- Za pełnię życia - mówię.

Stukamy się kieliszkami i pijemy.

Jadę wyciągiem na szczyt Mount Cortland. Mama siedzi obok mnie z prawej strony, na swoim ulubionym miejscu, zapewniającym jej moją uwagę. Jest ubrana w czerwony szal i biały sweter, czarne spodnie na gumce, czarne buty i wielki wiktoriański kapelusz z czerwonymi kwiatami.

- Mamo, źle się ubrałaś.

- Naprawdę?

- Tak. Nie masz ani nart, ani deski. Jak chcesz zjechać z góry?

- Jadę tylko podziwiać widoki.

- Aha.

- *I pobyć z tobą.*
- *Powinnaś się nauczyć jeździć na snowboardzie.*
- *O, nie. Za późno dla mnie na takie rzeczy.*
- *Nie, to nieprawda.*
- *Prawda. Wystarczy mi, że jadę z tobą.*

Patrzę przed siebie i widzę, że zbliżamy się do końca wyciągu. Unoszę barierkę ponad nasze głowy, ustawiam deskę i siadam na samym brzegu.

- *Pamiętaj, że masz patrzeć w lewo - mówi moja mama.*

Odwracam głowę w lewo i zatyka mnie. Obok mnie siedzą Nate i mój tata.

- *O, Boże. Skąd się tu wzięliście? - pytam.*
- *Cały czas tu byliśmy - mówi mój tata z uśmiechem.*

Tata i Nate mają czerwone kurtki narciarskie i czarne spodnie, ale także oni nie mają nart ani deski.

Docieramy na samą górę, opuszczam się z ławki. Nate, mój tata i moja mama idą przed siebie i beze mnie wsiadają do kolejnego wyciągu. Patrzę jak ich ławeczka wspina się w górę i znika w niebie.

- *Hej.*

Odwracam się w lewo. To Bob.

- *Tutaj wszyscy jesteście - mówię.*

Linus siedzi w nosidełku na plecach Boba, Lucy stoi obok niego z nartami na nogach, a Charlie jest już przed nimi na swojej desce.

- *Oczywiście. Czekamy na ciebie.*

Patrzę na nietknięty zjazd przed nami, na pokrytą śniegiem dolinę, na Góry Zielone w oddali i rozkoszuję się dotykiem ciepłych, porannych promieni słońca na zimnych policzkach. W ciszy szczytu góry słyszę jedynie swój oddech.

- *Jedziemy - mówię.*

Kieruję deskę noskiem w dół i jadę.

Zjazd, skręt, zjazd.

Jestem spokojna.

Zjazd, skręt, zjazd.

Jestem kompletna.

Zjazd, skręt, zjazd.

Cicho.

OD AUTORKI

Zespół pomijania stronnego, znany także jako zespół nieuwagi stronnej i zespół jednostronnego zaniedbywania przestrzeni, to syndrom neurologiczny, który występuje wskutek urazu prawej półkuli mózgu po przebytych wylewie, krwotoku lub mechanicznym uszkodzeniu mózgu. Mimo tego, że przeciętny człowiek prawdopodobnie nigdy nie słyszał o zespole pomijania stronnego, pacjenci ze zdiagnozowanym zespołem nie są niczym niezwykłym dla pracowników służby zdrowia, zatrudnionych w szpitalach, na oddziałach neurologicznych i rehabilitacyjnych. Tacy pacjenci nie są niewidomi, ale ich mózgi ignorują informacje, dotyczące lewej strony świata, często także te dotyczące ich ciała. Znane mi osoby z zespołem pomijania stronnego są na różnych etapach rehabilitacji i zaadaptowały wiele standardowych i oryginalnych strategii, których celem jest przystosowanie do życia, w którym brakuje świadomości istnienia lewej strony. Wciąż nie tracą nadziei na całkowite wyzdrowienie. Neurologiczne procesy determinujące zespół pomijania stronnego, nie są do końca zrozumiałe.

Związek Sportowców Niepełnosprawnych Nowej Anglii to prawdziwa organizacja, której główna siedziba znajduje się w kurorcie Mount Sunapee w Newbury w stanie New Hampshire (a nie w fikcyjnym mieście Cortland w Vermont). Ich misją jest „dawanie świadectwa, jak wielka jest ludzka siła woli, poprzez pomoc ludziom niepełnosprawnym i ich rodzinom, realizowaną przez sport, rekreację i zajęcia grupowe”. Służą ludziom zmagającym się z różnymi rodzajami niepełnosprawności, między innymi: tym po amputacji kończyn, autyzmem, zespołem Downa, urazem mózgu, rozszczepem kręgosłupa, zanikiem mięśni, stwardnieniem rozsianym, problemem zachowania równowagi i po wylewie.

Więcej informacji o tej fantastycznej organizacji, znajdziecie na ich stronie internetowej www.nehsa.org lub info@nehsa.org.

PODZIĘKOWANIA

Przede wszystkim dziękuję wielu osobom, zmagającym się z zespołem pomijania stronnego, które chętnie dzieliły się ze mną swoimi doświadczeniami i opowiedziały mi wiele historii. Dało mi to pojęcie o ludzkim wymiarze tej choroby, czego nie można wyczytać w podręcznikach medycznych.

Dziękuję wam Annie Eldridge, Lynn Duke, Mike i Sue McCormick, Lisa Nelson, Brad i Mary Towse oraz Bruce i Mary Wilbur.

Specjalne podziękowania dla Deborah Feinstein, która umarła, kiedy pisałam tę książkę oraz dla jej rodziny za to, że mogłam wraz z nimi przeżywać te trudne chwile.

Dziękuję dr Ali Atri za przedstawienie mnie Deborze oraz jej rodzinie, za czas mi poświęcony oraz za zaufanie, że dążąc do wiedzy, nie zapomnę o szacunku i takcie.

Specjalne podziękowanie dla mojej przyjaciółki Julii Fox Garrison (autorki „Don't Leave Me This Way”). Jesteś dla mnie prawdziwą inspiracją.

Chcę także podziękować wielu pracownikom służby zdrowia, którzy poświęcili mi czas podczas spotkań i rozmów telefonicznych, którzy pomogli mi lepiej zrozumieć objawy kliniczne zespołu, sposoby rehabilitacji, przystosowania i odzyskiwania sprawności.

Podziękowania należą się także: Kristin Siminsky (fizjoterapeutce), Kimberly Wiggins (dyplomowanej pielęgniarce oddziału neurologii), Patty Kelly (terapeutce zajęciowej), Jimowi Smithowi (adiunktowi na wydziale fizjoterapii Utica College), dr Tomowi Van Vleetowi (neuropsychologowi na Uniwersytecie Kalifornii, Berkeley) i Michaelowi Paulowi Masonowi (autorowi „Head Cases: Stories of Brain Injury and Its Aftermath”).

Dziękuję wszystkim ze Spaulding Rehabilitation Hospital w Bostonie, wśród nich są: dr Ron Hirschberg (fizjoterapeuta), Lynne Brady Wagner (dyrektor, Stroke Program), Becky Ashe (terapeutka zajęciowa), Melissa DeLuke (terapeutka zajęciowa), Paul Petrone (terapeuta zajęciowy, Stroke Program), dr Randie Black-Schaffer (lekarz pogotowia, Stroke Program), Varsha Desai (terapeutka zajęciowa), Jena Casbon (logopatolog) oraz Joe Degutis, PhD (naukowiec).

Podziękowania kieruję także do pracowników Rehabilitation Hospital of the Cape & Islands:

Mary Ann Tryon (dyplomowanej pielęgniarki), Carol Sim (dyplomowanej pielęgniarki i dyrektora generalnego), Stephanie Nadolny (wiceprezesa do spraw usług medycznych oraz

terapeutki rekreacyjnej), Jan Sullivan (logopedy), Scotta Abramsona, MD (fizjoterapeuty), Allison Dickson (asystentki rehabilitantów), Deb Detwiler (asystentki rehabilitantów), Colleen Mccauley (fizjoterapeutki), Davida Lowella, MD (lekarza pogotowia i neurologa), Dawn Lucier (starszego fizjoterapeuty ze specjalizacją neurologiczną), Sue Ehrenthal, MD (fizjoterapeuty), Jay a Rosenfelda, MD (fizjoterapeuty), Heather Ward (fizjoterapeuty dla pacjentów spoza szpitala) i Donny Erdman (terapeutki zajęciowej pacjentów spoza szpitala).

Dziękuję Sarah Bua za wtajemniczenie mnie w życie studentów Harvardzkiej Szkoły Biznesu.

Dziękuję Susan Levine, wiceprezesowi Bain Capital i Stephanie Stamos byłej wiceprezes do spraw zasobów ludzkich w Silver Lake za pomoc w zrozumieniu na czym polegała praca Sary i jej zonglerka sprawami rodzinnymi i zawodowymi.

Dziękuję Jill Malinowski i Amandzie Julin za uświadomienie mi, na czym polega ADHD - zespół nadpobudliwości psychoruchowej z deficytem uwagi.

Dziękuję Tomowi Kersey, dyrektorowi Związku Sportowców Niepełnosprawnych Nowej Anglii (NEHSA), za pokazanie mi cudów czynionych przez Związek i wskazanie, jak można pomóc Sarze.

Dziękuję Louise Burke, Anthony'emu Ziccardi, Kathy Sagan i Vicky Bijur za to, że uwierzyliście w tę historię, zanim jeszcze przeczytaliście choć jedno słowo. I jeszcze raz dziękuję Kathy i Vicky za uczynienie tej opowieści lepszą dzięki Waszej redakcji.

Dziękuję moim ukochanym pierwszym czytelnikom, którzy czytali każdy rozdział zaraz po jego powstaniu i zachęcali mnie do dalszej pracy: Anne Carey, Laurel Daly, Kim Howland, Sarah Hutto, Mary MacGregor, Rose O'Donnell i Christopher Seufert.

Dziękuję całej mojej rodzinie i przyjaciołom, którzy pomogli mi w opiece nad dziećmi, abym znalazła czas na napisanie tej książki, szczególnie dziękuję Sarah Hutto, Sue Linnell, Heidi Wright, Monice Lussier, Danyel Matteson, Marilyn i Garyemu Seufert, moim rodzicom i mojemu mężowi.

Dziękuję Chrisowi, Alenie i Ethanowi. Wszystko zawdzięczam Waszej miłości.